

M A G D A L E N A
GRZEBĄŁKOWSKA



WOJNA i POKÓJ

Biblioteka
Gazety
Wąborczej

M A G D A L E N A
GRZEBĄŁKOWSKA



WOJNA i POKÓJ

**Biblioteka
Gazety
Wąborczej**





***Mojej babci Władysławie Gawryluk, która
w 1945 roku miała 19 lat***

Wstęp

Moja babcia (rocznik 1926) nie pamięta końca wojny. „No jak to – dziwię się – nie pamiętasz, jak ten marynarz całował pielęgniarkę na Times Square?”. „Dziecko – babcia patrzy na mnie (rocznik 1972) z politowaniem – to był amerykański koniec wojny, w sierpniu 1945 roku”. „A fajerwerki w Warszawie pamiętasz 9 maja? Sowieci strzelali w niebo spod ruin Dworca Głównego, z 21 ciągników artyleryjskich z baterią haubic kaliber 155”. „Coś ty – mówi babcia – przecież wiesz, że nie było mnie wtedy w Warszawie”.

Na pewno nie było jej też 7 maja 1945 roku w Reims, gdzie Niemcy po raz pierwszy podpisali kapitulację. Ani dzień później w Berlinie, gdzie na żądanie Józefa Stalina podpisali ją raz jeszcze. Nie mogła więc zobaczyć, jak w kwaterze marszałka Gieorgija Żukowa przedstawiciel Francji generał Jean De Lattre de Tassigny grozi, że się zabije. Amerykanie, Rosjanie i Brytyjczycy nie zgadzali się na jego podpis pod aktem kapitulacji. W końcu, po wielu godzinach negocjacji, ustąpili.

W Niemczech dochodziła północ 8 maja. W Moskwie był już 9 maja 1945.

„Ale jakoś koniec wojny musisz pamiętać – upieram się. – Ja bym pamiętała”. Babcia szuka w pamięci. Tak, teraz sobie przypomina. To było w Weinsbergu, w otoczonym winnicami obozie przejściowym dla obcokrajowców, chronionym przez Amerykanów. Trafiała tam po ucieczce z obozu pracy w Mannheimie, gdzie przez kilka lat produkowała dla Niemców amunicję i części do traktorów. „Czekaliśmy na ten dzień – wspomina moja babcia – choć tak naprawdę byliśmy już wyzwoleni od kilku tygodni. Pamiętam, jak stałam w tłumie chłopców i dziewcząt – Polaków, Litwinów, Czechów, Francuzów, różnych innych – na wielkim placu. Ktoś krzyknął: »W tej chwili nastąpił koniec wojny! Podpisali!«. Zaczęliśmy krzyczeć, żołnierze strzelali w górę na wiwat, całowaliśmy się z kim popadnie”. „Ty też, babciu?”. „A co myślisz? – pyta. – Jak jest koniec wojny, to nie patrzysz Polak, Rusek czy Amerykanin. Całujesz się z każdym”.

Cały 1945 rok i pół następnego moja babcia spędziła w Niemczech.

„Nie wracajcie tam – straszili byłych przymusowych robotników emisariusze rządu londyńskiego. – Komuniści wywiozą was od razu na Sybir”.

„Wracajcie, potrzebujemy waszych rąk, trzeba odbudować kraj” – przekonywali wysłannicy rządu polskiego.

„A ty chciałaś wracać? – pytam babcie. – Wiedziałaś, że Polska zmieniła kształt? Że twoją mamę przeniesiono

spod Lwowa do Gdańska? Docierały do ciebie wieści, że Niemcy muszą wyjechać na zachód? Słyszałaś, że Warszawa zamieniła się w ruinę?”. „Trochę wiedziałam, pisałyśmy do siebie listy z mamą – mówi. – I nie zamierzałam wracać. Wyszłam w Weinsbergu za męża, za twojego dziadka. Poznaliśmy się w tym obozie pod Mannheimem. Urodziłam dziecko. Planowaliśmy wyemigrować do Kanady. Miałam tam rodzinę”.

A potem babci umarło dziecko na zapalenie opon mózgowych. I już nic się dla niej nie liczyło. Niczego się nie bała – komunistów, Syberii, gruzów, repatriacji. Musiała wrócić do mamy. Pewnego dnia wsiadła więc z moim dziadkiem w pociąg w kierunku nowej Polski. Z Niemiec przywieźli słój cukierków i małego kundelka, nad którym babcia się ulitowała, bo amerykańscy żołnierze przywiązywali mu do szyi Krzyż Żelazny i gonili go po ulicach niemieckiego miasteczka.

We wrześniu 1946 roku moi dziadkowie przyjechali do Gdańska i zapukali do drzwi domu przy ulicy Bitwy Oliwskiej. Otworzyła Stefania, moja prababcia, po której mam drugie imię. „Pamiętasz, co powiedziała na wasz widok?” – jestem ciekawa. „Nic” – mówi babcia. „Nie pamiętasz?” – pytam. „Pamiętam dobrze. Zaczęła płakać: »Po coś ty, dziecko, tutaj wróciła? Po co? – zanosila się szlochem. – Tu jest tak strasznie w tej Polsce«”.

Styczeń 1945

—

Mapy ściennie: Polska Piastowska, Rzeczpospolita Polska w 1771 r., Orbis terrarum antiqui kupię.

„Rzeczpospolita”, 1.01.1945

—

Teatr Wojska Polskiego po przerwie spowodowanej chorobą p. Kossobudzkiej wystawia znowu w dniach 3, 4 i 5 stycznia „Wesele” St. Wyspiańskiego.

„Rzeczpospolita”, 4.01.1945

—

Warszawa wolna!

„Życie Warszawy”, 17.01.1945

—

W związku z wyzwoleniem Warszawy Komendant Miasta zawiadamia, że w dniu 18-go stycznia wolno przebywać na ulicy do godz. 22.

„Życie Warszawy”, 18.01.1945

—

Dziennikarze (publicyści, reporterzy, technicy) oraz

osoby mające zdolności i zamiłowanie do pracy dziennikarskiej otrzymają zatrudnienie. Zgłoszenia Adm. „Życia Warszawy”. Grochowska 194.

„Życie Warszawy”, 21.01.1945

—

Oprzemy naszą zachodnią granicę na Odrze i Nisie.

„Życie Warszawy”, 22.01.1945

—

Zofię Kozłowską, lat 57, zamieszkałą Słupecka 11, oraz Tadeusza Hanczke, inżyniera mierniczego, lat 37, zam. Filtrowa 62, poszukuje Halina Hanczke-Świder.

—

Podaję do wiadomości, że Rzeźnie Miejskie są czynne, a mianowicie:

- a. przy ul. Sierakowskiego 1/2, gdzie przeprowadza się ubój bydła: cieląt, owiec, kóz i świń
- b. przy ul. Grenadierów 48 przeprowadza się ubój koni. Dokonywanie potajemnego uboju jest surowo zabronione i podlega karze.

„Życie Warszawy”, 23.01.1945

—

W Warszawie przy ul. Marszałkowskiej 71 została otwarta na podwórzu zburzonego domu pierwsza

herbaciarnia warszawska.

„Rzeczpospolita”, 24.01.1945

—

Poszukuję dwie siedmioletnie dziewczynki Jolanę i Krystynę Zielińskie zamieszkałe przed działaniami w Warszawie przy ul. Grójeckiej 44, będące później w obozie pruszkowskim. Dalszy ślad o nich zaginał. Wiadomość: Warszawa, Grójecka 44.

„Życie Warszawy”, 24.01.1945

—

Dziś, 25 stycznia, o godzinie 16-ej, przed mikrofonem Polskiego Radia przemawiać będzie Wanda Wasilewska.

„Rzeczpospolita”, 25.01.1945

—

Ziemniaki zmarznięte nadają się do spożycia, należy tylko obrane sparzyć gorącą wodą – wówczas tracą swój słodkawy smak. Posiadacze kartek V kategorii mogą zaopatrzyć się w ziemniaki zmarznięte.

Okręgowe Biura Apropowizacyjne.

„Życie Warszawy”, 26.01.1945

—

Wzywa się właścicieli wszystkich zakładów krawieckich

zarejestrowanych i niezarejestrowanych nie pracujących dla wojska do zgłoszenia się do dn. 31 stycznia r.b. w Wydziale Przemysłowym, Referat Przemysłu Lekkiego, Grochowska 306, pokój Nr 9, celem zawarcia umowy na wykonanie zamówień wojskowych.

—

Związek Nauczycielstwa Polskiego zwraca się z gorącą prośbą o zgłaszanie wolnych pokojów dla swych członków nauczycieli, którzy stracili jedyne pomieszczenie na skutek działań wojennych.

„Życie Warszawy”, 30.01.1945

Barachło

Na pierwszy raz wybrali duży ceglany dom, ze stodołą w podwórzu, spichlerzem i ulami w sadzie. Zajechali przed wejście, powoli zsiadali, prostowali zbolące od długiej jazdy plecy, koniom z pysków leciała para, zmierzchało już, mróz się wzmagał.

Dziesięcioro sań, 20 ludzi, w tym dwie kobiety.

Jak weszli do domu? Może cicho, jak do kościoła, z nabożeństwem dotykając skórzanych oparcí foteli, jakie widzieli pierwszy raz w życiu? A może z tupotem, żeby spłoszyć tamtych, gdyby jeszcze byli? Stanęli niemo w salonie, wśród kredensów, obrazów, figurek z porcelany, ustawiając je w myślach na półkach w swoich chałupach, czy rozeszli się od razu po kątach, jak dzieci dotykając palcem wszystkiego i wołając „to moje”?

Niusia pamięta, że ten, który miał posłuch u wszystkich, zawołał, żeby niczego nie ruszać: „Samemu nie wolno. Prześpimy się teraz, a rano pójdziemy w grupie i tym, co znajdziemy, będziemy się dzielić po równo”.

Późnym wieczorem zjedli kolację. W kuchni był

jeszcze lekko wyschnięty chleb po tamtych, ale bali się go jeść. A jeśli zatruty? Zjedli więc swoje zapasy. Zaparzyli kawę. Była gorzka. Ktoś poszedł do sadu, rozbił ul i wyrwał plastry miodu z sennymi pszczołami. Posłodzili kawę miodem, zatopione w kubkach pszczoły wypluwali na podłogę.

Rano zeszli do piwnicy. Jeden, ten najważniejszy, stukał kijem w ziemię. Doszedł ich głuchy odgłos. Zaczęli kopać. Pod cienką warstwą ziemi znaleźli dwie duże ciężkie skrzynie.

Był styczeń 1945 roku, najdalej luty. Nusia już tak dokładnie nie pamięta.

Koń, pierzyny i album ze zdjęciami

Jak to jest, gdy się wyciąga szuflady w czyichś komodach, decyduje, że sztucce z inicjałami nieznajomych będą od dziś dotykać naszych ust, wsuwa dłoń między chłodne poszewki kołder, pod którymi jeszcze niedawno ktoś spał, ogląda w szafie płaszcze, halki i suknie, których poprzednia właścicielka nie zdążyła zabrać? Jak zapytać starszą, uprzejmą kobietę, która siedzi na kanapie w swoim pokoju: „Pani Niusiu, czy nie miała pani z tego powodu wyrzutów sumienia?”. Czy będę umiała zrozumieć jej odpowiedź, ja, która nie przeżyłam wojny?

Na razie siadam przy jej stole i słucham. O tacie

organiecie, który miał na imię Kazimierz, jego drugiej żonie Justynie i ich jedynaczce Niusi (rocznik 1927), rozpieszczonej, rozpuszczonej, samodzielnej i zdecydowanej. („Miałam wszystko, co chciałam. Uparłam się, żeby iść z rodzicami na przyjęcie do księdza, to szłam. Albo do państwa prawosławnych na przyjęcie, też szłam. Kręcona byłam”). O dzieciństwie w Bakałarzewie, miasteczku niedaleko Suwałk, które od Prus Wschodnich dzieliło tylko jezioro. O jedynym Niemcu w miasteczku, który tuż przed wojną poszedł na spacer z rodziną i nie wrócił, bo uciekł do Prus. O innym Niemcu, który z pruskiej strony przychodził na polską, żeby się kąpać ze swoim wilczurem w jeziorze. O niemieckich żandarmach, którzy pili wódkę w bakałarzewskiej gospodzie i gdy zataczając się, wracali do siebie, dzieci biegły za nimi, wołając „Hitler! Hitler!”.

Pytam o wojnę. Czy ich zaskoczyła? Nie, wcale. Zbyt wielu polskich żołnierzy siedziało w sierpniu 1939 roku na wieży kościoła i lornetowało Niemców za jeziorem, zbyt wielu okopywało się przy granicy. Ojciec przed wrześniem jeszcze zaprzągnął konia, matka wrzuciła na wóz pierzyny, album ze zdjęciami i z krową przywiązaną do wozu ruszyli na wschód. 1 września 1939 roku byli w Sztabinie za Suwałkami, kilka dni później w Majewie pod Sokółką, gdzie Kazimierz dostał posadę organisty.

Dawne Bakałarzewo, do którego wrócili po dwóch

miesiącach, już nie istniało. Na początku wojny toczyły się tu ciężkie walki. Drewniane domy spłonęły, kościół i szkołę częściowo zbombardowano, zajęta przez Niemców organistówkę wcześniej okradziono (ktoś wyniósł meble, pianino i gitarę Niusi), ze spichlerza organisty wyniesiono zboże. Z miasteczka zniknęli miejscowi Żydzi.

Okupację mimo to spędzili w Bakałarzewie. Ojciec Niusi kupił drewniany dom od starowierców spod Aleksandrowa, których hitlerowcy przesiedlali na Litwę, i postawił w pobliżu tego, który spłonął we wrześniu. Szkoły dla polskich dzieci nie było. Nusia uczyła się grać na pianinie u znajomego jej ojca, czytała „Potop”, wypisywała z ojcem metryki z ksiąg chrztów i zgonów, na polecenie Niemców wydawała kartki na cukier mieszkańcom gminy, pracowała w polu u bauera po pruskiej stronie.

Jesienią 1944 roku do Bakałarzewa zbliżał się front ze wschodu. („Tatuś zdecydował, że jedziemy do Suwałk. Zamieszkaliśmy u znajomych. Wigilię z nimi spędziliśmy. Któregoś dnia weszli do domu Ruscy, przynieśli z sobą tuszonki, konserwy amerykańskie niecałe kilowe. Mamusia nagotowała im zupy. I oni nam wtedy powiedzieli, że Bakałarzewo już wolne”).

Buty

Próbuję sobie wyobrazić Niusię sprzed 70 lat. Idzie właśnie pustą wiejską drogą. Jest początek stycznia 1945 roku, śnieg, mróz. (To będzie bardzo długa i ciężka zima. Ludzie, którzy wypadną ze statku „Gustloff” do morza, zamrzną na śmierć w kilka minut). Dziewczyna jest niezbyt grubo ubrana, bo przed nią 20 kilometrów drogi, nie chce się zgrzać. Idzie sama do Bakałarzewa, żeby sprawdzić, czy ich dom ocalał.

Ale że rodzice ją tak puścili? Nusia lat 86, potakuje mi ze swojej kanapy: – To dziwne. Pewnie się uparłam. Strasznie głupia byłam.

No więc idzie ta Nusia, lat 18, mijają ją radzieccy żołnierze, mijają kolumny cywilnych sań. Czasem woźnice podwiozą ją kawałek, ale nie mówią, dokąd jadą i po co. Nusia potem się domyśli, że to byli pierwsi szabrownicy.

(„Dwa kilometry przed Bakałarzewem patrzę, co tam na polu leży, z jednej strony rzeki i z drugiej – a to tyle Ruskich zabitych. Stosy całe ciało. I same bosa stopy. Już ludzie zdążyli pozabierać im buty. A karabinów, pistoletów pełno przy trupach, podchodziłam, żeby zobaczyć”).

W Bakałarzewie Nusia widzi, że rodzinny dom ocalał. („Jak się tatuś z mamusią dowiedzieli, że wszystko już wolne i nasz dom niespalony, to wróciliśmy. A że okien nie było, bo szyby wybite, to pojechaliśmy z tatusiem ten kilometr do Prus, tam powybialiśmy okna i przywieźliśmy do Polski. Chce

pani wiedzieć, jak to wyglądało? Zwyczajnie, wrywało się okna ze ściany i się brało. Nikogo w tym domu już nie było. Weszliśmy do środka. W szafach wisiały ubrania, na łóżkach leżały pierzyny. W szafkach było jadło, chleb obschły, smalec, wędlina. Nie braliśmy tego jednak. Przybiliśmy z tatusiem te okna do naszego domu i już mieszkaliśmy”).

Przyszedł zaraz sąsiad z żoną, usiedli za stołem w kuchni i spytali, czy organista chce jechać z nimi.

– A dokąd? – był ciekawy.

– Na barachło, na pruską stronę – odparł (słowo „szaber” Niusia pozna później).

Nie chciał. Ale jego córka tak. Zaczęła się szykować.

Zaraz, a rodzice, Niusiu, tak cię puścili? Samą, w dziesięć sań, dwudziestu ludzi, w tym tylko dwie kobiety? Niusia (lat 86) marszczy nos pod landszaftem w swoim pokoju, próbuje sobie przypomnieć: – Jak to było? Tata się chyba zgadzał... Ale ja i tak bym pojechała, gdyby się nie zgodził, mówiłam już, że kręcona byłam.

Zaprzęgli więc konia Niusi do sań i pod wieczór ruszyli. Wcześniej ten, który miał posłuch u wszystkich, powiedział: – Wybieramy domy bogatych bauerów, dwory pańskie, na biedne chałupy szkoda czasu. Jeśli przed domem stoją sanie, to znak, że są tam już nasi, więc jedziemy dalej. Wszystkim dzielimy się sprawiedliwie. Jazda!

Na pierwszy raz wybrali duży ceglany dom,

ze stodołą w podwórzu, spichlerzem i ulami w sadzie.

S Z A B E R
Ł A P O W N I C T W O
D R A B Z I E Ż



NIE POPŁACA

Antyszabrowniczy plakat z 1946 roku

Zaklinamy was, rodacy!

Szabrownicy. Idą, gnają, jadą przez cały kraj. Pieszko, z wózkami, rowerami, sańmi, wozami, autostopem z radzieckimi kierowcami. Zima, wiosna, lato, jesień. Kto żyw i w Boga wierzy. Kto pierwszy, ten lepszy. Ludzie ze wsi i z miast. Z Bakalarzewa, Suwałk, z Białegostoku, z Warszawy, Rzeszowa i Krakowa. Cała Polska szabruje. Plądrują wsie i miasta, wiejskie chałupy i dwory ziemiańskie, kamienice i urzędy, kościoły i muzea, magazyny i dworce kolejowe.

Słowo „szabrować”, czyli „włamywać się”, pożyczają sobie ze złodziejskiej gwary. Mają swój niepisany kodeks honorowy: nie zabijają i biorą tylko „niczyże” (choć jeśli zastaną w domu Niemca, Mazura, Kaszubę czy Ślązaka – okradają go, bo to nie swój). Rzeczy z barachła sprzedają, wymieniają albo urządzają nimi swoje mieszkania.

Nie dzielą się na grupy społeczne, nikt się nie wywyższa nad nikim. Szabrują przedwojenni przestępcy, bezrobotni, robotnicy, chłopi, nauczyciele, urzędnicy, gospodynie domowe i damy z lepszego towarzystwa, żołnierze polscy i radzieccy.

Ilu ich? Tysiące, setki tysięcy, miliony? Tego nawet za 70 lat nie uda się policzyć. Naukowcy z XXI wieku

powiedzą, że pchała ich ciekawość, bieda, zemsta na Niemcach, demoralizacja, zachwianie powojennej równowagi, zepsuty kompas moralny, chciwość, spryt. I tradycja.

Historyk Marcin Zaremba, autor książki „Wielka trwoga”, w 2012 roku napisze, że szaber występuje zawsze w czasie przejściowym, gdy jedna władza odchodzi, a druga jeszcze się nie ukonstytuowała i, że towarzyszył kryzysowi od zawsze, w całej Europie. Kiedy tylko nastawał czas niepokoju, chłopci napadali na dwory, służba kradła mienie pozostawione przez zmarłego pana, podczas zamieszek w miastach plądrowano sklepy i magazyny.

W 1934 roku, podczas wielkiej powodzi w Polsce, szabrownicy pojawiają się na zalanych terenach. W czasie kampanii wrześniowej przeczesują mienie pozostawione przez uciekinierów na prowincji, plądrują warszawskie fabryki i magazyny. Likwidacje gett, prowadzone szeroką falą przez Niemców od pierwszych lat wojny, przyciągają ich natychmiast. 18 września 1942 roku organ AK „Biuletyn Informacyjny” pisze, że polska ludność Otwocka, Rembertowa i Miedzeszyna „w pamiętnym dniu likwidacji getta w Otwocku w parę godzin po tym barbarzyńskim fakcie, w nocy zaraz zjechała furmankami i rozpoczęła grabież pozostałego mienia żydowskiego. Wywożono wszystko, co pod rękę podpadło, wyłamywano drzwi i okna, półki, deski z podłóg, nie mówiąc o meblach, ubraniach i bieliźnie,

które pierwsze padły ofiarą rabunku. (...) W imię najszczytniejszych haseł Boskich i ludzkich zaklinamy was rodacy, byście nie ponizali się do roli szakali”.

PKWN na stojąco

Ale największa fala szabru nadchodzi wraz z wyzwoleniem.

W Lublinie ludzie szabrują między 21 a 24 lipca 1944 roku (dni ucieczki Niemców i wejścia Armii Czerwonej). Zabierają mienie prywatne i państwowe, meble z rzeźni miejskiej i z biur (w związku z czym urzędnicy Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego nie mają na czym siedzieć). W sierpniu szabrownicy są we Lwowie, w styczniu 1945 roku w Radomiu, Krakowie, Łodzi i w każdej mniejszej miejscowości, która uważana jest za wolną. Szukają przede wszystkim jedzenia (włamują się do sklepów, magazynów, młynów, gorzelnii, piekarni i rzeźni), ale przy okazji wynoszą wszystko, co dadzą radę udźwignąć, bywa, że zdzierają buty ze zmarłych żołnierzy i cywilów.

Wyzwoloną 17 stycznia 1945 roku lewobrzeżną Warszawę, atakują już następnego dnia. Opustoszałe morze gruzów najpierw przeżywa najazd szabrowników z podwarszawskich wsi po lewej stronie Wisły, zaraz dołączają do nich mieszkańcy Pragi, którzy przechodzą

przez zamarznąłą rzekę.

Dziennikarze „Życia Warszawy” 20 stycznia alarmują: „W opustoszałych domach grasują już, jak spod ziemi wyrosłe, rzesze rabusiów. Rabują wszystko: ubrania, pościel, nakrycia, garnki, nawet meble wywożą na wózkach ręcznych i furmankach przybyłych nie wiadomo skąd”. Na początku lutego dziennikarze piszą: „Widzi się kobiety obładowane sprzętem gospodarskim, dzieci dźwigające wory książek, mężczyźni ciągnących wózki pełne mebli. Oknami lecą miękkie fotele i spadają wprost w nastawione ręce złodziejasków”. W czerwcu 1945 roku publicyści „Życia Warszawy” winią szabrowników za opóźnienia w odbudowie stolicy: „Dotychczas jeszcze tysiące szabrowników wydiera nawet z domów, które pierwotnie albo nadawały się od razu do zamieszkania, albo też wymagały niewielkiego remontu – wielkie ilości okien, drzwi, bram, wszelkiego rodzaju okuć, zamków, armatury, przeróżnych przyrządów, blachy i przewodów elektrycznych i telefonicznych. Na rynku znajdują się w masowej sprzedaży przedmioty pochodzące wciąż jeszcze z szabru”.

Jednak prawdziwe eldorado szabrownicy znajdują dopiero na terenach do niedawna należących do Rzeszy, nazwanych przez propagandę Ziemiemi Odzyskanymi.

Waza do zupy ze złotym rąbkiem

Wyjęli skrzynie z ziemi. Jedną pełną talerzy płaskich i głębokich, filiżanek, dzbanków, spodeczków i miseczek. A każda rzecz była biała ze złotym rąbkiem, z tak delikatnej porcelany, że przeświecało przez nią światło. Wszystkiego po 24 sztuki. Drugą skrzynię wypełniały kryształły i patery. „Tobie jeden talerz, tobie drugi, tobie filiżanka, tobie dzbanek”. Rozdawał równo, nawet temu, którego przyłapali w nocy na wynoszeniu po cichu ze spichrza worków z ziarnem (odstawili mu drabinę, spadł z wysokości, miał szczęście – nic mu się nie stało, ale potem za karę będzie musiał jechać do domu na czele konwoju sań przez zamrażnięte, zaminowane bagna).

Nusia wyniosła z piwnicy wazę do zupy ze złotym rąbkiem, biały talerz w złote lilie, kryształowy koszyczek z rączką, kryształową solniczkę i pieprzniczkę na rzeźbionej podstawie oraz przekonanie, że musieli tu mieszkać bogaci Niemcy.

Pakowali barachło na sanie. Silni mężczyźni skórzane fotele i rzeźbione komody, Nusia kryształły, porcelanę i obraz z Jezusem pukającym do drzwi. Kto chciał, wiązał sznurkiem pierzyny i kapy z łóżek, komu się podobało, to zwijał dywany z podłogi, zdejmował żyrandole z sufitu, jak ktoś miał potrzebę, ładował na sanie łóżka. Wszyscy upychali worki z ziarnem (nie nadawało się dla ludzi, bo tamci polali je naftą przed odjazdem, ale dla świń i koni było dobre).

Ten, który miał największy posłuch, chciał zabrać

zegar stojący, ale miał stłuczoną szybkę i powyginane wskazówki. Nusia marzyła o pianinie, ale stało wywleczone na podwórze, mokre, z rozdziawioną paszczą klawiszy. Znać, że ktoś przed nimi już tu szukał barachła.

Rodziców Nusi ucieszył powrót córki, spodobały się rzeczy, które przywiozła.

Nusia (lat 86): – Szaber mnie wciągnął.

Kredens i pułapka na myszy

– Pani pyta, jak to jest wejść do cudzego domu i brać, co popadnie? To ja pani powiem, że lepiej jak do skarbcza, bo ze skarbcza nic nie można brać, a tu się wchodzi i bierze, co chce. Jak w bajce. Firanki wiszą? Bierzesz, jak chcesz. Jak nie chcesz, to nie. I idziesz dalej. A pani dalej pyta, czy nie było we mnie strachu, obawy jakiejś, że wchodzi do cudzego domu? No nie, bo wtedy człowiek był łakomy jakiś. I ciekawy, jak inni mieszkali, jak się urządzili.

No i to było niemieckie. Ja od Niemców w czasie wojny wiele złego nie zaznałam, ale pamiętam, jak ich komendant w czasie mszy na koniu do kościoła wjeżdżał.

Nie, nie czułam się jak złodziejka, plądrując ich domy. Przecież to już było niczyje. Ale do polskich domów bym chyba nie weszła. Jak odróżnić dom

niemiecki od polskiego, pani jest ciekawa? Domy niemieckie były z cegły, nasze drewniane, okna miały inne i w kuchni zastawy różniły się od naszych. Nigdy nie spotkaliśmy tam gospodarzy. Ale wiem, że byli w stodołach poukrywani nieraz. To było niebezpieczne, nie myślało się wtedy o tym. Chowali przed nami też konie, krowy i świnie. Budowali w stodołach takie klatki i utykali sianem, żeby zwierząt nie było widać. Ale jak nasi znaleźli, to też zabierali.

Jeździłam i później, z dziesięć razy. Ludzie w ekipach się zmieniali, po kilka, kilkanaście wozów, nikt w pojedynkę się nie wypuszczał. Wszyscy jechali, każdy, kto chciał. Wozami albo i na piechotę. Ci, którzy wpadli jako pierwsi, otwierali szafy, wybierali bieliznę. No, nie majtki czy koszule, ale poszwy, prześcieradła, kapy. Ludzie się zaraz pomeblowali ekstra! Ech, ten szaber to okazja była!

Jechaliśmy od jednej wioski do drugiej, patrzyliśmy, gdzie jest zboże. Bo to było najważniejsze, żeby świnie karmić, mieć paszę dla krów, owies dla koni. Reszta wychodziła przy okazji. Tak do piętnastego kilometra jeździliśmy. Do Olecka najdalej. Niektórzy z naszych aż do Giżycka się zapuszczali, ale ja tam nie byłam. Barachło szło u nas głównie zimą, jak jezioro pod Bakalarzewem było zamrożone, bo most był zerwany. A jak lód puścił, ilu się potopiło, z końmi, z wozami. Nie wszyscy też mogli pod stromą górę z jeziora podjechać, zrzucali więc z sań ciężary. Jakie tam stopy

szaf leżały, mebli, wszystkiego.

Cennych rzeczy nie znalazłam nigdy, może Niemcy je z sobą zabrali, a może szabrownicy przede mną znaleźli. Zostawiali ślady po sobie – wypalone dziury po ogniskach na podłogach w salonach, osmalone sufity, potłuczone szkło.

Raz zachciało mi się kredensu, ale już mieliśmy pełne sianie, nie zmieściłby się. Więc wykombinowałam, żeby odkręcić drzwiczki, bo bez nich byłby nieinteresujący dla innych. I potem drugi raz pojechałam po niego. Ładny był, biały, taki bardziej nowoczesny, duży. Była tam nawet klepsydra z piaskiem do gotowania jajek. I szufladek dużo.

Odgrodziliśmy nim kuchnię od małego pokoju. Potem przywiozłam jeszcze kredens pokojowy, miał śliczne kryształowe boki półokrągłe. Wzięłam też łóżka parne jasne i dwie szafki nocne do kompletu z dwiema lampkami. Nikt ich wcześniej nie wziął, bo były przykręcone do szafek. I piękne do nich materace. Wie pani, byle czego człowiek nie brał, jak się tu nie podobało, to się szło dalej. Umeblowałam sobie tym sposobem całe mieszkanie. Bo ja nie jeździłam na barachło, żeby tym handlować, tylko dla siebie.

Raz z tatusiem pojechaliśmy po pianino. Ktoś nam wskazał, że w jednym dworze we wsi Königsruh, dziś Dąbrowskie, w połowie drogi między Oleckiem a Bakałarzewem, widział instrument. Jechaliśmy w ciemno, bez broni. I oba, z tatusiem, zdjęliśmy

z pierwszego piętra to pianino, na takim kołeczku. Było czarne, rzeźbione, z mosiężnymi lichtarzami u boków.

Byliśmy też z tatusiem w Olecku. Wchodzimy do sklepu, patrzymy, a tam domki stoją. I to dużo. Wysokie na 30 centymetrów, szerokie na 40 centymetrów. Drewniane, z deszczułek, z daszkiem, z piętrem. Wzięłam jeden. Nie wiedziałam do czego. W domu obejrzelśmy z tatusiem i okazało się, że to była pułapka na myszy!

Szaber się skończył w 1946 roku, bo ludzie z kraju nazjeżdżali i pozajmowali domy. Ale już wcześniej milicjanci zatrzymywali szabrowników i odbierali im to, co znaleźli. Tylko że zamiast oddawać państwu, zabierali dla siebie. Takim sposobem jeden milicjant pięć krów sobie nazbierał i jeszcze przyprowadził do nas dwie, żeby u nas w chlewie stały. Ale jak tatuś się dowiedział, jakim trybem one do niego trafiły, kazał zabierać. Ze złodziejem, który okrada ludzi, nie chciał mieć nic wspólnego.

Kable, rury, tory, rowery

Szabrowniczy raj – Ziemie Odzyskane, czyli dotychczasowe prowincje, które od teraz będą należeć do Polski. Dawnych gospodarzy już tu nie ma, nowa władza się jeszcze nie ukonstytuowała. Kto z Niemców mógł, ewakuował się w głąb nieistniejącej już III

Rzeszy, ci, co zostali, czekają na wyjazd i zmiłowanie zwycięzców.

Pierwsi są Rosjanie. Kradną, bo mogą, bo im się należy. To szaber oficjalny, niemal urzędowy. W Armii Czerwonej powstają specjalne jednostki do kierowania akcją zawłaszczania mienia. Wszędzie tam, gdzie się znajdują, sieją spustoszenie. Dysponują siłą, mają władzę i transport. Wywożą całe fabryki – jeśli jakaś maszyna nie mieści się w bramie zakładu, wrywają ją przez ścianę (z zakładów remontowych parowozów w Oleśnicy wywożą 4835 ton maszyn). Zdejmują z wież kościelnych zegary (krąży wówczas dowcip o żołnierzu radzieckim, który uginając się pod ciężkim zegarem, powiedział: „Ciężkie czasy”). Tory kolejowe wrywają z ziemi z podkładami. Ze Śląska i Pomorza wywożą 866 kilometrów wąskotorowych linii kolejowych. We Wrocławiu każą opróżnić zamieszkane już częściowo przez Polaków dzielnice, żeby nikt im nie przeszkadzał w kradzieży. Ze śląskich elektrowni wyciągają 19 turbin, w Gliwicach wyszabrowują wyposażenie fabryk, szpitali, przepompowni wody i rzeźni miejskiej. Ogrzewają się przy ogniskach palonych z książek, piją spirytus z preparatów wyszabrowanych z sal bibliotecznych, uczelni medycznych i szpitali. Ładują na wagony klamki, kaloryfery, wrywają kable z budynków, rury, instalacje sanitarne. Pędzą stada zdobycznego bydła. Ale łupią nie tylko Ziemię Odzyskaną, biorą wszystko, co wpadnie im

w ręce, także na przykład w Łodzi lub Poznaniu.

Bywa, że dobra ulegają zniszczeniu podczas demontażu. Albo odstawione na bocznicy i zapomniane rdzewieją na deszczu i nigdy się po nie już nie wraca.

Jeśli Rosjanie nie mogą czegoś ukraść, niszczą to. Ocalała w czasie wojny Ławę puszczają z dymem 20 kwietnia 1945 roku, w rocznicę urodzin Hitlera. W Legnicy palą zabytkowe centrum w dniu zakończenia wojny.

Od marca 1945 roku, gdy Rząd Tymczasowy podpisuje umowę z dowództwem wojsk rosyjskich, na mocy której Rosjanie mogą swobodnie dysponować mieniem poniemieckim, także tym, które znalazło się na ziemiach przyznanych Polsce, działają w imieniu prawa.

Dopiero 16 sierpnia 1945 roku Związek Radziecki podpisze umowę z Tymczasowym Rzędem Jedności Narodowej o odszkodowaniach za wyrządzone przez Niemców szkody i zrzecze się roszczeń do mienia niemieckiego na terenie całej Polski. Ale czerwonoarmiści zlekceważą umowę i nadal będą wywozić, co popadnie.

W 1947 roku Rosjanie obliczą, że na oddanych Polsce ziemiach niemieckich do 2 sierpnia 1945 roku zdemontowano urządzenia i materiały warte 235,5 mln dolarów. Wartość urządzeń i materiałów wywiezionych z Niemiec okupowanych przez wojska sowieckie oszacują na 79,1 mln dolarów.

Ładna krowa przy drodze

Wiecznie pijani żołnierze radzieccy szabrują też na własną rękę. Są jak dzieci w sklepie z zabawkami, w którym nie ma dorosłych. Podoba im się rower, na którym jedzie ktoś drogą? Biorą rower. A krowa przy drodze ładna? Też będzie ich. Polskie czy niemieckie mieszkania, nie ma to znaczenia. Wchodzą wszędzie jak do siebie, mierzą w gospodarzy z broni i grzebią im w szufladach, przeszukują spiżarki, zaglądają pod materace. Bransoletka, słoik konfitur czy koszula nocna mają dla nich jednakową wartość. Bywa, że na pożegnanie gwałcą gospodynię i zabijają jej męża.

Wyszabrowane rzeczy wymieniają na alkohol albo wysyłają do domów. Od grudnia 1944 roku szeregowcy radzieccy mogą posłać co miesiąc paczkę do pięciu kilogramów, oficerowie dwa razy cięższą.

Okradzeni Polacy skarżą się milicji. Funkcjonariusze próbują ścigać żołnierzy. W czerwcu 1945 roku milicjanci z Gdańska składają raport: „Nieznani sprawcy z Armii Czerwonej dokonali napadu na mieszkanie Komendanta MO Wejherowo-wieś. Po zrabowaniu żywności i odzieży zbiegli. Sprawców nie ujęto, o wypadku zameldowano Komendantowi Wojennemu Armii Czerwonej, który wszczął dochodzenie”. W lipcu alarmują: „W okolicy Pucka zostało pochwyconych ośmiu żołnierzy radzieckich, którzy grasowali po powiecie i kradli. Na żądanie milicjantów, aby się

wylegitymowali, odpowiedzieli strzałami”. W październiku donoszą: „Zameldowano o szeregu rabunków dokonanych przez żołnierzy sowieckich, podczas przemaszerowania wojsk”.

Władze polskie są bezradne. Nie mogą oficjalnie potępić armii zwycięzców. Radzieckich szabrowników nakazują więc nazywać maruderami i niedobitkami. Raporty o ich przestępstwach utajniają. Wojskowe władze radzieckie postępują różnie. Raz za przyłapanie na szabrze grozi dzień aresztu, innym razem śmierć.

Choroszyje sapogi

W „Gazecie Wyborczej” zamieszczam ogłoszenie, że szukam wspomnień z roku 1945. Pisze do mnie Ewa Prussak. W oprawionej w płótno księdze, która przypomina pracę magisterską, trzyma spisane wspomnienia swojego ojca Wiktora Kaźmierowicza. Pożycza mi je na jakiś czas.

Kaźmierowicz, żołnierz AK, w 1945 roku jest po maturze i z centralnej Polski wyjeżdża pociągiem na studia do Wrocławia. „Pociąg ledwie się włókł – napisze po latach. – Naraz obok torów zauważyliśmy jakby zawieszane w powietrzu iskierki, które szybko zbliżały się do nas. Iskierkami były żarzące się papierosy sowieckich żołnierzy. Szli na łup. Z dołu, po buforze gramolił się jeden z nich. Złapał mnie

za nogę i zaczął macać po butach. *Choroszyje sapogi, dawaj* – usłyszałem. Dałem mu kopa drugą nogą. Bojcy rozleźli się jak robactwo po całym pociągu. Nie mogli dostać się do środka, to buszowali po dachach. W wolnych rękach targali walizki i toboły pozabierane ludziom. Dochodziły do nas przekleństwa w rosyjskim języku. Pociąg nabierał prędkości i pędził w ciemną noc. Krzyki rabowanych ludzi były coraz głośniejsze. Sytuacja stawała się naprawdę groźna. Jednak w pewnym momencie wszystko raptownie ucichło. Dojeżdżaliśmy do jakiejś stacji. Był to Kalisz. Pociąg zatrzymał się, wyjrzelśmy na oświetlony peron i zobaczyliśmy kilku uzbrojonych kolejarzy z ochrony oraz duży oddział NKWD. Otoczyli dookoła pociąg i rozpoczęło się polowanie na nocnych rabusiów. Większość z nich dała się złapać. Wyszliśmy na peron i przyglądaliśmy się scenom, jakie się przed nami odgrywały. Enkawudziści prowadzili zatrzymanych i rozbrojonych bojców, a ci szli jak baranki, z opuszczonymi głowami, dźwigając ukradziony łup. Kazano im ustawić się w szeregu i położyć ukradzioną zdobycz przed sobą. Schwytanych było kilkudziesięciu. Otoczył ich tłum obrabowanych i rozsierdzonych ludzi. Wielu z nich było bez butów i marynarek. Każdy szukał swoich rzeczy. Potem zajechały budy i enkawudziści zaczęli na nie wpychać zatrzymanych. Jedni szli posłusznie i bez oporu. Inni bronili się, szarpali, zapierali nogami. Zapytałem stojącego obok mnie

sokisty, dlaczego tak się wrywają. Okazało się, że mniej więcej co dziesiątego, na chybił trafił, dla przykładu, rozstrzeliwują zaraz za stacją, a sokiści muszą potem uprzątać ich trupy”.



Wrocław, plac Grunwaldzki, najsłynniejszy szaberplac Ziemi Odzyskanych

Związek szabrowników

Za Rosjanami na Ziemi Odzyskane płynie szeroka fala polskich szabrowników. Propaganda przedstawia Dolny Śląsk i dawne Prusy jak krainę mlekiem i miodem płynącą, gdzie na każdego czekają luksusowe wille z pełnym umeblowaniem, a na ulicach leżą skarby porzucone przez Niemców. „Życie Warszawy” w czerwcu 1945 roku podaje: „Na podwórzach, ulicach, placach Olsztyna i Elbląga leży cała masa przedmiotów użytkowych. Są tam części pojazdów mechanicznych, wielkie ilości porzuconej wśród gruzów, nie tyle zniszczonej garderoby, która już nie przedstawia wartości dla goniącego za doraźnymi zyskami szabrownika. Cóż dopiero mówić o uszkodzonych meblach, naczyniach kuchennych, urządzeniach domowych, góry pierza zalegają klatki schodowe”.

Większość szabrowników to detaliści. Jeżdżą na Ziemi Odzyskane nawet i kilkadziesiąt razy, ale przywożą to, co uda im się zdobyć, i tyle, ile zdołają unieść. Część z nich porusza się po kraju autobusem Orbisu, nazywanym „szabrobusem”.

Ale niektórzy z szabrowników stają się hurtownikami i zaczynają się specjalizować w jednym rodzaju towaru, na który mają zamówienie. Są więc specjaliści od ekspresów do kawy, młynków, sprzętów kuchennych do kawiarni i restauracji, talerzy i filiżanek, które trafiają z Gdańska i Wrocławia do warszawskich

restauracji i kawiarni. Są znawcy leków, którzy penetrują opuszczone apteki i sprzedają je potem na placach targowych w całym kraju. Są szabrownicy od książek, od obrazów i rzeźb, części samochodowych. Grupa pracowników z Dyrekcji Poczty i Telegrafów w Katowicach szabruje sprzęt telekomunikacyjny.

W jednym z wrocławskich mieszkań jest hurtownia wyposażenia wnętrz. „Podłoga w tym mieszkaniu zasłana była dywanami poukładanymi grubą warstwą jeden na drugim. Pod ścianami zgromadzono obrazy, różnej zresztą wartości, zegary wiszące, stojące, na rękę i kieszonkowe, w sąsiednim pokoju stało kilka fortepianów” – napisze we wspomnieniach Joanna Konopińska, która zamieszkała we Wrocławiu w 1945 roku. I doda: „Dużo takich ludzi [szabrowników] tu przyjeżdża; zgarną co się da i ruszają dalej. [...] Krąży nawet na ten temat fraszka: Powstał nowy związek zawodowy, członków ma bez liku – związek szabrowników”.

Na szabrze dorabiają się też urzędnicy, wyżsi oficerowie Wojska Polskiego i Urzędu Bezpieczeństwa, wysyłani na Ziemie Odzyskane dla utrzymania porządku. Pracujący za głodowe pensje często porzucają miejsca pracy i rzucają się do szabrowania. Bywa, że utrzymując stanowiska, zmieniają wciąż służbowe, poniemieckie mieszkania, przenosząc się do nowych, po całkowitym ogołoceniu dotychczasowych. Niektórym udaje się zbić na szabrze fortuny.

Podpułkownik Faustyn Grzybkowski, szef Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego we Wrocławiu, rabuje: diadem z brylantami, sztabkę 24-karatowego złota, 24 sztuki złotych marek, kilka złotych broszek z brylantami i 65 sztuk złotych wyrobów jubilerskich. Kradnie antyczne meble, futra, ubrania. Wyszabrowanym majątkiem dzieli się ze swoimi przełożonymi.

Kazimierz Brandys przywozi z podróży na Śląsk opis spotkania z urzędowym szabrownikiem, dyrektorem Z. w mieście C., który przywitał go słowami, że tylko miłość do tej ziemi zatrzymuje go na niej i skłania do poświęceń. „Sygnety na jego palcach i ubranie skrojone z angielskiej wełny wzbudziły we mnie podejrzenia; w mieszkaniu, a raczej w willi, którą zajmował, c u d a komfortu, miliony patrzyły tam na mnie z każdej ściany czy kąta. [...] Przypadkiem dowiedziałem się, że nazywają go tam królem szabru”.

Centralnym punktem Wrocławia staje się szaberplac. Ulokowany początkowo przy Mathias Platz (później plac św. Macieja), zostaje przeniesiony na plac Grunwaldzki. Obowiązuje handel wymienny. „Pieniądze wartości nie mają” – notuje Konopińska.

Niemcy wymieniają tu resztki swojej własności, głównie na jedzenie. Radzieccy żołnierze handlują zegarkami. Dawni przymusowi robotnicy z Jugosławii, Francji czy Grecji, którzy nie zdążyli jeszcze wrócić do kraju, wymieniają sztuce na obrazy, lustra

na wazony, patefony na kołnierze z lisa. Wysoką cenę mają żywe koty, króliki i kurczęta. Ale najbardziej widoczni są Polacy. Są wśród nich tacy, którzy przyjechali do Wrocławia na stałe i handlują rzeczami znalezionymi w gruzach i ruinach. Ale też i ci, którzy dojeżdżają tu „szabrobusem” lub pociągami i nie opłaca im się wieźć maszyn do szycia i do pisania, wanien i piecyków gazowych czy figur oderwanych z zabytkowego ołtarza, więc wymieniają je na coś poręczniejszego.

Hugo Steinhaus, polski matematyk ze Lwowa, przyrówna wrocławski „szaberplac” do „największej kupy dziadów na największej kupie cegieł i rumowiska w Europie”.

Czyżby Warszawie brakowało cegieł?

Wrocław staje się źródłem szabru oficjalnego. Nikt nie wierzy, że Ziemie Odzyskane pozostaną na zawsze w polskich rękach. Lepiej więc zabrać stamtąd wszystko, co się uda wywieźć, póki czas. Z całego kraju płyną prośby do władz Wrocławia o przekazanie brakujących rzeczy.

Nie ma mebli w warszawskich uczelniach? Przywieźmy je z Wrocławia.

Cały naród buduje swoją stolicę? Wrocław śle do Warszawy cegły z rozbiórki, 25 wagonów, 35

przyczep tramwajowych, lampy gazowe, nawet preparaty medyczne. Konopińska notuje w dzienniku: „Czyżby Warszawie brakowało cegieł z rozebranych domów i trzeba je ściągać aż z takiej odległości? [...] Na Oławskiej położono nawet szyny kolejowe i wagonami wywozi się teraz cegłę oczyszczoną z zaprawy”. Przy okazji dochodzi do rozbiórki budynków, które można było bez problemu uratować, a na przyszlą odbudowę warszawskiej Starówki płyną ozdobne elementy z wrocławskich zabytków.

Krakowskiemu konserwatorium brakuje fortepianów? Wrocław ma, to niech da.

Wprawdzie Wrocław też w przyszłości będzie drukował gazety i książki, ale póki co wysyła rotacyjne maszyny drukarskie do stolicy. Teraz będzie na nich drukowany „Express Wieczorny”. „Pionier”, wrocławski dziennik, w październiku 1945 roku informuje czytelników, że jest to dar Wrocławia dla Warszawy.

Po kraju rozprasza się wyposażenie muzeów i kościołów całego Dolnego Śląska. Głównym odbiorcą zabytków staje się Warszawa, ale nie gardzą nimi też Poznań, Kraków czy Gdańsk. Cała Polska liczy na wzmocnienie swoich kolekcji „darami” z Ziem Odzyskanych. Miecz sędziowski Świdnicy trafia do Muzeum Narodowego w Kielcach, zbiór kafli z Ząbkowic Śląskich do zamku w Malborku. Talerz cechu piekarzy z Dzierżoniowa do Słupska, dzieła sztuki

i zabytkowe meble z pałacu Reussów w Stanisławowie do muzeów w Warszawie i Krakowie. Z terenów Dolnego i Opolskiego Śląska zostanie wywiezionych 28 wagonów kolejowych i 118 ciężarówek zbiorów. Śląsk za 70 lat będzie próbował je odzyskać, raczej bezskutecznie.

Zwierzęta z wrocławskiego zoo (wojnę przeżyło 300 osobników) też się stają „mieniem odzyskanym”. Joanna Konopińska: „Ostatnio mówi się, że ocalałe zwierzęta zostaną wysłane do poznańskiego zoologu”. Szympan Moritz jedzie do Łodzi, niedźwiedzica Lola do Krakowa, żyrafa Bärbel i hipopotam Lorbas do Poznania, żubrzyca Beste do Łodzi, a później do Białowieży.



Zło konieczne

Przez kilka pierwszych miesięcy po wyzwoleniu polskie władze przymykają oko na szaber. Nie są w stanie nakarmić, ubrać i urządzić od nowa wszystkich Polaków. Traktują więc jak zło konieczne urządzenie się na własną rękę.

Wprawdzie gazety wciąż potępiają szabrowników, ale potrafią ich też usprawiedliwić. A jeśli już ich gromią, to raczej na śmieszno. W maju 1945 roku „Przekrój” zamieszcza dowcip Karola Szpalskiego „O szabrownikach”: „Dzisiaj rano faceta spotkałem (przecinek)/ Co pierwszy słowo »szaber« wprowadził na rynek/ – Skąd pan piękny ten wyraz wy dostał? – spytałem/ Ów odparł, mrużąc oko: – Skąd? Wyszabrowałem”; a w lipcu dowcipy rysunkowe Gwidona Miklaszewskiego. „Dużo tu rzeczy u państwa” – dziwią się dwie postaci na jednym z nich. „O tak, mój mąż stara się o dom jak może! Co ciekawszego było we Wrocławiu, to pan u nas znajdzie!” – oświadcza tęga postać w zielonej sukience.

Ale nastroje zaczynają się zmieniać. W połowie listopada 1945 roku rząd oficjalnie ogłasza szaber przestępstwem. Pod koniec miesiąca Edward Osóbka-

Morawski, premier Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, wydaje okólnik, w którym potępia wywóz z ziem zachodnich jako grabież ze szkodą dla osadników i surowo go zakazuje. Wywiezienie czegokolwiek z ziem zachodnich od tej pory może nastąpić tylko za osobistą zgodą prezydenta Bolesława Bieruta. Wszelkie inne zezwolenia urzędów centralnych należy uważać za nieaktualne.

Fala szabru nie zatrzymuje się natychmiast, choć powoli wygasa. Wciąż się zdarza, że wyszabrowane dobra wyjeżdżają poukrywane wśród oficjalnych towarów, a w karawanach między trumnami.

Gorączka szabru na wielką skalę kończy się latem 1946 roku. Władze organizują coraz częściej łapanki na dworcach, konfiskują wyszabrowane rzeczy na targach i placach, zdarza się, że zabierają „zorganizowane” meble i cenne przedmioty z mieszkań (zostają zwrócone właścicielom, jeśli potrafią udowodnić, że należały do nich jeszcze przed wojną). Przyłapanych szabrowników aresztuje się czasem, wysyła do przymusowych prac przy odgruzowywaniu lub naprawie dróg.

Zresztą jest im coraz trudniej znaleźć puste mieszkania i domy. Ziemie Odzyskane zaczynają się zapełniać.

Pożar

W dniu zakończenia wojny ojciec Niusi podczas spaceru pod Bakałarzewem wejdzie na minę i zginie na miejscu.

Nusia przez kilka lat będzie pełniła funkcję miejscowego organisty.

Wkrótce też wyjdzie za mąż. 56 lat później zostanie wdową.

Pod koniec lat sześćdziesiątych w drewnianym domu Niusi, kupionym przez jej ojca od starowierców spod Aleksandrowa, wybuchnie pożar. Wraz z domem spłonie biały kredens taki bardziej nowoczesny i kredens pokojowy ze ślicznymi półokrągłymi bokami, łóżka parne, koszyczki kryształowe, pianino zniesione z piętra dworu w Königsruh i obraz z Jezusem pukającym do drzwi. Z pożaru Nusia uratuje tylko białą wazę ze złotym rąbkiem wydobytą pewnego mroźnego dnia 1945 roku spod ziemi w piwnicy dużego ceglanego domu, ze stodołą w podwórzu, spichlerzem i ulami w sadzie.

Współpraca Karolina Oponowicz

Luty 1945

—

Generał Włodzimierz Nałęcz Gembicki poszukuje swoją bratową Marję Nałęcz Gębicką z córeczką Basią, adres Sokołów Podlaski.

—

Gmina Żydowska m.st. Warszawy zawiadamia, że reaktywowała swoją działalność na terenie m.st. Warszawy w nowym lokalu przy ul. Targowej 41.

—

Lustra toaletowe, lusterka kieszonkowe. Hurt. Zakład szklarski Granica. Grochowska nr 105.

„*Życie Warszawy*”, 2.02.1945

—

Kierownictwo świetlicy przy Komitecie Obywatelskim XXIV dzielnicy ul. P. Skargi 20 zawiadamia mieszkańców Targówka, że w lokalu świetlicy czynna jest biblioteka. Zapisy przyjmuje się codziennie.

—

Sprzedam materiał biały i czerwony nadający się na flagi państwowe. Wiadomość Kawęczyńska 18.

„*Życie Warszawy*”, 3.02.1945

—
Adwokat kupi togę, kodeksy cywilne, wypożyczy
maszynę do pisania. Wileńska 27.

„*Życie Warszawy*”, 4.02.1945

—
Riksę towarową ewent. na prąd kupimy zaraz.
Zgłoszenia „*Życie Warszawy*”, ul. Grochowska 194.

—
Dyrekcja Poczty i Telegrafów wzywa wszystkich, aby
oddali zabrane bezprawnie meble, maszyny i inne
przedmioty biurowe z obrabowanych jej gmachów przy
ul. Warszawskiej i innych.

„*Dziennik Polski*”, Kraków, 6.02.1945

—
Sprzedam większą ilość pasty do obuwia, poszukuję
wspólnika. Wiadomość Kawcza 60.

—
Zawiadamiam rodziców Annę i Stanisława
Orlikowskich zamieszkałych w Włoszczowie ul.
Sienkiewicza 21, że żyjemy. Czekamy, zabierajcie nas.
Marta Świdorska Warszawa Praga ul. Białoostocka 6.

„*Życie Warszawy*”, 6.02.1945

—

Grottowa poszukuje synka, który miał rok i 5 miesięcy, nazywa się Wiesław Grott, dnia 7 sierpnia 1944 roku na ulicy Chłodnej Niemiec zabrał go z rąk ojcu i oddał obcej kobiecie. Jasne włosy, czarne oczy, miał na sobie dwie koszulki, bluzeczkę w paseczki niebieskie z białym, granatowy sweterek, długie białe majteczki, taki sam płaszczyk biały, wełniany i niebieską czapeczkę z białą obwódką. Praga, Radzywińska 51, Władysława Grott.

„*Życie Warszawy*”, 7.02.1945

—

Wydział Apropowizacyjny zawiadamia, że na dodatkowe kartki dziecinne wydawać będzie po 100 (sto) gramów masła w cenie 16,50 zł za 1 kg. Masło wydawane będzie sukcesywnie, w miarę przybywania transportów. Obecny zapas wystarczy na obdzielenie około 8 tysięcy dzieci.

„*Życie Warszawy*”, 8.02.1945

—

Polska YMCA otworzyła już swój dział wychowania fizycznego i higieny. Najszersze warstwy społeczeństwa mają możliwość zaprawy fizycznej i kąpieli pod gorącymi natryskami. Zapisy grup wojskowych i cywilnych przyjmuje sekretariat, Kraków, Krowoderska 8, w czasie od 9-13. Pływalnia YMCA otwarta będzie za kilka dni.

„*Dziennik Polski*”, Kraków, 9.02.1945

—

Niebawem ukaże się w druku broszura z procesu zbrodniarzy Majdanka, w nakładzie 150.000 egzemplarzy. Proces ten odbył się w listopadzie r.u.b. w Lublinie.

„Dziennik Polski”, Kraków, 12.02.1945

—

Polskie Radio otwiera w dniach najbliższych skrzynkę poszukiwania rodzin. Zgłoszenia bezpłatne do Polskiego Radia, Targowa 63. Polskie Radio przyjmuje ogłoszenia wszelkiej treści bezpłatnie.

—

Wpisujcie się na członków Ligi Morskiej.

„Życie Warszawy”, 12.02.1945

—

Dnia 5 II 1945 r. w drodze z Lublina do Garwolina zgubiono zielony plecak. W plecaku znajdowała się damska torebka z jedyymi zdjęciami dziecka, straconego podczas działań wojennych. Uprasza się o przesłanie zdjęć na adres: Płk Wiktor Grosz, Włochy, ul. Moniuszki Nr 39.

„Życie Warszawy”, 15.02.1944

—
Na zasadzie rozporządzenia Prez. Rzeczp. o świadczeniach rzeczowych na wypadek wojny z dnia 16.03.1939 r. zarządzam co następuje:

1) w terminie do dnia 20.02.1945 r. Komitety Domowe winny złożyć do Komitetów Obywatelskich po jednym worku jutowym (nie papierowym).

„Życie Warszawy”, 16.02.1946

—
Obecnie w Warszawie czynne są 24 kuchnie pracownicze, wydające ponad 8.000 posiłków dziennie. Oraz uruchomiono 5 piekarń. Od dnia 20 lutego b.r. liczba piekarń czynnych zostanie znacznie powiększona.

—
Wszyscy piłkarze warszawscy proszeni są o zgłaszanie się pod adresem: Komenda Milicji Obywatelskiej m.st. Warszawy, Targówek, ul. Oszmiańska 23 (szkoła) Referat Sportowy.

„Życie Warszawy”, 20.02.1945

—
Unieważnia się przepustkę wielokrotnie wydaną przez Prezydium Rady Ministrów dla ob. Włodarczyka Zygmunta, kontrolera Wydziału do Walki z Lichwą i Spekulacją Wojenną, oraz upoważnienie uprawniające do przeprowadzania kontroli w przedsiębiorstwach

przemysłowych i handlowych na terenie Warszawy-Pragi. Znalazcę uprasza się o zwrot dokumentów do Prezydium Rady Ministrów, ul. Śnieżna 4. Jednocześnie ostrzega się przed nadużyciem.

„*Życie Warszawy*”, 22.02.1945

—

W związku z ponownym uruchomieniem fabryk, wytwarzających artykuły spożywcze, osiągnięto możliwość rozdziału marmolady na kartki jeszcze w tym miesiącu. W najbliższych dniach również nastąpi rozdział ryb mrożonych po pół kg na osobę.

„*Dziennik Polski*”, Kraków, 23.02.1945

—

Starostwo Grodzkie warsz.-praskie wydało zarządzenie, które brzmi: 1) wszystkie psy winny być trzymane na uwięzi, a prowadzone psy zaopatrzone w bezpieczne kagańce i trzymane na smyczy. Psy bezpańskie, wałęsające się bez opieki będą przez organy MO i wojsko unieszkodliwiane (zabijane) 2) Zarządzenie to obowiązuje całą dzielnicę Warszawa-Praga na przeciąg 3 miesięcy. Lekarz weterynarii Donat Grądzki.

„*Życie Warszawy*”, 23.02.1945

—

Członkowie reprezentacyjnego przed wojną chóru

męskiego „Harfa” w liczbie ponad 30 osób, pod kierownictwem zasłużonego prof. ob. Wacława Lachmana zgłosili się do Wydz. Kultury i Sztuki. Chór wzywa wszystkich swych rozproszonych członków aby zgłaszali się do gospodarza chóru (ul. Francuska 8, Saska Kępa). Pożądanym jest również napływ nowych rutynowanych śpiewaków, celem dokompletowania chóru.

„Życie Warszawy”, 25.02.1945

—

Ministerstwo Sprawiedliwości komunikuje, że z dniem 22 lutego 1945 przeniosło swą siedzibę z Lublina do Warszawy i urzęduje przy ul. Wileńskiej 4.

„Życie Warszawy”, 26.02.1945

—

Polskie władze skarbowe powracają do ustawodawstwa przedwojennego i wzywają do punktualnego wpłacania podatków bieżących i uiszczania zaległości. Ulg wojennych w płaceniu podatków nie ma.

„Życie Warszawy”, 27.02.1945

—

Dziś, we wtorek, dnia 27.II. w kawiarni Plastyków Jan Sztaudynger odczyta swój „Poemat o Paryżu”, napisany częściowo w Lublinie.

„Gazeta Lubelska”, 27.02.1945

Lód

– *Hilfe! Hilfeeee!* Ludzie, stójcie! Pomóżcie! – okutany chudziak, ślizgając się po lodzie na drewnianych podszwach, podbiega do wozu zaprzęzonego w czwórkę koni. – Pęka lód, nasz wóz się zapada. Konie toną. Na wozie ojciec, chora mama, moje rodzeństwo! Pożyczcie na chwilę dwa konie, pomogą nas wyciągnąć.

– Takie czasy, że każdy musi sobie sam radzić! – mężczyzna na wozie śmieje się w stronę chłopca i zacina konie. Rusza galopem.

I chlup.

Wjeżdża prosto w przerębel. Bulgocze woda. Woźnica znika w niej ze swoim śmiechem, wozem, żoną, dziećmi, dobytkiem i czwórką koni.

I cisza. Prószy śnieg. Okutany chudziak czuje, że łyzy zamarzają mu na policzkach. Odwraca się i biegnie pomóc rodzinie.



Nie wiem, czy mam prawo do tego wszystkiego. Do udawania, że wiem, jak było. Przecież każdy potrafi sobie wyobrazić mróz, kłóć się sama ze sobą. Ale czy

czułam kiedyś takie zimno, w którym nos, uszy i końcówki palców bieleją i twardnieją jak gips? Albo taki mróz, że niemowlęta mimo pierzyn, w które są zawinięte, zamieniają się w bryłki lodu? A starsze dzieci – trzy-, czteroletnie – w tych samych piernatach wychładzają się na śmierć powolutku? Ujdiesz kilka kilometrów, a im spada temperatura o kilka stopni. Przejedziesz kilkadziesiąt i masz w kołdrze trupka. Musisz go zostawić na drodze. Bo co, będziesz wlokła z sobą dalej?

No więc nie. Nie znam takiego zimna.

Ale śnieg to już każdy zna, próbuję siebie przekonywać. Gęsty jak śmietana. Spuścisz oko ze światła lampy, która kołysze się na wozie przed tobą, i już po tobie, bo zabłądziłaś. I na pewno widziałaś kiedyś tak grubo zamarznąętą wodę, że mogą przejechać po niej konie i wozy. Setki, tysiące wozów i sań. Czołgi nawet i ciężarówki.

Może znam taki śnieg i lód. Ale nigdy nie wyłam z rozpaczy nad przerebłą, do której przed chwilą wpadły moje dzieci. Nie wiem więc, czy mam prawo mówić, że potrafię sobie wyobrazić, jak było zimą 1945 roku.



Jeszcze nie teraz ten mróz i śnieg. Na razie jest 1929 rok, na świecie trwa kryzys, który zaraz wyniesie na szczyty nazistę pochodzenia austriackiego Adolfa

Hitlera, a w rodzinie Henseleitów przychodzi na świat chudziaczek z wadą serca. Dostaje na imię Werner.

Jego mama na imię ma Elisa Helena i jest najlepszą mamusią na świecie. Jeszcze trochę potrwa, zanim umrze na tyfus w szpitalu w Gotenhafen (Gdynia). Na razie tuli swojego syneczka i modli się codziennie o jego zdrowie. Jest bardzo pobożną ewangeliczką, żaden posiłek, żadne ważne wydarzenie nie może obyć się w domu bez Boga. Była kiedyś robotnicą fabryczną, ale odkąd zaczęły na świat przychodzić dzieci, stała się *hausfrau*.

Tatuz Wenera Heinrich Adolf nieba by przychylił swoim najbliższym. Pracuje w fabryce ponad ludzkie siły. Nosi ciężary, bolą go plecy. Ale lubi sprawiać żonie i dzieciom niespodzianki. Któregoś dnia posyła do domu chłopca od piekarza z torbą pełną świeżych bułek. Innym razem zabiera ich do kina lub na karuzelę. Jeszcze trochę czasu minie, zanim każe swoim dzieciom wziąć się za ręce i skoczyć do studni.

A wszystko to dzieje się w Mülheim, w Zagłębiu Ruhry. Rodzice Wenera pochodzą wprawdzie z Ostpreussen (Prus Wschodnich), ale ich rodzice nie zgadzali się na ślub bogatej z domu Elisy Schumann i ubogiego Heinricha, więc zakochani uciekli ze swoją miłością na zachód Niemiec (są tam już ich krewni) i pobrali się w 1927 roku.

Werner jest ich drugim dzieckiem. Mają już starszego syna Karlheinza (rocznik 1927). Jeszcze trochę czasu

minie, zanim Henseleitom urodzą się jeszcze dwie pary bliźniąt.



Adolf Hitler ściska dłoń prezydenta Hindenburga i zostaje kanclerzem Rzeszy, płonie budynek Reichstagu, a Werner kończy cztery lata i z bratem obserwuje przez okno ulicę. Jest już rok 1933. Jacyś ludzie biegną, gonią ich policjanci, słysząc strzały i krzyki: *halt!* Rodzice odciągają ich od okna, każą położyć się na podłodze. Werner słyszy, jak tata mówi, że nadeszły złe czasy i że zauważył w biegnącym tłumie swojego brata Ottona, który nie popiera nowych rządów w kraju. Wuj Otto przychodzi dzień później z naręczem książek, które ojciec chowa na dnie szafy.

Poza tym jednak Werner jest szczęśliwym dzieckiem. Dwa razy odwiedza babcię w Prusach Wschodnich (dostaje od niej mnóstwo zabawek i słodyczy). Uwielbia Boże Narodzenie, gdy rodzice w nocy stroją dla dzieci choinkę i układają pod nią prezenty. Lubi chodzić do szkoły, w której nauczyciel zwołuje uczniów z przerwy: „Kochane dzieci! Już lekcja!”, dobrze się uczy. Opanowuje trudną sztukę prowadzenia roweru (tatuś go wtedy przytula i mówi mamusi, jak bardzo jest dumny ze swojego synka).

Zimą bywa tam śnieg i mróz, ale takie słabe, że kto by się nimi przejmował.

Tato nie będzie już dłużej pracował w fabryce. Mówi rodzinie, że pewnie niedługo umrze, jest tak zmęczony. „Czas wracać do Prus Wschodnich” – oświadcza. Chłopcy pakują zabawki, rodzice resztę dobytku i razem wsiadają do pociągu, który pojedzie przez Gdańsk do małej stacji w Insterburgu (Czerniachowsk). Żegnają ich sąsiedzi, krewni, przyjaciele. Wielu płacze. Kiedy pociąg z Henseleitami przejeżdża przez Polskę, rodzice tłumaczom dzieciom, że to kraj, w którym żyją tacy sami ludzie jak Niemcy – jedni są dobrzy, ale drudzy źli.

Wszystko to dzieje się w roku 1937, gdy świat żyje wielką podniebną katastrofą sterowca „Hindenburg”, który spłonął w powietrzu, a Adolf Hitler knuje, jak zdobyć dla narodu panów (*Herrenvolk*) większą przestrzeń życiową (*Lebensraum*).

A kiedy dwa lata później ten sam Hitler rozpętuje wielką wojnę, Henseleitom rodzą się naraz dwie dziewczynki – Inge i Ursula.

Może jest im nawet ciężiej niż w Mülheim, ale nie narzekają. Mieszkają we wsi Klein Baum, powiat Labiau (Polessk), niedaleko Kurisches Haff (Zalewu Kurońskiego). Ich dom należy do pana Grigoleta, właściciela majątku, w którym pracują rodzice Wenera.

Tatuś wstaje o czwartej rano, idzie nakarmić i uporządzić cztery konie, którymi pracuje w polu. Już nie mówi o umieraniu. Wzdycha czasem z przyjemnością i mówi o dobroczynnym działaniu wschodniopruskiego powietrza. Zarabia 30 marek miesięcznie, codziennie dostaje sześć litrów mleka, raz na jakiś czas worek mąki. Mamusia pracuje w gospodarstwie i w polu. Przy domu założyła kurnik dla dwunastu kur i czterech gęsi oraz chlew dla dwóch świń. Każde zwierzę Henseleitów ma swoje imię (świniaki zawsze Maxim i Ulrich). Rodzina ma też mały ogród z własnym warzywnikiem.

Szkoła jest w Gross Baum. Werner i Karlheinz mają na początku kłopoty. Nauczyciel i uczniowie mówią im, że nie są Niemcami, bo nie można ich zrozumieć. Jak to? A tak to. W Prusach Wschodnich mówi się *Plattdeutsch*, który brzmi zupełnie inaczej niż język niemiecki znad Renu. Na przykład zdanie „Ja kupuję” do tej pory wymawiali *Ich kaufe*, ale od teraz powinni *Ik kööp*; zwrot „On biegnie” brzmiał nad Renem *Er läuft*, w Prusach zaś wymawia się *He löppt*.

Ale po kilku miesiącach chłopcy Henseleitów łapią już nowy akcent i wymowę.

No i pojawia się po raz pierwszy prawdziwy mróz i śnieg. Ale na razie można go jeszcze oswoić łyżwami, które chłopcy dostają pod choinkę. Kiedy palce stóp i nos tracą czucie, wystarczy wrócić do domu i usiąść przy rozgrzanym piecu.

Trwa już wojna. Miliony ludzi giną na frontach i w piecach obozów koncentracyjnych, tracą zmysły, domy i najbliższych. Ale Henseleitów to nie dotyka. Wprawdzie tatuś poznał wojnę z bliska, bo jako żołnierz cztery tygodnie woził gdzieś daleko od domu amunicję wozem zaprzężonym w konie, ale szybko wrócił. Panu Grigoletowi udało się ściągnąć go do Klein Baum jako pracownika niezbędnego w majątku.

Elisa i Heinrich Henseleitowie przeżywają własną tragedię. W 1942 roku mama rodzi kolejne bliźnięta – Gerda i Gisele. Miesiąc później dziewczynka umiera. Werner struga krzyż na jej grób.



Przedostatni rok wojny jest beznadziejny. Dla Hitlera, który przegrywa na wszystkich frontach i liczy już tylko na cudowną broń (*Wunderwaffe*), która pozwoli mu odzyskać władzę nad światem.

I dla Henseleitów.

Karlheinz zostaje wcielony do wojska i trafia na front.

Mama cierpi na kamienie żółciowe, ale lekarz mówi, że nie można ich zoperować ze względu na słabe serce pacjentki. Elisa nie wstaje z łóżka, ból nie ustępuje. Rodzina modli się codziennie o jej zdrowie.

Gospodarstwem i dziećmi zajmują się ojciec i piętnastoletni Werner. Wieczorem tata skrobie ziemniaki i warzywa, rano syn nastawia zupę. Przewija

najmłodsze dziecko, ubiera bliźniaczki, myje je, karmi i podciera. Pracuje w ogrodzie, sprząta w domu. W południe biegnie z obiadem do taty na pole. Do szkoły chodzi dwa razy w tygodniu, częściej nie może. Na dwór nie wychodzi, z kolegami się nie bawi. Nie ma czasu. W praniu i prasowaniu pomaga im folksdojczka Marianna K.

Ostatnie Boże Narodzenie Henseleitów w Prusach Wschodnich jest smutne. Mamusia leży, ciasto piecze Werner, brat nie przyjeżdża na przepustkę, tato do późna pracuje w gospodarstwie. Prezentów nie ma. Jest grudzień 1944 roku.



27 października 1944 roku, Nemmersdorf, Prusy Wschodnie.
Zdjęcie propagandowe pokazujące oględziny zwłok po masakrze
na ludności niemieckiej rzekomo dokonanej przez żołnierzy
Armii Czerwonej

Dwa miesiące wcześniej, koniec października. Żołnierze radzieccy, po kilku próbach, znów wkraczą do III Rzeszy. Dzieje się to w Prusach Wschodnich. Jeden z oddziałów atakuje wieś Nemmersdorf (Majakowskoje), niecałe sto kilometrów na wschód od Klein Baum. Sołdatów zagrzewa do boju sam Ilja Grigorjewicz Erenburg, rosyjski pisarz i publicysta, słowami: „Nie licz dni, nie licz kilometrów, licz jedynie trupy Niemców, których zabiłeś”. Sołdaci nie liczą więc dni. Wiedzą przy tym, że wszystko, co dopadną w Niemczech, będzie ich własnością: widelce, kobiety, pierzyny, dziewczęta, zegarki, staruszki, kryształ, czasem dziewczynki.

W Nemmersdorf Rosjanie nie mają jednak dużo czasu na odebranie własności. Niemieckie oddziały po ciągłym ostrzale wypierają ich po kilku godzinach ze wsi, ale w świat idzie informacja o rzezi, jakiej się w Nemmersdorf dopuścili sołdaci. „Die Deutsche Wochenschau” niemiecka kronika filmowa, już 2 listopada pokazuje w kinach całej Rzeszy ciała ponad pół setki zgwałconych kobiet i dzieci zabitych strzałem

w głowę. Gazety informują, że Niemki przybijano do drzwi stodoły, że gwałcono je na ołtarzu. Joseph Goebbels, minister propagandy Hitlera, wykorzystuje mord, żeby podnieść słabnące morale wśród żołnierzy niemieckiej armii. Odnosi też sukces wśród cywilów – szeregi Volkssturmu, formacji o charakterze pospolitego ruszenia, utworzonej zaledwie miesiąc wcześniej, odnotowują przyrost ochotników.

Dopiero 57 lat po wojnie niemiecki dziennikarz Michael Vogt dotrze do świadków tych wydarzeń. Przyznają, że rzeź w Nemmersdorf została sfingowana. Większość mieszkańców zdążyła uciec, Rosjanie zastrzelili 13 spośród tych, którzy pozostali. Na nic więcej nie mieli czasu. Ciało pomordowanych zostały zwiezione do Nemmersdorf przez Niemców z innych miejscowości. Martwym kobietom i dziewczynkom przed zrobieniem zdjęć zadzierano spódnice do góry i ściągano bieliznę, żeby upozować je na ofiary gwałtu. Tę wersję poświadczy też Gerda Meczulat, mieszkanka wsi, która przeżyła tamten dzień. Nikt nigdy nie potwierdzi ukrzyżowań.

Ale Armia Radziecka zaraz zaleje Prusy Wschodnie. Jej żołnierze w kolejnych wsiach będą mieli już więcej czasu i zaczną realizować obraz propagandy Goebbelsa.

Ludzie powinni dlatego zakopywać już porcelanę pod jabłonkami w ogrodach, szykować wozy, oporządzać konie, pakować pierzyny, wsiadać, uciekać na zachód.

Tylko że żaden cywil nie może opuścić Prus bez

zezwoleń NSDAP. Zabronił tego sam nadprezydent Ostpreussen gauleiter Erich Koch. Przysięgał bronić do ostatniej krwi każdego metra Prus i nie zamierza teraz siać zwątpienia w potęgę III Rzeszy jakąś szczurzą ucieczką. Śle do Führera telegramy, że zostanie tu do końca. Hitler jest zadowolony. Dwa miliony ludzi w Ostpreussen – Niemcy, jeńcy alianccy i robotnicy przymusowi – są zdane na ich szaleństwo.

Jednak nikt, kto słyszał o Nemmersdorf, nie będzie czekał beczynnie, kiedy na horyzoncie nocami widać czerwoną łunę i słyszać strzały. Na drogi Prus Wschodnich, mimo zakazu, wyruszają uciekinierzy.



Już czas na ten śnieg i ten mróz. 4 stycznia 1945 roku Józef Stalin dostaje wiadomość od swoich meteorologów, że w Leningradzie jest dziś minus piętnaście stopni, a powietrze polarne znad Finlandii płynie nad Europę. To oznacza, że zaraz zamarzną mazurskie bagna i jeziora, dzięki czemu czołgi radzieckie w nich nie utoną. Na pierwszy dzień natarcia Stalin wyznacza piątek 12 stycznia. Żeby już wszystko dobrze ścięło.

W tym czasie w Klein Baum jest tłoczno jak nigdy. Żołnierze niemieccy, ich czołgi, karabiny, ciężarówki, kuchnie polowe jadą na wschód. Stamtąd, nieprzerwanym ciągiem, nadjeżdżają ranni żołnierze

i cywilni uciekinierzy – Niemcy z Litwy, którzy ciągną już od czerwca ubiegłego roku, i Prusacy spod wschodniej granicy, którzy marzą o ucieczce jak najdalej od wojsk radzieckich.

Rozstawiają swoje westernowe wozy na łąkach wokół wsi. Proszą gospodarzy o wrzątek, o ciepły kąt dla matek i dzieci. Henseleitowie nie mogą nikogo przyjąć. Mama czuje się coraz gorzej. Gorączka nie spada, ból brzucha potrafi uśmierzyć już tylko morfina. Ale tata z synem codziennie gotują dla uciekinierów gar zupy. Każdego dnia zanoszą im też herbatę i kawę.

Heinrich Henseleit nie chce słyszeć huków wystrzałów, które są coraz bliżej wsi. Nie biegnie z innymi pod las, żeby zobaczyć, jak głębokie mogą być leje od radzieckich bomb spuszczonej poprzedniej nocy przez radzieckie samoloty. Nie zwraca uwagi, gdy syn sprawdza, czy w nocy okna ich domu są szczelnie zasłonięte, żeby wróg z powietrza nie wypatrył świateł. Któregoś dnia oświadcza nawet, że Rosjanie do Klein Baum na pewno nie wejdą. Z tej okazji urządza święto i zabija dwie świnie. Jedną oddaje ludziom na wozach. Owszem, zakopuje w ziemi skrzynie ze szkłem i naczyniami, znosi do piwnicy zapasy na wypadek głodu, ale robi to bez przekonania i raczej dlatego, że sąsiedzi tak robią.

Więc kiedy pod koniec stycznia do jego domu wchodzi esesman z nakazem natychmiastowej ewakuacji, mówi mu spokojnie, że on zostaje w Klein

Baum. Bo jak w takie zimno, w taką noc, mróz i śnieg iść ze swoją rodziną na poniewierkę? Esesman przykłada Heinrichowi Henseleitowi pistolet do głowy.

Tata nie wie, że już 15 stycznia grossadmiral Karl Dönitz, naczelny dowódca Kriegsmarine, zarządził przygotowania do ewakuacji cywilów i wojska drogą morską z rejonu wschodniego Bałtyku. Gauleiter Koch nie zgadza się na tę akcję. Wciąż wierzy w niezwycięzoną siłę III Rzeszy. („To była sprawa honoru” – powie dziennikarzowi w 1986 roku). Jednak uchodźcy ze wschodu wciąż napływają. Na drogach panuje chaos, dworce kolejowe są oblegane przez tysiące bezdomnych uciekinierów, brakuje już miejsca w porcie Pillau (Bałtyjsk), gdzie statki z rozkazu Dönitza czekają, żeby przewieźć ludzi przez Bałtyk do zachodnich Niemiec. Admirał traci cierpliwość 21 stycznia i bez wiedzy Adolfa Hitlera daje sygnał do rozpoczęcia ewakuacji ludzi z Prus Wschodnich i Pomorza Zachodniego. Operacji nadaje kryptonim „Hannibal”.

Ale esesman nie zamierza tłumaczyć chłopu z Klein Baum zawilości polityki III Rzeszy. Wciąż trzyma pistolet przy jego skroni i mówi tylko, że kto chce zostać, ten jest szpiegiem i zdrajcą, więc musi zginąć.

Na ten argument Heinrich Henseleit zaczyna się szykować do ucieczki.



Styczeń 1945, atak rosyjskich czołgów w Prusach Wschodnich



Ucieczka Niemców przed wkraczającą Armią Czerwoną, Prusy Wschodnie, wiosna 1945 roku

Dwa silne konie.

Duży wóz z plandeką.

Trzy worki owsa.

Pół wędzonej świni.

Łóżko.

Koce, poduszki, pierzyny.

Ciepłe ubrania.

Rodzinne albumy i dokumenty.

Fotografia mamy w tekturowej ramce, z czasów gdy była jeszcze zdrowa (pulchna, pogodna kobieta

o jasnych, dobrych oczach patrzy spokojnie w obiektyw. Jej długich do kolan włosów, można się tylko domyślać).



Tatuś przenosi mamę na rękach i kładzie na łóżku w wozie. Obok niej chowa pod pierzynami troje dzieci. Do boku wozu przytracza dwa rowery (zaraz strąci je samochód wojskowy). Będzie powoził, a Werner pójdzie obok wozu, dla rozgrzewki. Chłopiec ma na sobie skórzane buty na drewnianych podszewkach, nigdy w nich nie marznie. Za pazuchę schował zdjęcie mamusi.

Z tyłu wozu robią miejsce dla folksdojczki Marianny K. i jej męża (zsiądą zaraz gdzieś po drodze, żeby poczekać na Armię Czerwoną, bo przypomni im się nagle, że są jednak Polakami).

Ruszają. Jest minus 30 stopni. Smarki zamarzają w nosie, nogi drętwieją i traci się czucie – człowiek czasem spada z wozu jak ulęgałka, bo nie daje rady nóg wyprostować.

Jadą zygzakiem. Powinni kierować się na zachód, ale Armia Radziecka zatacza łuk wokół Prus Wschodnich, więc wóz Henseleitów i innych uciekinierów często musi skręcać w przeciwną stronę. Zatrzymują się we wsiach. Pełno w nich uchodźców. Gospodarze przyjmują mamę pod dach, kładą ją do łóżka, gotują

zupę, dają kawę i herbatę i mówią, że oni to jednak nie wyjadą. Do nich Rosjanie na pewno nie dotrą. Następnego dnia dołączają do kolumny uciekinierów.

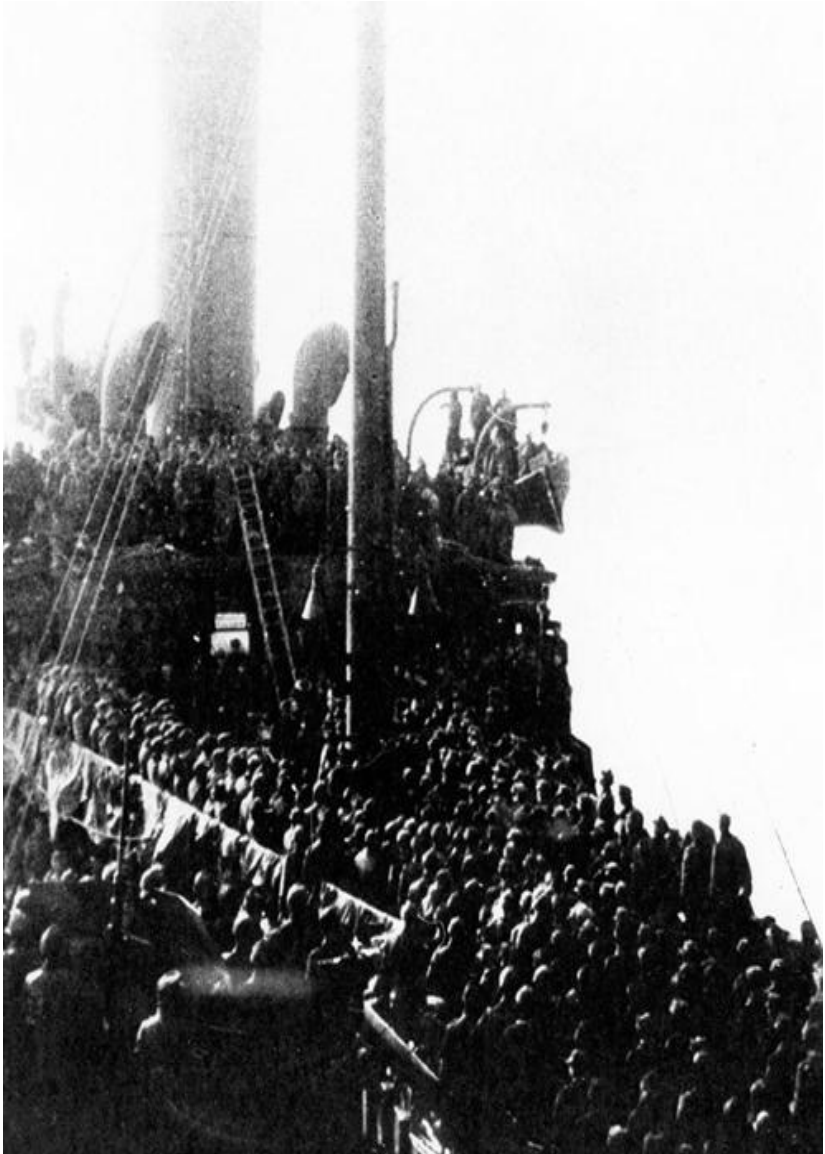
Henseleitowie zaprzyjaźniają się w drodze z frau Holzer i od tej pory trzymają się razem. Kobieta jedzie od dawna sama, z dwoma synami, piętnastoletnim Hanzem i sześciolatkiem Kurtem. Jej koń już ledwie dyszy.

Któregoś razu Wener widzi w rowie wspaniałą skórzaną kurtkę. Byłaby świetna dla ojca, myśli. Sięga po nią i od razu odrzuca, bo z rękawa wysuwa się ludzka ręka. To pierwszy trup (a właściwie kawałek trupa) w życiu chłopca. Kiedy indziej spostrzega lekką bryczkę zaprzęzoną w dwa konie, która stoi na poboczu. W środku drzemie dwoje staruszków, kolana przykryli cienką derką. Werner biegnie zapytać, czy nie potrzebują pomocy, może zabłądzili. Orientuje się jednak, że para nie żyje. Zamarzli. Z czasem będzie widział coraz więcej trupów. Przywyknie do ich widoku. Jeszcze nie wie, ale wkrótce dostanie przy nich nawet czasowe zatrudnienie.

Do połowy lutego wóz Henseleitów, tak jak tysiące innych, miota się bez sensu po coraz mniejszych Prusach Wschodnich, które ze wszystkich stron otacza Armia Czerwona. Właściwie pozostaje im już tylko jeden sposób ucieczki. Przez zamrznięte wody Frisches Haff (Zalewu Wiślanego) można się przedostać na wąską kosę Frische Nehrung (Mierzei Wiślanej). Stamtąd trzeba spróbować dotrzeć na wschód do Pillau

albo na zachód do Gotenhafen, skąd podobno statki zabierają uchodźców do portów, które wciąż należą do III Rzeszy.

Każdy uciekinier marzyłby pewnie o odpłynięciu z Gotenhafen wspaniałym, ogromnym i bezpiecznym statkiem „Wilhelm Gustloff”. Jednak to marzenie od 31 stycznia 1945 roku jest już nieaktualne. Okręt z ponad sześcioma tysiącami uchodźców leży na dnie zatopiony przez radziecką torpedę. Większość pasażerów umarła z zimna od razu po wpadnięciu do wody. Udało się uratować zaledwie 1200 ludzi. Ale nikt, kto ciągnie właśnie nad brzeg zamarzniętego zalewu, jeszcze o tym nie wie. Goebbels kazał zachować tragedię w tajemnicy.



Przepełniony cywilami z Prus Wschodnich statek wypływa z portu w Pilawie, marzec 1945 roku

Przydałaby się teraz cisza. Żeby słyszeć, jak pod kopytami pęka tafla lodu. Drobne szczeliny rozchodzą się wtedy promieniście z nieprzyjemnym dla ucha chrzęstem. Kto go usłyszy, może zdąży uskoczyć.

Ale ciszy nie ma. Zamarznięty zalew wypełnia hałas, który zlewa się w jedno z westchnień, płaczu, jęków, okrzyków. Brzegi zalewu w większości są już zajęte przez Sowietów. Na drugą stronę można się przedostać jednym z pięciu przejść między Bałgą (Bałgą) a Frauenburgiem (Fromborkiem). I wszędzie jest tak samo. Krzyczą woźnice, którzy dojeżdżają do brzegu w niekończących się kolumnach wozów. Rzę zmęczone i wystraszone konie. Ktoś się próbuje wepchnąć bez kolejki, trąbią ciężarówki wojskowe, które mają pierwszeństwo, luksusowe auta dygnitarzy i hierarchów kościelnych nic sobie nie robią z czekania. Komuś matka umiera, ktoś zgubił dziecko.

Jacyś żandarmi, wrzeszcząc do utraty głosu, usiłują zrobić porządek i z siedmiu rzędów wozów i sań próbują ustawić jeden ciąg, który po podniesieniu szlabanu wjedzie na lód. Zanim to jednak nastąpi, trzeba przeszukać wozy uchodźców i wydać im instrukcje.

Ciężarów zabierać nie wolno! Lód ma swoją wytrzymałość. „Wyładujcie chociaż połowę, tłuściochy! Teraz macie okazję zobaczyć, że jest wojna!”. Na brzegu ładują kredensy wypełnione wekami, worki

z kartoflami, walizki z rodzowym srebrem, pruskie skrzynie posażne pełne haftowanych obrusów, maszyny do szycia, połcie słoniny.

Końskie kopyta owinąć szmatami! Inaczej nie będą mogły iść po śliskiej nawierzchni.

Na lodzie nie zbaczać z trasy, którą wytyczają choinki wsadzone w wyrąbane i zamarznięte przeręble! Jak nie pada śnieg, to jest mgła. Łatwo zabłądzić.

Jechać w odstępach od pięćdziesięciu do stu metrów!

Przed samą mierzeją uważać! Na całej długości zalewu, od Elbląga do Piławy, lodołamacze wybiły szeroki na piętnaście metrów tor wodny. Nad nim przerzucono prowizoryczne kładki, po których trzeba przejechać na drugą stronę.

Szlaban idzie w górę. Heinrich Henseleit wprowadza konie na lód. Przed nim dziesięć kilometrów drogi, pod nim metr lodu i trzy metry wody, za nim frau Holzer, obok niego Werner.

Ruszają. Dotarcie na drugi brzeg zajmie im dwa dni i trzy noce.



Ewakuacja cywilów przez zamrznięty Zalew Wiślany, luty 1945 roku

Jadą. Stają. Godzinami wloką się naprzód. Znów jadą. I znów stają.

Mijają setki końskich i ludzkich trupów, porzucone wozy wtopione w lód jak owady w bursztyn. Werner myśli, że wkrótce dołączą do zwłok. Nie wierzy już w ocalenie. Słyszą warkot nadlatujących samolotów i chowają się pod wozami, choć wiedzą, że to bez sensu. Tylko mama zostaje sama na wozie. Nalot trwa krótko.

Wokół tryskają fontanny wody. Henseleitowie obserwują z ukrycia, jak w przeręble, wyrąbane przez pociski, wpadają całe tabory. Ludzie na wozach machają rękami, coś krzyczą i już ich nie widać. Zaraz zapada cisza. Samoloty odlatują. Do martwych ludzi i zwierząt dołączyli kolejni. Reszta rusza dalej.

Jest już noc, gdy prawe przednie koło wozu Henseleitów zapada się nagle w wodę. Heinrich nie zauważył w ciemności, że lód, na który wjechał, jest cienki jak gojąca się dopiero rana. Mają szczęście, bo zapadają się powoli. Utrzymują ich zazębione o siebie kry. Ale ich dwa silne konie nie dadzą rady wyciągnąć wozu. Nie pomoże im też koń frau Holzer. Uparł się i stoi kilkadziesiąt metrów od nich. Nie chce podejść. Ojciec znosi z wozu mamę i dzieci, przenosi ich na wóz Holzerów. Wraca i zabiera owies dla koni.

Werner, opatulony chudziak, widzi, jak omija ich woźnica, poganiając czwórkę koni. Biegnie do niego po ratunek. Ale widzi tylko, jak mężczyzna odmawia pomocy i odjeżdżając ze śmiechem, wpada prosto w przerębel. Bulgocze woda. Woźnica znika w niej z wozem, żoną, dziećmi, dobytkiem i czwórką koni.

Na lodzie Zalewu Wiślanego solidarności nie ma. Ludzie zapamiętają kobietę, której konie odmówiły posłuszeństwa. Wołała o pomoc. Bezskutecznie. Tylko się każdy gapił. Albo nieszczęśników, którzy wpadali do wody. Wystarczyło podać im drąg, kawałek szmaty, cokolwiek. Ale szybko tonęli, bo nikt nie zamierzał

nikomu nic podawać.

Robert Krause, listonosz z Domnau (Domnowo), opowie po latach pisarzowi Egbertowi Kieserowi o młodej kobiecie, którą zauważył we mgle nad przerębem. Zawodząc nieludzko, mieszała w wodzie długim drągiem. Nie dawała się odciągnąć od otworu, wygrażając każdemu, kto próbował do niej podejść. Ktoś zawołał z przejeżdżającego wozu: „Wepchnijcie ją do wody, niech jej dusza nareszcie zazna spokoju!”.

Werner wskakuje do wody po kolana i odczepia konie od tonącego zaprzęgu. Henseleitowie zaprzęgają je do wozu frau Holzer (jej koń nadal nie chce iść, więc go zostawiają). Ruszają, ale Heinrich przypomina sobie, że zapomniał zabrać ze swojego wozu jedzenie. Biegnie w jego stronę, ale znajduje tam już tylko spokojny przerębel.

Zjeżdżają w końcu na stały ląd. Brzeg jest nieco stromy, konie brną w rozjeżdżonym błocie i szlamie. Dołączają do tłumów na mierzei, żandarmi kierują ich na zachód.

Ostatni uchodźcy, zanurzeni po kolana w wodzie z topniejącego w wiosennym słońcu lodu, przejadą zalew 4 marca 1945 roku. Wkrótce wszystko się roztopi, pochłaniając trupy ludzi i koni. W 2010 roku we Fromborku stanie pomnik upamiętniający przeprawę przez Zalew Wiślany 450 tysięcy uciekinierów z Prus Wschodnich.

Wszystko się tak ciągnie. To zimno, ten mróz, błoto, głód. Konwój wozów jedzie przez mierzeję. Chciałabym, żeby Wernerowi zrobiło się w końcu ciepło w odmrożone uszy (z tym musimy jednak poczekać na czerwonoarmistów), żeby mógł poczuć ogień z ognisk, do których przykłada na postojach lodowate stopy, żeby najadł się wreszcie porządnie, bo na liściach wygrzebywanych spod śniegu daleko nie zajędzie. W dodatku mam dla niego bardzo złe wieści. Jeśli wydawało mu się, że najgorszą rzeczą w jego życiu była przeprawa przez Zalew Wiślany, to myli się. Gorzej jeszcze będzie.

Ale na razie oglądam kolejny, marcowy, odcinek „Die Deutsche Wochenschau” z Adolfem Hitlerem w roli głównej. Właśnie odznacza Żelaznym Krzyżem chłopaczków, którzy wykazali się szczególnym bohaterstwem na froncie. Führer klepie każdy kawałek mięsa armatniego w policzek, którego nie trzeba jeszcze golić. Jest zachwycony, że dzieci gotowe są bronić Rzeszy do jej końca (niedługo zresztą).

Gorzej już jest.

Najpierw znika frau Holzer. Jeszcze na mierzei. Wyrusza ze starszym synem wyżebrać coś do jedzenia

od żołnierzy akurat w chwili, gdy żandarmi zarządzają galop na zachód. „Dalej! Dalej! Rosjanie nadlatują” – wrzeszczą. Heinrich Henseleit zjeżdża na bok drogi, chce poczekać na Holzerową, ale żołnierze każą ruszać. Odjeżdża więc jej wozem z Kurtem. Nigdy już jej nie spotkają.

Potem umiera mamusia. Zaraziła się tyfusem po drodze. Ma biegunkę, wymiotuje, nic nie je i nie pije. Werner przebiera ją i obmywa niemal bez przerwy. Dowożą ją do Gotenhafen. Żandarmi chcą skierować wóz Henseleitów do portu. Mają ostatnią szansę na ucieczkę drogą morską jednym ze statków, kutrów, węglarek, które wciąż przewożą uciekinierów, regularnie tonąc z nimi na pokładzie (o tym oczywiście żandarmi nie mówią). Ale ojciec odmawia. Dopóki żona nie wyzdrowieje, on się stąd nie ruszy. Zostają więc zakwaterowani w mieszkaniu jakiejś Niemki, w domu przy drodze na Witomino, a mama po kilku dniach trafia do szpitala przy General Litzmann Platz (plac Kaszubski). Kiedy Werner odwiedzi ją ostatni raz, szepnie mu: „Trzymajcie się razem”. Więcej się nie zobaczą.

W dom Niemki trafia bomba. Odpada ściana pokoju, w którym mieszkają Henseleitowie, ale nic im się nie stało, bo schowali się do szafy. Ta sama bomba zabija ich konie. Ojciec pozwala sąsiadom pokroić je na kotlety. Sam nie bierze ani kawałka.

Następnie Heinrich Henseleit, jego dwóch synów,

dwie córki i mały Kurt Holzer schodzą do wielkiego schronu przeznaczonego dla kilkuset osób, który stoi opodal ich zbombardowanego domu. Niektórzy się tu dobrze urządzili, mają nawet własne łóżka. Henseleitowie śpią jednak na kocach. Do jedzenia musi im wystarczyć małe wiaderko smalcu.

Jest koniec marca 1945 roku, do miasta wkraczają Sowieci. Każą otworzyć schron. Zabijają ukrywających się w nim niemieckich żołnierzy. Cywilów wyganiają ze środka i rozkazują iść na Witomino. Wśród nich jest Heinrich Henseleit i jego dzieci.

Potykając się o trupy, zaraz zabłądzą w lesie.



Ewakuacja cywilów na zachód, 1945 rok



Ewakuacja dywizji pancerniej „Wielkie Niemcy” z Balgi nad Zalewem Wiślanym. Żołnierze budują tratwy do ucieczki, 5 marca 1945 roku

Teraz jest czas na dobrych Rosjan.

Pierwszych spotykają w lesie. Wprawdzie zabierają ojcu zegarek i przeszukują go, ale puszczają wszystkich wolno. Werner rozumie ich, bo nauczył się trochę rosyjskiego od niewolników pracujących w Klein Baum na polach pana Grigoleta.

Kolejny z Rosjan jest jeszcze lepszy. Wychodzi z namiotu (Henseleitowie, błędząc, dotarli do ich obozowiska) i mówi, żeby się go nie bać, bo jest

lekarzem i sam ma dzieci. Ogląda odmrożone uszy Wenera i mimo protestów ojca zabiera go do polowego szpitala. Tam wstrzykuje mu w uszy jakąś substancję, wtyka w małżowiny szpilki, smaruje je grubo maścią i owija bandażem. Za dwa tygodnie inny lekarz frontowy zdejmie Wenerowi opatrunek, po odmrożeniu nie będzie śladu. Na pamiątkę w płatkach uszu zostaną dziurki od szpilek.

Ostatni już dobrzy Sowietci, napotkani w kaszubskiej wsi Wiczlino, karmią Henseleitów ziemniakami z tłuszczem (cała rodzina ma od tego rozwolnienie) i pokazują wolny dom, w którym mogą się zatrzymać. Nie ma okien i zamków w drzwiach, ale to ich najlepszy dom od dawna.

W podwórzu jest głęboka studnia, z której Wener czerpie wodę.



Pora na złych Sowietów.

– Gdzie mama?! *Wo ist frau?* – pijani czerwonoarmiści wpadają do domku Henseleitów.

– Nie być. Nie żyć – Wener kaleczy rosyjski.

Nie wierzą. Wracają codziennie, co kilka godzin, przeszukują dom, celują do dzieci z broni. Zauważają kiedyś sąsiadkę, dawną właścicielkę ich domu, która przyniosła Henseleitom ziemniaki. Każą Wenerowi pod bronią wskazać, gdzie mieszka. Idą do niej w kilkunastu.

W prima aprilis, 1 kwietnia 1945 roku, przyjeżdżają do domu najgorsi z nich. Pięciu młodych i jeden starszy, w wojskowych czapkach i brązowych spodniach, jakie nosili SA-mani. Każą ojcu pakować się do odjazdu. Dzieci zostają. Heinrich płacze, błaga, że musi zostać – kto się zajmie jego syneczkami i córeczkami, jeśli jego zabraknie? Kto je nakarmi? Kto obroni? Nikogo poza nim tu nie mają. Starszy z wojskowych coś chce powiedzieć, chyba staje w obronie Henseleitów, ale odsyłają go do auta.

Tatuś ostatni raz w życiu patrzy na Wenera, Ursulę, Inge, Gerda i małego synka frau Holzer.

– Złapcie się za ręce i skoczcie do studni – mówi im na pożegnanie.

Gonią z krzykiem samochód, którym odjechał.



Pięcioro samotnych niemieckich dzieci w domu na kaszubskiej wsi. Najmłodsze nie ma jeszcze trzech lat, potem pięcioletnie bliźniaczki, siedmioletni Kurt i nastoletni Werner Henseleit. Musi się nimi opiekować.

Znajduje na polu przemarznięte kartofle. Kroi na plastry, suszy na rozgrzanej blasze i podaje dzieciom. Łąki za domem ciągną się aż pod las. Pocięte rowami okopów, pełne są trupów niemieckich żołnierzy. Werner przeszukuje kieszenie nieboszczyków, zagląda im do plecaków, wyciąga spleśniały chleb z ostatnich racji,

które wydała im kuchnia polowa. Suszy go na piecu i podaje dzieciom.

Raz, na chwilę, znów pojawiają się dobrzy Rosjanie. Obiecują, że przywiozą tatę z powrotem. Ale następnego dnia przywożą tylko chleb i mięso. Ojca nie znaleźli.

Czy jest już koniec kwietnia, czy Adolf Hitler podaje już swojemu psu truciznę, żeni się z Ewą Braun, a potem strzela sobie w skroń, jednocześnie rozgryzając w zębach fiolkę z cyjankiem? Werner tego nie wie. Bo skąd? Na pewno jest już wiosna, bo z pola niesie się w ciepłym powietrzu trupi zapach rozkładu.

Dostał pracę. Za darmo, oczywiście. Któregoś dnia przyszedł ze wsi mężczyzna, Polak, i kazał Wernerowi iść na pole i zakopywać gnijących żołnierzy.

– To jest rozkaz, Szwabie! – krzyczał.

Najłatwiej strącać do okopów ręce i nogi, czasem pojedyncze palce albo kadłuby bez głów. Najtrudniej, gdy trupy mają twarze. Wtedy Werner sypie im najpierw piach w oczy. Żeby przestali na niego patrzeć. Co jakiś czas idzie do domu sprawdzić, czy dzieci są bezpieczne. Podaje im wodę do picia, suchy chleb do jedzenia i wraca do ciał. Wieczorem kąpie dzieci w wodzie ze studni, zamiast prania gotuje ich rzeczy w garze na piecu.



W połowie maja 1945 roku gazety na całym świecie

podają, że Adolf Hitler być może żyje i z czarną brodą ukrywa się gdzieś w Europie.

W tym samym czasie Werner Henseleit zostaje niewolnikiem. Szwabem, hitlerowcem, gnidą, która ma pracować za obierki z ziemniaków i kości z obiadu. Którą można kopać i tłuc, walić pejczem, ile się chce. Za wojnę. Za głód. Za strach. Za cierpienia. Za obozy koncentracyjne. Za to, że nie zna polskiego i zamiast słomy przynosi widły. Za to, że konie poniosły go na polu i bruzda wyszła nierówno. Dobry Boże, co za niezguła z tego Niemca. Niech zdycha jak pies. Kogo to obchodzi?

To sołtys wsi, w której mieszkali, zdecydował, że Henseleitowie potrzebują opieki. Wenera oddał jednemu z najbogatszych i najbardziej szanowanych gospodarzy w jednej z kaszubskich miejscowości. To prawdziwie pobożny człowiek. Lubi się modlić głośno i często. Jest osadnikiem, ma własne dzieci i żonę, która wolałaby wyjechać do miasta (będzie nawet próbowała otruć konie męża, żeby postawić na swoim).

Inge i Ursulę rozdzielono, trafiły do rodzin zastępczych. Kurt Holzer został parobkiem w innej wsi. Werner może ich odwiedzać w niedziele. Najmłodszego, Gerda, Werner mógł zatrzymać z sobą. Kiedy wychodzi w pole albo pracuje w gospodarstwie, dziecko ma całodzienny nakaz siedzenia na pryzmie piachu. Jeśli zejdzie, też oberwie, ten szwabski pomiot.

Śpią w sieni domu, na barłogu. Jesienią 1945 roku,

gdy robi się zimno, Werner urządza im legowisko w oborze. Od bytła płynie miłe ciepło, choć w mroźne noce łyzy zamarzają na twarzy chłopca w bolesne sople. Przed zaśnięciem opowiada bratu, że będą tu jeszcze tylko przez chwilę, zaraz wróci tatuś i zabierze ich wszystkich do domu. Czasem śni mu się mamusia. Głaszcze zmartwiona syna po głowie.

Gerd trafia w końcu do innych ludzi, jest wycieńczony, to za ciężkie warunki nawet dla niemieckiego trzylatka.

Werner nie wie, że istnieje Czerwony Krzyż, że niemieckie sieroty są ewakuowane z Polski, że ma jakiegokolwiek prawa. Myśli, że wszyscy Niemcy po wojnie stali się niewolnikami. Sąsiedzi gospodarza widzą, jak źle traktuje chłopca, próbują go przekonać do ucieczki albo pracy u siebie. Ale Werner się boi. Przecież jest własnością swojego pana. Tak mu powiedzieli milicjanci, którzy z jego gospodarzem piją bimber (Werner musi go pędzić w komórcę).

– Zastrzelimy cię, jak nie będziesz posłuszny – pogrozili mu kiedyś palcem.

—

Rok 1946

Gospodarz Wenera ulega żonie. Sprzedaje majątek i wynosi się do miasta. Swojego niewolnika wymienia

na bryczkę. Werner zostaje parobkiem u innego rolnika. Ten widzi w nim człowieka, karmi, daje łóżko do spania, nie bije i nie krzyczy.

Nie będzie też już dłużej Niemcem. Do Sądu Grodzkiego w Wejherowie, za namową kogoś ze wsi, składa w marcu podanie, które urzędnik wystukuje za niego na maszynie (Werner wciąż nie zna polskiego): „Proszę uprzejmie o przyznanie obywatelstwa polskiego, gdyż pomimo narodowości niemieckiej poczuwam się do pochodzenia z krwi polskiej. [...] Jestem sierotą i w najlepszej nadziei chcę służyć dla dobra Demokratycznej Polski”. Kłamie, nie czuje się Polakiem, ale wydaje mu się, że w ten sposób jego życie będzie lepsze.

Gerd wraca do brata. Przestał mówić, ucieka przed ludźmi. Śpią na jednym łóżku, Werner przemawia do niego czule. Któregoś dnia słyszy, jak młodszy braciszek śpiewa sobie pod nosem piosenkę. Jest uratowany!

Werner traci za to kontakt z Kurtem Holzerem. Szuka go we wsi, do której trafił, ale nikt nie wie, co się stało z małym Niemcem.



Rok 1950

Ostatnie niemieckie dzieci mają być ewakuowane

z terenu Polski. Tym razem wójt gminy zawiadamia o tym Wenera, który kontaktuje się z rodzeństwem. Mają się spotkać w umówionym dniu na dworcu w Wejherowie. Dostali bilety w jedną stronę. W Niemczech trafią do domu dziecka, Niemiecki Czerwony Krzyż poszuka ich krewnych. Może ktoś jeszcze żyje?

Na dworzec w Wejherowie nie dociera Inge. Jechać bez niej?

– Zostajemy! – mówi Werner. – Mamy trzymać się razem.

Wracają do swoich polskich opiekunów.



Rok 1953

Od wczesnego świtu do popołudnia Werner pracuje w gospodarstwie. Jest parobkiem u trzeciego z kolei rolnika. Potem wsiada na pakę służbowej ciężarówki i jedzie na nocną zmianę do pracy w gdyńskim Dalmorze – firmie, która zajmuje się połowem i obróbką ryb. Sypie na stół ryby, które patroszą kobiety. Jedna jest Kaszubką, ma dziewięcioro rodzeństwa, na imię Janka i szczególnie piękny uśmiech.

Jej matka nic sobie nie robi z tego, że Werner jest Niemcem. Podejmuje go w domu uroczystym obiadem. To pierwsze dobre jedzenie Wenera w Polsce. Martwi

się tylko, że z przyszłego zięcia taki chudziak, aż spodnie na nim latają.

Rok 1955

Biorą ślub.

Dla Wenera Henseleita jest to pierwszy rok wolności.

Tymczasem do Niemiec wraca z radzieckiej niewoli wrak człowieka Heinrich Henseleit. Mieszka u krewnej w Reinfeld. Zanim umrze za trzy miesiące z wycieńczenia, będzie codziennie szukał swoich dzieci za pomocą Niemieckiego Czerwonego Krzyża. Udaje mu się odnaleźć Karlheinz, najstarszego syna, który przeżył wojnę. Ale obaj nie mają nadziei na znalezienie pozostałej czwórki. Tatuś umiera przekonany, że Werner, Ursula, Inge i Gerd nie żyją.

Werner dowie się tego wszystkiego od brata, którego znajdzie jakiś czas potem za pośrednictwem NCK.

Lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte.

Werner Henseleit stara się o wyjazd do Niemiec. Raz nawet odnaleziona krewna przysyła mu zaproszenie i pieniądze na bilety. Ale władze wciąż odmawiają wydania mu paszportu. Jest zbyt cenionym fachowcem, pracuje w Dalmorze jako dźwigowy.



Zdjęcie ślubne Wenera Henseleita i Joanny, zwanej Janką, 1955 rok



Państwo Henseleitowie, 2014 rok

Rok 1995

Inge, Ursula i Gerd ułożyli sobie życie w Polsce. Karlheinz nie czuł się dobrze w Niemczech, wyemigrował do Kanady.

Za to emeryt Werner postanawia wyjechać z Gdyni, gdzie od lat mieszka, do Niemiec. Zabiera z sobą żonę. Córki, wnuki i prawnuki będą ich odwiedzać.

Werner i Janka zajmują małe, przytulne mieszkanie przy cichej ulicy w Hamburgu.

Pół wieku zajęła chudziakowi z wadą serca droga do domu.

Zimy są tutaj wyjątkowo łagodne.

Marzec 1945

Odbudowa Stolicy naszą troską.

„*Życie Warszawy*”, 2.03.1945

Wszyscy staniemy do pracy w dniu odbudowy Warszawy w niedzielę 4 marca 1945 r.

Dwukrotny mistrz stolicy K.S. Grochów wznawia swoją działalność na terenie Warszawy. W niedzielę dnia 4.03 o godz. 12 przed południem odbędą się pierwsze zawody piłkarskie na boisku przy ul. Podskarbińskiej pomiędzy drużynami K.S. Grochów i TUR Okęcie.

Wydział Muzyczny Polskiego Radia kupi nuty z dziedziny muzyki kameralnej, chóralnej i orkiestrowej. Oferty prosimy składać w Dziale Informacyjnym Polskiego Radia, Targowa 63.

„*Życie Warszawy*”, 3.03.1945

Warszawa czeka na twój wysiłek.

„*Życie Warszawy*”, 4.03.1945

—

W lokalu Stołecznego Komitetu Opiekuńczego ul. Grochowska nr 326 znajdują się listy osób, które przebywały w Oświęcimiu, wraz z uwagami dokąd zostały skierowane. Listy można przeglądać codziennie od 9-tej do 11-tej.

„*Życie Warszawy*”, 5.03.1945

—

Czyś spełnił już swoją powinność wobec stolicy?

—

Wzywamy każdego, kto był świadkiem zbrodni niemieckich dokonywanych na terenie Warszawy w czasie okupacji [...], do złożenia zeznań na piśmie lub ustnie w Sekretariacie Komisji dla Zbadania Zbrodni Niemieckich w Warszawie przy ul. Otwockiej 3. Ponadto Sekretariat prosi o składanie wszelkich dokumentów ilustrujących i stwierdzających bestialstwa niemieckie jak: zapiski, notatki, pamiętniki, wspomnienia, listy rozstrzelanych, fotografie, szkice i in.

„*Życie Warszawy*”, 7.03.1945

—

Teatr m.st Warszawy, ul. Zamojskiego 20.
W poniedziałek dnia 12 marca 1945 r. o godz. 17-tej

odbędzie się uroczysta premiera sztuki pt. „Śluby panińskie” Al. Fredry dla zaproszonych gości i prasy.

„*Życie Warszawy*”, 9.03.1945

—

T.S. Wiśla zawiesiło czterech zawodników, a to: Rupeę, Mordarskiego, Seralina i Bienieka w prawach członkowskich pod zarzutem występowania w barwach drużyny niemieckiej w czasie okupacji. Specjalnie wyłoniona komisja klubowa zbada prawdziwość postawionych zarzutów.

„*Dziennik Polski*”, Kraków, 10.03.1945

—

Wydział Kinofikacji przy Min. Inf. i Propagandy w zrozumieniu istotnych potrzeb Stolicy wydał zarządzenie ażeby do cen biletów kinowych dołączyć dodatek 50 gr. na rzecz odbudowy Warszawy. Dodatek ten pobierany jest od 3 bm.

—

Przypominam, że w dalszym ciągu obowiązują ludność m.st. Warszawy przepisy i zarządzenia dotyczące obrony przeciwlotniczej biernej, a zwłaszcza: dokładne zaciemnianie światła od zmierzchu aż do świtu. w/z prezydenta m.st. Warszawy J. Kotwica-Skrzypek, ppłk, wiceprezydent.

„*Życie Warszawy*”, 12.03.1945

—

W czwartek 15 bm. o godz. 16 w sali bibliotecznej PIT ul. Ratuszowa 11 prezes Zarządu Głównego Stronnictwa Demokratycznego min. W. Rzymowski wygłosi odczyt pt. „Tajni obrońcy i adwokaci Hitlera”.

„*Życie Warszawy*”, 13.03.1945

—

Z dniem 15 marca 1945 r. zabrania się wykonywać i zamawiać wszelkie pieczętki kauczukowe i metalowe bez zezwolenia Wojew. Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Odnośne podania składać można na ręce Kierownika Wydziału II WUBP, plac Inwalidów 4.

„*Dziennik Polski*”, Kraków, 15.03.1945

—

Po raz pierwszy po 5 1/2 latach dziś o godz. 13 Warszawa usłyszy felieton Wiecha pt. „Na własną rękę”, wygłoszony przed mikrofonem przez Henryka Ładosza w ramach audycji radiowej pt. „Wesoła fala”.

„*Życie Warszawy*”, 18.03.1945

—

Rozbudowuje się sieć handlowa w Warszawie lewobrzeżnej. Działa już tam 99 rozdzielczych sklepów

spożywczych (wśród nich 23 spółdzielcze), 17 sklepów mięsnych i 12 mydlarni.

„*Życie Warszawy*”, 19.03.1945

—

Zarządza się rejestrację zwierząt domowych (konie, bydło, świnie, owce, kozy, psy) znajdujących się na terenie Starostwa Zachodnio-Warszawskiego do dnia 31 marca 1945 r. w Referacie Weterynaryjnym przy ul. Bema 70.

„*Życie Warszawy*”, 21.03.1945

—

Matka z kilkutygodniowym dzieckiem okradziona z wszelkiej bielizny i odzieży prosi o kupno jakiegokolwiek bielizny damskiej i sukni. Aniela Otłowińska, plac Bankowy 8.

„*Słowo Pomorskie*”, Toruń, 22.03.1945

—

Potrzebne młotki murarskie i inne widły do gruzu, łomy, bosaki, kuźnie polowe, foczki, szyny kolejkowe i wywrotki, drabiny, rusztowania, różne taczki i nosidełka do gruzu.

Oferty składać: Biuro Odbudowy Stolicy, Chocimska 33. Dział Porządkowania Tras Stolicy.

„*Życie Warszawy*”, 26.03.1945

—

Wszystkich b. więźniów obozów koncentracyjnych prosi
Urząd Inf. i Propag. woj. krak. o skreślenie swych
tragicznych przeżyć, jak również i swoich towarzyszków,
celem opublikowania materiałów dokumentarnych,
opowiadań świadków, pieśni, wierszy, dzienników
męczenników, listów, zeznań, zdjęć, świadectw zgonów
itp. aby społeczeństwu dać obraz cierpień i katuszy,
na jakie byli skazani Polacy w obozach.

„Dziennik Polski”, Kraków, 30.03.1945

Po coście tu przyjechali?

Neuhof, czyli Będłino – po raz pierwszy, ale nie ostatni

Ledwie przestało padać, a ten już przyłazł do sklepu. Pijany, choć to dopiero wczesne popołudnie, kiwał się nad skrzynką, z której wybierałam twarde sierpniowe jabłka.

– Może ci w czymś pomóc? – czknął kurtuazyjnie w moją stronę i wsparł się o ladę z mrożonkami, bo rzecz się działa w małym sklepiku w centrum Będłina.

Zignorowałam go. Jabłka kupowałam, po pierwsze, bo lubię, po drugie, miały przełamać lody między mną a sprzedawczynią.

– Znajdę tu we wsi kogoś z pierwszych osadników? Ludzi, którzy przyjechali w 1945 roku? – zapłaciłam za owoce i zadałam pytanie. Sklepikarze i sołtysi to w małych miejscowościach podstawowe źródło informacji. I miejscowi pijaczkowie, rzecz jasna.

– Idź do Borcuchów, do pani Halinki – chuchnął mój samozwańczy przewodnik, a kobieta za ladą przytaknęła.

– A może wpadniesz do mnie? Mam dużo starych zdjęć
– mrugnął zalotnie.

– Innym razem – zaczynał mnie wkurzać. – Mąż
na mnie czeka i dziecko. Przed wejściem.



Wyszłam na błotnisty plac przed sklepem. Słońce
zaczynało osuszać kałuże. Skromne domki ciągnęły się
wzdłuż drogi jak korale na sznurku. Mokry i brudny
kundelek z zadartym ogonem szczeakał z za płotu. Między
drzewami prześwitywał duży ceglany budynek
przedwojennego nadleśnictwa. Mała wieś wciśnięta
między Złocieniec i Wałcz, w prawym dolnym rogu
Pojezierza Drawskiego. Halina Borcuch, jak już się
poznamy, podsumuje ją dosadnie: – A co tu w tym
Będlinie jest, pani? Tylko wziąć karabin i wystrzelać.

No, to już raz się udało. Na początku marca 1945 roku
w Będlinie (wtedy jeszcze Neuuhof) toczyły się walki
o Wał Pomorski. Kiedy Stanisław Bania, pierwszy
będliński sołtys, przyjechał do wsi kilka dni później,
został spalone stodoły, stajnie i domy. „Ani jednej szyby
nie ma w oknach – notował. – Wyloty ulic ze wsi
zaminowane, niektóre wyjściowe ulice ze wsi
zabarykadowane. A pod tym wszystkim miny. Na ulicach
leży kilka krów rozdartych przez miny, po domach,
czyli mieszkaniach, pełno słomy, gnoju ludzkiego,
w podwórzach wnętrzości ze świń i bydła, w ogrodach

leży jeszcze dużo żołnierzy zabitych (pochowałem ich 28), kilka krów i świń chodzi po polu. We wsi ani żywej duszy nie ma”.

Pierwsi polscy osadnicy przyjechali do Będlina z początkiem lipca 1945. Może była wśród nich Halina Borcuch? Musiałam ją odnaleźć.

Wrzuciłam jabłka do naszego wysłużonego peugeota partnera.

– Jedziemy. Szybko! – zawołałam do męża i córki, którzy wysiedli z samochodu, żeby trochę się poprzeciagać. Mieliśmy za sobą długą podróż ze Stepnicy.

Ale mój wstawiony cicerone był szybszy. W towarzystwie kolegów (skąd u licha wyleźli?) zatoczył się w naszą stronę.

– Ty jesteś z Providenta! – oskarżył mnie i wyciągnął paluch. Koledzy nieprzyjemnie milczeli. Nie potwierdzałam i nie zaprzeczałam. Zatrzasnęliśmy drzwi auta i zwaliśmy w stronę domu, jak się miało zaraz okazać, najstarszej żyjącej osadniczki we wsi.

Lęk

Pod koniec czerwca 1945 roku, w pewne gorące warszawskie popołudnie, 49-letnia Wanda Melcer wspięła się na pakę ciężarówki. Była znaną przedwojenną poetką, pisarką i lewicową dziennikarką.

Popularność przyniósł jej zarówno reportaż „Czarny ląd – Warszawa” (1936) o życiu społeczności żydowskiej w stolicy, jak i małżeństwo ze słynnym atletą Teodorem Sztekkerem, z którym wiodli życie ówczesnych celebrytów.

Zaraz za nią wsiadło siedmiu mężczyzn: dziennikarze, przedstawiciele związku plastyków, związku literatów i organizacji repatrianckich.

Czekała ich podróż przez nieznanne im wsie i miasta południowej części Prus Wschodnich, Pomorza Zachodniego, Brandenburgii (po linię Odry i Nysy) i Śląska, które jeszcze przed chwilą należały do Niemiec, a które teraz miały być polską Warmią, Mazurami, Pomorzem, Ziemią Lubuską i Śląskiem.

Ciężarówkę i przepustki załatwił im Centralny Związek Przesiedleńczy. Dostali konkretne zadanie: pojechać, zachwycić się i zachęcić potem Polaków do większego osadnictwa, bo to mocno kulało.

Nie wiedzieli, co ich czeka, nie byli nawet pewni, czy dostaną tam coś do jedzenia. Na wszelki wypadek zabrali więc z sobą kilka koszy jaj. Wrócili do Warszawy po trzech tygodniach, szczerze nienawidząc jajecznicy.

Wkrótce potem nakładem Biblioteki Społeczno-Naukowej, w cenie 20 złotych, ukazała się chuda książeczka autorstwa Wandy Melcer „Wyprawa na Ziemię Odzyskane. Reportaż”.

Jak miałam je nazywać? Odzyskane, Wyzyskane, Piastowskie, Postulowane, Powracające, Zachodnie czy Dziki Zachód? Żadna z nazw używanych po wojnie nie definiowała ostatecznie ziem, które przypadły Polsce.

W maju 1945 roku „Życie Warszawy” informowało o „naszych ziemiach zachodnich, które do 1939 roku znajdowały się we władaniu niemieckim”. Dziennikarz podpisany literą D. pisał: „Mało z pewnością jest takich, którzy w nazwie miasta Schewidnitz domyślili się Świdnicy na Śląsku – dawnej siedziby książąt piastowskich, że Schwiebus to Świebodzin, w czasach piastowskich stolica ziemi świebodzińskiej [...], że Frauenburg to Franbork, gdzie pracował i zmarł nasz wielki rodak Mikołaj Kopernik”.

Największą popularność zdobył wśród Polaków, dziennikarzy i władz termin Ziemie Odzyskane. Użył go zresztą po raz pierwszy w 1938 roku prezydent Ignacy Mościcki w dekreście „O zjednoczeniu odzyskanych ziem Śląska Cieszyńskiego z Rzeczpospolitą Polską”, tuż po zbrojnej aneksji Zaolzia przez wojska polskie.

Postanowiłam, że – dla ułatwienia – tego określenia będę się trzymać.



W sierpniu 2014 roku, w pochmurny poranek, ruszyłam śladem ciężarówki, która niemal 70 lat wcześniej powiozła na Ziemie Odzyskane grupę dziennikarzy.

Żeby było mi raźniej, pojechałam z mężem Robertem i siedmioletnią córką Tośką. Dobrze się nam razem podróżuje od lat i nawet pytanie: „Kiedy będziemy na miejscu?”, zadawane przez Tosię setki razy w ciągu drogi, wydaje się potem zabawne.

Jesteśmy potomkami osadników. Dziadkowie Roberta przywędrowali po wojnie z Łęczycy i spod Kielc do miasteczka Jasień pod Zieloną Górą. Ja jestem wnuczką przesiedleńców spod Lwowa i z Warszawy. Urodziłam się na Ziemiach Odzyskanych 27 lat po wojnie. Poniemieckie były domy w moim mieście, fotele w pokoju babci, landszaft nad jej stołem, kryształowa karafka. Kurki w kranach w naszym sopockim mieszkaniu były oznaczone napisami *kalt* i *warm*. Na dawnym cmentarzu ewangelickim chowaliśmy bliskich wśród nagrobków opisanych szwabachą. Pierwszego niemieckiego słowa w życiu – *Fleischermeister* (mistrz masarski) – nauczyłam się z płyty nagrobnej właśnie.

Jako dziecko martwiłam się, że skoro coś jest poniemieckie, kiedyś może stać się „popolskie”. Podświadomie przejęłam w genach lęk moich przodków osadników, że miejsce, w którym żyję, jest nam dane tylko na chwilę.

Założyłam, że w drodze przez Ziemię Odzyskane spotkam ludzi, którzy tak jak moi dziadkowie musieli zacząć nowe życie w obcym sobie miejscu. Byłam ciekawa, czy ziemię, na które przyszli, są im nadal obce.

Czy ich serca na zawsze pozostały tam, gdzie się urodzili?
A jeśli są już u siebie, to od kiedy? Jacy są ich
potomkowie? Czy minął im już ten lęk, którego ja nie
umiem się pozbyć?



Jak w filmie amerykańskim

„Na szosach ruch ogromny – notowała Wanda Melcer – wszelkiego gatunku wozy wałą na zachód, na wozach wesoło, gwar, śmiechy, śpiew. Przypominają się amerykańskie filmy przedstawiające pierwszych osadników, a oto i wóz jak z filmu: beczkowate obręcze kryte płótnem, u dyszla para krętorogich wołów, co z godnością ciągną powoli czcigodną arkę na skrzypiących kołach”.

Ruszyli z Warszawy w stronę Olsztyna. Trzęsło ich na twardych ławkach ciężarówki. Mijali wraki czołgów, zburzone domy, wzdęte trupy ludzi i zwierząt. My pruliśmy gładkim asfaltem, licząc w przydomowych ogródkach trampoliny i łabędzie wycięte ze starych opon – signum temporis 2014.

W Mławie zatrzymał ich patrol wojskowy. Potrzebowali przepustki do dalszej jazdy, zaraz mieli wjechać na Ziemię Odzyskane. My zorientowaliśmy się, że jesteśmy w dawnych Prusach Wschodnich, bo powoli kończyła się zabudowa drewniana i zaczęły przeważać domy z czerwonej cegły. Tu nawet stajnie i stodoły będą murowane.

Candien, czyli Kanigowo – znajduję małą

dziewczynkę

Gdzie, do pioruna, jest Hańkowo, denerwowałam się, ślęcząc nad mapą Polski. To była pierwsza wieś na trasie Wandy Melcer i jej towarzyszy. Kawalek za Mławą, cztery kilometry za dawną granicą, już w Prusach Wschodnich. Przecież nie mogła zniknąć zupełnie „dostatnia i wielka wieś”, jak ją opisała reporterka. A tu nic. Sięgnęłam do korespondencji dziennikarza „Życia Warszawy”, który jechał tą samą ciężarówką. No masz, ten znów pisał o Kanikowie, które już od paru tygodni zamieszkuje 80 osadników.

Kłopoty z nazwami wsi i miasteczek będę już miała do końca podróży. W 1945 roku panował jeszcze chaos nazewniczy. Jeden z osadników wspominał: „Z miejsca sami zmienialiśmy nazwy wsi na polskie. Kleefeld np. nazwaliśmy od nazwiska sołtysa Klemeńskiego Klementowem. Później nazwę tę zmieniono urzędowo na Trzcinna Góra”. Komisja Ustalania Nazw Miejscowości przy Ministerstwie Administracji Publicznej zaczynała dopiero działać. Jednym miejscowościom przywróci dawne słowiańskie nazwy (Breslau – Wrocław), innym nada dawne spolszczenia (Zoppot – Sopot), niektóre spolszczy (Hirschberg – Jelenia Góra) lub nada zupełnie nowe nazwy (Drengfurth – Srokowo, na cześć prof. Stanisława Srokowskiego, członka komisji).

To sprawi, że czasem nie uda mi się zgadnąć, o które

wsie lub miasteczka dziennikarzom chodziło. Ale teraz los mi sprzyjał. Jadąc palcem po mapie z Mławy w stronę Olsztyna, zgadłam, że ekipa Wandy Melcer mogła zatrzymać się w Kanigowie (niemieckim Candien) pod Nidzicą. I tę wieś wyznaczyliśmy na nasz pierwszy przystanek.

Chłop jak dąb, półnagi (golił się właśnie, gdy zapukałam do drzwi), a taki wrażliwy. Zadałam mu pytanie, na które właściwie nie mógł odpowiedzieć, bo już na oko był za młody, ale od czegoś trzeba było zacząć naszą znajomość: – Czy pamięta pan wizytę dziennikarzy w Kanigowie w 1945 roku? A on powiedział, że tak. No, nie osobiście, zaraz dodał, bo urodził się trochę po wojnie. Jego nieżyjący już ojciec, kowal, przyszedł tu wiosną 1945 z Ciechanowskiego i tu we wsi prowadził poniemiecką kuźnię, dopóki nie wykończyły go domiary. A mama, która też już umarła, czasem wspominała tamtą dziwną grupę dziennikarzy. – Przyjechali ciężarówką, niektórzy w mundurach, w czapkach z orzełkami bez korony. Zrobili zakupy w sklepiku mojej siostry. Pytali, czy Ruscy nie robią we wsi wielkich szkód – powiedział. I widać było, że wzruszył się na wspomnienie, które nie było jego, tylko mamy, ten chłop jak dąb, Zbigniew Maciejak, sołtys Kanigowa.

Tylko się zatrzymali, gdy do ich ciężarówki zbiegła się cała wieś. Ludzie chcieli od reporterów z Warszawy tylko jednego: potwierdzenia, że tu na pewno już zostaną. „Pytają ostrożnie, czy myślimy, że nic się już nie zmieni. Czy nie będzie nowej wojny, napadów, przesiedleń, wyrzucań?” – notowała Melcer. Więc przysięgali osadnikom, że tak już będzie, choć konferencja poczdamska jeszcze się nie rozpoczęła.

Na stół wjechał świeżo upieczony chleb, ziemniaki i mleko. Stelmach Jan Nowicki z żoną, gospodarze, którzy przyjęli dziennikarzy, mieli w Polsce osiem mórg ziemi (około 2 ha), tu dostali 40 hektarów. Ich dom w Kuklinie (Przasnyskie) spłonął, a jedno z dzieci, siedmioletnie, zabili Niemcy, strzelając do kołyski.

Reporterka zachwycała się gospodarką, którą zajęli: „Tak, to jest dom, duży dom, wcale nie taka chałupa, do jakiej jesteśmy przyzwyczajeni w biednych wioskach naszych przeładowanych powiatów. To murowaniec kryty czerwoną dachówką, rozświetlony dużymi oknami o podwójnych szybach, o miejskich drzwiach i kamiennym ganku”. Podwórka pilnował mały piesek na grubym łańcuchu, w obejściu pomagała Niemka.

W kuchni po Niemcach zostały garnki i talerze, tłuczki i sitka, a nawet haftowana ściereczka opiewająca zalety porannego wstawania. W pokojach ponemieckie

pierzyny i poduszki, w szopie narzędzia rolnicze, w oborze betonowa podłoga i aparat do mechanicznego zmywania żłobów.

Znalazłam dom stelmacha Nowickiego. To nie było trudne, ludzie we wsi wskazali. Wystarczyło iść prosto, wzdłuż brukowanej drogi, minąć poniemiecki kościół ewangelicki, w którym do wybuchu wojny w każdą niedzielę modliło się 407 mieszkańców Candien (w 2010 roku żyło tu 281 osób) i skręcić w lewo. Dom stał na rogu. Murowaniec z czerwoną dachówką, tak jak opisała go Wanda Melcer. Jedynie z boku doklejono mu nowy, mniejszy dom. Odlany z betonu płot otaczał gospodarstwo, wyłożone kostką brukową podwórze było zamieciono, w ogrodzie stała trampolina. Znak, że mieszkają tu dzieci.

Nowiccy z 1945 roku też mieli córkę. Wanda Melcer pisała: „Głaszczę twoje włosy, mała Marianno, jesteś taka śmiała, tak odważnie patrzą twoje czarne oczy [...] tak ci tu dobrze, ty pięcioletnia osadniczko”.

Musiały zauważyć mnie przez okno nowego domu, bo na ganek najpierw wyszła młoda kobieta z yorkiem na rękach. Zaraz dołączyła do niej druga, w fartuchu, starsza trochę. Chętnie rozmawiały, obie spokrewnione ze stelmachem, który już umarł. Tak jak i jego gościnnie żona. Ale nie mogły pomóc, nie znały losów swoich

przodków osadników.

– A Marianna? – spytałam. – Dziewczynka urodzona około 1940 roku, jej siostrę zabili Niemcy. Wiecie coś o niej?

– Ciocia Maria! – krzyknęły razem jak ćwiczone chórzystki. – Mieszka w mieście, niedaleko stąd.

I już w ruch poszedł telefon komórkowy, wykreciłyśmy numer, odebrała natychmiast. I odmówiła spotkania. Namawiałam, że przyjadę do niej, zajmę pół godziny, kwadrans. Że to niezwykle szczęście dla reporterki spotkać tamtą śmiałą dziewczynkę z reportażu, posłuchać, co zapamiętała z pierwszych dni w Kanigowie, że tamto pokolenie już odchodzi, że to ostatni moment, że pamięć, że czytelnicy. Ale prosiła, żeby dać jej spokój.

Stałam potem jeszcze chwilę na podwórku przed domem, który 70 lat temu podziwiali dziennikarze, i czułam się jak dziecko, któremu odebrano lizak.

„To twardzi ludzie, ci osadnicy w Hańkowie i pewnie im się będzie dobrze działało” – notowała na pożegnanie Wanda Melcer. Opuszczała Kanikowo w lepszym niż ja nastroju.

I do ciebie mówię, rybaku

Włożyłam ją do przegródki w drzwiach samochodu i przez całą drogę sprawdzałam, czy wciąż tam jest.

Mimowolnie głaskałam płócienną chropawą okładkę, a kiedy brałam ją do ręki, dochodził mnie ledwie wyczuwalny zapach stęchlizny. Kupiłam ją w internetowym antykwariacie za 10 złotych, na trzeciej stronie znalazłam pieczętkę biblioteki zakładowej Z.K. „Wałbrzych”. Ile lat spędziła na półce bibliotecznej wałbrzyskich zakładów koksowniczych pod numerem 4025/71, tego się nie dowiem. Czy ktoś czytał biedaczkę? Jeśli już, to rzadko, bo choć wydana w 1970 roku, była w stanie niemal idealnym.

Dałam jej drugie życie. Bo mnie ta gruba (659 stron) i nieporęczna księga o tytule „Pamiętniki osadników Ziemi Odzyskanych” pod redakcją Zygmunta Dulczewskiego i Andrzeja Kwileckiego stała się w podróży niezbędna. Nie rozstawałam się z nią ani na chwilę.



A wszystko przez niedbalstwo Wandy Melcer. Najpierw myślałam, że uda mi się pojechać śladem jej reportażu. Od wsi do wsi, od miasta do miasta chciałam szukać ludzi, z którymi rozmawiała. Ale szybko odkryłam, że jej książka nie wystarczy za przewodnik po Ziemiach Odzyskanych. Bo wybitna reporterka napisała propagandę na zamówienie. Pełną wykrzykników i zachwyków. Z Mazur agitowała: „W słońcu pluszczą się ryby, wyskakując nad drobną połyskliwą falę. Żeglarzu,

sportowcze, turysto – to coś dla ciebie! [...] I do ciebie mówię, rybaku, osiedlij się tu”; ze Szczytna: „Tartaki w początku czerwca były jeszcze nie objęte, leśnicy, pracownicy tartaczni, to coś dla was”; z Olsztyna: „Lekarzu polski, pielęgniaro, te ziemie wyczekują was z tęsknotą”.

Ale szczegółów Melcer skąpiła. Nazw miejscowości nie lubiła podawać, nazwisk rozmówców nie zdradzała. I chyba z czasem zaczęło jej się już nudzić w podróży: „Potem patrzemy obojętni na te wsie, obory i stajnie, przywykliśmy”.

Nie lepiej było z gazetami z 1945 roku. Na Ziemi Odzyskane pojechali reporterzy ze wszystkich polskich czasopism, wracali z impresją, rzadko z konkretami. Jak z ich pomocą miałam znaleźć przesiedleńców?

I wtedy w sukurs przyszły pamiętniki. Po wojnie zapanowała szalona moda na pisanie wspomnień. Ogłaszano konkursy dla gospodyń domowych, inżynierów, nauczycieli, rolników. A Instytut Zachodni w Poznaniu ogłosił konkurs na wspomnienia osadników. Z całego kraju przyszło 205 wypowiedzi. Najciekawsze opublikowano w książce, kilka razy wznawianej. Wydanie z 1970 roku miałam kupić w internecie czterdzieści cztery lata później. Z książki o pożółkłych kartkach i chropawej okładce wybrałam dziesięć fragmentów i zaznaczyłam je kolorowymi karteczkami. Teraz wiedziałam, dokąd pojedę.

Była jeszcze mapa. Z 1945 roku, opublikowana w „Życiu Warszawy”, z niezgrabnie zaznaczonymi miastami nowej Polski, z Lignicą (przyszłą Legnicą) czy Żeganiem (Żaganiem), które układały się wzdłuż Odry i Nisy (wkrótce Nisy).

Jechać według niej byśmy nie mogli, bo Polska wygląda na niej jak szalony sen Stalina. Była właściwie tylko połową Polski, tą zachodnią, jakbyśmy nie tylko nie dostali po wojnie Warmii i Mazur, ale utracili w dodatku wszystkie ziemie na wschód od Wisły. Autor mapy po prostu obciął nam kraj w połowie.

Może to była wina redaktora zlecającego narysowanie nowej Polski? Może wolał nie pokazywać ziem na wschodzie? Żeby nie drażnić czytelników nową linią graniczną między Polską a ZSRR? W końcu po tamtej stronie zostawialiśmy 178,8 tys. km kw. (woj. wileńskie, nowogródzkie, poleskie, wołyńskie, tarnopolskie, stanisławowskie, w części białostockie i lwowskie), ukochane Wilno i Lwów. Lepiej brzmiało, że w zamian za Kresy Wschodnie przypadło nam 101 tys. km kw. ziem zachodnich: Prusy Wschodnie (po wojnie woj. olsztyńskie), Prusy Zachodnie, czyli Pomorze Zachodnie (woj. koszalińskie, szczecińskie), ziemia lubuska (woj. zielonogórskie), Dolny Śląsk (woj. wrocławskie), niemiecka część Górnego Śląska i opolszczyzna (woj. katowickie i opolskie).

Wanda Melcer zachwycała się: „Czy uwierzycie, obywatele, ile mniejszych i większych miast otrzymaliśmy razem z tymi ziemiami? Ni mniej ni więcej tylko 327 (przeważnie zresztą na Śląsku), co stanowi połowę ogólnej ilości miast w Polsce. [...] Tak, te miasta są odpowiednie do mieszkania: nowoczesne, higieniczne, pierwszorzędnie zagospodarowane i urządzone z wdziękiem”.

Stalle, czyli Stalewo – „Ciepło wam, aniołki, w dupę?”

Szła od strony Malborka. Stopy ślizgały się jej po kocich łbach, które położyli pewnie jeszcze mennonici – holenderscy protestanci, którzy uciekli od prześladowań na Pomorze w XVI wieku i tu mieszkali do wojny. Ale o tym Józefa na pewno nie wiedziała. Jak i tego, że właśnie minęła z prawej ich cmentarz (ktoś z osadników zaciągnie później bramę cmentarną do wsi i zastawi nią wjazd na swoje podwórze).

W kuferku niosła chleb, masło, surowe jaja, ronderek, łyżki i koc. Rodziną wieś w Lubelskiem, owdowiałą matkę, pięć sióstr i cztery hektary pola (w połowie zabetonowane pod bazę lotniczą) postanowiła zostawić, odkąd w Białej Podlaskiej zobaczyła na słupie afisz nawołujący do osadnictwa. „W karcie przesiedleńczej

nie chciano mi wpisać »na osadnictwo«, bo byłam sama, ale napisano »w odwiedziny do rodziny«, a ja byłam stanowczo zdecydowana na osadnictwo” – Józefa Nogat napisze we wspomnieniach dla Instytutu Zachodniego. W kieszeni chowała skrawek gazety z listem od znajomego. Dwanaście słów: „Przyjeżdżaj natychmiast, stacja kolejowa Stare Pole, wieś Stalewo gmina Tirgard, Niziny Gdańskie”. Więc już kogoś tu miała.

Później ściągnie do siebie matkę i ciotkę. Dostanie dziesięć hektarów, będzie hodować świnie i krowy, walczyć z plagą myszy (kot z centrali będzie kosztował 500 złotych, tyle co jeden kwintal pszenicy), uprawiać jęczmień i koniczynę. „Nie mieliśmy doświadczenia, kiedy i gdzie co siać. Niejeden pierwszy raz siał pszenicę lub buraki cukrowe, tak jak ja na przykład!”.

Ale na razie doszła do wsi. Zobaczyła kościół ewangelicki, drewniano-ceglany, ze spadzistym dachem i osobną wieżą (wkrótce Polacy rozbiorą go na kawałki, część zabytkowego wnętrza uda się uratować, ale drewnianym aniołem z chrzcielnicy ktoś napali w piecu – ludzie będą mówili, że wołał przy tym: „Ciepło wam, aniołki, w dupę?”).

Zatrzymała się przed domem, jakiego jeszcze nigdy nie widziała. Ogromny, biały, w ciemną drewnianą kratę, z podcieniem wspartym na ośmiu słupach (może kiedyś dowie się, że wzniósł go mennonita Georg Poeck w 1751 roku). Gdyby chciała, mogłaby w nim mieszkać.

Ale wolała poszukać domu z ludźmi w środku. Dla bezpieczeństwa.

Działo się to 22 lipca 1945 roku. Tak przynajmniej napisała. Nie wiadomo, czy podała prawdziwą datę. Józefa wkrótce zostanie aktywistką, wstąpi do PSL (choć wolałaby do PPR), założy koło gospodyń wiejskich, zostanie sekretarzem Stowarzyszenia Plantatorów Buraka Cukrowego, będzie w komisji likwidacji pomoru świń. Więc może 22 lipca, pierwsza rocznica ogłoszenia manifestu PKWN, pasowała jej do wizerunku? W każdym razie nazwisko „Nogat” było pseudonimem. Pożyczyła je od płynącej najbliższej Stalewa rzeki.



Bolesławiec, repatrianci zza Buga państwo Gołębiowscy
z krową holenderką przed swoim nowym domem

Byliśmy w Stalewie. Tośka poszła naciągnąć tatę na coś słodkiego do sklepu, a mnie sołtyska (zmęczona wieloletnią funkcją, chyba wkrótce zrezygnuje, mówiła po drodze) wskazała ceglany dom rodziny Szwagierków, co do których była pewna, że są osadnikami. Minęłam zielone audi w gotowości weselnej (wypolerowane chromowane felgi, białe kokardki tu i ówdzie), otworzyłam bramkę i ruszyłam

do wejścia. Drobiazg wybiegł z domu z wrzaskiem, gubiąc w sieni placek ziemniaczany. Ominęłam tłustą plamę na podłodze i idąc tropem woni smażonego oleju, weszłam do kuchni. Ilu ich, pomyślałam. Zajmowali wszystkie krzesła, stołki i kanapę. Przy szafkach kuchennych siedział najstarszy spośród nich – Jan Szwagierek. Miejsce przy piecu, w fartuchu, z elegancką fryzurą, zajmowała jego żona Krystyna. Pozostali byli młodszy: córki, synowie, zięciowie, synowe, trudno było ich zliczyć. Zaśmiali się z mojego zdziwienia. – Wesele mieliśmy w piątek – wyjaśnił ktoś z nich. – Dziś niedziela, więc są poprawiny poprawin. Mały chłopczyk dotknął mojego dyktafonu paluszką tłustą od placków, szepcząc z nabożeństwem: „Smaltfon”, i znów wybiegł w towarzystwie rodzeństwa i kuzynów.

Wcisnęłam czerwony guzik nagrywania.



Z Jana Szwagierka był prawdziwy gaduła. A wesoły! Co zdanie, to boki zrywać. Pamiętał Józefę Nogat, czemu nie? Opowiadał: – Ziotka Rutka się naprawdę nazywała. Mieszkała w tym samym domu co żona, tylko od południowej strony. Żyła z takim jednym, była w ciąży, poroniła. Ale potem wyprowadzili się do Jegłownika.

Żona Jana Krystyna była poważniejsza. Ważyła słowa, mało mówiła. Ale to ona mnie bardziej interesowała,

bo przyjechała tu w sierpniu 1945 roku, a on z Kielecczyny trzy lata później. Wspominała: – Z naszej wsi przyjechali do Stalewa tylko my i Szczygły. Potem Lendziony i Kuce. Kto gdzie chciał, to się osiedlał. My mieli mieszkać tam, gdzie teraz Sawiccy, ale matka tam zaszła, patrzy, a tam jeden Niemiec nieżywy leży, drugi. Ja tu mieszkać nie będę, wychodzę, powiedziała. Pamiętam plagę szczurów, biegały po podwórzu. Matka wzięła na ręce najmłodsze i pod bramą czekalim, aż ojciec przyjdzie. Chodzili te szczury jak koty. Potrulim je. W domu po Niemcach już nic nie było. Jak bauory uciekali, to zabrali, co mogli, z sobą. Zostali tylko biedacy, co robili u nich na gospodarce, oni nic nie mieli. Raz tylko szklanki, nie szklanki znaleźliśmy. W parniku dołek był zapadnięty. My myśleli, że tam Niemiec był pochowany, wykopalim, a tam dwie wanny kryształów.

– A Ruscy nie robili we wsi wielkich szkód? – powtórzyłam pytanie reporterów sprzed siedemdziesięciu lat.

Jan Szwagierek się zaśmiał, jego żona nie. Odpowiedziała: – Tylko szaro się robiło, a już Niemki u nas w domu siedziały. Ruskie strasznie ganiały niemieckie dziewczyny.

Józefa Nogat zapamiętała, że dla Polek to też był ciężki czas: „Na każdym kroku czyhały niespodzianki, szczególnie na kobiety (wiek obojętny). [Moja znajoma] to jak raz się wybrała po kupno krów, to wróciła bez

krów, bez pieniędzy i jako kobieta straciła coś więcej...”.

Wyszłam na stalewską drogę. Żuławski dom podcieniowy wciąż górował nad wsią, monumentalny, z ozdobnie rzeźbioną belką spoczywającą na ośmiu słupach. A gdzie kościół? Zaczepiłam przechodnia. Pokręcił głową. Jeszcze nie odbudowali.





Ligota koło Katowic, lipiec 1945. Dziewięciodniowy postój transportu repatriacyjnego ze Stanisławowa

Po pracę i dostatek

Miało być jak w bajce. Przesiedleńcy z uśmiechem i pieśnią na ustach powinni wsiadać do czystych pociągów i szybko dojeżdżać do celu. Jeśli mieli czekać na stacjach kolejowych na dowiezenie do swoich nowych domów, to najwyżej tydzień. W tym czasie Niemcy powinni być już daleko w drodze na jeszcze dalszy Zachód. A ich meble, biżuteria, haftowane obrusy, słoiki z dżemem, konie, świnie i obsiane pola miały czekać na polskich osadników. A nad wszystkim

powinni panować pracownicy Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, który powołany dekretem PKWN już 7 października 1944 roku miał organizować repatriację z Kresów Wschodnich, dbać o migrację ludności wewnątrz kraju, powrót Polaków wysiedlonych przez Niemców do dawnych miejsc zamieszkania i przesiedlenia ludzi na Ziemię Odzyskane. Z czasem znaczenie PUR było jednak zmniejszane i powstawały kolejne urzędy mające wspomagać przesiedlenia, między innymi Centralny Komitet Przesiedleńczy czy urząd Generalnego Pełnomocnika Rządu do spraw Repatriacji.

Wanda Melcer z zachwytem opisywała PUR-owski punkt etapowy: „Zwykle jest to więc rozległy plac nieco za miastem, a przy stacji kolejowej położony, ogrodzony i zabudowany kilku barakami. Owe baraki to drewniane budynki, kryte szczelnym dachem, z oszklonymi oknami. [...] W barakach prycze z siennikami i kocami, stoły, ławki i stołki, miednice i kubły do wody. Przesiedleńca ma więc wygodny lokal, gdzie może spać, jeść i odpoczywać [...] zasięgnąć informacji, udać się do lekarza, otrzymać pracę”.

Celem nadrzędnym było skłonienie jak największej rzeszy narodu do przenosin na nowy zachód i nową północ kraju. Wesołe postaci chłopów w kapeluszach z tobołkiem na kiju maszerowały na plakatach na zachód, wołając: „Nad Odrę, po ziemię ojców i dobrobyt”.

Ku czci Ziem Odzyskanych organizowano akademie. Pod koniec czerwca w warszawskim kinie Polonia Komitet Organizacyjny Tygodnia Ziem Zachodnich urządził akademię, podczas której przemówienie wygłosił Edward Ochab, pełnomocnik rządu dla Ziem Odzyskanych. W części artystycznej na fortepianie zagrał Władysław Szpilman.

„Życie Warszawy” nieustannie powtarzało apele o osadnictwo: „W czerwcu należy przesiedlić co najmniej 1 milion ludzi na zachód. Wymaga to już ogromnej pracy i wielkiego nakładu kosztów, a stanowi zaledwie wstęp do wielkiego dzieła przesiedlenia kilku milionów ludzi na Zachód”.

Wojciech Żukrowski w lipcu donosił ze Śląska tygodnikowi „Przekrój”: „Widziałem jeżdżąc autem w teren wzruszające sceny, chłopów modlących się na progach zajmowanych domostw, obchodzących z obrazkiem Matki Boskiej Poczajowskiej odzyskane zagony”.

Mieczysław Wionczek obśmiewał w „Przekroju” obawy Polaków przed Dzikim Zachodem: „Bo radczyni z pierwszego piętra mówiła, że tam jest strasznie niebezpiecznie. Że nad Odrą gestapowcy w przebraniu kobiecym napadają na pionierów. I że jedzenie trzeba wozić ze sobą, bo Niemcy częstują zatrutym chlebem. I że w ogóle z tą Odrą i Nisą nic nie wiadomo. Pojedziesz – powiada – a potem cię odetną... [...] Ale nikt nas nie chciał napaść. A starosta w Opolu to nawet był

niewo zdziwiony, że w Krakowie jest tak dużo durniów, którzy tracą czas na opowiadanie niestworzonych historii. W Opolu spotkałem wujka ze Stryja, kuzyna z Tarnopola i przyjaciela mojej pierwszej żony z Baranowicz. Bardzo sobie wszystko chwalią. I o żadnych ekscesach i napadach nic nie słyszeli [...] Zapłakałem. Nie ma dzikiego Zachodu”.

Köslin, czyli Koszalin – „Ten interes zajanty przez Gniźnianina”

Na tym spotkaniu zależało mi szczególnie, bo Ryszard Janusz Szyndler był jedynym autorem wspomnień, jakiego udało mi się znaleźć w Koszalinie. Inni już poumierali albo powyjeżdżali ze swoich miejscowości i wszelki ślad po nich zaginął.

Czekał uśmiechnięty, najstarszy z żyjących pierwszych koszalińskich osadników. Pokazał nam drzewo śliwkowe w swoim ogrodzie fioletowe od owoców i stojącą pod nim emerytowaną przyczepę kempingową, którą zjechali z żoną całą Europę. A potem zasiedliśmy w jego pokoju. Ja w fotelu, 88-letni Ryszard Szyndler i jego kot na kanapie, pod niemieckim obrazem, wziętym w 1945 roku do ozdoby ścian.

Na Dzikie Zachód pierwszy przyjechał jego tato, przedwojenny pocztowiec z Warszawy. Rynek w Koszalinie się jeszcze dopalał, a on z kolegami już zajął ocalały budynek poczty głównej. Był 28 marca 1945 roku, w mieście stacjonowały wojska radzieckie, pod murami w strachu przemykali Niemcy, którzy nie zdążyli uciec (około 5 tysięcy), a Polaków w mieście było najwyżej tyle, ile jest palców w kilku kompletach rękawiczek. Nie działały telefony, telegrafy i transport. Nie można było nic wysłać, nic do Koszalina nie dochodziło, nie było żadnego regularnego transportu z kraju, nikt nie miał polskich pieniędzy, niemieckie były nieważne, ale okienko pocztowe w godzinach urzędowania było otwarte. „Co to za poczta bez otwartego okienka, na którym jak byk ma być napisane, że jest czynne od do?” – mawiał stary polski urzędnik, jeden z siedmiu przybyłych ze stolicy.

Zaraz za tatą przyjechała z Warszawy mama.

W maju dotarł ich syn: dziewiętnastoletni Ryszard Janusz Szyndler. Powstaniec warszawski, wyzwolony miesiąc wcześniej z obozu pracy na przedmieściach Berlina. Przyjechał do Koszalina przywitać się z rodzicami. Postanowił trochę zostać. Pierwszą pracę dostał w pocztowym okienku, do którego nikt nie przychodził.

Te kilkadziesiąt pierwszych dni Ryszard Szyndler nazwie kiedyś w pamiętniku czasem „republiki koszalińskiej na Dzikim Zachodzie”. „Godzinami błąkałem się po opuszczonych domach i magazynach przeglądając z ciekawością stare rupiecie i zardzewiałe pamiątki. W niektórych mieszkaniach wszystko było tak pozostawione, jak gdyby lokatorzy wyjechali na kilkudniową wycieczkę. [...] W pewnym mieszkaniu zaciekał mnie oryginalny zegar stojący na kredensie i kiedy wszedłem głębiej, ujrzałem wyszczerzone zęby trupa staruszki, która powiesiła się na klamce od drzwi”.

W sierpniu 2014 roku dopowie: – Ciekawiło mnie, jak ludzie żyli, jak się meblowali. Koszalin przed wojną był zapleczem Rzeszy, miastem na uboczu, zadbanym, czystym, choć pachnącym prowincją. Do mieszkania zająłem bardzo ładny domek na ulicy Ogrodowej. Potem przeszedł w ręce wielodzietnej rodziny.

Ponieważ w okienku pocztowym można było umrzeć z nudów, Ryszard Szyndler po sześciu dniach dołączył do dwuosobowej grupy, która zaopatrywała pocztowców w jedzenie.

– Mieliśmy dwa konie i jeździliśmy wozem na wieś, polować na świnie wałęsające się po polach. Jeden z urzędników trudnił się na poczcie rzeźnictwem. Raz przyszli Rosjanie, z którymi mieliśmy dobry kontakt, prosić, żebym ich zabrał z sobą na świnie, bo ja wiem gdzie. Jak już załadowaliśmy dwie na wóz, oni wybrali tę większą. „Słuchaj, Janusz, bo my jesteśmy zwycięzcy”

– wyjaśnili.

Inna grupa pocztowców zajmowała się zabezpieczaniem dóbr materialnych w mieście. Codziennie zwozili maszyny do pisania i liczenia, radia, motocykle, materiały, obrazy i meble. – Z mieszkań nie braliśmy, tylko z magazynów. Wszystko było ewidencjonowane. Sobie wziąłem dwa obrazy, żeby ozdobić ściany w nowym domu, i nic więcej. Kiedy zgłosiliśmy do Poznania, że mamy te rzeczy, przyszła odpowiedź, że ktoś po nie przyjedzie. Tak się stało. Doszły nas potem nieprzyjemne wieści, że konwojentów napadli nieznani sprawcy i wszystko ukradli. Później spotkałem jednego z tych nadzorców transportu, bardzo dobrze mu się żyło... – zapamięta Ryszard Janusz Szyndler.

We wspomnieniach napisze: „Żyliśmy jak pączki w maśle i nic nam nie brakowało do szczęścia. Wytworzył się wśród nas rodzaj pierwotnej, patriarchalnej jedności rodzinnej. [...] dostrzegam jeszcze jedną ważną cechę naszego ówczesnego życia: prawie całkowity brak pieniędzy. [...] W naszych wieczornych rozmowach coraz częściej podkreślaliśmy obawę, że nadchodząca nieuchronnie normalizacja warunków, czyli jak mówiliśmy »cywilizacja« – zakończy naszą »republikę koszalińską»”.

Koniec republiki wjechał w czerwcu wraz z pociągiem na stację dworca w Koszalinie. Wsiadł z wagonów z kilkusetosobową grupą mieszkańców

Gniezna – pierwszych osadników – którzy od razu wyruszyli w miasto zajmować lokale i sklepy.

We wspomnieniach Szyndler zapisze: „Przypominało to bardzo gorączkę złota w Klondike i morderczy wyścig do złotodajnych terenów. W praktyce wyglądało tak: osiedleńcy, którzy przyjechali właściwie tylko na zwiady, zaopatrzeni byli w krede, za pomocą której na każdym sklepiku, mieszkaniu lub lokalu wypisywali niezliczone razy krótkie stwierdzenie, że biorą w posiadanie rzekomy obiekt. Pamiętam najczęściej powtarzający się napis. Brzmiał on: »ten interes zajanty przez Gniźnianina«”.

A w 2014 roku powie: – Ja się trochę wstydzę, że tak o nich napisałem. Większość to byli porządni ludzie o wspaniałym nachyleniu na handel i rzemiosło.

Przypomni sobie też, że im więcej ludzi z różnych stron kraju przyjeżdżało, tym trudniej szło się dogadać. Warszawiaków drażniła mowa tych „ż” Wilna. Uważali ich za zacofanych, prostolinijnych i prymitywnych. Mazowszan znów, przezywanych „bosymi Antkami z kongresówki”, traktowano nieufnie, jako niezbyt inteligentnych cwaniaków, którzy przyjechali na szaber. Wielkopolanie, dla innych „pyry poznańskie”, wywyższali się nad każdym, uważając, że reprezentują wyższą cywilizację. Wszystkich miał zjednoczyć w 1947 roku strach przed Ukraińcami i Łemkami przenoszonymi na Ziemię Odzyskane w ramach akcji „Wisła”. „Wymordują nas, to banderowcy” – będą

szeptali między sobą ludzie.

Ryszard Janusz Szyndler wypił łyk kawy, położył dłoń na głowie kota i powiedział mi, że Koszalin to już w stu procentach jego miasto. Był u syna w Ameryce, zwiedził wiele miast, za duże są. Nawet do Warszawy jeździ już coraz rzadziej. Tu do opery i kina idzie się pieszo, w jeden dzień można przejść całe miasto. Dobrze się starzeje w tym mieście, gdzie wciąż czuć ducha tamtej pruskiej prowincji. Nie zamieniłby go na żadne inne. Nie ma dla niego znaczenia, że Niemcy je wybudowali.

Gross Panknin, czyli Pękanino – dziwne poczucie bycia nie u siebie

List obywatela Kazimierza Szkolniaka znalazłam w „Życiu Warszawy”. „Wyjechałem na Zachód 29 maja 1945 r. razem z sąsiadami. [...] Chcieliśmy zobaczyć i sprawdzić, jak to tam jest. Ludzie różnie mówią, a to, że są napady, że Polaków wypędzają, że ziemi nie ma, że inwentarz i budynki są poniszczone. [...] Zgłosiliśmy się do PUR-u. Ten nas skierował do wsi Duży Pankin o trzy km od miasta. [...] Zabudowania tu bardzo ładne, jak pudełeczka. Wszystko murowane, wszędzie elektryczność, kanalizacja, a motorkami to można rznąć sieczkę, młócić a nawet rąbać drzewo”.

Wieś, którą opisywał, była na naszej trasie.

Było brzydko. Smutno i szaro. Niech mieszkańcy Pękanina ominą ten rozdział, bo jeśli kochają swoją wieś, to pękną im serca z żalu. Ale mieliśmy ochotę krzyknąć: – Osadnicy! Coście z Gross Panknin učinili? Gdzie zabudowania ładne jak pudełeczka, które zachwyciły chłopą spod Warszawy? Gdzie piętnaście gospodarstw, w których w 1939 roku żyło 64 ludzi (teraz jest was tylko kilku więcej)? Przecież wasza wieś nie ucierpiała w czasie wojny. Dlaczego najporządniej wygląda dziś gminny cmentarz w Pękaninie i fabryczka siatek foliowych? Dlaczego trzy ogromne murowane, poniemieckie gospodarstwa, jakie wam zostały, wielkie jak zamki obronne, zamknięte z dwóch boków olbrzymią stodołą i oborą, a od ulicy bramą, przez którą mógł wjechać wóz z sianem, wyglądają, jakby się zaraz miały zawalić?

Zatrzymaliśmy auto przy drodze.

Mężczyzna stał na ukruszonych schodkach murowanej piętrowej chałupy sprzed wojny, która wielkością i urodą przypominała polski dworek. Nie widział mnie jeszcze, bo pochylony nad skrzynką przebierał ogórki gruntowe. Gałęzie wielkiego drzewa opuszczały się tak nisko, jakby chciały pogłaskać go po plecach. Od ulicy

odgradzało nas podwórze otoczone wysokimi, zaniedbanymi budynkami gospodarczymi z cegły. Było trochę tak, jakbyśmy stali na dziedzińcu zamkowym.

Chrząknęłam, człowiek wyprostował się i uśmiechnął. Nie, nie ma tu we wsi rodziny Szkolniaków, powiedział. Nie, on nie mieszka tu od wojny, dodał, gospodarstwo kupił pod koniec lat siedemdziesiątych od dzieci osadnika, które nie chciały tu zostać. Żyje w nim z żoną i dwójką dorosłych dzieci.

Zaprosił mnie do domu, posadził w kuchni przy stole. Na półce pod ścianą zauważyłam „Teorię sprawiedliwości” amerykańskiego filozofa Johna Rawlsa („Każda osoba winna mieć równe prawo do jak najszerzego całościowego systemu równych podstawowych wolności, dającego się pogodzić z podobnym systemem dla wszystkich”). Usiadł po drugiej stronie stołu. Nazywał się Stanisław Kubiec. Zauważył, że się rozglądam. Tu mieszkali Niemcy Buttke, wyjaśnił. Byli inni niż reszta wsi. Kiedy cała wieś piekła ciasta na cześć podbojów swojej armii, oni nie brali w tym udziału. Wiedział to od polskiego niewolnika, który pracował u nich przymusowo w czasie wojny. Traktowali go jak domownika. Kiedy losy się odwróciły i do wsi wkroczyli Rosjanie, a Buttke trafili do obozu przejściowego w Białogardzie, dawny niewolnik ich dokarmiał. Lubili Hitlera czy nie, kiedy nastąpiła tu Polska, musieli wyjechać z rodzinnej ziemi. Ktoś z rodziny Buttke odwiedził kiedyś Stanisława

Kubica. Obecny gospodarz oddał mu wtedy zbutwiałe ubrania i poszczerbione talerze, które znalazł w schowku podczas remontu podpiwniczeń. Były jeszcze książki, chyba religijne, ale odłożył je gdzieś i nie mógł wtedy znaleźć.

– Jak to jest żyć w cudzych butach, szytych na inną miarę? – zapytałam. – Otwierać codziennie drzwi, które ktoś zbił dla swojej rodziny, wchodzić po schodach zbudowanych dla innych ludzi?

– Obco – odpowiedział. – Mam dziwne poczucie bycia nie u siebie. Pochodzę z Zakopanego, urodziłem się w 1940 roku, ale rodzice dziewięć lat później przenieśli się pod Kraków. Tam jednak byłem u siebie. Ludzi łączyła tradycja. Tu jesteśmy sobie obcy, nie mamy wspólnych korzeni.

Podarował mi na pożegnanie kilka ogórków dla córki. Chciała podziękować osobiście, wróciłyśmy na jego podwórze. Wtedy odważyłam się zapytać, czemu trzy ostatnie poniemieckie gospodarstwa wyglądają tak, jakby się miały zawalić. Czy wciąż chodzi o lęk, że wrócą tu Niemcy i zabiorą swoją przedwojenną własność, więc nie ma sensu dbać o nie? Uśmiechnął się. – Skąd. Po prostu nie stać nas na ich utrzymanie – łagodnie wzruszył ramionami.

**Buchhorst, czyli Żelimucha – szklanka
mleka dla nauczyciela**

Amerykańską borówkę za pół ceny. Tylko tyle znaleźliśmy w Żelimusze, wsi, do której jedzie się z Koszalina pół godziny. Siedzieliśmy na kamieniu przy aucie i wsuwaliśmy na wyścigi granatowe owocki z plastikowego pudełka, które kupiłam przed chwilą od plantatora. I martwiliśmy się.

– Nie ma tu już nikogo z tamtego czasu – właściciel tak na oko hektara plantacji, zanurzony po pachy w krzakach borówek, machnął kwadrans wcześniej granatową ręką w nieokreślonym kierunku. – Ci, co byli, to umarli albo sprzedali domy i wrócili tam, skąd przyjechali. Jego matka wynurzyła się spod krzaczka: – My tu jesteśmy obecnie najstarszą rodziną, a przyszliśmy do Żelimuchy w 1960 roku.

– A szkoła ocalała? – zawołałam, próbując przekrzyczeć tranzystor nadający na cały regulator muzykę z nowoczesnego ciągnika.

– Tak! Ale jest tam teraz prywatny dom. W tamtą stronę trzeba jechać! – wskazał i zniknął ostatecznie w krzakach.



Nie chciał w niej uczyć. Budynek był zniszczony, ławki przewracane, w oknach brakowało szyb, w drzwiach skrzydeł, metalowe drzwiczki od pieca ktoś wyrwał, tablica zwiisała na jednym haku. Poszukam innej szkoły, zdecydował Władysław Stachurski, który po latach

odpowiedział na apel Instytutu Zachodniego.

Podsołtys prosił, żeby został. Zaprosił na szklankę mleka, nalał bimbrow, nakarmił jajecznicą. Stachurski, że nie zostanie. Sąsiad podsołtysa chuchał mu w ucho, że dzieci osadniczych kupa się zebrała. Zaraz wrzesień, a tu nauczyciela jak nie było, tak nie ma. Stachurski mu na to, że musi wracać. Podsołtys czarował, że źle mu u nich nie będzie. Zamieszka u milicjanta, bo ma najwięcej miejsca w domu, wieś go nakarmi i ubierze. A jak nauczyciel przejmie kiedyś gospodarkę, to i pole mu się zaorze, obsieje i zbierze. Przyszedł sołtys, dolał mu „mleka” do szklanki.

Wieczorem Władysław Stachurski zdecydował, że na razie zostanie we wsi i przyjmie etat nauczyciela.

Miał 26 lat, pochodził spod Garwolina i ukończył zaledwie jedną klasę przedwojennego liceum. Wojnę spędził na robotach w Niemczech. Po wojnie wymyślił, że zostanie nauczycielem na Ziemiach Odzyskanych.

Dla inspektora szkolnego w Białogardzie na Pomorzu Zachodnim (do niedawna Belgard, Pommern) był jak najcenniejszy skarb. Osadnictwo pędziło jak rozkręcona machina, a dzieci osiedleńców nie miał kto uczyć. Gdyby inspektor mógł, nieba by przychylił takim jak ten zuch. Braki w wykształceniu? Nadrobi pan. Program nauczania? Dostanie pan. A gdzie mam uczyć? Tu ma pan nazwy czterech wsi w okolicy Białogardu. Proszę je odwiedzić i jedną sobie wybrać.

Tak trafił do Żelimuchy.

„Zapisuję dzieci – notował na gorąco 30 sierpnia 1945 roku – poznaję równocześnie pod pewnym względem środowisko, strukturę osadników. [...] Jakże to różnorodna mieszanina: Łódzkie, Krakowskie, Kujawy, Łowickie, tereny zza Bugu. Cała Polska! [...] jest tu różny poziom, różny rozwój umysłowy dzieci w tym samym wieku, różne przyzwyczajenia i poglądy dzieci i rodziców, różna kultura. [...] Razem mam 34 dzieci”.

Całe dni spędzał w szkole, którą z braku szyb w oknach jesienią przeniósł na jakiś czas do prywatnego domu. Wieczory spędzał samotnie w mieszkaniu (do pomocy w prowadzeniu gospodarstwa miał Niemkę Gertrudę). „Odczuwam brak jakiegokolwiek życia towarzyskiego” – notował. Czasem więc odwiedzał samotnego nauczyciela w sąsiedniej wsi, częściej rodziców swoich uczniów. Podzielił ich na trzy grupy.

Pierwszych nazwał prawdziwymi pionierami. Pracowici, utrzymywali porządek w gospodarstwie, byli w mniejszości. Jeden z nich mu się zwierzył, że uważają go we wsi za głupka: „Nikt – powtarza – do niego nie chodzi, bo nikogo wódką nie częstuje”. Drugich, przeważnie zza Buga, krytykował za bałagan, choć starał się ich zrozumieć. Pisał o jednym: „Jak mi powiedział, nie przyjechał z dobrej woli, bo i tam miał gospodarstwo, nawet niezłe, ale przyjechać musiał. Co miał zrobić, jak granica przesunięta? [...] Ciężko

mają nieraz i to głównie z tego powodu, że nie potrafią obchodzić się z wieloma maszynami, z prądem elektrycznym itp. Nie mieli ich tam, więc nic w tym dziwnego. Spostrzegłem, że gospodarstwo jego raziło bezładem”. W trzeciej grupie byli pijacy i łajdacy z Żelimuchy (doliczył się dziesięciu), przez których płakały żony i dzieci. Dla nich nie miał usprawiedliwienia.

Przez zimę uczył się w domu do matury. Pod koniec kwietnia 1946 roku zakończył rok szkolny, rozdał dzieciom świadectwa i zawiadomił sołtysa, że wyjeżdża na studia, ale wróci kiedyś na Ziemię Odzyskane.

Musiało mu się powieść, bo w sygnaturce od wydawcy „Pamiętników osadników Ziemi Odzyskanych” przy nazwisku Stachurski widnieje wpis – zawód: pracownik naukowy, miejsce zamieszkania: województwo koszalińskie.

Groß Stepenitz, czyli Stepnica – „Stasiu, dokąd ty nas wiesz?!”

Czarna chmura zawisła nisko nad Zalewem Szczecińskim jak brudna pierzyna. Od niemieckiej strony szła burza. Wielki pies biegał bez smyczy po plaży. Dwoje letników zwijało parawan i uciekało do wynajętego gdzieś pokoju. Z portu dochodził jednostajny syk ciśnieniowych myjek, którymi rybacy

i ich kobiety czyścili sieci z wodorostów. Tosia bujała się na huśtawce, poganiałam ją. Musiałam przed deszczem znaleźć drogę do kogoś, kto znał Eugeniusza Szmigła, autora wspomnień, które znalazłam w „Pamiętnikach”.

Jeśli prawdą jest, że wszystkich ludzi na ziemi dzieli od siebie tylko sześć uścisków dłoni, to byłam blisko. Z urzędu gminy posłano mnie do restauracji w porcie. Z restauracji do domu rybaka. Żona rybaka pokazała, gdzie jej mąż czyści sieci. Rybak kazał iść do prezesa spółki Rybak. Ślizgając się na rybich łuskach, poszłam przywitać się z prezesem. On wskazał mi swoją córkę Dagmarę, absolwentkę historii, która miała zaraz zaprowadzić mnie do swojej babci Teresy Jałukowicz.



Już przy pierwszym uściśnięciu dłoni dowiedziałam się, że Szmigiel nie żyje, a jego rodzina wyjechała do Szwecji. Pochodził z Łodzi, wojnę spędził w Groß Stepenitz jako robotnik przymusowy u miejscowego młynarza. Po wyzwoleniu został we wsi jako pierwszy z osiedleńców. Udało mu się przywrócić prąd i uruchomić zniszczony podczas działań wojennych młyn, czym wzbudził entuzjazm oficerów radzieckich i polskich stacjonujących w Stepnicy wojsk: „Gdy im pokazałem mąkę, aż oniemieli z zachwytu. [...] Huśtali mnie na rękach, jak żaka szkolnego, wołając »geroj

malczyk«”.

Ze wszystkich autorów mojej książki w chropawej okładce Eugeniusz Szmigiel dotarł najdalej, aż za Szczecin, prawie pod nową granicę niemiecką, od której dzielił go tylko zalew i mały kawałek łądu.



Teresa Jałukowicz zaproponowała kawę i poszła nastawić wodę do kuchni, skąd dochodziło jednostajne buczenie lodówki. Wróciła do mnie długim korytarzem, usiadła, poprawiła wazonik na stole i zaczęła mówić. W jej opowiadaniu był wrzesień 1945 roku i samotna furmanka, która jechała lasem już drugi dzień. Podróż zaczęła się na stacji w Białogardzie, miała skończyć w Stobnicy, którą dopiero za rok urzędnicy przemianują na Stepnicę. Pasażerowie, mimo że w towarzystwie dwóch uzbrojonych milicjantów, mieli już dość podróży. Babcia wołała co chwilę do zięcia: – Stasiu, dokąd ty nas wiesziesz?! Na koniec świata! Tereska (lat 11) bała się drogi przez las tak gęsty, jakiego w swoim rodzinnym Błoniu pod Warszawą nie widziała, i bandytów, o których opowiadano, że czyhają na osadników, żeby okraść ich z dobytku życia, jaki wieźli z sobą na Ziemię Odzyskane. Osadników takich jak oni – rodzina Wawrzyńczaków: rodzice i troje dzieci (babcia jechała tylko pomóc przy przeprowadzce). Sprzedali wszystko, co mieli do sprzedania, zabrali

wszystko, co potrzebne do życia, i teraz kiwali się zmęczeni wśród garnków i pierzyn, nie widząc końca drogi.

Musiła przerwać na chwilę wspomnienia, bo w kuchni zagotowała się woda. Zaparzyła dla nas kawę, przyniosła ciasteczka, podłożyła ozdobną serwetkę pod filiżankę i podjęła przerwany wątek.

Ojciec był na robotach przymusowych niedaleko Groß Stepenitz. Miał wrócić po wyzwoleniu do Błonia i zacząć od nowa życie, które przerwał we wrześniu 1939 roku, wychodząc na wojnę. Nie marzyli o Ziemiach Odzyskanych.

Strąciła niewidoczny pyłek z wypolerowanego blatu stołu i powiedziała: – Kiedy wojna się skończyła, jakimś cudem tata znalazł się w Stepnicy i jakimś cudem zwerbowali go do milicji. Chciał wracać do domu, ale zabrali mu dokumenty i mówili: »Tu zostajesz Stobnicę budować«. Nie wiem, jak było dokładnie. Nie interesowało mnie to, jak byłam dziewczynką, nie pytałam.

Mama Tereski nie chciała jechać. Była zmęczona, niedawno przeszła tyfus. Ale Stefan zachęcał, że wieś jak małe miasteczko, że dom w środku wsi znalazł, tuż przy posterunku i kościele. A w nim wszystko urządzone, po Niemcach zostało, nawet pianino stoi.

Że już cztery polskie rodziny tam mieszkają, więc nie będą samotni. Że zalew jest, będą się latem kąpać. Szkoła dla Tereski niedługo będzie. Że awansował na zastępcę komendanta, więc pewnie pobory będą wyższe. O tym, że czasem dochodzi do strzelaniny między milicją a radzieckim wojskiem, żonie nie wspomniał. Że wojsko polskie nienawidzi polskiej milicji i wzajemnie, tym bardziej (w Wielkanoc 1946 roku dojdzie między nim do strzelaniny, zginie kilku ludzi). Że na zabawach trzeba uważać, bo można stracić życie, kiedy osadnicy się wezmą za łby i sięgną po pistolety albo karabiny, których wszędzie pod dostatkiem, też nie.

Pierwszych lalek w Stepnicy Tereska szukała sobie w ponemieckich mieszkaniach. Zamiast nich znalazła zabawki na choinkę. Pierwszej Wigilii nie zapamiętała. Co jedli? Czy była choinka? Zapomniała. Na pierwszy bal sylwestrowy w urzędzie gminnym, nad rzeką, 31 grudnia 1945 roku nie poszła, bo był tylko dla dorosłych. Zgromadził 50 osiedleńców.

Kiedy żegnałyśmy się w progu, zawołała nagle: – A Szmigła znałam! Fajny był, fajny.

Neuhof, czyli Będolino – po raz drugi i tym razem ostatni

Dom stał niemal już za wsią. Skromny, prosty, ze spadzistym dachem. Dojechaliśmy, Halina Borcuch

wyszła na próg, zaraz za nią dorosły syn. Z sąsiedniego domu wyjrzała kobieta (potem się okaże, że córka). Pijacek spod sklepu musiał lecieć na skróty, bo wszedł do sieni zaraz po nas. – Pani Halina uważa, bo to Provident! – huknął i osunął się na krzesło.

Halina Borcuch była tak krucha i niewielka, że ubrania mogłaby kupować w dziale dziecięcym (wnuki wołają na nią Mała Babcia), jej kasztanową głowę (świeża farba) oblegały drobne loczki (świeża trwała). Ale miała w sobie godność angielskiej królowej. Nie zaszczyciła nawet spojrzeniem naszego znajomego, pochyliła się w moją stronę nad wąskim stolikiem i odpowiedziała na pytanie, które jej przed chwilą zadałam: – Znałam Stanisława Banię. Był kowalem i naszym sołtysem. Wszystkimi tu rządził. Wziął ten duży ceglany dom po nadleśnictwie. Ale potem się wyprowadził.

Hydra podniosła łeb i czknęła: – Hersztem i ormowcem był. Ot co!



Stanisław Bania, pierwszy sołtys Będlina, wspominał w pamiętnikach początki: „Nadeszła noc, nie ma ani lampy, ani świec, słychać jeszcze huk armat oraz przeloty samolotów; psy zaczynają wyć. Siedzę koło pieca, karabin nabity i granaty na krześle koło mnie”.

Był synem małorolnych chłopów, którzy za chlebem

wyemigrowali za ocean. Urodził się w 1899 roku w Ameryce, wrócił z rodziną do kraju. Pasał gęsi i krowy, służył we dworze, głodował. Siedem klas szkoły powszechnej skończył eksternistycznie w 1935 roku. „Do tego czytałem bardzo dużo książek”. Wojnę spędził w niewoli niemieckiej, jako kowal we wsi Neuhoft: „pięć lat udręki moralnej, poniżenia, bicia przez policję i równania człowieka do dawniejszego niewolnika”. Ewakuowany wraz z Niemcami na zachód w marcu 1945 roku, został wyzwolony przez patrol żołnierzy radzieckich. W drodze powrotnej trafił, z innymi Polakami wypuszczonymi z niewoli, do Falkenburga (Złocieńca), niedaleko od Neuhoft (Będlina). Na sołtysa wsi Będolino wyznaczył go oficer radziecki. Raczej nie mógł odmówić.

Miał talent organizacyjny. Rozdzielił pracę między 267 Niemców, którzy nie uciekli na zachód, tylko po przejściu frontu przez wieś wrócili z ukrycia do swoich domów. W dwa tygodnie odgruzowali wieś, rozpoczęli remonty. Całe zboże, konie i bydło Bania zgrupował w jednym miejscu, wyznaczając brygady do opieki nad nimi. Osobne grupy posłał do prac w polu. Słuchali go, bo miał poparcie wojska radzieckiego. Za dobrą pracę wynagradzał spirytusem i lepszą żywnością. Ale wiedział, że w sąsiednich wsiach komendanci (tak nazywano wtedy sołtysów) giną czasem z rąk nieznanymi sprawców. „Byli jeszcze na wsi Niemcy, którzy pokładali nadzieję, że zagranica, jak

USA, Anglia czy inne, nie pozwolą na to, aby te ziemie posiadali Polacy”.

Z bronią nie rozstawał się nigdy. I czekał na Polaków, którzy mieli wkrótce przyjechać. Zjawili się na początku lipca 1945 roku. „Szesnaście rodzin – sama prawie biedota. Byli i tacy, co jeszcze nie pracowali na roli, i tacy, co mieli w »centrali« jedną morgę lub mniej ziemi, mieszkali po 6 i 8 ludzi w jednej izbie, w której zamiast podłogi było klepisko z gliny (przybyli z powiatu Kutno)”.

Halina Borcuch: – Ja to żałuję, że tu przyjechałam. Mąż też sobie w brodę pluł. Kordki, z tej samej wioski co ja, wcześniej tu przyjechali i jak wrócili, to nagadali, że tam ładna wieś, że dużo ziemi, gospodarki, co komu pasuje, to może sobie brać. A jak tu we wsi stanęłam, to się przeżegnałam, bo nie miałam gdzie spać. Wszystko poobsadzone Niemcami, to co, miałam im do domu wejść? Poszli my do Buczyńskich, co wcześniej od nas wyjechali, i siedzielim z nimi, póki nam urzędniki nie wyznaczili domu.

Mam 88 lat, w dzieciństwie mieszkałam 20 kilometrów od Warszawy. Piętnaście lat miałam, gdy Niemcy wzięli mnie w łapance. Do końca wojny robiłam dla nich amunicję w fabryce na zachodzie. Trzy wielkie maszyny miałam pod sobą, po 16 godzin

robiłam gilzy. A że malutka byłam, to mi dali stołeczek, żebym sięgała. W soboty Niemcy robili nam ubawy, nie powiem, że nie. Przyjeżdżali na nie robotnicy przymusowi ze wsi. Tak poznałam Kazika, który robił u bauera.

W czerwcu 1945 roku wróciliśmy do Polski przez Lignicę. Najpierw na trzy tygodnie do Łodzi, do rodziny Kazika. Potem w moje strony. W lipcu wzięliśmy ślub. Jesienią spakowaliśmy trochę rzeczy, ciuchów i z moimi rodzicami wsiedliśmy w pociąg z Warszawy do Szczecina. Inni znajomi też jechali. Stamtąd ktoś nas wozami ściągnął do Będlina. Pogoda była ładna, to pamiętam. Miałam malutki brzuszek, bo byłam w trzecim miesiącu ciąży. Dom nam wyznaczili jakiś czas potem. Papiery dali.

Ja przyszałam, kochana, z tymi papierami do swojego domu, a tu wciąż Niemcy mieszkali. Nie wysiedlali ich jeszcze, bo byli potrzebni do pracy w nadleśnictwie. Tu pokój zajęty, tam pokój zajęty, na górze też para mieszkała. A jeszcze jedni mieli starszą, chorą siostrę. Usiadłam w kąciku w kuchni i się rozpłakałam. A ona, ta Niemka, pogłaskała mnie, przytuliła i pocałowała. Nasmażyła rybów, żeby się najeść. Porozumiewałyśmy się na migi, bo nie znałam niemieckiego. I dalej płakałam. Powiesić się tylko. Mówię do męża: „Gdzieś ty mnie, kochany, przywiózł? Jedziemy do Łodzi, do twoich, pracę w fabryce dostaniemy”. Ale on się uparł, namówili go i tak zostaliśmy.

Niemka jeden pokój od frontu opuściła, meble wystawiła i kazała się wprowadzać. Miała córkę, syn zaginął na wojnie bez wieści. Wiedziała, że jestem w ciąży, to nie powiem, pomagała mi, dobra była. Nagotowała jeść i prosiła, żebyśmy razem do stołu siedli. Czy kolację, czy śniadanie, nie powiem, że nie. Ja się trochę obawiałam, ale ona przytuliła mnie znów, pogłaskała i powiedziała, żeby się niczego nie bać, nie będzie żadnego trucia. Jak się w 1946 roku wyprowadzała, to mi calusieńką wyprawkę dla dziecka zostawiła. Meble Niemcy zostawili, trochę ciuchów zabrali i pościel. Ja im mówiłam: proszę wszystko zabrać, to jest wasze, ja sobie kupię. Ale nie chcieli. Pojemniki na sól, cukier i mąkę po nich zostały. Porcelanowe w niebieskie napisy, z drewnianymi pokrywkami. I wiszący młynek do pieprzu. O, tu na drzwiach jeszcze ślad po nim. Ale nic już po nich nie mamy. Młynek wzięła kuzynka, a resztę na nowe się z czasem wymieniło.

Na początku to nie było całkiem bezpiecznie. Raz przyjechały jakieś z tych lasów, zamaskowane, uzbrojone, na koniach. Stanęli od frontowych drzwi, a ta Niemka w płacz. Wyszłam przed dom, ona *frau, frau* za mną wołała. Cztery osoby uzbrojone, łańcuchy z nabojami skrzyżowane na piersiach. Płakać mi się chciało, że ja pewnie tę amunicję zrobiłam, a teraz z niej dostanę w łeb. Oczów im nie było widać, szwargotali coś, że będą strzelać. Niemka stanęła krok naprzód,

zasłoniła mnie sobą i coś mówi do nich, że *frau* będzie mieć *kind*. Postajali, poszwargotali coś i odjechali.

Jej syn się potem odnalazł, jak ona już wyjechała. Odwiedził nas po latach, chodził po pokojach i mówił, gdzie łóżko stało, gdzie stół. Zostawił trochę marków niemieckich.

Atmosfera we wsi była dobra początkowo. Sołtys Bania kółka rolnicze pozakładał. Ogólnie, co trzeba było komu pomóc, to się szło i pomagało. Z domu do domu się szło i pytało, co jest do zrobienia. I nikt nie patrzył, czy sąsiad spod Łodzi, z centrali czy spod Łęczycy. Jedne Zalewscy byli zza Buga, ale też pomagali. Ludzie wtedy byli zjednoczone. Ale potem niektórzy wyjeżdżali, wracali w swoje strony. Coś im nie pasowało.

Objęłyśmy się z Haliną Borcuch i stanęłyśmy do pożegnalnego zdjęcia pod jabłonką.

Wsiadaliśmy już do samochodu, gdy mój wiejski zalotnik przyszedł się pożegnać. – Jednak nie jesteście z Providenta – przyznał. – Jakby co, niech pamięta, że mam w domu dużo starych zdjęć – przypomniał na wszelki wypadek i mrugnął.



Warszawa, 1945. Repatrianci z za Buga czekają na pociąg, który ma ich zawieźć na Ziemie Odzyskane



Ligota koło Katowic, lipiec 1945. Dziewięciodniowy postój transportu repatriacyjnego ze Stanisławowa

Oprzątać po tysiącu brudasów

Bajki nie było. Czy Wanda Melcer wymyśliła opis punktu etapowego PUR? Pewnie nie. Prawdopodobnie przygotowano go specjalnie na wizytę dziennikarzy. Naprawdę jednak akcję przesiedleńczą cechował gigantyczny chaos, który starano się ukryć przed ludźmi.

Polacy z Kresów Wschodnich, którzy nagle znaleźli się w granicach ZSRR, stawali przed trudnym wyborem pozostania na swojej ziemi, narażając się na napaść

nacjonalistów ukraińskich i kolejną falę radzieckiej kolektywizacji lub wyjechania w nieznaną z życiowym dobytkiem. W efekcie w Galicji i na Wołyniu ludzie miesiącami wegetowali na dworcach, czekając na pociągi na zachód. W maju 1945 roku pełnomocnik rządu ds. przesiedleń donosił z Czortkowa w dawnym województwie tarnopolskim (pisownia oryginalna): „Trzy miesiące, wśród ciągłych obiecanek oczekują ci ludzie wagonów aby z życiem przynajmniej ujść i lubiącymi pracę rękami dorwać się do czekającej na nich ziemi w Poznańskim. I mając do tego prawo – nie mają warunków aby tych kilogramów zrosłego i wyżebranego zboża przewieźć tam i zacząć nowe, należne im życie. (...) Nikt z tych ludzi nie uwierzy, że Polska nie może zaopiekować się nimi tylko z powodu braku wagonów, że potężny ZSSR nie jest w stanie tych wagonów im dać. Słowa powtarzane przez tych ludzi brzmią: »Kto uciekł z pod [banderowskiej] siekiery – niech zdycha z głodu«”.

Najoporniej szło wysiedlanie Lwowa. Mieszkańcy tego miasta bojkutowali nawoływania do wyjazdu. Choć wysiedlenia z Białorusi i Litwy przebiegały spokojniej, wielu Polaków nie chciało też opuścić Wilna. Do 1 lipca 1946 roku w tym mieście zarejestrowało się do wyjazdu zaledwie 20 procent Polaków. Wilnianie będą wyjeżdżać do Polski aż do lat sześćdziesiątych XX wieku.

PUR przyjął zasadę, że ludność z północy Kresów miała trafić równoleżnikowo na Warmię, Mazury, Pomorze i do Poznańskiego. Wołyńscy i mieszkańcy Galicji Wschodniej na Górny i Dolny Śląsk oraz ziemię lubuską. W rzeczywistości przesiedleńców wożono całymi tygodniami po kraju, zrzucając ich tam, gdzie były wolne miejsca. Najczęściej jednak miejsc wolnych od razu nie było. Osadnikom w najlepszym wypadku pozostawało zamieszkać z Niemcami w ich gospodarstwach lub koczować tygodniami w okolicy dworców. W lipcu 1945 roku na dworcu opolskim żyły tysiące bezdomnych repatriantów. W koszmarnych warunkach, bez wody, jedzenia, lekarstw. Chorowali, umierali i rodzili się. „Życie Warszawy” podawało: „Zatrzymano, na skutek braku możliwości transportowych: w Opolu 20 tysięcy, w Koźlu 10 tysięcy przesiedleńców. Trzydzieści tysięcy ludzi biwakuje od sześciu, siedmiu tygodni wzdłuż torów kolejowych, na przestrzeni kilku kilometrów – pod gołym niebem, cierpiąc głód i poniewierkę. Trzydzieści tysięcy ludzi! Toż to zaludnienie przeciętnego miasta prowincjonalnego! Są wśród nich dzieci, jest żywy inwentarz, już gdzieniegdzie, jak ostrzegawczy sygnał, pojawiły się wypadki chorób zakaźnych. [...] Wobec tych zatorów PUR stanął zupełnie bezradny”.

Brak higieny w punktach etapowych musiał być dotkliwy, skoro w czerwcu 1945 roku „Życie Warszawy” informowało o otwarciu pierwszej

w Lublinie łaźni dla repatriantów z inicjatywy Nadzwyczajnego Komisariatu do Walki z Epidemiami. „Kąpielisko zaopatrzone w nowy typ aparatu dezynfekcyjnego” – podawała gazeta.

Wanda Melcer pouczała: „Osadnicy muszą pamiętać, że czystość i utrzymanie porządku na punktach etapowych do nich należy. Nie ma tak licznego personelu, który by zdołał co dzień oprzątać po tysiącu brudasów, osadnicy sami każdego wieczora muszą wyłonić grupę inną do pomocy personelowi etapu”.



Rozczarowani złą organizacją osadnictwa ludzie pisali do gazet. Pod koniec maja 1945 roku w „Życiu Warszawy” ukazał się list obywatela Zenona Romiszowskiego: „Jestem spalonym warszawiakiem, obecnie tylko dorywczo pracującym i pragnę wyjechać wraz z rodziną na zachód. Zapisalem się w połowie kwietnia do Polskiego Związku Zachodniego. [...] Tymczasem czekam bezskutecznie 5 tygodni. Kierownictwo Związku nie może udzielić bliższych informacji i wskazać właściwego miejsca osiedlenia, a tylko radzi wyjeżdżać samodzielnie”.

Józef Patek ze wsi Głęboka: „Niesłychane stanowisko urzędnika [PUR] z Lignicy, który zagadnięty jak długo mają czekać na przydział gospodarstw odpowiedział »Po coście tu przyjechali?«”.

Reporterzy przywozili z podróży na Ziemię Odzyskane już nie tylko słowa pełne zachwytu. W lipcu 1945 roku korespondent „Życia Warszawy” pojechał anonimowo z osadnikami na Warmię: „Po trzech godzinach lekcji cierpliwości – pociąg rusza. Rozlokowani w tzw. »wołowym« wagonie (brudny, bez ławek!) nawiązujemy bliższą znajomość z towarzyszami podróży. [...] Byliśmy w drodze dwa razy dłużej niż przewiduje rozkład jazdy. Wreszcie, o godzinie 2-giej, w noc ciemną jak otchłań, stajemy w Olsztynie. [...] Z tą żywnością dla osadników jest naprawdę kiepsko, jak zresztą z wielu jeszcze rzeczami. Żywność jest pono w kilku, o setki kilometrów oddalonych od Olsztyna, miejscowościach”.

Schönbrunn, czyli Jabłonów – „Za miesiąc, za dwa już nas tu nie będzie”

Stałyśmy z Tosią na ganku. Ścisnęła mi rękę trochę wystraszona, bo obiecałam jej, że będzie robić ze mną następny wywiad, a tu odmowa.

– Ja tam nie mam o czym opowiadać, przyjechałam tu później – starsza kobieta wychylała się zza ściany kolorowych pasków z plastiku zawieszonych w otwartych drzwiach. Nadawały jej wygląd szamanki. – Mąż, on tu przyjechał w 1945. I wszystko pamiętał. Ale nic wam już nie powie, bo wylew miał.

Paski zaszeleściły, na ganek wyszedł szczupły pan.

Uśmiechnął się: – O czym nie pamiętam?

– O 1945 roku. Wylew miałeś – wyjaśniła mu żona.

– Wszystko pamiętam z tamtego roku i chętnie powiem – zaprotestował łagodnie.

– Właśnie, że nic, wylew był – oponowała.

Przerwałam spór: – To może spróbujemy porozmawiać, a jak się nie uda, to sobie pójdziemy.

Kobieta była uparta: – To nie ma sensu, bo wylew...

Wtedy sięgnęłam po swoją tajną broń: – Tosiu, zrób minę.

Dziecko zmarszczyło czoło, podniosło oczy i ściągnęło usta w ciup. Wyglądało jak kotek Shreka. Janina Winiarska, żona Romana, roześmiała się i skapitulowała.



Siedzieliśmy przed jego domem, we wsi Jabłonów, w powiecie żagańskim, na ziemi lubuskiej, a on opowiadał o swojej pierwszej nauczycielce Wilhelminie Tryłowskiej, której wspomnienie zaznaczyłam kolorową karteczką w mojej książce z chropawą okładką.

Byli z tych samych stron, spod Lwowa – ona ze Stryja, on z Glinian – dzieliło ich przed wojną zaledwie kilka godzin jazdy furmanką. Nie znali się wtedy, oczywiście. On był dzieckiem (rocznik 1937),

ona dorosłą kobietą (rocznik 1904).

Przyjechała tu pierwsza, miała krótszą drogę. Latem 1944 roku została wywieziona z mężem i synkiem do Niemiec do przymusowej pracy. Po wyzwoleniu, w dużej grupie Polaków, wyruszyli na wschód, w lipcu dotarli do Żagania: „Tu dowiedzieliśmy się, że dalej żadne transporty nie pójdą, gdyż mosty są zerwane i należy [...] osiedlić się na Ziemiach Odzyskanych”. W starostwie nakazano jej rodzinie i kilku Polkom z dziećmi zamieszkać w Jabłonowie, „wiosce bogatej, jak nam zaznaczono”. Zamieszkała w domu naprzeciw zagrody osadnika Horoszkiewicza, nauczyła się doić krowę, sama uprawiać pole (mąż, też nauczyciel, odmawiał, twierdząc, że się do takiej pracy nie nadaje), urządziła dom (znosząc meble z innych poniemieckich domów), wysprzątała i zabezpieczyła szkołę (mąż tym razem pomógł) i zaczęła zapisywać dzieci na nowy rok szkolny. Uczniów było dużo, z nauczycieli tylko ona i mąż, zdecydowali, że będą łączyć klasy. Nie wiedzieli jeszcze, że zakładają pierwszą polską szkołę w powiecie żagańskim.

Pogodziła się, że przez jakiś czas będzie mieszkać z parą niemieckich staruszków, do niedawna właścicielami jej gospodarstwa. „Umiałam ocenić ich stratę, gdyż porzuciwszy swoją ojcowiznę, tęskniłam do niej” – napisała po latach we wspomnieniach. Nie ułożyło im się dobrze: „Zamieszkali w jednym pokoju. Nazywali się Heinrich i Elisabeth Gimpel. On wyglądał

na uczciwego staruszka, liczył 72 lata, zaś ona była bardzo zła, stale gderała i wyzywała nas, przeklinając na swój sposób”.

Założyła z jabłonowskimi kobietami koło gospodyń wiejskich, nauczyła się produkować mydło z łożu i sody (we wsi panował brud), melasę z buraków cukrowych, sprowadziła do wsi lekarza wojskowego, który zbadał wszystkich polskich osadników (owrzodzenia nóg u dzieci, choroby skórne u kobiet) i Niemców (choroby weneryczne, głównie u kobiet. „Lekarz wzruszył ramionami, mówiąc: »Jestem bezradny, albowiem ta choroba jest powszechna po wojnie«).

Małżeństwo Gimplów wyjechało z Jabłonowa 9 grudnia 1945 roku, pakując się całą poprzednią noc. Wilhelmina Tryłowska upiekła im na drogę ciastka, ofiarowała kawałek masła, trochę cukru i 54 złote. „Znałam życie w tułaczce, więc choć w taki sposób chciałam jej ulżyć” – wspominała. Niemka zostawiła Polce futro swojego syna, który wciąż nie wracał z wojny.

Trzy dni później do wsi przyjechała rodzina Winiarskich z Glinian.



Zapatrzył się Roman Winiarski gdzieś daleko, duchem przeniósł do rodzinnego domu, z drewna i gliny, tak ciepłego zimą, że wszystkie dzieci z okolicy nocowały

u nich od grudnia do wiosny („My z bratem na piecu chlebowym, reszta na snopkach, pierzynach i kocach rozestanych na glinianej podłodze”). Leciutki wschodni zaśpiew zdradzał jego pochodzenie: – Ojciec miał parę arów ziemi, pracował przy kopaniu kanałów. Ciężka praca, był brygadzystą. Nie chcieliśmy stamtąd wyjeżdżać, ale przyszli Rosjanie i powiedzieli, że mamy przyjąć ruskie obywatelstwo albo opuścić kraj i jechać na Ziemię Odzyskane. Dali nam wszystkie dokumenty, załadowali do pociągu towarowego. Konia i krowę sprzedaliśmy jeszcze przed wyjazdem. Wzięliśmy zboże, żywność, łóżko i skrzynię posazną mamy. Nie mam już tej skrzyni, rozebrałem po latach, ale okucia gdzieś schowałem. A w tym wagonie, co my jechali, to pięć rodzin było. Trochu ciasno było, ale jakoś się męczyliśmy. Na jesień my odjeżdżali, w grudniu tu dotarli.

To była inna wieś niż te, które do tej pory znali. Cztery świetlice, dwie piekarnie, dwa zajazdy, sklep z narzędziami elektrycznymi, owczarnia, którą niemiecki sołtys pobudował tuż przed wojną. Zajęli dom wspólnie z rodziną kolegi ojca, w jednym pokoju mieszkali wciąż Niemcy, dawni właściciele gospodarstwa.

– Nasi Niemcy wyjeżdżali w trzeciej turze – wspominał Roman Winiarski. – Ich matka płakała, prosiła, żeby nic tu nie ruszać, nic nie burzyć, zostawić wszystko, jak jest, bo oni zaraz i tak tu wrócą.

Czekaliśmy na nich jeszcze za Bieruta. Długo nic nie robiliśmy. A co będziemy dla nich robić, jak nas wygonią, tak jak my ich wygoniliśmy? Dużo ludzi tu tak myślało. Ojciec wciąż chodził i mówił: „Za miesiąc, za dwa już nas tu nie będzie, do Glinian wrócimy”.

Obawy przesiedleńców przed tymczasowością granic gasiły gazety. „Życie Warszawy” w czerwcu 1945 roku pisało: „Rząd Radziecki, który nie czekając na te czy inne traktaty czy konferencje, ziemie te wywalczone krwią swego żołnierza oddał w suwerenne władanie Narodu Polskiego. [...] A więc prawo nasze do tych ziem jest w zasadzie uznane. Formalne uznanie przyniesie konferencja pokojowa, na której możemy liczyć na całkowite poparcie ZSRR i innych państw sojuszniczych”.

– Dopiero jak dostaliśmy papiery, że ten dom jest naszą własnością, za tamten utracony na wschodzie, poczuliśmy, że jesteśmy u siebie – mówił Roman Winiarski. – Ale rodzice zawsze już tęsknili za domem. Ojciec mówił: „Ja bym wszystko tu zostawił, gdyby mi powiedzieli, że mogę wracać, i natychmiast bym wracał”. On się nigdy nie przyzwyczał. Zmarł 45 lat temu.



Wałbrzych, 1947. Osada robotnicza Szczęść Boże, zamieszkała w około 80 proc. przez polskich górników, którzy wrócili do kraju z Francji. Mieszkanie rodziny Józefa Małeckiego, górnika z kopalni Mieszko. Na zdjęciu rodzinny posiłek, od lewej: Józef Małecki, córki Lidia (lat 13) i Stefania (lat 14), żona Antonia



Wrocław, 1945. Repatriacja Niemców z Wrocławia i Dolnego Śląska. Oczekiwanie na transport do Niemiec

W grudniu 1945 roku Roman Winiarski został uczniem Wilhelminy Tryłowskiej i jej męża. Grała dzieciom na pianinie, uczyła nut. Zanotowała w pamiętniku: „Nauka w klasach natrafiała na wielką trudność, brak było książek, zeszytów i ołówków. Wśród dzieci znalazły się stare podręczniki w bardzo znikomej ilości, na których wprowadzałam dzieci w czytaniu. Zamiast zeszytów używano różne stare druki, a w klasie I tabliczki i rysiki. [...] Na razie było brak atramentu, więc wszelkie wypracowania pisały dzieci ołówkiem lub z braku ołówka kolorową kredką”.

Raz nauczyciele sfotografowali się z całą klasą przed

szkołą, z okazji pierwszej komunii. Gdzieś to zdjęcie powinno być.

– Nie ma, nigdzie – przerwała mu żona. – Wylew miąseś, to nie wiesz.

Trylowscy wyjechali z Jabłonowa po kilku latach.



Stodoły jak kościoły, rymowało mi się, kiedy wyjeżdżaliśmy z Jabłonowa w stronę Wrocławia. Wielkie, ceglane, z uginającymi się ze starości dachami. I obory do tego, dzieła przedwojennej wiejskiej architektury, jedno na podmurówce z kamlotów ściągniętych z pola, inne ceglane od samej ziemi. Domy duże, piętrowe, małomiasteczkowe bardziej niż wiejskie.

Tam jakaś ceglana ruina, przy drodze stare drzewa, a między nimi pomnik granitowy, w kształcie graniastosłupa, zakończony stożkiem, z hełmem niemieckim na jednym boku i napisem *Ihrem im Weltkrieg gefallenen helden. Gewidmet von dem Gemeinde Schönbrunn* (Bohaterom poległym w wojnie światowej. Ofiarowane przez społeczność Schönbrunn). Na dwóch bokach pomnika wykuto nazwiska poległych na frontach I wojny. Przy pomniku drewniany krzyż, dwa znicze i sztuczne żonkile w plastikowej donicy. Jakaś kobieta szła wzdłuż drogi. Zatrzymaliśmy auto.

– A ten pomnik to od zawsze tu stoi?! I zadbany taki?
– zawołaliśmy przez uchylone okno.

– Od niedawna! – odkrzyknęła. – Po wojnie ludzie go rozebrali na kawałki i rozrzucili. Kilka lat temu zostały znalezione na terenie dawnego pegeeru, oczyszczone i złożone do kupy. Niech stoi. Co to komu szkodzi?

Monschütz, czyli Mojęcice – „Na platformie, bez dachu, żeby krów pilnować”

Babcia Broni zastrzegała z góry, że na całe życie nie wyjedzie. Tylko co front przeminie, zaraz wrócą do Ponikowic. Tu, 90 kilometrów od Lwowa, miała swój dom, stodołę i cztery morgi pola, które po jej śmierci miała odziedziczyć córka i wnuczka.

Ale Józef Stalin miał inne plany wobec staruszki. Kiedy ona pasła i doła swoje dwie krowy, a był rok 1941, on w grudniu urządził przyjęcie na Kremlu. Dziwna to była pora na zabawę, bo Wehrmacht stał już 18 kilometrów od Moskwy, ale widać Jakow Dżugaszwili lubił ryzyko. Pod koniec przyjęcia poprosił na bok Władysława Sikorskiego, premiera rządu RP na uchodźstwie, i zapytał, czy będzie miał coś przeciwko małej korekcie powojennych granic wschodnich Polski, i że sam nie będzie miał zastrzeżeń, jeśli Polska po wojnie przesunie swe zachodnie granice na linię Odry. Sikorski kategorycznie odmówił. Stalin niezbyt się tym przejął. Przejęcie przez powojenną

Polskę części Niemiec miało ułatwić mu legitymizację aneksji polskich Kresów Wschodnich.

Żeby jakiś Stalin, niechby nawet i Józef, odbierał Polskę Kresy, ze Lwowem, jej wsią, stodołą i krowami włącznie? Niedoczekanie, powiedziałyby babcia Broni, gdyby ktoś chciał jej słuchać.

Ale nikt jej nie słuchał, a Stalin i tak postawił na swoim. W 1943 roku w Teheranie przekonał prezydenta USA Franklina Delano Roosevelta i premiera Wielkiej Brytanii Winstona Churchilla do rozmów o nowej wschodniej granicy Polski na linii Curzona. Co do zachodnich granic powojennej Polski nie precyzował wtedy jeszcze dokładnie, jak mają przebiegać.

We wrześniu 1944 roku powołany na polecenie Stalina Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego podpisał układy o przesiedleniach z władzami republik litewskiej, białoruskiej i ukraińskiej. Pierwsi repatrianci z Ukrainy dotarli do Lublina już w grudniu 1944 roku.

Całą ostatnią zimą do wsi babci Broni przychodzili agitatorzy, przekonując do wyjazdu na zachód. „Tu będzie teraz Rosja” – mówili. W to akurat babcia nie wierzyła. Ale odkąd jej zięcia młynarza zabił Ukrainiec, nie czuła się we wsi bezpiecznie. Zapisła się więc na wyjazd. Z zamiarem rychłego powrotu, jak tylko się czasy uspokoją.

Na początku kwietnia 1945 roku stały się więc na dworcu kolejowym w Brodach: samotna stara kobieta

(ona), jej wnuczka, półsierota Bronia (ojciec był na wojnie), lat 18, jej córka (wdowa po młynarzu) i dzieci wdowy. Miały z sobą dwie krowy (w tym jedną własną Broni, wykarmioną od cielaczka) i toboły z dobytkiem, a w nich między innymi olej lniany w litrowych butelkach (będą wymieniać w drodze za jedzenie) i karty ewakuacyjne, które zaświadczą w przyszłości, że Bronia zostawiła za Bugiem pół własnej stodoły i dwie morgi pola, które miała odziedziczyć po śmierci babci.

Nie miały już nigdy wrócić na ojczystą ziemię, ale o tym jeszcze nie wiedziały. Ich losy zostały przesądzone w lutym 1945 roku podczas konferencji w Jałcie, gdy potwierdzono ustalenia z Teheranu, choć znów dokładnego przebiegu granicy zachodniej nie ustalono. Padało wiele propozycji: granica miała przebiegać wzdłuż Odry z Wrocławiem i Szczecinem podzielonymi na pół; oba miasta miały zostać po stronie niemieckiej albo stać się całkowicie polskie. Szczecin w 1945 roku przechodził dwukrotnie z rąk polskich w niemieckie, zanim zdecydowano, że ma być jednak miastem polskim.

Na przełomie lipca i sierpnia 1945 roku w Poczdamie nowe granice Polski zostaną ostatecznie usankcjonowane. A już 16 sierpnia 1945 roku uznawany przez Zachód polski Rząd Jedności Narodowej podpisze traktat graniczny z ZSRR.

Babcia Broni coraz rzadziej będzie mówić

o powrocie, ale nigdy nie przestanie się dziwić, gdy nowe władze będą jej wmawiać, że urodziła się w Związku Radzieckim.

Główny Pełnomocnik
Polskiego Komitetu Wyzwolenia
Narodowego

F 9

25 maj 1945 r.

Zaświadczenie

dla ewakuacji do Polski

Nr 31205

Okaziciel niniejszego

Pracjnia Lamina
c. Geofila
(nazwisko, imię i imię ojca)

Rok urodzenia 1920

Miejsce urodzenia Goru

Narodowość polska

Ostatnie miejsce zamieszkania Inwenciom 19-2

Ewakuuje się do Goru rejonu

województwa

Z nim ewakuują się:

Pracjnia Leon J. Ferdy-
nanda w. 1931 r.

Ważne do dnia 25 września 1945 roku.

Pełnomocnik Rejonowy do spraw ewakuacji

(podpis)

Zaświadczenie o ewakuacji do Polski

Miesiąc po wyjeździe Broni i jej babci dwieście kilometrów dalej, pod Stryjem, w domku emerytowanego urzędnika, jego żony i ich dwójki dzieci (Izabeli, lat 19, i Adasia, lat 10), odbywały się krzyki. Co jest ważniejsze? Porcelana ślubna czy stare dokumenty rodzinne? Kryształ i obrusy czy pamiątkowe zeszyty szkolne? Co zabrać na całe życie, co porzucić? W tej rodzinie nikt nie łudził się, że wróci kiedyś na rodzinną ziemię.

Izabela Grdeń wspominała w „Pamiętnikach osadników Ziemi Odzyskanych”: „Bombardowania w pamiętnym wrześniu r. 1939 zlewały się ze wspomnieniami o napadach banderowców, pożarach gospodarstw i krzykach mordowanych przez nich dzieci i kobiet. Teraz można było wyjechać. [...] Chcieć uciec i zapomnieć”.

Kartę ewakuacyjną wypełnili za nich urzędnicy, sami szacując ich gospodarstwo w przedwojennych złotych.

Z dobytkiem życia w skrzyniach, z krową i piecykiem w maju 1945 roku wyruszyli spod domu. „Jeszcze ostatni raz spojrzenie na dom, na sad, na bzy przed domem – i wóz zaprzęgnięty w jednego nędznego konika ustrojonego w gałązki bzów rusza. Na progu stoi obojętny Ukraińiec, którego nie widzi się przez łyżę”.

Niedługo potem stawili się na stacji kolejowej w Stryju. Dopiero wtedy przypomnieli sobie,

że zapomnieli zabrać Brysia, ukochanego psa. Trudno było ukoić żal Adasia, ale nie można było wrócić po zwierzę. Pociąg na zachód mógł nadjechać w każdej chwili.

Plan przesiedlenia miał objąć miliony ludzi. Z rodziną Izabeli Grdeń i babci Broni z za Buga na ziemie zachodnie do 1947 roku miało wyjechać ponad 1,5 miliona Polaków; 1,6 miliona ludzi wracało z obozów koncentracyjnych, jenieckich i pracy przymusowej na zachodzie Europy, część decydowała się wracać z przedwojennej jeszcze emigracji; Związek Radziecki miało opuścić 250 tysięcy Polaków i Żydów deportowanych na Syberię i do Kazachstanu w 1940 roku; dwumilionową rzeszę stanowili mieszkańcy środkowej i południowej Polski, którzy w czasie wojny potracili domy i majątki albo w osiedleniu na zachodzie i północy nowej Polski upatrywali poprawy życia. Wysiedlenie z Ziem Odzyskanych czekało 3,5 miliona Niemców (wcześniej podobna liczba uciekła przed Armią Czerwoną).

Nawet jeśli się znały, nic o tym nie wiadomo. Musiały się mijać w podwrocławskich Mojęcicach, spotykać w drodze do kościoła, do sklepu i na pole. Ale Izabela Grdeń o tym nigdy nie napisała. A Bronisława Tworzowska jej nie pamiętała.

Znów trafiłam na kruchutką kobietę, jakby przedwojenne pokolenie robiono z porcelany. Bronisława Tworzowska mówiła szybko, poruszała się z prędkością światła, trudno było za nią nadążyć, płacz mieszała ze śmiechem, modlitwę z opowieścią. Z pokoju, w którym posadziła mnie przy długim stole (ma dużą rodzinę, mieszczą się tu wszyscy na święta), biegła do kuchni po drożdżówkę na drogę dla mojej córki, już zaraz kucąca przy szafce, szukając migdałowych ciastek na poczęstunek, na sekundę odskoczyła po ślubne zdjęcie, na chwilę siadła po drugiej stronie stołu, zalała się łzami, osuszyła je uśmiechem.

– Posadzili mnie na stacji w Brodach na platformie, wagonie bez dachu, żeby krów pilnować. Reszta jechała w wagonie z dachem – powiedziała. – Trzy tygodnie my jechali. W Katowicach stali bardzo długo i ja teraz wiem, że nie wiedzieli, dokąd nas wieźć, bo wojna była jeszcze nie skończona. Jak padało, to wszystko nam przemokło. Mieliśmy co jeść, bo skoczyłam, krowy podoiłam, olej wymieniłam. Aż któregoś dnia pociąg stanął w Wołowie i kazali nam wysiadać.



Przesiedleńcy z Kresów Wschodnich w drodze na Ziemię Odzyskane, rok 1945

Izabelę Grdeń czekała podobna droga: „...pod gołym niebem, na stacji w Stryju czekaliśmy trzy tygodnie. [...] Padał deszcz, paki pozaciekały. Okrywaliśmy je jak mogliśmy celtami, kawałkami blachy znalezionymi na stacji i rupieciami. Krowa schudła, najeżyła się. Kury nastroszone siedziały w klatkach, a deszcz padał i padał na udrękę ludzi i zwierząt”.

Pomogła łąpówka zebrana wśród zmęczonych

przesiedleńców wręczona naczelnikowi stacji. Pociąg podstawiono już następnego dnia. Izabela Grdeń wspominała: „...osłupieliśmy. Wagony były bez dachów. Zwyczajne węglarki wyższe i niższe”. Jednak wsiedli i podróż się zaczęła. Miała trwać sześć tygodni.

W miejscowości, do której jechali, w punkcie repatriacyjnym dowiedzieli się, że nie ma dla nich już miejsca. Skierowano ich dalej. Pod Krakowem stali na tyle długo, żeby naciąć koniczyny dla głodnych krów. „Raptem niespodziewanie opadli nas gospodarze i poczęli okładać kijami. [...] Nie mogliśmy pojąć, dlaczego tutaj jest inaczej. Myśmy jechali do kraju, bo tam nas banderowcy napadali. [...] ... spotkaliśmy się z zimną rezerwą. Na to nie byliśmy przygotowani”.

Pod Bydgoszczą też nie było miejsc. Poniemieckie gospodarstwa zostały już zajęte przez Polaków, którzy mieszkali bliżej niemieckiej granicy. Ruszyli na Zachód. Stanęli w Pile. Znów pojechali. Za Stargardem, w polu, na bocznicy, kolejarze odczepili wreszcie lokomotywę. Ale tu repatriantom się nie spodobało. „Ta miejscowość jeszcze nie była zamieszkała, a przez to nie była wcale bezpieczna dla nas, gdyż grasowało tam masę różnych maruderów i szabrowników, uprosiliśmy maszynistę i kierownika transportu, by nas zawieziono do województwa wrocławskiego”.

W połowie czerwca rodzina Izabeli Grdeń wysiadła na stacji w Wołowie.

Izabela z rodzicami i bratem trafili od razu do Mojęcic. Zamieszkali w niedużym gospodarstwie z Niemcem, dotychczasowym właścicielem. Pracowali na roli z pomocą konia „Józka”, półaraba, który służył w czasie wojny w wojsku. Ale cały czas marzyli o wyjeździe do miasta.

Bronisława z babcią, ciocią i dziećmi nie miały tyle szczęścia: – My trzy tygodnie w Wołowie siedzieli na gołej ziemi, wśród tobołków. Nigdzie nas nie chciano. Nie wszyscy tak mieli, tylko te rodziny, które składały się z samych kobiet.

Wanda Melcer pisała w swoim reportażu z Ziemi Odzyskanych: „Inny typ ciężkiego bardzo problemu, to problem tak charakterystycznej »słabej« i »mocnej« rodziny. Mocna nazywa się rodzina, gdzie mężczyzna jest jeszcze w sile wieku i zdolny do pracy, dzieci podchowane, kobieta młoda i zdrowa. Słaba jest rodzina, gdzie jedna kobieta ma przy sobie dwoje małych dzieci, a często jeszcze starego ojca i schorowaną matkę. Jakże to ta nieszczęsna »obsiadzie« gospodarstwo, gdzie pójdzie, co zrobi, kto będzie na nich pracował?”.

Bronisława Tworzowska: – Ciocia chodziła po wsiach, wszędzie było zajęte. Aż zaszła do Mojęcic. Dom był wolny, co prawda konie wcześniej stały w kuchni, ale nam się spodobało, bierzemy.

Przyszłyśmy rano, cały dzień z ciotką sprzątałyśmy, a tu już wieczorem przyszedł taki gość, co z wojny wrócił, i zabrał nam dom. Należało mu się, co zechce, a on chciał od razu do czystego. Nie było dla nikogo ważne, że myśmy to pierwsze zajęły. Musiałyśmy szukać dalej. W końcu znalazłyśmy pokoik przy stodole. Grunt, że było gdzie krowę postawić.

Izabela z rodziną przeniosą się za kilka lat do Szprotawy. Bronia i jej bliscy zostaną w Mojeńicach na zawsze. Z czasem zmienia dom na większy, w styczniu 1946 roku babcia wyda Bronię za męża, 69 lat później Bronia zostanie wdową. Wykształci swoje dzieci, jej córki będą nauczycielkami. Nawiąże kontakt ze swoją rodzinną wsią i krewnymi, którzy nie wyjechali z Boga. Będzie ich regularnie odwiedzać.

– Moja babcia miała syna, był ułanem, trafił do niewoli niemieckiej – powiedziała Bronisława Tworzowska, kiedy się żegnałyśmy. – Kiedy wracał stamtąd, jakoś się o nas dowiedział i przyjechał do Mojeńic. Chciał zostać, nie mógł przecież wracać pod Lwów. Ale jak się zorientował, że to ziemia niemiecka, to powiedział, że wyprowadzi się do prawdziwej Polski, i osiadł koło Gdańska.

– Nie wiedział, że tam też ziemie były niemieckie? – zdziwiłam się.

– Myślał, że to już Polska, tak długo tam jechał –
zaśmiała się.

Borowian, czyli Borowiany – „A na co dziecku polska mowa?”

Gdyby gromadę małych piesków, które mnie teraz
obszczekiwały, złożyć razem do kupy, powstałby może
jeden owczarek podhalański, przyszło mi do głowy,
kiedy zaglądałam przez płot pewnej Ślązaczki we wsi
Borowiany (gmina Wielowieś, powiat gliwicki,
województwo śląskie). To miała być ostatnia
miejscowość na naszej trasie po Ziemiach Odzyskanych.

W 1945 roku zamieszkała tu 18-letnia repatriantka
Maria Balińska, przesiedlona 30 kwietnia ze wsi
Rodatycze (województwo lwowskie). Jechała z matką
i małą córeczką Magdaleną. Była nauczycielką. Właśnie
dostała od władz zadanie utworzenia w Borowianach
polskiej szkoły.

Kupa szczekających piesków broniła wejścia do domu
kobiety, która mogła znać kiedyś Balińską. Tak mi
przynajmniej powiedział sołtys.

Maria Balińska była pierwszą osadniczką we wsi. Szkołę
otworzyła od razu, jeszcze w maju 1945 roku. Zapisano
się 79 uczniów. Wspominała po latach: „Dziewczęta

indagowały mnie: dlaczego my przyjechaliśmy na Śląsk, dlaczego nie zostaliśmy w Polsce? Odpowiedziałam, że ich mowa jest doskonałym dowodem, że Śląsk to Polska. Zapytałam, czy rodowity berlińczyk zrozumiałby ich mowę tak, jak ja rozumiem. Stwierdziły zgodnie, że nie”.

W czasie plebiscytu na Górnym Śląsku w 1921 roku za przynależnością do Polski opowiedziało się 148 borowian, za Niemcami 166. Wieś przed wojną należała do Niemiec. Balińska zauważyła, że w 1945 roku za Polaków uważali się w Borowianach rolnicy i część robotników. „Natomiast rodziny jakichś faworyzowanych uprzednio przez Niemców robotników uważały się za coś lepszego i ta grupa bardzo sceptycznie ustosunkowana była i do mnie, i do Polski”.

Pracę nad spolszczaniem dzieci zaczęła od nauki ludowych piosenek. Ubolewała nad brakiem właściwych lektur szkolnych. Potrzebowała „Potopu”, Kraszewskiego, żeby pokazać dawną wielkość Polski. A dysponowała „Antkiem”, „Placówką” i nowelami Konopnickiej. „Ja osobiście jestem wielbicielką Konopnickiej, ale przerabiając to z dziećmi stwarzałam obraz biednej, obdartej Polski, który w połączeniu z opinią o naszych osadnikach nie przyczyniał się do budzenia dumy narodowej”.

Nigdy nie przyjdzie jej do głowy, że za 69 lat wciąż będą ją pamiętać we wsi. I to nie dlatego, że była tu pierwszą polską nauczycielką. Ludziom zapadnie

w pamięć Maria Balińska, młoda kobieta, która raz, zsiadając z roweru, zdumiała się całkiem serio: „Jak to jest, że jak jadę na rowerze i jest z górki, to nie muszę pedałować?”.

Właścicielka hałaśliwych kundelków rozłożyła ręce. Jej tu nie było w 1945 roku, przyszła za mężem lata później. Ale jej znajoma, Niedworoczka – mieszkała za drogą, trzeba iść wzdłuż domów i potem prosto – to się tu urodziła. Pięknie do mnie mówiła ta kobieta za płotem: zdania składała po polsku, śląsku i niemiecku naraz.

Pies Augustyny Niedworok nie czekał za to wcale. Leżał sobie na ławce przed domem, na kocyku i w zapadającym szybko zmierzchu oglądał mecz badmintonu, który Tosia rozgrywała z tatą na pobliskim polu.

Siadłyśmy przy oknie, w kuchni wysprzątanej jak na Boże Narodzenie. Augustyna Niedworok (rocznik 1931) wsparła twarz o dłoń.

Jej rodzice stąd pochodzili i dziadkowie też. Ojciec miał na nazwisko Heilisch i przed wojną w domu rozmawiał z mamą po śląsku, ale już z dziećmi po niemiecku. Kiedy skończyła siedem lat, poszła do niemieckiej szkoły. Kiedy wybuchła wojna, trzech jej bracia poszli na wojnę. Przeżyli wszyscy. Sióstr Augustyna nie miała.

– Ciężko było, gdy Rus przyszedł do wsi – zapamiętała. – Był styczeń albo luty 1945 roku. Nad ranem byłam z koleżanką w lesie, goniłyśmy się w śniegu, nagle usłyszałyśmy strzały. W te pędy do domu. Zaraz Rusy przyszły do nas. Same grubasy, oficerzy. Chcieli zająć pokój ogrzewany. A my przecież nie mieliśmy ogrzewania. To poszli szukać gdzie indziej. A mama tak się ich wylękała, że zaraz krwią pluła. Gonili po całej wsi młode panny. Chodzili po domach i jak chcieli, to tam gwałcili. A ten, co miał nadzór nad wsią, uparł się na taką czarną. Trzy dni siedziała na belce pod dachem stodoły, rodzice jeść jej donosili, zmarzła okrutnie, ale nie dopadł jej. U nas też byli, zaraz konie zabrali, krowy strzelali na mięso, w szufladkach grzebali. Dużo nam nie zabrali, bo nie mieliśmy takiego bogactwa. Mnie nie zgwałcili. Może dlatego, że choć miałam 14 lat, byłam taka chuda, że wyglądałam jak dziecko?

Rodzice zdecydowali, że nie ma sensu wysłać Augustyny do polskiej szkoły założonej przez Marię Balińską. „A na co dziecku polska mowa?” – mówili. Powtarzali za ludźmi ze wsi: „Zaraz tu Anglicy przyjdą, zrobią porządek z Polską, za rok, najdalej dwa Polaków tu nie będzie”.

– Byliśmy Niemcami, czuliśmy się Niemcami, zrobiono z nas Polaków na siłę – mówi Augustyna Niedworok. – Mała byłam, nie wiem, ale ojciec chyba podpisał papiery i mogliśmy tu zostać. Polacy, którzy

przyjeżdżali do naszej wsi, nie wyrzucali nas z gospodarstw, ale zajmowali domy po tych kolonistach, co przyszli tu za Hitlera i potem uciekli na zachód.

Dumna ze swojej pracy wśród autochtonów Maria Balińska wstydziła się za osadników. Nie umieli i nie chcieli uprawiać ziemi tak jak Niemcy, nie dbali o gospodarstwa, bo liczyli na powrót do swoich ojczystych wsi, mieli brudno w domach i zagrodach. Balińska notowała: „Miejscowa ludność mieszkania ma urządzone dostatnio, dba o kulturę pomieszczeń, co w przeciwieństwie do mieszkań naszych osadników wywoływało olbrzymią różnicę na niekorzyść naszych. Nasze kobiety stały się pośmiewiskiem u Ślązaków, bo były zawsze zaniedbane w ubiorze, nawet w niedzielę koło domu chodziły boso, gdy miejscowe ubrane »z miejska« i boso nie chodziły. [...] Osadników rzadko nazywano Polakami, raczej Ukraińcami lub chadziajami [...] Przewiska »szwab« i »chadziaj« były na porządku dziennym”.

Augustyna Niedworok spojrzała na mnie. – Nie pogniewa się pani, jak coś powiem? – spytała. – Wszystko to prawda, co nauczycielka napisała. Naśmiewalim się z Polaków. „Chadziaje”, nie wiem, kto nam o nich powiedział tak, ale jeden to powiedział, a drugi się zaraz śmiał. Ich kobiety były bardzo

zaniedbane, terozki to straszne damy. A nasze zawsze były eleganckie. Była taka różnica między nami. Jedni Polacy dbali o swoje gospodarki, drudzy nie. Ale pijaństwa wcześniej we wsi nie było. Dopiero się te nasze chłopcy nauczyły pić od Poloków.



A potem zapytałam Augustynę Niedworok, kim jest po tylu latach życia w Polsce.

– Niemką – odparła. – Nie mam nic do Polski. Inni wyjeżdżali do Niemiec, myśmy z mężem zostali. Jesteśmy stąd, tu się pobudowaliśmy, to nasza ziemia.

A potem Augustyna Niedworok zapytała mnie, dlaczego właściwie tylu Polaków w 1945 roku przyjechało na Śląsk.

– Większość nie miała wyboru. Zabrano im ziemię tam, gdzie żyli – odpowiedziałam.

– Kto zabrał? – zdziwiła się.

– Roosevelt, Churchill, ale głównie to Stalin – zdziwiłam się, że tego nie wiedziała. – Polakom odciął kawałek Polski, Niemcom odciął kawałek Niemiec. Większość Niemców przeniósł do Niemiec, a Polaków na ich miejsce.

– Ach, to o to chodziło! – wykrzyknęła Augustyna Niedworok w sierpniu 2014 roku, 69 lat po wojnie.

Kwiecień 1945

Miejski Urząd Informacji i Propagandy zawiadamia instytucje i właściciele sklepów, iż materiał dekoracyjny na uroczystość „Powrotu do morza” w dniu 8 bm. można nabyć w Lidze Morskiej, ul. Krowoderska 8.

Po częściowym uporządkowaniu zamku na Wawelu udostępniono publiczności zwiedzanie tego najświetniejszego z ocalałych zabytków Polski. Na razie zwiedzanie dopuszczalne jest tylko w niedziele i święta.

„*Dziennik Polski*”, Kraków, 5.04.1945

Równi i wolni budujemy Stolicę.

Komitet Obywatelski XV Okręgu przy Kawęczyńskiej 2 organizuje kursy języków obcych. Lekcje języka rosyjskiego pod kierownictwem prof. Pietrowa rozpoczynają się 15 kwietnia rb.

„*Życie Warszawy*”, 8.04.1945

Dnia 12 bm rozpoczyna się 3ci z kolei Kurs Polityczno-

Spółeczny Urzędu Informacji i Propagandy m.st. Warszawy dla pracowników miejskich i państwowych. Kurs trwać będzie 2 tygodnie w godz. 8-14 w sali Rady Narodowej m.st. Warszawy.

Znakomity pianista prof. Zbigniew Drzewiecki wystąpi przed mikrofonem P.R. w nadzwyczajnej audycji chopinowskiej. Będzie to pierwszy występ znakomitego pianisty w Polskim Radio od 1939 roku.

„Życie Warszawy”, 10.04.1945

Komitet Obchodu Święta 1-go Maja w Warszawie prosi wszystkich obywateli, posiadających zbiory pieśni i utworów, związanych z tym świętem, o wypożyczenie ich na krótki okres czasu do wykorzystania. Zgłaszać się Otwocka 3 pokój 30.

„Życie Warszawy”, 12.04.1945

Zасыpywanie lejów i przekopów, układanie płyt chodnikowych i wszelkiego rodzaju naprawy nawierzchni ulicznych, mogą być dokonywane tylko po uprzednim porozumieniu się z Wydziałem Nadzoru i Zleceń Biura Odbudowy Stolicy (BOS).

W związku z pracami przy odbudowie Stolicy, wzywa się artystów-rzeźbiarzy na zebranie do lokalu Związku na Saskiej Kępie przy ul. Poselskiej 19, dnia 14.IV.45 o godz. 11 przed południem.

„Życie Warszawy”, 13.04.1945

—

Aby zachować zdrowie: Pijcie tylko wodę przegotowaną, chrońcie produkty spożywcze przed muchami, palcie śmieci.

„Życie Warszawy”, 14.04.1945

—

Działka da ci świeże warzywa, a w zimie konserwy.

„Życie Warszawy”, 16.04.1945

—

Założmy przy każdej stołówce gospodarstwo warzywno-hodowlane.

„Życie Warszawy”, 18.04.1945

—

W związku z rozdziałem oleju na kwiecień Wydział Apropowizacji zawiadamia wszystkie sklepy rozdzielcze spożywcze, aby przygotowały odpowiednie naczynia (beczki, bańki) do pobrania i rozdziału oleju.

—

Pracownicy drukarni Spółdzielni Wydawnicza „Książka”, Smolna 12 od kilku tygodni pracują na odbudowę Warszawy po 1 godzinie dziennie dłużej.

„*Życie Warszawy*”, 19.04.1945

—

Szkoła Główna Handlowa w Warszawie przyjmuje zgłoszenia na studia od osób zamieszkałych i pracujących w Warszawie. Bliższych informacji udziela sekretariat SGH w Warszawie, ul. Rakowiecka 6.

„*Życie Warszawy*”, 21.04.1945

—

Kandydaci do pracy przy ekshumacji zwłok zgłaszają się ze swoimi łopatami o godz. 8-ej rano w następujących punktach zbiórek: na Żoliborzu – ul. Lelewela 10, na Powiślu – róg Solca i Wilanowskiej, w Śródmieściu – ul. Koszykowa 24, na Mokotowie – ul. Willowa 8/10, na Czerniakowie – ul. Stępińska 42. Stawka wynosi 10 zł za godzinę, przy ośmiogodzinnym dniu pracy. Po zakończeniu robót przyznawane są premie.

„*Życie Warszawy*”, 22.04.1945

—

Kino „Polonia”, Warszawa ul. Marszałkowska Nr. 56

wyświetla od dnia 24 b.m. wielki film produkcji amerykańskiej Universal Pictures Corporation pt. „Adieu” z Margaret Sullivan w roli głównej oraz dodatek pt. „Belgrad” – wkroczenie wojsk sowieckich do stolicy Jugosławii.

„Życie Warszawy”, 23.04.1945

—

W ramach Milicji Obywatelskiej sformowano samodzielny batalion kobiecy. Milicjantki batalionu kobiecego przeznaczone są do regulowania ruchu ulicznego oraz do służby sanitarno obyczajowej.

„Życie Warszawy”, 24.04.1945

—

Krakowski Urząd Wojewódzki przypomina o zaciemnianiu i zasłanianiu świateł. Przekroczenie tego rozporządzenia podlega grzywnie do 500 zł. lub karze aresztu do dni 14 ewent. obu tym karom łącznie.

—

Wojewódzki Wydział Apropowizacji i Handlu zawiadamia, że z dniem 21 bm zawiesił całkowicie przyjmowanie podań w sprawie przydziału lokali poniemieckich i bezpańskich.

„Dziennik Polski”, Kraków, 25.04.1945

—

W czasie od 25 do 28 bm. wydawane będą karmelki na kupon Nr 1 kwietniowych kart dziecińczych w ilości po 100 g w cenie 50 zł za kilogram.

„*Życie Warszawy*”, 25.04.1945

—

Komitet Obywatelski Warszawa Północ na Żoliborzu ukończył instalację dwóch kuchen, jednej na Żoliborzu i drugiej na Bielanych, każda o wydajności po 250 porcji dziennie. Lokale doprowadzono do porządku, wystarano się o kotły, sprawiono urządzenie. Otwarcie kuchen dla podlegających opiece najbiedniejszych mieszkańców dzielnicy nastąpi natychmiast z chwilą otrzymania prowiantu z Wydziału Apropowizacji.

„*Życie Warszawy*”, 27.04.1945

—

Modeli i modelek potrzeba do pozowania dla studentów Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, pl. Matejki 12. Zgłoszenia przyjmuje sekretariat.

„*Dziennik Polski*”, Kraków, 30.04.1945

Dezertter

Nazywam się Stanisław Szroeder. Jestem Kaszubem. W styczniu 1945 roku zdezerterowałem z Wehrmachtu.

Pani nasza? Nie. To będę mówił po polsku.

No niech pani najpierw popatrzy tutaj. To *Wehrpass*, moja książeczka wojskowa. Tu mi wpisali *Grösse in Zentimetern*, czyli po niemiecku wzrost – 158. Niecały metr sześćdziesiąt. A tu *Körperbau*, czyli budowę ciała: *schlank*. Szczupły. *Augenfarbe* to kolor oczu – jasny i *Haarfarbe*, kolor włosów – blond.

Knôp byłem po prostu, co po kaszubsku znaczy chłopiec.

Mimo to panowie z komisji wojskowej w samym Stolp, czyli w Słupsku, uznali mnie w listopadzie 1944 roku za zdolnego do służby wojskowej i przyznali kategorię pierwszą. Posłali mnie zaraz na sześciotygodniową służbę w batalionie roboczym RAD w Deutsch Krone, czyli w Wałczu. Maszerowałem tam, czołgałem się, strzelałem i jeszcze w połowie grudnia zdążyłem złożyć przysięgę na wierność Führerowi.

Na święta posłali mnie do domu, do Kłęczna.

Na drogę dali maskę przeciwgazową i kartę powołania do Wehrmachtu. Kazali czekać na telegram.

Bo na front mieli mnie wezwać telegramem.

Ciekawe, jak Adolf Hitler wyobrażał sobie mnie na froncie? Mauser, karabin Wehrmachtu, miał metr i dziesięć centymetrów długości, niezaładowany ważył cztery kilogramy. Jak daleko, jego zdaniem, mógł dojść chłopiec z karabinem, amunicją, plecakiem, w za dużym mundurze i luźnych butach?

Chyba sobie jednak Führer nic nie wyobrażał. Po prostu pod koniec 1944 roku sytuacja III Rzeszy była beznadziejna. Hitler musiał walczyć na dwóch frontach, wschodnim i zachodnim. Liczebność armii spadała. Do utworzonego jesienią 1944 roku Volkssturmu rekrutowano dziadków i dzieci, którzy byli w stanie przebiec choć dwieście metrów w stronę wroga. A potem umrzeć.

Pobór do Wehrmachtu dotknął też takie knôpy jak ja.

Ale tak się złożyło, że ja umierać nie zamierzałem.

Telegram przyszedł na początku roku. Stało tam, że 8 stycznia z dworca w Bütow, czyli w Bytowie, mam wyznaczonym pociągiem dojechać do jednostki w Rummelsburgu, czyli w Miastku.

Postanowiłem jednak, że nie pojedę. Nikomu nic nie powiedziałem. Mama i rodzeństwo nie zrozumieliby. Wiadomo było, że za dezercję mógłby mnie zastrzelić pierwszy lepszy szeregowiec. Już samo mówienie o nadchodzącej klęsce Hitlera traktowano jak zdradę. Groziła za to śmierć przez powieszenie.

Ale bałoby się też o siebie. O to, że przyjdzie do nich gestapo pytać, czemu Stach nie stawił się na front.

Może tylko mój ojciec, czyli po kaszubsku ojciec, mógłby mnie zrozumieć? Jego już jednak nie było.

Milczałem więc. To była moja decyzja. Nie wiem, skąd brałem siłę.

Tamtego dnia wstałem rano. Do plecaka włożyłem bochen chleba od mamy, duży, piecowy. Kawał słoniny. Przewiesiłem przez ramię chlebak z gazmaską.

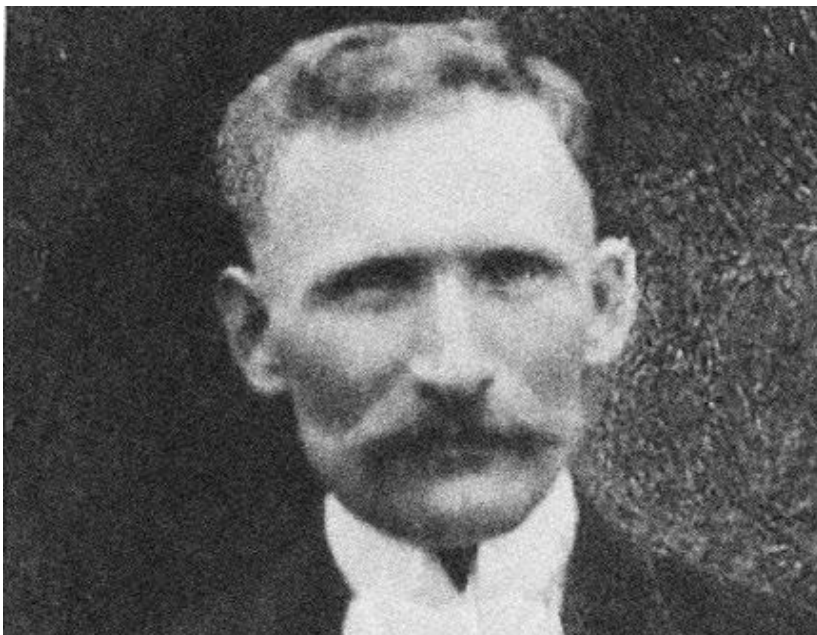
Brat Zygmunt poszedł po konia i sanie. Miał mnie zawieźć na dworzec.

Ruszyliśmy.

Bardzo się bałem tego, co mnie czeka.



Stanisław Szroeder, zdjęcie z ok. 1943–1944 roku



Antoni Schröder

Mama moja Franciszka stała przed domem i machała. Płakała? Wyobrażam sobie, że każda matka płacze, kiedy posyła syna na wojnę.

Urodziła dwanaścioro dzieci, pierworodne zmarło. Byłem siódmy z kolei. Kiedy sanie zniknęły jej z oczu, weszła z powrotem do domu.

Dwóch starszych synów już wcześniej oddała Wehrmachtowi. Obaj mieli przeżyć wojnę. Od dwóch lat była wdową.

Przyjechaliśmy do Bytowa. Brat powiedział, że poczeka, aż mój pociąg odjedzie. Żeby było mi raźniej. Maryja Józef swiāti! Jak tu się go pozbyć, żeby nie wiedział, że ja nawiewam? „Wiesz co, Zygmunt? – powiedziałem. – Zimno jest, koń głodny, moja bana zaraz będzie. Więc ty jedź już szczęśliwie do domu”. On pojechał, a ja uradowany.

Przy jednym peronie stał mój pociąg do Rummelsburga. Ale ja wskoczyłem do innego, w przeciwnym kierunku, do Lauenburga, czyli Lęborka. Miałem plan, żeby wyskoczyć na stacji w Wutzkow, czyli Oskowie, i stamtąd przedostać się do domu ciotki Justyny, siostry mojego ojca. Mieszkała w Łyśniewie, które przed wojną było po polskiej stronie.

Siedzę więc już w wagonie. Ale jak ja siedzę! W strachu takim. Diabliwo działa się w mojej głowie. Wtem widzę przez okno, że z budynku dworca wychodzi dwóch żołnierzy z karabinami i wsiadają do mojego pociągu! Wiedziałem, że będą kontrolować dokumenty każdego pasażera. Wsiedli, ruszamy. A ja już jestem dezserterem. W cywilu wprawdzie, ale w kieszeni mam powołanie do wojska, które jest biletem, ale w drugą stronę.

Co tero, Stachu, co tero?

Pomyślałem, że oni będą kontrolować pociąg od końca, a ja siedziałem z przodu. Na stacji Groß Pomeiske, czyli Pomysk, wyskoczyłem więc z wagonu, przebiegłem peronem na koniec, omijając wagon,

w którym byli, wsiadłem i przejechałem jeszcze dwie stacje, aż do Oskowa.

Może pomyślałem wtedy, co ojciec by na to powiedział? Nie pamiętam już.

Ojca kochałem i słuchałem. Jak mi zabronił podnosić rękę podczas śpiewania hymnu III Rzeszy w niemieckiej szkole powszechnej, to nie podniosłem. „Jesteś Polakiem. Możesz stać na baczność, zdjąć kapelusz, ale ręki, jak Niemcy, podnosić nie musisz” – mówił tato. Nauczyciel złał mnie za to trzcinką, ale poryczałem się dopiero po dłuższej chwili.

Tato mój Antoni Schröder uważał się za polskiego Kaszuba, któremu traktat wersalski przyniósł pecha. Gdy po I wojnie światowej wyznaczano granice nowej Europy, Kaszuby podzielono jak tort, na trzy kawałki. Największa porcja przypadła II Rzeczypospolitej, mniejsza Wolnemu Miastu Gdańsk, a kawałek z ziemią bytowsko-lęborską, gdzie w lasach była nasza rodzinna wieś Kłāczĕno (po polsku Kłęczno, po niemiecku Klonschen), został przy Niemcach, kilka kilometrów od Polski. Ojcu, obywatelowi Rzeszy, przyszło więc żyć na pograniczu, po niewłaściwej, jego zdaniem, stronie. Nie zamierzał się poddawać. Organizował wiece na rzecz przyłączenia Bytowszczyzny do Polski. Mówił po polsku, choć z nami w domu tylko po kaszubsku.

Czytał i pisał w tym języku. Prenumerował „Głos Pogranicza i Kaszub” i „Przewodnik Katolicki”. Próbował otworzyć we wsi polską szkołę. Nigdy nie dostał na to zgody, w dodatku jej budynek spłonął w niewyjaśnionych okolicznościach. Tato działał w Związku Polaków w Niemczech.

W 1933 roku rozpoczął współpracę z komórką wywiadowczą polskiej Straży Granicznej. O tym ostatnim dowiedzieliśmy się jednak kilkadziesiąt lat później.

Pyta pani, dlaczego tak bardzo zależało mu na Polsce, której nie dość, że nie znał dobrze, bo całe życie spędził pod władzą niemiecką, to jeszcze ona tej miłości mu nie odpłacała? Nie wiem. Tak było i już.

Większości Polaków Kaszubi byli obojętni. Traktowali nas jak odmieńców, dziwaków, a nasz język uważali za niemiecki, choć to słowiańska mowa. Ale Niemcy byli Kaszubom jeszcze bardziej nieprzychylni. Byliśmy dla nich obywatelami drugiej kategorii. Chciałeś awansować? Musiałeś się zgermanizować. Poza tym Niemcy to byli głównie protestanci, a Kaszubi to katolicy.

Tato mógł też wybrać trzecią drogę, najpowszechniejszą wśród Kaszubów, rozczarowanych do Polaków i Niemców. Tacy byli po prostu swoi, miejscowi. Ich ojczyzna nie sięgała dalej niż za trzy wsie, nie znali żadnej innej mowy poza kaszubską. Ale nie chciał.

Wkrótce po laniu, jakie mi sprawił nauczyciel, òjc wysłał mnie do Kwidzyna, gdzie funkcjonowało jedno z dwóch polskich gimnazjów na terenie Rzeszy (drugie w Bytomiu). Skończyłem tam pierwszą klasę gimnazjum. Wakacje 1939 roku spędziłem w domu, we wrześniu wróciłem do Kwidzyna. Tato nie mógł mnie tym razem odwiedzić. Władze wzywały go do Berlina.

Kiedy rozpoczęła się wojna, naszą szkołę otoczyli kordonem niemieccy żołnierze. Wywieziono nas ciężarówkami do Tapiaw w Prusach Wschodnich. Tam mieszkaliśmy miesiąc w opustoszałym domu opieki dla chorych psychicznie. Potem odwieziono nas do domów.



Wysiadłem z pociągu. Czekало mnie 16 kilometrów pieszo. Droga do ciotki Justyny wiodła przez pola i las. Biegłem, nie wiedząc, co mnie czeka za kilometr, dwa. Była odwilż, śnieg topniał, nie wiedziałem już, czy jestem cały mokry ze strachu, czy od wysiłku. A może od śniegu? Co sto, dwieście metrów rzucałem się na ziemię i zanurzałem głowę w zasy. Bagażu dużego nie miałem, ale i tak ciążył. Nie mogłem go jednak porzucić. Jakby tak kto znalazł moją maskę przeciwgazową i ruszył za mną po śladach? Jak ja się namodliłem w tamtej drodze, to pani nie ma pojęcia. „Maryja Józef swiãti! Jic Stachu, bo albo ty

przetrzymasz, albo tu będziesz pochowany gdzieś”. Idę więc i nagle widzę podwórze wujostwa. Jeszcze dwieście, trzysta metrów i jestem u cioci! Podszedłem do okna, a tam przy stole obcy ludzie z wujem i ciotką siedzą i rozmawiają.

Nagle psy mnie obskoczyły, zaczęły ujadać. Mój kuzyn Bolesław, starszy nieco ode mnie, wyszedł z domu. „Kto tam?!” – wołał. Ja siedzę cicho. „Kto tam?!” – powtórzył. „Tu je Stach” – odkrzyknąłem w końcu.

I. Angaben zur Person		
1	Familiennamen <i>Schulze</i>	
2	Vorname <i>Stach</i>	
3	Geburtsort Geburts- tag <i>1. April 1928</i>	
4	Geburtsort Verwaltungs- bezirk v. B. Kreis, Reg. Bezirk <i>1-10 - Krosno</i>	
5	Staatsangehörigkeit nach Wehrkraft <i>Pol.</i>	
6	Religiöses Bekenntnis <i>Kath.</i>	Zahl der leb. Kinder
7	Familienstand <i>led.</i>	
8	Beruf nach Berufs- verzeichnis berufliche Tätigkeit <i>Wagner</i>	
9	Eltern Vater <i>Ludwig Sch. Schulze</i> Mutter <i>Pauline Sch. Schulze</i> Beruf nach Berufsverzeichnis <i>Lehrer</i> <i>geb. Jordan</i> <i>+ 1940</i>	

Vor den Bestimmungen auf Seite 24, 25 und 26 habe ich Kenntnis genommen	
<i>Hausleus Schmidt</i> (Eigentätige Unterschrift des Inhabers - Inhabers, Familienname)	
in Zeile 10 <i>1-58</i>	Angabende <i>401</i>
Unterschrift <i>Hausleus Schmidt</i>	Stempel <i>1-10</i>
Inhabers Unterschrift v. B. Kreisamt	
Blutgruppe	

III. Reichsarbeitsdienst			noch III. Reichsarbeitsdienst		
Dienstlaufbahn			BAD-Stammrolle-Nr.	Tag, Monat, Jahr	Dienstwegung
Eingestellt als <i>Lu. Sp.</i> mit RAD-St. Nr. <i>61-3-3873</i> am <i>21.11.44</i> bei Abt. <i>6/93</i> Standort <i>Rückbau</i>			<i>Lu. Sp.</i>	<i>30.11.44</i>	<i>DA. D. 6/93</i>
BAD-Stammrolle-Nr.	Tag, Monat, Jahr	Dienstwegung			
<i>6/93-330/0</i>	<i>12.12.44</i>	Auf den Führer - <i>ausgeschlossen</i> <i>verweigert</i>			
Ab <i>21.11.1944</i> im besonderen Einsatz im Rahmen der Wehrmacht im Heimatwehrgeschiebe bis <i>0.1.1945</i>					
Abteilungsleiter im RAD-Stammrolle-Nr. <i>6/93-330/0</i> am <i>29. Nov. 1944</i> <i>Hefewe</i> 					
Eignung					
Entlassungsgrund					
Reichsarbeitsdienstpflicht erfüllt					

Książeczka wojskowa Stanisława Szroedera

Tatę skazano na śmierć za zdradę III Rzeszy. Niemcy znaleźli jego nazwisko w aktach polskiego wywiadu, które we wrześniu 1939 roku trafiły w ich ręce.

W ostatnim liście do nas napisał: „Kochana żono! Kochane Dzieci, dziś zakomunikowano mi, że będę musiał umrzeć. Serdecznie Was ściskam i pozdrawiam. Kiedy list do Was dotrze, już nie będę żył”.

1 kwietnia 1943 roku kat, zatrudniony przez berlińskie więzienie Plötzensee, ściął mu głowę. Harald Pelchau, kapelan więzienny, który był przy egzekucjach, napisał wspomnienia. Przeczytam pani ich fragment: „Utrata

krwi była ogromna. Za każdym razem nogi umierającego drgały z takim rozmachem, że drewniaki spadały szerokim łukiem”.

Rzesza ogłosiła przepadek naszego gospodarstwa na rzecz państwa. Nas planowano wywieźć do Meklemburgii w celu ostatecznego zniemczenia.

Wie pani, ja po wojnie zmieniłem nazwisko. Tatk Antoni miał wpisane w dokumenty Schröder. Spolszczyłem je.

Zaraz siedziałem u ciotki przy stole. Ktoś mnie pochwalił, że dobrze zrobiłem, dezercerując. „Niemry już długo nie pociągną” – usłyszałem.

Ci obcy ludzie, których zobaczyłem u wujostwa przez okno, to było czterech Rosjan, którzy uciekli z niemieckiej niewoli i ukrywali się w Łyśniewie, czekając na rychłe nadejście swoich.

Mama nie wiedziała, gdzie jestem, myślała chyba, że jej tyci knopik zginął na froncie, bo nie pisałem do domu. Ale nie miała kłopotów z powodu dezercji syna. Gestapo jej nie nachodziło, mieli ważniejsze sprawy na głowie. Wojna zaraz miała się kończyć. Szykowali się do ewakuacji.

A ja w Łyśniewie pomagałem wujostwu w gospodarstwie i ze wszystkimi czekałem na Ruskich. Matko, jak ja czekałem! Jak na zbawienie. Armia

Czerwona miała mi przynieść wolność od wojska, frontu i śmierci.

Czekaliśmy cztery lub pięć tygodni. Aż obudziłem się pewnego ranka i wokół panowała cisza.



Cisza. Może nie jak makiem zasiał, bo kogut pieje, kury gdaczą, z obory słychać zwierzęta. Ale mimo to 8 marca 1945 roku w gospodarstwie wujostwa panowała cisza. Mgły zwiesiły się nisko nad polami. Nie słychać było żadnych strzałów. Żadnych rozkazów wydawanych po niemiecku. Żadnych silników wojskowych ciężarówek. Żadnego zgrzytu gąsienic czołgów. Stach jeszcze by pospał, ale Bolesz szarpnął go za ramię: „Nie ma niemieckiego wojska! Nie ma żadnego żołnierza, który by się okopywał! Na Gdańsk musieli pójść”. Stach wstał i wybiegł na werandę. Nasłuchiwał ciszy i odruchowo dotykał kieszeni. Wyczuwał w niej, złożoną w czworo, kartę powołania do Wehrmachtu.

Obok Stacha na werandzie stanęli w milczeniu: ciotka Justyna, wuj Piotr, kuzynka Ksenia i Wanda, kuzyn Bolesz, czterech radzieckich żołnierzy.

Nie wiadomo już, kto z nich pierwszy zauważył postaci żołnierzy. Biegli od strony wsi Pusdrowo (Puzdrowo). Z flintami w dłoniach, posuwali pochyleni. Niemcy czy Ruscy? Za daleko, nie widać. „Czołg jedzie!”, ktoś na werandzie przerwał ciszę.

„Z gwiazdą!”. To są Ruscy! Hura! Matko Święta! Hura!!!
Dziesięć osób stłoczonych na werandzie domu ciotki
Justyny we wsi Łyśniewo wrzeszczało i machało
rękami.

„Jak na najpiękniejszym obrazku filmowym” – powie
mi za 69 lat Stanisław Szroeder.

Syn Antoniego Schrödera.

Maj 1945

—

Komendant garnizonu m.st. Warszawy płk. dypl. Janowski w rozkazie Nr. 10 zarządził, że chodzenie po mieście dla osób cywilnych jest dozwolone od godz. 5 rano do godz. 22 wieczorem letniego czasu środkowo-europejskiego. Równocześnie komendant garnizonu w związku z wprowadzeniem czasu letniego zarządza aby wszystkie jednostki wojskowe przesunęły zegary o jedną godzinę naprzód.

—

Robotnicy i pracownicy fabryki „Cynkownia Warszawska” zebrali ze swoich skromnych zarobków sumę 320 zł, którą przeznaczyci jako dar pierwszo i trzeciomajowy dla rannego Żołnierza Polskiego.

—

Wezwanie. Mieszkańcy Stolicy! Dzień zdobycia Berlina, dzień zdobycia jaskini hitlerowskiej bestii, jest dniem triumfu wszystkich wolnych narodów świata. Jest to nasze wielkie święto. O upadku Berlina marzyliśmy, gdy Niemcy burzyli i palili Warszawę. W nadejście tego dnia wierzyli ci, których już nie ma, którzy padli pod gruzami stolicy. Dziś o godz. 12-iej w południe na Placu Teatralnym odbędzie się wielki wiec ludności Stolicy

z okazji zdobycia Berlina. Wszyscy na wiec!

Komitet organizacyjny Towarzystwa do Walki z Alkoholizmem (Grochowska 124) wzywa wszystkich przedstawicieli zarządów Związków Przeciwalkoholowych do skomunikowania się z komitetem w celu zwołania ogólnokrajowego zjazdu abstynentów.

„Życie Warszawy”, 4.05.1945

Wydział Opieki Społecznej wznawia opiekę nad dziećmi w rodzinach zastępczych. Wobec tego rodziny zastępcze powinny jak najszybciej zgłaszać się w Biurze Wydziału Bagatela 10.

„Życie Warszawy”, 5.05.1945

W sobotę o godz. 17 odbędzie się „Czarna Kawa” u Literatów z programem pt. „Transparent”. Transparent przeczyta Wyka. Poza tym wystąpią: Dygat, Miklaszewski i Otwinowski.

Dla uczczenia zwycięstwa nad Niemcami odbędzie się w niedzielę 13 bm. o godz. 10 uroczyste nabożeństwo w synagodze przy ul. Miodowej.

„Dziennik Polski”, Kraków, 6.05.1945

—

Kasa im. Stefczyka na Grochowie wznowiła już swoją działalność, przyjmuje nowych członków, udziela pożyczek i załatwia wszelkie czynności bankowe. Na razie biuro Kasy jest czynne tylko w czwartki w godz. 16-18 przy ul. Szczawnickiej 18. Kasa wzywa dłużników do regulowania należności.

—

Ambulatorium dla chorych wenerycznie i skórnych już jest czynne przy ul. Koszykowej 82.

„Życie Warszawy”, 6.05.1945

—

Kompania Ruchu przy Komendzie Milicji Obywatelskiej m.st. Warszawy potrzebuje kandydatek do regulowania ruchu ulicznego. Zgłaszać się do kancelarii Kompanii Ruchu, Kępa 15 m. 11.

—

Dnia 15 b.m. uruchomionych będzie 6 przenośnych aparatów kąpieliskowych przy Ośrodkach Zdrowia dla walki z wszawicą u ludzi, którzy są w bezpośrednim kontakcie z dudem plamistym oraz dla walki z epidemią świerzbu. Do 1 lipca BOS wyremontuje 4 stałe kąpieliska.

„Życie Warszawy”, 7.05.1945

—

W dniu wczorajszym został otwarty ruch dwustronny dla pieszych na moście pontonowym. Pojazdy konne są w dalszym ciągu przepuszczane wahadłowo – co pół godziny. W ten sposób została usunięta jedna z bolączek ruchu miejskiego, jaką były zatory pieszych po obu stronach Wisły.

„Życie Warszawy”, 10.05.1945

—

Transport 60 ton środków leczniczych i narzędzi chirurgicznych – dar Ameryki dla Polskiego Czerwonego Krzyża – znajduje się już w Murmańsku, skąd kolejami przyjedzie do Warszawy.

„Życie Warszawy”, 12.05.1945

—

Jak wiadomo brygady pracy przeprowadzają oczyszczanie i gromadzenie w kozły (po 1000 sztuk) cegły ze zburzonych budynków. Stwierdzono liczne wypadki rozkradania cegieł przez nieuczciwe jednostki dla celów czysto prywatnych.

„Życie Warszawy”, 13.05.1945

—

Ostatnio zdarzają się wypadki, że w sklepach i kramach używane są jako papier do opakowania akty pochodzące z archiwum PCK. Fakt ten obala pierwotne przypuszczenie, że archiwum to całkowicie zostało spalone w sierpniu 1944 r. Część materiałów została prawdopodobnie wyniesiona przez ludzi nie doceniających znaczenia tych aktów, zwłaszcza dotyczących ofiar wojny: poległych, zmarłych, jeńców, inwalidów itp. z budynku przy ul. Smolnej.

PCK zwraca się z gorącym apelem do ludności warszawskiej, aby zechciała dopomóc do odzyskania tych aktów.

Wobec wielkiej frekwencji jaką cieszą się samoloty kursujące na trasie Warszawa – Bydgoszcz – Gdańsk PLL „Lot” uruchomiły z dniem 14 bm. dodatkową linię bezpośrednią Warszawa – Gdańsk i z powrotem. Linia czynna jest w poniedziałki, środy, piątki. Odlot z lotniska na Okęciu o godz. 12-ej.

„Życie Warszawy”, 15.05.1945

Na skutek chwilowych trudności technicznych Elektrownia nie jest w stanie zasilać miasta energią elektryczną jak dotychczas. Chcąc uniknąć niepotrzebnego odłączenia budynków, Elektrownia zwraca się z prośbą, aby: Wszystkie prywatne warsztaty

pracowały wyłącznie od godz. 23-ej do 6-ej. Wszyscy odbiorcy stosowali jak największe ograniczenia w godzinach rannych i wieczornych.

„Dziennik Powszechny”, Radom – Kielce, 16.05.1945

—

Dbajcie o czystość miasta paląc i zakopując co najmniej 1 metr głęboko śmiecie oraz wszelkie odpadki znajdujące się wokół waszych budynków mieszkalnych. Nie pijcie wody nieprzegotowanej.

„Dziennik Bałtycki”, 20.05.1945

—

Idziemy na Zachód.

„Życie Warszawy”, 24.05.1945

—

W związku z koniecznością ratowania bezcennego mienia narodowego, którym jest książka, a które wojna tak straszliwie wyniszczyła, Ministerstwo Oświaty uruchomiło Centralę Skupu Książek (kierownik Władysław Gutry, Kuratorium Warszawskiego Okręgu Szkolnego, Marszałkowska 6).

Wszyscy, którzy chcą sprzedać książki (po cenach rynkowych), a równocześnie pragną aby trafiły one do bibliotek publicznych zgłoszą się do Składnicy Centrali ul. Lwowska 7 w godz. 13-15.

W czasie od 25 bm. wydawana będzie marmolada na kupon nr 4 dzieciennych kart kwietniowych w ilości po 0,5 kg. Cena 13 zł za kilogram.

„Życie Warszawy”, 25.05.1945

Starostwo Grodzkie Warszawsko-Praskie informuje, że ze względów bezpieczeństwa bramy wejściowe domów muszą być zamykane od godz. 22 do godz. 5 rano. Każda brama musi być ponadto zaopatrzona w dzwonek do dozorczy tak, aby mieszkańcy mieli łatwy dostęp do domu.

Ekshumacja zwłok przy ul. Szpitalnej 4 (w podwórzu) odbędzie się we wtorek, dnia 29 bm. W środę dnia 30 bm. nastąpi ekshumacja zwłok na terenie Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych (Wybrzeże Gdańskie).

„Życie Warszawy”, 25.05.1945

Urząd Stanu Cywilnego przy Zarządzie Miejskim w Gdańsku poszukuje do natychmiastowego zaangażowania sześciu urzędników z dokładną znajomością języka niemieckiego. [...] Ponieważ w tej chwili są możliwości mieszkaniowe i uzyskania

stanowiska kierowniczego bardzo szerokie, zaleca się jak najszybszy przyjazd. Zgłaszać się do Zarządu Miejskiego w Gdańsku.

Musimy teraz wszyscy pracować tak, jak walczył nasz żołnierz na froncie!

„Dziennik Bałtycki”, 27.05.1945

Dnia 6 bm. zgubiono na ul. 11 Listopada medal wojskowy „Za obronę Stalingradu”. Znalazca proszony jest o zwrot pod adresem ppor. Ryży Michał ul. Środkowa nr 6.

„Życie Warszawy”, 28.05.1945

Zapałki na kartki. Poczynając od dnia 4 czerwca wydawane będą zapałki na kupon nr 20 kart majowych w ilościach dla kat. I, II, IR i III po 2 pudełka i dla kategorii IIR po 1 pudełku. Cena 0,50 zł za 1 pudełko.

„Życie Warszawy”, 30.05.1945

Warszawa. Rzeczy pierwsze

Ruiny

Janina Broniewska (pisarka, żona poety): „Jadę wzdłuż do cna wypalonych domów. Piękna. Wilcza. U wylotu bocznic zwały gruzów na parę metrów. Dalej perspektywy ruin, ruin, ruin. Na środku jezdni zwał gruzów. Wymijamy go łukiem.

Przyjaciele-warszawianie! Zrozumcie! Nie ma nic. Nie ma nic. Nie ma tu Waszej matki, nie ma żadnego dozorca. Tu jest cmentarzysko. Tu jest śmierć. To nie Marszałkowska, Wspólna, Nowogrodzka. To jest najstraszniejszy sen”.

Józef Sigalin (architekt): „Wiatr. Straszno. Róg Alej i Nowego Świata. Olbrzymia dziura w jezdni. Jak krater kilkunastometrowy. Zawalony strop nad tunelem kolei średnicowej. Wąwóz Nowego Świata. Straszny widok. Tu nie ma nic. Złowrogi jar. [...] Coraz tu puściej. Plac Zamkowy. [...] Dookoła cisza. Pustynia. Kierowcę złapałem za rękę: »uwaga! trup na drodze!« Prawie wjechaliśmy na niego kołami. Zeskoczyłem. Zacząłem otrzępywać ze śniegu. Król Zygmunt. Leżał na wznak,

oczy ku niebu. Zapłakałem”.

Lilka Frindt (uczennica, lat 18): „Dwa obrazy. Jeden to Starówka z leżącym posągiem Króla Zygmunta III i obszar byłego getta. Na Starówce były ruiny, ale szczątki domów sterczały. Choć od piwnic było widać niebo, to jakiś ślad dawnej zabudowy pozostał. W getcie natomiast była kamienna pustynia. Grunt lekko pofałdowany, ale nic nie zatrzymywało wzroku, nic nie sterczało. Nie mogłam uwierzyć, że kiedyś stały tu domy, że to była normalna dzielnica Warszawy z miastem kamienic i ludzi”.

Jerzy Putrament (pisarz): „Jadę na chybił trafił. Getto było zbyt wielkie. Nie pytając niemal nikogo natrafiłem na wysoki, czerwony mur. Kilkaset metrów i jest brama. Podręczniki geografii wymieniały kiedyś z pewną dumą Pustynię Błędowską, naszą największą piaszczystą Saharę. W środku Warszawy jest dziś kamienista, betonowa, ceglana pustynia. Kto wie, czy nie większa od tamtej. [...] Zwaliska ciągną się regularnymi łańcuchami jak wydmy. I to tylko pozwala dostrzec miejsca byłych domów”.



Warszawa, marzec 1945. Plac Zamkowy i ruiny Starego Miasta.
Na pierwszym planie kolumna Zygmunta III Wazy zniszczona
podczas powstania warszawskiego przez pocisk z niemieckiego
działa czołgowego w nocy z 1 na 2 września 1944 roku

Min niet

Miny, niewybuchy, pociski, bomby lotnicze są wszędzie. Niemcy nie zdążyli wysadzić wszystkiego, co przygotowali do zniszczenia. Nie zdołali zabrać z sobą całej broni i amunicji. Teraz wystarczy zejść z utartej ścieżki, zrobić nieuważny krok w ruiny, żeby

wylecieć w powietrze. Wkrótce „Życie Warszawy” będzie pełne nekrologów o tragicznych zgonach.

Eugeniusz Ajewski (powstaniec, architekt) w styczniu 1945 roku jest zmuszony nocować z kuzynką w gruzach przy Puławskiej 103. Zapamięta: „Rano, gdy już zaczęło świtać, szliśmy tymi samymi śladami wydeptanymi w śniegu, co i wieczorem. Jakież było nasze przerażenie, gdy ujrzeliśmy tuż przy naszych stopach dwie potężne miny talerzowe. Wystarczyło pięć centymetrów, żeby któreś z nas nadepnęło je”.

Dowództwo Wojska Polskiego powołuje Główny Sztab Rozminowania Miasta Stołecznego Warszawy. Szefem sztabu zostaje Rosjanin pułkownik Piotr Puzerewski, dowódca 2. Brygady Saperów. Już 18 stycznia 1945 roku do oczyszczania miasta kieruje 2., 4. i 5. Samodzielną Brygadę Saperów, 3. Brygadę Pontonowo-Mostową i jednostki radzieckie. Stolicę rozminowują ponad 4 tysiące żołnierzy.

Ale sami nie dadzą rady. Dowództwo Inżynieryjnych Wojsk nawołuje w połowie kwietnia 1945 roku do pomocy wszystkich Polaków: „Społeczeństwo powinno własnymi siłami ogradzać i oznaczać wskaźnikami wszystkie wiadome miny i miejsca, gdzie leży amunicja”. Za wskaźniki mają służyć dwumetrowe żerdzie z pękiem słomy na wierzchołku. W dodatku proste roboty przy rozminowywaniu ludzie powinni wykonywać sami, po ukończeniu kursów przy gminach i powiatach. Czy takie kursy odbywają się w Warszawie?

Nie wiadomo.

Ludzie dziwią się pracy saperów. Z przedwojennych pism ilustrowanych pamiętają artykuły o wykrywaczach min, samochodach przeciwminerskich, wózkach magnetycznych pchanych przed czołgami. Tymczasem żołnierze są „uzbrojeni dziwnie – długie tyki zakończone stalowymi prętami. Mundury szare, nędzne” – zauważa Jerzy Hryniewiecki (architekt). Rozmawia z saperami. Mówią z wileńska, mają powolne ruchy jak w zwolnionym filmie. Wynik temperamentu czy nawyk z pracy?

Miejsca niebezpieczne żołnierze oznaczają napisem „MINY!”. Miejsca wolne od zagrożenia podpisują: „MIN NIE MA” albo „Miejsce rozminowane dnia...”. Rosjanie piszą cyrylicą MIN NIET. Czasem składają podpis. Monikę Żeromską, córkę pisarza, to rozczuła: „To tu, to tam napis – »Min niet« – i podpis pod tą informacją – »Kuś«. Dzięki, dobry panie Kusi»”.

„A walka ta toczy się wśród życia normalnego, wśród straganów z bimbrem, stosów bułek, »ciuchów«” – notuje Hryniewiecki.

Na początku marca saperzy skończą główne prace przy rozminowywaniu Warszawy. W tym czasie uda im się zdjąć i zniszczyć ponad 15 tysięcy min i 75 tysięcy pocisków innego rodzaju. Przy pracach zginie 33 żołnierzy, 28 będzie rannych.



Saperzy podczas pracy w ruinach Warszawy

Archeologia

Babcia Andrzeja rozpacza. Podnosi kawałek gruzu i odrzuca na bok. Kopie butem deskę i płacze. Z domu przy Chopina 17, gdzie mieszkała od lat, została kupa cegieł, śmieci, podartych firanek, połamanych mebli i latających wokół papierów. „Wszystko zakopałam w piwnicy – babcia zanosí się szlochem. – Dolary, złoto.

Jakbyśmy się tam dostali, to bym chociaż coś zabrała” – zawodzi nad stertą. „No jak się tam dostaniesz? No jak?” – pyta ją bezradnie mama Andrzeja.

Jest koniec stycznia 1945 roku. Andrzej Pstrokoński (w przyszłości zostanie koszykarzem i olimpijczykiem) ma dziewięć lat i jeszcze pół roku temu mieszkał tutaj z rodzicami i młodszym bratem. Ale kiedy upadło powstanie, Pstrokońscy zamknęli drzwi swojego mieszkania i 5 października 1944 roku dołączyli do tłumu pędzonego przez Niemców w stronę obozu w Pruszkowie. Naziści pozwolili wziąć każdemu tylko niewielki bagaż i wygnali z Warszawy ponad pół miliona ludzi. Prawie wszystkich pozostałych przy życiu mieszkańców.



Kilka miesięcy wcześniej babcia Andrzeja zeszła do piwnicy. W co zapakowała swoje dolary i złoto? Zawinęła w chustkę? Zamknęła w pudełku? Zakręciła w słoiku? Nie wiadomo. Gdzie je schowała? Czy dała radę wykopać dziurę w klepisku? A może piwniczna podłoga była ceglana, więc ukryła zawiniątko wśród słoików z ogórkami albo zasypała w węglu? Tego nikt już nie pamięta.

Wiadomo za to, że dziesiątki tysięcy warszawiaków od wielu tygodni powtarzały jej gesty. Obrazy chowali za szafy. Kryształ w koszach na strychni. Srebra pod

materace. Sejfy nadziewali kosztownościami. Książki w biblioteczkach zamykali na klucz.

Monika Żeromska, córka Stefana, w piwnicy domu przy Rynku Starego Miasta 11 ukryła cztery skrzynki rękopisów ojca, sześć ksiąg wycinków prasowych i rzeczy osobiste.

Znajomi Eugeniusza Ajewskiego, przyszłego architekta, w piwnicy przy Pańskiej 14 schowali jego fotografie, książki i wiklinową walizkę z ubraniami.

Każdy był pewien, że wkrótce wróci do miasta i wyjmie ze schowka swój skarb.



Adolf Hitler życzył sobie, żeby Warschau, po zwycięskiej wojnie, stała się miastem prowincjonalnym bez znaczenia. Na początku sierpnia 1944 roku Führer zażądał zmiecienia miasta z powierzchni ziemi. W czasie powstania zginęło około 150 tysięcy ludzi, zniszczeniu uległo 25 procent budynków, w tym cała Starówka.

3 października 1944 roku do Warszawy wkroczyły niemieckie brygady specjalne Vernichtungskommando i Verbrennungskommando. Niemcy najpierw okradali dom po domu. Wyciągnęli obrazy zza szaf, a z szaf futra, wynieśli biblioteczki, wyrwali ze ścian sejfy, zwinęli dywany, odnaleźli kosztowności i załadowali wszystko na ciężarówki. Z fabryk wywieźli maszyny,

ze słupów ściągnęli druty telefoniczne, z podkładów wyrwali tory kolejowe.

Czy wchodzili też do piwnic? Szperali wśród śmieci pozostawionych przez ukrywających się w czasie powstania ludzi? Przesuwali trupy powstańców i cywilów w poszukiwaniu skarbów? Opukiwali ściany, oglądali słoiki pod światło? Raczej nie.

W sumie wywieźli z Warszawy 45 tysięcy wagonów kolejowych i kilka tysięcy ciężarówek wypełnionych polskim majątkiem.

A potem spalili miotaczami ognia to, co zostało. Wypalone domy, pałace, muzea i świątynie zaminowali i wysadzili w powietrze. Do stycznia 1945 roku udało im się zniszczyć kolejne 30 procent lewobrzeżnej Warszawy.

W sumie, wskutek wojny, miasto straciło 84 procent stanu z 1939 roku.



Rosjanie wchodzą do Warszawy 17 stycznia 1945 roku. Tuż za nimi, w pierwszej grupie warszawiaków, idzie Eugeniusz Ajewski. Będzie wspominał: „Każdy chciał jak najszybciej dotrzeć do miejsca zamieszkania, żeby sprawdzić, co ocalało z dorobku. [...] Może ocalała chociaż piwnica”. Ale najpierw Ajewski idzie na podwórko przy Belgijskiej 5, gdzie we wraku starego samochodu, w ostatniej chwili przed poddaniem się,

ukrył pistolet, dokumenty i legitymację AK. Wszystko znajduje tak, jak zostawił.

Pisarka Maria Dąbrowska dociera do Warszawy wkrótce potem. Ma szczęście. Kamienica przy Polnej 40, w której mieszka od 1917 roku, przetrwała. Dąbrowska notuje w dzienniku: „Obrabowano mnie ze wszystkich »miękkich« rzeczy, ale sprzęty a co najważniejsze – biblioteka i archiwum zostały”. Podłoga zasypana jest wilgotnymi, podeptanymi stosami pamiątkowych zdjęć, książek, listów i rękopisów. W mieszkaniu nie ma szyb, w łazience i kuchni leżą zaspy śniegu, sufity ciekną, splądrowane meble przewracano.



Widok z lotu ptaka na zrujnowany plac Napoleona (wcześniej Warecki, obecnie Powstańców Warszawy) z wieżowcem Prudentialu i ulicą Świętokrzyską, Warszawa, 1945 rok

Za to z domu, w którym mieszkał Eugeniusz Ajewski, została kupa gruzu. „Nagle uświadomiłem sobie, że przecież pod tym ośmio-dziesięciometrowym kurhanem mogą znajdować się niezburzone piwnice, a w nich jakieś moje rzeczy” – zapisze

we wspomnieniach. Postanawia przystąpić do „prac archeologicznych” i wykopać z piwnicy to, co w niej zostało. Łopata za łopatą odrzuca gruz. Przegląda każdy kawałek wilgotnego i brudnego od tynku śmiecia. Odkłada na bok przemoczone i nadżarte przez wapno książki i fotografie. Pragnienie gasi szampanem – dokopał się do ocalałej butelki. Do piwnicy dociera wieczorem. Lej, który utworzył, ma dwanaście metrów głębokości, ale jest za wąski u podstawy. Ajewski wprawdzie widzi przez szparę swoją wiklinową walizkę, jednak nie może jej wyciągnąć. Jest już za ciemno na dalszą pracę. Wróci tu jutro. Rano jednak odkrywa, że uprzedził go szabrownik, który wyciął w walizce dziurę i wykradł z niej ubrania.

Eugeniusz Ajewski zanurza rękę w koszu, ale znajduje w nim tylko krawat, przeoczony przez złodzieja.

Monika Żeromska „prace archeologiczne” podejmuje dopiero w kwietniu. Wprawdzie pod Starówką ocalała część piwnic, ale mimo prób nie udaje jej się dotrzeć tamtędy do pomieszczenia z rękopisami ojca. Zbiera więc brygadę złożoną z 49 kobiet, „wszystkie fest warszawskie baby”, zatrudnia trzech wykwalifikowanych robotników i majstra, pożycza pieniądze na wypłaty dla nich i rozpoczyna odgruzowywanie. Kobiety zbierają gruz z wierzchu, tam

gdzie stała kamienica przy Rynku Starego Miasta 11, mężczyźni podstemplują ściany. Budzą zainteresowanie wycieczek, które przyjeżdżają do Warszawy zobaczyć, jak to naprawdę wygląda, nocami szabrownicy próbują kopać w ich miejscu na własną rękę. Do skarbu dokopują się po miesiącu.

Monika Żeromska wydobywa z gruzu listy do ojca od znanych ludzi, między innymi od Sienkiewicza i Skłodowskiej-Curie, znajduje cukiernicę babci, pelisę na fokach mamy, swoje futro z łapek reniferów, poduszkę i wełniany koc. Codziennie odkrywa coś nowego. Nietknięty kosz porcelany owiniętej w stare majtki i koszule, które bardziej cieszą niż ocalałe filizanki i dzbanuszki. W końcu ma rękopisy. Zamknięte w skrzynce „Popioły”, „Duma o hetmanie” i „Wiatr od morza” mają lekko zniszczone okładki, ale papier jest suchy, atrament wyraźny.

Brygadę Żeromskiej podziwia człowiek, który mieszkał w kamienicy na rogu Rynku, Zapiecka i Świętojańskiej. Był zamożny. W czasie okupacji dolary powkładał do słoików, a cenne dywany do metalowych rur. Wszystko zalakował i zakopał w piwnicy pod węglem. Teraz proponuje córce pisarza interes – on wskaże piwnice, gdzie skarb jest ukryty, ona ze swoją ekipą go wykopią. Pieniędzmi podzielą się na pół.

Ale Monika Żeromska odmawia.

Eugeniusz Ajewski pracuje w Biurze Odbudowy Stolicy, kieruje odbudową kamienic. Zapamięta, jak jeden z robotników, wykuwając otwór pod belkę kondygnacyjną w wypalonym domu, natrafił na cienką ściankę grubości 1/4 cegły. „Z rozbitego otworu niespodziewanie zaczął się wysypywać skarb. Razem z pyłem, gruzem leciały srebrne przedmioty i inne kosztowności. Stojący na chwiejnej drabinie robotnik [...] chciał schwycić wszystko – nie złapał nic. Drobne kosztowności przemieszane z gruzem leciały przez szpary deskowania na następną kondygnację, aż do piwnic. Krzyk, zamieszanie, wydzieranie sobie skarbu z rąk”.

Babcia Andrzeja Pstrokońskiego każdego dnia idzie na gruzy kamienicy przy Chopina 17. Nie ma środków ani sił, żeby dokopywać się do piwnicy. Wśród cegieł i śmieci znajduje kilka pamiątek rodzinnych. Dolarów i złota nie odnajdzie już nigdy.

Smród

Warszawa cuchnie. Śmierdzą ludzie. Woda jest trudno dostępna i tylko do picia. Nie ma mydła. Brakuje ręczników, wanien, balii, pryszniców. „Życie polega na rezygnacji z elementarnych wymagań kultury

i higieny” – notuje pisarka Maria Dąbrowska. Przez pierwsze tygodnie w Warszawie nocuje u sąsiadki na podłodze. Na kilku materacach leżą obcy sobie ludzie, każdy w pełnym ubraniu. W mieszkaniu pisarki nie ma szyb w oknach i zamka w drzwiach. Tam spać się nie da.

Śmierdzą też śmieci. System wywozu nieczystości nie istnieje, przynajmniej na początku. Odpadki wyrzuca się wprost pod bramy. Za tymczasowe zsypy służą leje po bombach. Nie działa kanalizacja, nie ma szaletów miejskich. Ludzie załatwiają swoje potrzeby wśród gruzów.

„Życie Warszawy” za brud wini dozorców kamienic, którzy nie potrafią utrzymać czystości na swoim terenie. Gazeta pyta, kto pozwolił na utworzenie tymczasowego wysypiska na placu Starynkiewicza. Podaje, że opłaceni przez zarząd miasta woźnice, nie stawiają się po odpadki. W maju dziennikarze wyrażają obawę, że wkrótce w czterystutysięcznym już mieście może wybuchnąć epidemia duru plamistego i czerwoni. Władze nakazują obowiązkowe szczepienia przeciwdrurowe.

Wiosną smród się wzmaga, latem staje się nie do wytrzymania. Czytelnicy „Życia Warszawy” skarżą się, że w Alejach Jerozolimskich, na wprost hotelu Polonia, przez otwór w sklepieniu tunelu kolejowego wsypywane są różnego rodzaju gnijące odpadki i śmieci. Na dnie tunelu leży również zabity koń w stanie

zupełnego rozkładu, zatruwający w okolicy powietrze. „Nad śmietnikiem unoszą się miliony much”.

Ale największy fetor wydzielają gnijące zwłoki. „Prześladował nas stale i nieubłagalnie zapach niewątpliwie padliny, rozkładającej się gdzieś w pobliżu. Warszawa śmierdziała w tym czasie wszelkiego rodzaju zgnilizną” – napisze we wspomnieniach Jan Tereszczenko (rocznik 1933, architekt).

„Smród rozkładających się trupów był zabijający – wspomina Andrzej Pstrokoński. – Pod koniec kwietnia zaczęto rozkopywać groby powstańców, były wszędzie. Nie mogłem tego wytrzymać. Jak wracałem ze szkoły i widziałem ludzi z łopatami stojących nad rowem z trupią mazią, zatykałem nos i biegłem szybko, żeby to ominąć”.

Ekshumacje

Ciało blondynka, powstańca ugodzonego w kręgosłup odłamkiem pocisku artyleryjskiego, wciąż leży w sklepie przy Belgijskiej 5. Zmarł tam podczas opatrywania ran, nie było czasu, żeby go pochować. „Mróz zakonserwował ciało, także blondynek wyglądał, jakby wczoraj zmarł – będzie wspominał jego kolega z powstania Eugeniusz Ajewski. – Przystojną młodą twarz zeszepecił jakiś szczur nadgryzając czubek nosa”.

O zwłoki jakiegoś chłopca z karabinem w dłoni

potyka się w Śródmieściu pisarz Kazimierz Brandys. Zauważa, że ktoś litościwy hełm mu nasunął na oczy, ktoś inny, zaradny, ściągnął buty z nóg, ktoś trzeci, wierzący, wetknął krzyżyk w palce.

Janina Broniewska pochyła się nad zamrożonym ciałem starszej kobiety, która leży tuż przy wydeptanej ścieżce niedaleko Wisły. Notuje: „Śnieg zasypał jej ciemny płaszcz i nogę w pantoflu. Twarz jest jak z drzewa, wysuszona, bez rysów. Wiatr powiewa siwymi włosami”.

Dostępu do piwnicy, w której Monika Żeromska szuka rękopisów ojca, broni trup zwieszony głową w dół, zahaczony nogami o okienko. Córka pisarza odsuwa ciało drągiem i przeciska się obok.



Ekshumacje na ulicach Warszawy, marzec 1945 roku

Dziennikarze „Życia Warszawy” pod koniec czerwca 1945 roku odwiedzają Stare Miasto. Spotykają murarza, którego synek bawiący się wśród gruzów dzień wcześniej, przy kamienicy Baryczków, natrafił na wystający spod blachy męski but. „I po śladzie znaleziono trzy trupy, a raczej trzy szkielety powleczone skórą: mężczyzny, kobiety i dziecka. Jest tu tych trupów o wiele więcej”.

Lewobrzeżna Warszawa w styczniu 1945 roku jest

gigantycznym cmentarzem.

Kto chce tu mieszkać, musi przywyknąć do widoku martwych ciał. Zobojętnieć na nie. „Każdy [...] przechodził czy mieszkał obok niepogrzebanych trupów obojętnie tak, jak dziś mija się przydrożną latarnię czy budkę z gazetami. Długi czas trupy leżały na bruku [...]. W pierwszych tygodniach nie mieliśmy na nich czasu. Trzeba było zorganizować w gruzach jakieś legowisko dla siebie” – notuje Ajewski.

Martwe ciała leżą na ulicach, w bramach, piwnicach. Dziesiątki tysięcy trupów wypełniają kanały, zajmują piwnice i czekają pod gruzami, aż je ktoś stamtąd wydobędzie. Reszta zajmuje podziemną Warszawę. W chodnikach nie ma już płyt (te poszły na barykady w czasie powstania), zastąpiły je groby. Nie ma też skwerów, parków, przydomowych ogródków, podwórek, placów zabaw. Zamieniły się w cmentarze.

Jerzy Waldorff (publicysta) zauważa groby przed dawną kawiarnią na placu Wareckim. „W najlepszych czasach powodzenia kawiarnie nie miały tylu żywych klientów, ilu mają teraz zmarłych” – pisze.



W sierpniu 1944 roku Adolf Hitler żądał śmierci wszystkich mieszkańców Warszawy. Erich von dem Bach-Zelewski, SS-obergruppenführer, dowódca sił wyznaczonych do stłumienia powstania, wydał rozkaz

zabicia każdego cywila i powstańca. Zakazał brać jeńców. Heinrich Himmler polecił swoim podwładnym „zniszczyć dziesiątki tysięcy”.

Wraz z wybuchem powstania naziści rozpoczęli rzeź. Wyciągali ludzi z domów, wrzucali granaty do piwnic, podpalali kamienice i strzelali do uciekających z pożaru. Mordowali mieszkańców całych domów, spędzali na jedno miejsce ludzi z ulic i tam dokonywali egzekucji, używali cywilów jako żywych tarcz. W prawosławnym sierocińcu przy Wolskiej 149 rozbili kolbami karabinów głowy kilkudziesięciu podopiecznych. Rozstrzeliwali powstańców wziętych do niewoli. Dobijali rannych. Ciała zamordowanych porzucali albo układali w stopy i palili.

5 sierpnia Bach-Zelewski złagodził rozkaz Hitlera, wydając zakaz mordowania kobiet i dzieci. Miały być kierowane do obozu w Pruszkowie. Tydzień później zakazał mordowania mężczyzn cywilów. Uznał, że szkoda marnować dobrą siłę roboczą.

Ostatecznie w czasie powstania warszawskiego zginęło – według różnych szacunków – od 150 do 180 tysięcy cywilów i około 16 tysięcy walczących.



W lutym 1945 roku referat ekshumacyjny powołany przy zarządzie miejskim, na podstawie lustracji, szacuje liczbę prowizorycznych mogił i niepochowanych zwłok

na 200 tysięcy. Trzeba się śpieszyć, póki jest zimno. Ciepło przyspieszy rozkład ciał, utrudniając identyfikację, może też przynieść zagrożenie epidemiologiczne.

Praca przy ekshumacjach jest bardzo trudna i dobrze płatna. Zgłaszają się głównie kobiety, ochotniczki PCK, pielęgniarki, sanitariuszki z powstania. Dostają szarozielone kombinezony, maski, rękawice i szczypce. Ale zdarza się, że pracują przy trupach gołymi rękami i we własnych ubraniach.

Dziennikarze „Życia Warszawy” w połowie kwietnia 1945 roku przeprowadzają wywiad ze studentem medycyny pracującym przy ekshumacjach. Żali się: „Nie dano nam rękawic ochronnych, ani fartuchów, gorzej – nie mamy czym rąk wmyć po skończonej pracy, gdyż nie pomyślano dotychczas o przydziale mydła. [...] A już rzeczą niedopuszczalną jest brak wapna chlorowanego”.

Sanitariuszka Janina Rożecka „Dora” pracuje na Czerniakowskiej. Dziesięciu robotników wykopuje dół i znosi jej do niego zwłoki znajdujące w domach, ruinach i tymczasowych grobach. „Straszna to praca była – będzie wspominała po latach. – W pewnym momencie przyszedł ktoś i powiedział do mnie, że w szambie są ludzie. Mówię: »Jak to?« [...] To była willowa dzielnica na Sadybie. Naprzeciwko kościoła, po drugiej stronie były szamba. Niemcy żywcem powrzucaли do szamba ludzi. Jak podnieśli robotnicy przykrycia i wyciągali zwłoki bosakami, czy jak to się

tam nazywa, to były – to jest okropne, co mówię – tak zakonserwowane, jakby przed chwilą były tam złożone. Po prostu włazy były zatkałe i gazy jakieś z szamba zatrzymywały rozkład”.

Każde wydobyte ciało ochotniczki PCK dokładnie oglądają. Rozpoznają przyczynę zgonu (dziura w czaszce – rozstrzelany, resztki bandażu lub gipsu – zmarł od ran, bywają też zasypani, zmarli od pocisku i od bomby). Liczy się szczegół. Jeśli w kieszeni były dokumenty, sprawa jest prosta. Często pod pachą ludzi, których pochowano w prowizorycznych grobach, tkwią zamknięte butelki z kartką w środku, na której zapisano, kto, kiedy i gdzie umarł. Ale najczęściej zmarli nie mają przy sobie nic. Wtedy trzeba zanotować kolor włosów, stan zębów, ubranie, jakie trup miał na sobie. Często w rozkładających się zwłokach trudno rozpoznać nawet płeć. Jeden z dziennikarzy zagranicznych notuje, że uczestniczył w ekshumacji i pracom kobiet przyglądał się z najwyższym obrzydzeniem.

„Życie Warszawy” informuje, że nierozpoznane zwłoki oznacza się literami NN. Znalezione przy nich przedmioty Polski Czerwony Krzyż starannie przechowuje, zamierzając w najbliższym czasie urządzić rodzaj wystawy, co ułatwiłoby odnalezienie wielu zaginionych bez wieści. „Grupami będą ułożone

fotografie, portfele, książki do nabożeństwa, medaliki, portmonetki itp. Depozyty imienne, już uporządkowane i gotowe do podjęcia przez rodziny zabitych, leżą w kopertach”.

Na parkanie domu przy ulicy Piusa XI (dziś Piękna), gdzie mieści się punkt PCK, wiszą informacje o zmarłych, których udało się zidentyfikować.

Ekshumacje przeprowadza się wszędzie tam, gdzie rozpoczyna się remont lub budowa. Ale brakuje miejsc na cmentarzach, nie ma wozów i samochodów do przewożenia zwłok. Ktoś z władz wpada na pomysł, żeby palić ciała po możliwie dokładnym opisaniu. Wywołuje tylko oburzenie, takimi metodami posługiwali się Niemcy w czasie wojny! Ekshumowane ciała, które nie zostały rozpoznane i odebrane przez najbliższych, chowa się więc na razie w zbiorowych mogiłach. Jedną z nich zostaje utworzona w parku Dreszera. W maju 1945 roku „Życie Warszawy” informuje o jej ponownym otwarciu: „...mieszkańcy Mokotowa od kilku dni są świadkami niepokojącego procesu jak w parku Dreszera powtórnie otwierane są groby zbiorowe dla zadowolenia pretensji jakiegoś spóźnionego obywatela, poszukującego zmarłego krewnego”.

Gazety informują za każdym razem o wydobywaniu

szczątków. W czerwcu czytelnicy dowiadują się o rozbiórce hali targowej przy ul. Kazimierza Wielkiego, pod gruzami której w czasie powstania poległo kilkaset osób. Sekcja ekshumacyjna przy Miejskim Resorcie Zdrowia i Opieki Społecznej przystępuje do grzebania wydobywanych tam zwłok. „Zainteresowane rodziny ofiar wzywane tam są do zgłoszenia się na miejsce celem rozpoznania swych bliskich”. Wzywa się też bliskich prowizorycznie pochowanych ofiar powstania na odcinku od placu Zbawiciela do ulicy Żurawiej i od placu Unii Lubelskiej do placu Teatralnego.

Tylko do końca maja w Warszawie zostanie ekshumowanych 27 tysięcy zwłok.

O niektórych ekshumacjach, zwłaszcza na początku, nie zawiadamia się nikogo. Żołnierze AK w tajemnicy wydobywają ciała swoich kolegów, których groby oznaczyli podczas powstania, i przenoszą je na cmentarze. Chcą ubiec władze, które starają się zatrzeć ślad po żołnierzach Armii Krajowej, chowając ciała powstańców, po których nikt się nie zgłosił, w kwaterach żołnierzy Armii Ludowej.

Ochotniczki PCK, pracujące przy ekshumacjach, także ze względów epidemiologicznych, mają zakaz wydawania ciał osobom prywatnym bez zgody władz

sanitarnych. Janina Rozecka zapamięta, że mimo polecenia doktora naczelnego czasem ulegała prośbom krewnych: „Przyszedł młody człowiek, bardzo zgarbiony, kulejący i mówi: »Proszę pani, mam tutaj grób i bardzo bym chciał, żeby pani mi pozwoliła – wspólna mogiła – zabrać matkę, żonę i dziecko«. [...] Co mu powiem? »Nie?«. Przyjechał z trumnami. Robotnikom powiedziałam: »Słuchajcie, jeśli mnie wydacie, to w ogóle nie gadam z wami«. Oni też widzieli. Jak nie wydać? Parę mi się trafiło takich sytuacji”.

Monika Żeromska też nie zamierza czekać na ekshumację urzędową. W kwietniu 1945 roku zgłasza do PCK, że chciałaby przeprowadzić na Starym Mieście ekshumację Romana Padlewskiego „Skorupki”, kolegi z powstania, kompozytora, muzykologa, który zmarł jej na rękach. Wie, gdzie został pochowany, była na jego pogrzebie. Żeromska dostaje zezwolenie na wydobywanie ciała, inspektorzy sanitarni z PCK zjawiają się w umówionym miejscu pod dawnymi murami na Nowowiejskiej. W wydobywaniu zwłok uczestniczy matka Romana, Nadzieja Padlewska, pianistka. Chce zabrać ciało syna na cmentarz w Wilanowie, gdzie jest pochowany jej mąż. Żeromska z inspektorami odrzuca gruz, grób z opisanym krzyżem jest tam, gdzie przypuszczała. Wykopują trumnę, odbijają wieko, zza głowy nieboszczyka wyjmują butelkę z dokumentami. „Inspektorzy sanitarni wypisują nam zezwolenie

na ekshumację i wywiezienie trumny” – zapisze córka pisarza w dzienniku. Teraz sama musi zatroszczyć się o przewiezienie zwłok na cmentarz. „Sadam panią Padlewską na wpół omdlałą w jakimś załomie muru, trochę dalej od otwartego grobu, błagam, żeby się nie ruszała, obiecuję zaraz być z powrotem”. Po długich poszukiwaniach łapie człowieka z wozem, który zgadza się pojechać z trumną do Wilanowa, gdzie już czeka ksiądz.

Ekshumacje potrwają w Warszawie do 1948 roku. Ale na początku lat sześćdziesiątych Józef Sigalin zanotuje w dzienniku: „Dotąd jeszcze na wielu budowach warszawskich przy robotach ziemnych natrafiają robotnicy na kości ludzi. [...] Nie ma, nie ma końca tej ogólnomiejskiej ekshumacji”.

Poszukiwany, poszukiwana

Jak się odnaleźć, kiedy w gazetach jeszcze nie ma działów ogłoszeń? Trzeba wziąć kawałek kartki, ołówek i napisać, gdzie się zatrzymało. Potem zwinąć świstek i wcisnąć między cegły ściany domu, w którym się kiedyś mieszkało. Albo napisać kredą, bezpośrednio na murze. To w Warszawie pierwszej połowy 1945 roku najpewniejsze źródło informacji.

Pola Gojawiczyńska (pisarka) notuje: „Na murach, przy wylocie ulicy można odszukać napis »Kwiatkowska Maria mieszka obecnie na Bednarskiej«”. „Na rozbitych bramach przyczepiano kartki: »Zosiu, Kasiu jestem w Podkowie Leśnej, Pruszkowie, na Pradze, Targowa 12« i temu podobne” – zapamięta Eugeniusz Ajewski. „Przy pomocy przygodnych osób zostawiłem na spalonej futrynie drzwi wiadomość, że idę na Pragę szukać znajomych. W późniejszym czasie ta kartka pomogła odnaleźć się całej rodzinie” – będzie wspominał Janusz Orszt (rocznik 1932), warszawiak.



Tablica ogłoszeń na placu Trzech Krzyży w Warszawie,
wiosna/lato 1945 roku

Andrzej Pstrokoński wspomina: „Kiedy okazało się, że nasza kamienica przy Chopina jest zburzona, zanocowaliśmy z mamą, babcią i moim młodszym bratem w bramie. Tylko ona ocalała z całego domu. Rano zauważyliśmy wszędzie poutykane kartki. To szukali się sąsiedzi. A babcia z mamą w wielki płacz. Jak znaleźć tatę w tym zrujnowanym mieście? Chodziliśmy, czytaliśmy wszystkie ogłoszenia, wyjmowaliśmy kartki

spomiędzy cegieł, wyciągaliśmy spod kamieni. I nic, listu od ojca nie było.

Mama z babcią uzgodniły więc, że musimy przedostać się na Pragę po zamrzniętej Wiśle, tam mieliśmy rodzinę. Babcia zrozpaczona chodziła do ostatniej chwili, kręciła się po tym śniegu i nagle zobaczyła kartkę: »Mieszkam Aleje Jerozolimskie 85. Jak będziecie, przychodźcie. Edek«. List od ojca! Moja matka przez całe życie potem wspominała, że tak gnała do ojca z tą kartką w dłoni, że sam Zatopek by jej nie dogonił”.

Gruzy

Dwadzieścia milionów metrów sześciennych gruzu zalega miasto. Zwały pokruszonych cegieł i betonu, resztek mebli i śmieci tymczasowo zgarnięto na boki ulic. Sięgają kilku metrów wysokości. Wywieźć ich nie sposób. Nie ma czym, brakuje wozów, koni, samochodów i benzyny. Zresztą dokąd? Ale zostawić też nie można. Wprawdzie „Życie Warszawy” informuje w maju, że sto furmanek dziennie wywozi gruz z ulicy Puławskiej, jednak wobec hałd zalegających miasto wygląda to bardziej na zabawę niż prawdziwe prace. W razie konieczności można zsypywać gruz do piwnic, ale należy uważać, żeby nie zasypać przy tym kanałów i kanalizacji. W lipcu na Żoliborzu uruchomiona zostaje

kolejka dla przyśpieszenia wywózki gruzu. Druga trakcja ma iść przez Stare Miasto i Śródmieście. To wciąż mało.

Ruiny, które nadal stoją, grożą zawaleniem. Specjalne ekipy zajmują się ich wyburzaniem. Wszystko trzeba robić ręcznie, dźwigów i koparek w Warszawie też na początku nie ma. Jan Tereszczenko będzie wspominał: „Załoga robotnicza wysyłała najpierw jednego z ludzi, aby z narażeniem życia, wdrapawszy się na rumowisko instalował tam stalową linę, po czym po przeciągnięciu tej liny na drugą stronę ulicy uwieszali się na niej wszyscy i huśtając rytmicznie, w tumanach kurzu, zawalali zagrożone mury”. Każde wyburzenie gromadzi wielu gapiów.

Do wypalonych, zrujnowanych, chwiejnych kamienic wprowadzają się ludzie. W lipcu nad Warszawą przechodzą gwałtowne burze z wichurami. Ruiny walą się na ziemię, grzebiąc mieszkańców. Jest wielu zabitych i rannych. Przy Wilczej 29 zapada się sześciopiętrowy dom (nadwątlony już w 1939 roku, poważnie uszkodzony podczas powstania), pod gruzami ginie kilkadziesiąt osób.

Jeszcze w maju, w Biurze Odbudowy Stolicy, zostaje powołana Komisja Gruzowa. Powstają propozycje zsypania gruzu u podnóża skarpy wiślanej na Powiślu (ktoś zauważa, że podsypywanie terenów podmokłych niszczy zasiewy i roślinność i odbiera urodzajność glebie), zasypania rowu sadzawki przy Puławskiej, sypania

z gruzu grobli między zbiornikami wodnymi dla Stacji Pomp Rzecznych przy Czerniakowskiej (niedopuszczalne ze względu na możliwość zakażenia bakteriami), usypania kopca (brak maszyn). Ostatecznie przechodzi pomysł zasypywania zagłębień terenowych i sadzawek, nadsypywania nieurodzajnych terenów prawobrzeżnej Warszawy (jeśli transport gruzu będzie się kalkulował), regulowania lewego brzegu Wisły w wyznaczonych miejscach. Komisja uzgadnia też, że należy poszukać możliwości sprzedaży gruzu, wykorzystywanego pod budowy dróg w kraju.

W sierpniu gazety informują, że BOS ogłosił konkurs na jak najlepsze wykorzystanie gruzu. Zgłosiło się kilkudziesięciu pomysłodawców. „Życie Warszawy” informuje: „A więc przede wszystkim uzyskano kilka sposobów otrzymania porowatego betonu gruzowego, z którego wykonane bloki dadzą się zastosować do budowy lekkich, ciepłych i mocnych ścian”.

We wrześniu gazeta zawiadamia, że problem gruzu wciąż nie został rozwiązany, jednak planuje się jego połowę wykorzystać jako tłuczeń przy budowie żelbetowych szkieletów.

Handel

Styczeń 1945 roku.

Kilogram mąki pszennej – 106 złotych.

Kapusta kwaszona – 68 złotych.
Ziemniaki – 13 złotych.
Za litr mleka płaci się prawie 44 złote.
Kilogram masła kosztuje 483 złote.
Kilogram wieprzowiny – 285 złotych, słoniny –
483 złote.
Litr spirytusu – 1100 złotych.
Pudełko zapalek – 25 złotych.
Para męskich skarpetek – 350 złotych.
Pończochy ze sztucznego jedwabiu – 800 złotych.

Urzędnik wręcza 500 złotych i odcina rożek kenkarty na dowód pobrania pieniędzy. W lutym 1945 roku pół tysiąca nowych złotych pisarka Maria Dąbrowska odbiera w punkcie przy Muzeum Narodowym. Wprawdzie ma w portfelu „młynarki”, pieniądze używane podczas okupacji, ale właśnie straciły ważność. W ich miejsce władze wprowadziły złote „lubelskie”. Każdy, kto wraca do Warszawy i zgłosi się do urzędu, dostaje jednorazowy zasiłek tej samej wysokości. Pieniądze mają pomóc przeżyć przez pierwsze dni. Przydatne będą też karty aprowizacyjne, przyznawane w pięciu kategoriach, zależnych od wykonywanej pracy.

Już w styczniu działają w Warszawie (głównie

prawobrzeżnej) 232 sklepy spożywcze i 130 mydlarskich. Z każdym miesiącem będzie ich coraz więcej. W grudniu 1945 roku w całym mieście istnieje 1246 zarejestrowanych sklepów (w tym 74 opałowe, 230 mydlarskich i 213 ziemniaczanych).

W maju dziennikarz „Życia Warszawy” o pseudonimie Joker kpi: „Mimo różnorodności nazw trudno w tych sklepach o jakieś rozgraniczenie w zakresie specjalności. Do sklepu komisowego można wejść i zażądać ciastka lub mleka – znajdzie się. W mleczarni równie często można zaopatrzyć się w kapelusz, parasol lub płaszcz”.

Warszawiacy rejestrują też kioski z wodą sodową i gazetami, budki z papierosami, wózki-sodowiarki, stoiska z kwiatami, wagi osobowe, aparaty fotograficzne, stanowiska czyścicieli butów i stoiska z galanterią. Centrum handlowym miasta staje się skrzyżowanie Alej Jerozolimskich z Marszałkowską. Kilka kamienic ocalało, w wypalonych ruinach są jeszcze na wpół zawalone. Każdy kąt nadaje się na sklep, czasem całkiem elegancki. Zofia Nałkowska ogląda wystawę luksusowej kwiaciarni „wmontowanej w podnóże ruiny”, reporter Ksawery Pruszyński zauważa na Marszałkowskiej wystawę „jakiegoś sklepu z wszelkimi możliwymi rzeczami, ale z pewną przewagą zakurzonych aparatów fotograficznych”, znajomy Eugeniusza Ajewskiego prowadzi w centrum jeden z wielu w tym miejscu skupów srebra.

Ale prawdziwy handel Warszawy jest dziki, niezarejestrowany. Koszykowy i walizkowy, żeby zwinąć szybko swój towar i uciec przed milicją. Bazarowy i targowiskowy. Po obu stronach Wisły. Prowizoryczny. Budki handlowców powstają w jedną noc. Materiały budowlane – cegły i deski – leżą wprost na ziemi. Nikt nie troszczy się o pozwolenia na budowę. Milicja Obywatelska, zdaniem dziennikarzy, nie umie sobie poradzić z tym problemem. Funkcjonariusze gonią sprzedawców koszykowych, ale wobec budek szpecących miasto są bezradni. Mandaty za samowolkę sprzedawcy wliczają w koszty, po kilku miesiącach działalności i tak wychodzą na swoje.

Kupić i sprzedać można wszystko. Maria Dąbrowska pisze w dzienniku: „Na Pradze ruch, ścisk, targ. W sklepach powystawiano szynki, kiełbasy, na straganach pełno... naszych wyszabrowanych rzeczy. Mnóstwo papierosów, są i... mandarynki po pięćdziesiąt złotych sztuka. Dużo białego pieczywa, ciastka, pączki...”.

Matka Jana Tereszczenki, kiedy tylko ma czas, idzie na targowisko przy Poznańskiej. Jest malarką, potrafi odróżnić sztukę od tandety. Jej syn będzie wspominał: „Mama polegając na oku znawcy, skupowała tam za cenę gałgana pod drzwiami przeróżne perskie dywany, albo za cenę kuchennych szkarłupni saską porcelanę”.

Bazar przy Poznańskiej opisuje też Wiech (Stefan Wiechecki) w „Przekroju”: „Prywatna inicjatywa święci tryumf niebываły. Po prostu wrze, kipi i przelewa się chodnikami i środkiem jezdni”. Handlarze złotem i walutami działają za to koło Dworca Głównego. Jeden z nich zaczepia Ksawerego Pruszyńskiego: „wredny typ podlatujący z przycichłym szeptem: »dolary, dolary, twarde, miękkie«”.

Gazety w maju ostrzegają przed podróbkami. Amerykańskie papierosy York w różowym opakowaniu okazują się fałszywe. Zamiast napisu „Navy cut” wydrukowano na nich „Novy cut”, a tekturki usztywniające opakowanie pochodzą z krajowych papierosów Ekonomicznych. Warto też uważać na jedzenie kupowane na bazarach. Mięso bywa nieświeże.



Zupę, pyzy i placki robi się w domu i w opatulonych w gazety kotłach przynosi na ulicę. Zaraz powstają tymczasowe bary w tramwajach, które były barykadą podczas powstania. We wrześniu 1945 roku Wiech pisze: „Zaraz na drugi dzień, jak tylko szkopów cholera stąd wzięła, pierwsze budki w Jerozolimskiej alei stanęły, gdzie skromne, ale pożywne zagryche można było dostać, pod ćwiartkie »karbitówki«”.



Uliczna sprzedaż chleba w zrujnowanej Warszawie, 1945 rok

Leon Czarzyński (rocznik 1911) wraca na chwilę do Warszawy w lutym 1945 roku. Pamięta: „Na ulicy można było dostać gorącą herbatę, pierogi, kapustę. Handel uliczny był wszędzie”.

Kawiarnia jest na każdym rogu. Jan Wedel uruchamia produkcję czekolady w fabryce na Pradze i otwiera lokal przy ulicy Szpitalnej. U zbiegu Marszałkowskiej i Wspólnej jest cukiernia Gajewskiego, gdzie serwuje się pączki, znane przed wojną. Piosenkarz Mieczysław

Fogg otwiera Café Fogg, gdzie można wypić herbatę i posłuchać przedwojennych szlagierów w jego wykonaniu.

Ceny dowolne. Czasem zależne od humoru sprzedawcy, przeważnie jednak od wyglądu klienta. W kawiarence przy ulicy Zgoda czarna kawa kosztuje 25 złotych, ale za tę samą porcję (nawet mniej smaczną) w nowo otwartym lokalu przy placu Trzech Krzyży trzeba zapłacić 70 złotych. Ciastko na Puławskiej – 18 złotych, o wiele gorsze przy Dworcu Głównym – 35 złotych. Cena szklanki bulionu waha się od 2 do 20 złotych, a szklanka wody czy kwasu od 5 do 15 złotych. Tak samo jest z cenami książek, chleba, wędlin.

Sądy za lichwę karzą grzywną od 12 do 25 tysięcy złotych. Za przyłapanie na pokątnym handlu wódką płaci się od 1 tysiąca do 2 tysięcy złotych. Ale to nie pomaga. Miasto jest pijane. Roman Burzyński, dziennikarz „Przekroju”, zauważa, że najwięcej przybywa barów. Dolicza się trzydziestu z rzędu przy Alejach Jerozolimskich, na przestrzeni od rogu Marszałkowskiej aż do dawnego Dworca Głównego. „Knajpką, oczywiście zakonspirowaną, jest też każda budka drewniana – obojętnie czy to budka z owocami, z wodą sodową, czy tylko z ziemniakami. Od frontu marchewka i kwas, od tyłu bimberk” – notuje. Z braku budki bary improwizuje się na poczekaniu. Wystarczą dwa krzesła i wyciągnięty z gruzów dawny słupek pod

kwiatki. „Na słupku, zamiast doniczki – butelczyna, dwa kieliszki, zagrycha i bar gotowy”. Dziennikarz „Życia Warszawy” zauważa, że alkohol jest dostępny w każdym miejscu. W mydlarni czy składzie części rowerowych można zaryzykować pytanie o trunki wysokowe. „Napoje znajdą się wszędzie”.

Kwiecień 1945 roku.

Kilogram mąki pszennej – 95 złotych.

Kapusta kwaszona – 24 złote.

Ziemniaki – 6 złotych.

Za litr mleka płaci się prawie 36 złotych.

Kilogram masła kosztuje 441 złotych.

Kilogram wieprzowiny – 196 złotych, słoniny – 411 złotych.

Litr spirytusu – 1140 złotych.

Pudełko zapalek – 8 złotych.

Para męskich skarpetek – 173 złote.

Pończochy ze sztucznego jedwabiu – 512 złotych.

Kwaterunek

– Pełne ulice i puste domy, gdzie wy, ludzie, wszyscy mieszkacie? – jakiś cudzoziemiec pyta w czerwcu dziennikarza „Życia Warszawy”. – W gruzach – odpowiada reporter – w tych domach, co wyglądają,

jakby się miały zaraz zawalić. W szopach i piwnicach, z których wystają tylko rury żeliwnych piecyków. I podaje oficjalne dane: Warszawa posiada 11 063 domy zamieszkałe, z czego na lewym brzegu 5794. O połowę mniej niż w 1939 roku.

Ale nie wszyscy muszą żyć w ruinach. Szczęściarze, których domy oparły się miotaczom płomieni i minom, wracają do splądrowanych przez szabrowników mieszkań. A tam już najczęściej ktoś mieszka.

Klucz do mieszkania matka Jana Tereszczeki nosi zawsze przy sobie. Po powrocie do Warszawy (kamienica przy dworcu ocalała!) widzi cudzą tabliczkę na swoich drzwiach, otwiera zamek, wchodzi do środka. Jej syn zapisze we wspomnieniach: „[...] z mojego pokoju przy kuchni wyszła pani i przedstawiła się: – Warwasińska... – Ja jestem właścicielką tego mieszkania – przedstawiła się Mama. – Bardzo mi miło, my zajęliśmy ten pokój – wskazała pani Warwasińska na MÓJ – [...] dostaliśmy już na niego nakaz kwaterunkowy”.

„Ojciec był inżynierem, od stycznia 1945 roku pracował w magistracie. Miał szczęście, bo to jego koledzy dysponowali mieszkaniami, więc załatwił nam pokój z kuchnią w Alejach Jerozolimskich 85, pierwsze piętro. Kamienica cudem przetrwała” – wspomina Andrzej Pstrokoński. „Oczywiście to nie było nasze mieszkanie. Wkrótce wrócił właściciel i przenieśliśmy się do dużego lokalu przy Słonecznej 50, naprzeciw

ambasady rosyjskiej. Z początku pół rodziny tam z nami mieszkało”.

Eugeniusz Ajewski nie chce zajmować komuś mieszkania. Wprowadza się więc do pustego bloku na rogu Puławskiej i Szustra, którego budowa stanęła jeszcze przed wojną i lokali nigdy nie zasiedlono. Zaraz zgłasza się do urzędu kwaterunkowego w swojej dzielnicy, żeby zalegalizować pobyt. Urzędnik wypisuje poświadczenie zameldowania na banderoli od papierosów Mewa, dłubiąc przy tym w zębach kozikiem.

Maria Dąbrowska dziwi się, że musi zdobyć nakaz kwaterunkowy na mieszkanie, w którym żyje od 1917 roku. Ale spotyka się z miłym przyjęciem. Wpierw wiceprezydent Warszawy Władysław Czerny, który w lutym 1945 roku tymczasowo urzęduje w szkole przy ulicy Otwockiej na Pradze, przyjmuje jej podanie o zameldowanie przy Polnej 40. Píše na podaniu notatkę „w zawstydzająco pochlebnych dla mej twórczości słowach – zapamięta pisarka – polecając urzędowi kwaterunkowemu mojej dzielnicy natychmiastowe i przychylne załatwienie mojej prośby”. Następnego dnia młody urzędnik, jedząc zupę, wręcza Dąbrowskiej kartkę z nakazem kwaterunkowym. Należy nakleić ją na drzwi na dowód zameldowania, a w razie zerwania zgłosić się po duplikat. Mieszkanie Marii Dąbrowskiej zostanie jeszcze wiele razy oszabrowane, ale nikt się do niej nigdy nie wprowadzi na dziko,

nikogo jej też nie dokwaterują.

Niewielu ma takie szczęście jak słynna przedwojenna pisarka, która może liczyć na specjalne względy. Urzędnicy odwiedzają ocalałe mieszkania warszawiaków, liczą metry. Słowo „kwaterunek” budzi grozę. Oznacza, że nikt nie może mieć samodzielnego mieszkania, a jeden pokój statystycznie przypada w Warszawie na 2,2 osoby. „Życie Warszawy” pociesza, że przed wojną te dane nie były wcale lepsze i w robotniczych dzielnicach mieszkało 2,1 osoby w jednym pokoju. Ale dodaje, że z nadchodzącą zimą zagęszczenie zwiększy się, bo gdzieś trzeba będzie umieścić ludzi, którzy na razie nocują pod gołym niebem.

Wiech opisuje życie kolegi, Alojzego Skublińskiego, który wrócił do swojego mieszkania przy Marszałkowskiej. Znajomy ma trzy pokoje z kuchnią, z tym że jeden pokój nie ma ściany, a dwa sufitu, za to w łazience oberwała się podłoga. „Totyż nieprzyjemnie mu się zrobiło, jak jednego dnia przyszło trzech facetów z teczkami i zaznaczają, że są za komisję [...] Ponieważ, że jest trzy pokoje, powinno mieszkać dziewięć osób, a koleżka z żoną, jako bezdzietne, tylko parkie stanowią”.

Ostatecznie urzędnicy dokwaterowują Skublińskiemu jednego lokatora. Ma zamieszkać w kuchni.



Rodzina w zniszczonym domu podczas posiłku, Warszawa, wrzesień 1945 roku

Domki fińskie

Marian Marzyński kładzie się na trawie, przymyka oczy, udaje, że śpi. Jest rok 2014, lato, centrum Warszawy. Ale mężczyzna na ziemi przez chwilę znów ma osiem lat i leży pod swoją kołdrą. W jego śnie jest 1945 rok, a łóżko stoi w nowym, drewnianym domku, wśród

dziewięćdziesięciu identycznych w Górnym Ujazdowie.

Na początku nie wiadomo nawet, czy stolica w ogóle wróci do Warszawy. Lublin zastanawia się, czy nie lepiej przenieść ją tymczasem do Łodzi, a Warszawę zostawić zrujnowaną, ku pamięci przyszłych pokoleń jako symbol hitlerowskiego barbarzyństwa. Ale Stalin potrzebuje rządu tymczasowego w Warszawie i Polski z dawną stolicą.

Na początku stycznia 1945 roku Krajowa Rada Narodowa podejmuje więc decyzję o odbudowie Warszawy i ustanowieniu jej stolicą niepodległej Polski. Pod koniec tego miesiąca prezydent Warszawy architekt Marian Spychalski powołuje Biuro Organizacji Odbudowy Warszawy, które w lutym zostaje przekształcone w Biuro Odbudowy Stolicy. Na czele BOS staje Roman Piotrowski, z dwoma zastępcami Józefem Sigalinem i Witoldem Plapisem. Są oddani komunistom, nazywa się ich „modernizatorami”. Druga grupa w BOS to „zabytkarze”, z wiernym rządowi londyńskiemu Janem Zachwatowiczem i Piotrem Biegańskim na czele. Obie grupy będą miały różne wizje odbudowy miasta.

Zadaniem BOS jest inwentaryzacja strat wojennych, unowocześnienie tkanki miejskiej, opracowanie planów odbudowy zabytków. Już w lipcu biuro będzie

zatrudniało 1500 ludzi: architektów, urbanistów, inżynierów różnych specjalności, ekonomistów i prawników.

Jeszcze wojna się nie skończyła, gdy Józef Stalin ofiarowuje Warszawie pół tysiąca domów do samodzielnego składania. Polska stolica jest zrujnowana, ludzie mieszkają w gruzach, więc drewniane dachy są darem nie do przecenienia. Wyprodukowali je Finowie w fabryce w Kemi. Finlandia spłaca w ten sposób część wojennej kontrybucji dla ZSRR w wysokości 300 milionów dolarów. Jednym z fińskich robotników jest Franz Viena, dziadek Jariego, przysłego ambasadora w Polsce.

Wagony pełne gigantycznej układanki z sosnowych klocków przyjeżdżają na Dworzec Gdański w kwietniu 1945 roku. Zabezpieczone trocinami czekają na odbiór, moknąc i blokując dworzec. Co z nimi zrobić, gdzie je ustawić, komu przekazać? Kto się tym wszystkim zajmie?! Nikt inny, tylko Biuro Odbudowy Stolicy.

No więc gdzie ustawić te 500 domków? Józef Sigalin zapamięta, że dyskusje nad tym były gorączkowe. Osiedle ma być prowizoryczne, gotowe do rozbiórki za pięć lat, kiedy już w całej Warszawie nie będzie

brakowało mieszkań dla nikogo. I powinno być blisko Śródmieścia – największego placu budowy – bo klucze dostaną ludzie pracujący przy odbudowie stolicy. Okazuje się jednak, że nie ma w Warszawie tak rozległego placu, który pomieściłby pół tysiąca domków. Zapada decyzja o rozdzieleniu: 90 zostaje skierowanych do Górnego Ujazdowa, pozostałe do Dolnego Ujazdowa i na ulicę Wawelską (przyszłe Pole Mokotowskie).

I tu wkracza na scenę inżynier Daniel Marzyński.

Żyd, oficer Wojska Polskiego, jeńiec wojenny w Woldenbergu, który stracił w Auschwitz żonę i dziecko. Pod koniec wojny spotyka Bronisławę Kuszner, żonę znajomego inżyniera, aktualnie już wdowę. Kobieta uciekła z synem Marianem z warszawskiego getta, oddała go pod opiekę Polaków, a w 1944 roku odnalazła w sierocińcu w Łaźniewie.

Daniel zakochuje się w Bronisławie, żeni z nią, a jej synowi daje swoje nazwisko. Ale Marian, syn Bronisławy, protestuje: dlaczego mają mieszkać z obcym człowiekiem, dlaczego mama śpi z nim z jednym łóżku? Z czasem pokocha go jak ojca.

Inżynier Marzyński znajduje pracę w Biurze Odbudowy Stolicy, a jego pierwszym zadaniem jest nadzór nad budową osiedla fińskich domków w Górnym

Ujazdowie.

Marian Marzyński (reżyser) w 2014 roku podnosi się z ziemi, na której przez chwilę leżał, chcąc mi pokazać, gdzie stało jego dziecinne łóżko w fińskim domku, i opowiada: „Byliśmy tu z mamą i ojczymem pierwsi. Zamieszkaliśmy w jednym z pawilonów, jakie pozostały po zburzonym Szpitalu Ujazdowskim. Pamiętam, jak na teren budowy wjechały sowieckie ciężarówki z drewnianymi elementami. Nasz domek był jednym z pierwszych”.

Osiedle w Górnym Ujazdowie powstaje najpierw. Prace rozpoczynają się 20 marca 1945 roku. „Życie Warszawy” ekscytuje się budową przez kilka miesięcy. Robotnicy niwelują grunt, wyburzają ruiny szpitala, wywożą gruz. Części już jadą na miejsce! Trwa segregacja drzwi, ścian, okien i podłóg. Teraz odbywa się zwózka cementu i wapna na budowę podmurówek domków. Komisja bezpieczeństwa przeciwpożarowego przekazała BOS instrukcję, jak zabezpieczyć domki od ognia. Na terenie osiedla zostaną zainstalowane baseny i beczki z wodą.

Bronisława Marzyńska rozlicza kobiety pracujące przy wydobywaniu i oskrobywaniu cegieł. Nocami, kopianym ołówkiem, przez pięć kalek, sporządza listy płac robotników. Prowadzi magazyn chleba, pilnuje,

żeby sprawiedliwie rozdzielano między ludzi zupe i pieczywo.

W maju dziennikarze zwiedzają domek kierownictwa budowy (prawdopodobnie Marzyńskich): „Wchodzimy po cementowych schodach, pod zgrabnymi kolumnienkami podcieni i wstępujemy do przedsionka. Po prawej ręce znajduje się pokój bawialny, dalej sypialnia i kuchnia-jadalnia. [...] W sypialni znajdują się trzy szafy: do bielizny, garderoby i do suszenia zwierchnich okryć”.

Domki stają w długich rzędach, osiedle dzielone jest na kolonie, po kilkanaście budynków. Robotnicy się śpieszą. 1 maja, w święto robotnicze, stoją już 24 domki. Nie są jednak jeszcze gotowe do zamieszkania. Po roku okaże się, że niektóre dachy przeciekają, klucze nie pasują do drzwi, toalety nie spłukują, okna się nie zamykają, woda pryska na sufit, a dym zamiast kominem leci do środka. Ściany 15-centymetrowej grubości, ocieplane tekturą, nie chronią przed zimmem. Ludzie będą też narzekać, że ich domki stoją tak blisko siebie, że bez zasłon można oglądać bieliznę sąsiadki.

W czerwcu gazeta donosi, że z końcem lipca w Górnym Ujazdowie w domkach fińskich zapłoną światła. Udało się wcześniej, bo już w połowie lipca, do pierwszych 30 domków Górnego Ujazdowa wprowadzają się lokatorzy. „Życie Warszawy” donosi, że prace są wciąż w toku, robotnicy układają z kamieni polnych drogę dojazdową i chodniki z cegły w jodełkę.

Ale działają tam już dwa zakłady szewskie i jeden żłobek.

Uroczyste otwarcie osiedla następuje w pierwszą rocznicę wybuchu powstania. 90 domków jest gotowych do zamieszkania (64 trzyizbowe i 26 czteroizbowych). Prezydent miasta Stanisław Tołwiński (zastąpił w marcu na tym stanowisku Spychalskiego) odbiera symboliczne klucze do osiedla. Dwudziestu najbardziej oddanych robotników w nagrodę za wydatną pracę dostaje dwutygodniowy urlop. Portrety ośmiu z nich wiszą na trybunie. Przedstawiciele Śląsko-Dąbrowskiego Komitetu Odbudowy Stolicy przekazują w darze od załóg i fabryk śląskich wagon mydła i 27 wagonów cementu.

Inżynier Piotrowski, kierownik BOS, oświadcza, że 75 procent domków zajmą robotnicy, resztę projektodawcy i technicy. Szef misji radzieckiej generał Siergiej Szatłow, jak donosi „Życie Warszawy”, „w gorących słowach opowiedział o przyjaźni obu bratnich narodów słowiańskich Polski i ZSRR”.



Budowa domków fińskich, Warszawa, kwiecień 1945 roku

Mąż Wandy Hoppe dostaje klucze do domku pod numerem 5a/3. Jest technikiem, kierownikiem budów. Domek ma 53 metry, Hoppowie mają dwoje dzieci. „Pachniało drewnem, żywicą – wspomina Wanda Hoppe (rocznik 1921). – Deski gładziutkie jak stolnica, czyściuteńkie, białe. Sufit z drzewa, piec z cegieł, kuchnia zwykła na węgiel. Łazienki nie było, tylko

toaleta. Moja teściowa mieszkała na Złotej. Pamiętam, jak wychodziłam z naszego pięknego osiedla, a potem szłam po strasznych gruzach, żeby do niej dojść. Mimo to czasem ludzie mówili, że mieszkamy w barakach lepszej kategorii”.

„To był raj – mówi Marian Marzyński. – Podczas gdy w Warszawie ludzie walczyli o metr kwadratowy do mieszkania, nam przyszło żyć w królewskich warunkach, w parku”.

„Światło, woda, kanalizacja. W 1945 roku tu był największy luksus w całej Warszawie – mówi Stefan Szczerbiński (rocznik 1943), syn Barbary, wojennej wdowy, księgowej w BOS. Wprowadzają się do domku w sześć osób najbliższej rodziny. – Pamiętam, że pierwszego dnia drzwi wejściowe były zabite deskami na krzyż, chyba na znak, że to świeży domek. Trzeba je było oderwać i można się było wprowadzać”.

Na osiedlu powstaje łaźnia, w pawilonie po przyszpitalnej kostnicy. Łazienki pilnują czystości, za kilka złotych można wziąć prysznic, gorąca kąpiel w wannie jest nieco droższa. Domek w sąsiedztwie Hoppów zajmuje rodzina botaników Tadeusza i Jadwigi Górczyńskich. BOS zatrudnił ich do inwentaryzacji terenów zielonych Warszawy. W 54-metrowym domku mieszkają z dziesięciorgiem dzieci i służącą. „Raz w tygodniu szliśmy rządkiem z ręcznikami i mydłem do osiedlowej łaźni”, wspomina Ewa Długosz, córka Górczyńskich.

Całego gruzu z terenu dawnego szpitala wywieźć się nie dało. Domki stoją więc na wyrównanym gruzowisku, nie są otoczone płotem, nikomu nie przydzielono oficjalnie ogródków. Każdy więc wytycza teren wokół swojego mieszkania według uznania. Żeby cokolwiek posadzić, trzeba najpierw wynieść pokruszone cegły i kamienie. „Rodzice wywieźli gruz i nawieźli ziemi, inaczej nic by nie wyrosło. Potem zaczęli sprowadzać drzewa owocowe dla całego terenu, w końcu zaprojektowali tutaj całą infrastrukturę zieleni”, mówi Ewa Długosz.

Osiedle w Górnym Ujazdowie, przemianowanym z czasem na Jazdów, przetrwa 70 lat (Dolny Jazdów i osiedle przy Wawelskiej znikną wcześniej). Część domków zostanie zburzona, inne będą kupowane, rozbierane i przewożone na lotniska.

Marian Marzyński ożeni się i przeprowadzi do innego domku na osiedlu. Po 1968 roku z rodzicami, żoną i synem wyemigruje z Polski. Ich domek zostanie przekazany innej osobie, domek po rodzicach trafi jako dacha nad Zalew Zegrzyński.

W XXI wieku władze Warszawy podejmą decyzję o całkowitej likwidacji pozostałych budynków. Ale mieszkańcy będą walczyć o pozostanie w domkach fińskich podarowanych Warszawie w 1945 roku przez

Józefa Stalina.

W co się bawić?

W maju 1945 roku w Warszawie mieszkają prawie 64 tysiące dzieci do lat szesnastu. Andrzej Pstrokoński chodzi do szkoły już od lutego. Na razie lekcje odbywają się w prywatnym mieszkaniu przy placu Trzech Krzyży. W jednym pokoju stoją trzy rzędy ławek, w każdym rzędzie jedna klasa.

A po lekcjach – zabawa. Warszawscy chłopcy bawią się przede wszystkim w wojnę.

Marian Marzyński: „Zwąchałem się z chłopakami. Mieliśmy swój oddział. Po pierwsze, zwijaliśmy suche liście, kręciliśmy i używaliśmy jako papierosy, bo na prawdziwe nas nie było stać. A ponieważ byliśmy żołnierzami, musieliśmy postarać się o broń”.

Andrzej Pstrokoński: „To nie było trudne. Czasem pistolet leżał wprost na ulicy, wystarczyło się pochylić. Jakiś czas później odkryliśmy jakąś melinę akowską, pełną broni. Gdzie to ukryć? Wykradłem z domu klucz do piwnicy”.

Marzyński: „Franio Mleczek z sąsiedniej kolonii był synem pułkownika i miał dostęp do jego pistoletu. Z amunicją! Pokazywał nam, jak się strzela do drzew. Potem na czele naszego oddziału szturmował ruiny Zamku Ujazdowskiego, w którym do końca wojny był

szpital. I tam było cudowne strzelanie. W gruzach znaleźliśmy preparaty z płodami. Zastrzeliliśmy wszystkie”.

Pstrokoński: „Dwóch chłopców z mojej szkoły chciało się pojedynekować. Obaj zginęli. Wrzucaliśmy granaty do Jeziorka Czerniakowskiego, żeby łowić ryby. Jednemu chłopcu urwało rękę, bo podrzucał granaty dla zabawy”.

Dzieci wyszukują w zrujnowanych domach miny i pociski przeoczone przez saperów. Gazety są pełne nekrologów młodych ludzi, którzy zginęli śmiercią tragiczną. Jerzy Putrament notuje w lutym 1945 roku: „Rynek Starego Miasta. [...] Na placu trzy lub pięć niewypałów. Już zardzewiałe, pękate i duże leżą czekając, aż któryś z przedsiębiorczych dwunastolatków zabierze się do majstrowania nimi, wybierając ten pośpieszny środek lokomocji na tamten świat”.

Do redakcji „Życia Warszawy” śle list czytelnik podpisujący się „Dr M.S.”, którego niepokoją zabawy wyrostków niewypałami. „Lękliwie omijają ich przechodnie, bo w każdej chwili może nastąpić huk, a rozpryskujące się odłamki [...] jakże łatwo mogą spowodować ciężkie okaleczenia”. Czytelnik uważa, że dzieci zabawiające się w ten sposób to sieroty wojenne, pozbawione opieki, a jedyny sposób, w jaki można im pomóc, to skierowanie do zakładów zamkniętych „gdzieby znaleźli opiekę, gdzie mogliby się uczyć”. Zdolnych do pracy można by skierować

do pracy przy odgruzowywaniu.

Ale nie tylko zabawy w wojnę pochłaniają warszawskich chłopców. Andrzej Pstrokoński z kolegami biega na Rynek Starego Miasta, gdzie mieszka słynna gołębiarka. „Starsza pani, mieszkała gdzieś w piwnicy i jak wychodziła, ptaki się do niej zlatywały. Myśmy czekali, aż ona wyjdzie, bo widok był niesamowity”.

Grupa Mariana Marzyńskiego w ruinach zamku podgląda zakochane pary: „Przy takim braku mieszkań i wolnych pokoi było to idealne miejsce dla ludzi, którzy chcieli uprawiać seks. Chodziliśmy tam codziennie, żeby ich obserwować. Czekaliśmy, aż pan skończy i zacznie wciągać spodnie, i zaczynaliśmy ich straszyć, dawaliśmy znaki, że byli widzeni. Szczytem naszych osiągnięć było toczenie rury kanalizacyjnej, w której jakaś parka uwiła sobie gniazdko. Nie pamiętam, jak się to skończyło”.

„Warszawa patrzy w przyszłość”

Przekrój (czerwiec 1945): „Nie należy oczekiwać, że w czerwcu odbuduje się Hożą, w lipcu Wilczą, a w sierpniu plac Grzybowski. Nie stanie się to ani w tym roku, ani za dwa lata. W pierwszym roku odbudowy nie stanie się właściwie nic. To znaczy nic efektownego, widocznego na zewnątrz. [...] Po roku

praca ruszy pełną parą. Za 10 lat Warszawa stanie się najbardziej nowoczesnym »zespołem«, dwumilionową stolicą, której pozazdrości nam cały świat. [...] W miejsce dawnego śródmieścia stanie nowa dzielnica »dyspozycyjna«. Rząd, ambasady, poselstwa, banki, centrale handlowe, zarządy. Tam, gdzie była ongiś Wola, stanie „Zachodnia Dzielnica Zaopatrzenia”. [...] Wokół trzy dzielnice mieszkalne – Żoliborz, Saska Kępa, Mokotów. W tych pięciu fragmentach miasta mieszka tylko 700 000 mieszkańców. Pozostałe 1 300 000 znajdzie pomieszczenie w dalszych dzielnicach mieszkalnych od Góry Kalwarii do Modlina. Dzielnice te będą powiązane wspaniałymi szlakami komunikacyjnymi. [...] Każdy dom, a najwyżej każdy blok kilku kamienic Warszawy, otoczony będzie zieleńcami. Całe miasto będzie jednym wielkim miastem-ogrodem o zupełnie »luźnej« zabudowie. [...] Całe miasto będzie w 100% zelektryfikowane, aż tak dalece, że nawet ogrzewanie izb mieszkalnych i kuchni będzie elektryczne. [...] Mimo tych bardzo nowoczesnych założeń postanowiono ze względu na tradycję – odbudować wiernie niektóre zabytki dawnej Warszawy. [...] Ta koncepcja, mimo zdań przeciwnych, nie podlega dyskusji.

Taką będzie Warszawa”.

Czerwiec 1945

Teatr Popularny (Zamojskiego 20). Niedziela dn. 8 czerwca godz. 12-ta bajki dla dzieci „Jaś i Małgosia” i „Czerwony Kapturek”, 15-ta „Moralność Pani Dulskiej”, 18-ta „Burmistrz Stylmondu”.

Teatr Mały (Marszałkowska 81). 15-ta „Szczęście Frania”, 18-ta „Śluby Panieńskie”.

Pogrzeb Eugeniusza Lokajskiego. Olimpijczyka.

Znany olimpijczyk EUGENIUSZ LOKAJSKI zginął w czasie powstania warszawskiego w dniu 13 września. Obecnie odnaleziono jego zwłoki. Dnia 5-go czerwca odbędzie się w kościele św. Krzyża msza za spokój jego duszy poczym nastąpi wyprowadzenie jego zwłok do grobu rodzinnego na Powązkach.

„Życie Warszawy”, 2.06.1945

Dziś, w niedzielę 3 czerwca br. Powiatowy Komitet Opieki Społecznej w Lublinie urządza zbiórkę uliczną na biedne dzieci pozostające pod opieką Komitetu. Komitet spodziewa się, że dorocznym zwyczajem ofiarność społeczeństwa nie zawiedzie.

Akwaria – zakupi Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej. Informacje do Intendentury MCS Aleje Racławickie 21.

„*Gazeta Lubelska*”, 3.06.1945

Wydział Apropowizacji i Handlu w Radomiu otrzymał 6.000 kg mięsa. Mięso to zostanie wydane głównie dla przemysłu. W pierwszym rzędzie otrzymają przydziały mięsa pracownicy przemysłu metalowego, chemicznego, elektrowni, kolei, milicji i bezpieczeństwa.

„*Dziennik Powszechny*”, Radom – Kielce, 3.06.1945

W piśmie naszym z dnia 20 listopada 1944 r. w artykule pt. „Galeria zdrajców” zamieszczono: „Mieczysław Kołakowski zam. ul. Krzywińska 15, oskarżony o współpracę z Gestapo”. Dochodzenie w tej sprawie, przeprowadzone przez prokuraturę Specjalnego Sądu Karnego R.P. wykazało bezpodstawność oskarżenia, wynikłego na tle osobistych porachunków. Zatrzymanego Mieczysława Kołakowskiego zwolniono z aresztu.

„*Życie Warszawy*”, 3.06.1945

—

Narodowy Bank Polski zawiadamia, że pojawiły się w obiegu fałszywe bilety bankowe 500-złotowe. Falsyfikaty te wykonane są na papierze cieńszym, zwyczajnym, bez znaku wodnego. Rysunki w kolorze czarnym i tło w kolorze pomarańczowym po obu stronach fałszyfikatu są jaśniejsze, brudne, w drobnych szczegółach zamazane. Cyfry, numery i litery serii są tłoczone nierównomiernie, słabiej odbite. Falsyfikat przy porównaniu z biletem autentycznym jest dość łatwy do porównania.

„*Życie Warszawy*”, 3.06.1945

—

Od dnia 7 bm. zamiast chleba wydawana będzie mąka pszenno-razowa. [...] Od dnia 5 bm wydawana będzie marmolada na kupon nr 1 majowych kart dzieciennych w ilości 0,5 kg. Cena 13 zł za 1 kg. [...] W najbliższym czasie posiadacze kart majowych na art. kat. I-szej otrzymają na kupon Nr 11 po 1 kg tłuszczu zwierzęcego (słonina i smalec) w cenie 16 zł za 1 kg. Tłuszcz będzie wydawany przez rozdzielcze sklepy mięsne.

—

Obelgę rzuconą na obywatela Stanisława Grabowskiego, urzędnika, odwołuje: Maksymilian Cybulski.

„*Dziennik Bałtycki*”, 7.06.1945

W ostatnich dniach została puszczone w obieg plotka o rzekomym skróceniu czasu poruszania się po mieście do godz. 20-tej. Plotka ta była przy tym gorliwie komentowana przez domorosłych polityków i świadomych szkodników. Dowiadujemy się z miarodajnego źródła, że żadne zmiany w tej sprawie nie są przewidziane. Prawo swobodnego poruszania się po mieście obowiązuje do godz. 22-ej.

Kursy języka rosyjskiego. T-wo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej organizuje kursy popularne języka rosyjskiego dla szerokich rzesz społeczeństwa. Dla ściślejszego zbliżenia i kulturalnej wymiany projektuje się też cały szereg imprez muzycznych, które by mogły poinformować oba narody o osiągnięciach w tej dziedzinie.

„Życie Warszawy”, 7.06.1945

W handlu wciąż jeszcze znajduje się czekolada tabliczkowa zaopatrzona w etykiety firmy „E.Wedel”, mimo że fabryka ta w ogóle czekolady tabliczkowej nie wyrabia. Jak się dowiadujemy, czekolada ta jest fałszowana a etykiety pochodzą z kradzieży.

„Życie Warszawy”, 11.06.1945

—

Dziś, we wtorek, o godz. 16 nada Polskie Radio z cyklu pt. „Z dziejów barbarzyństwa niemieckiego w Polsce” relację pióra znakomitej pisarki Zofii Nałkowskiej pt. „Ludzie w Oświęcimiu”.

„*Życie Warszawy*”, 12.06.1945

—

W związku z ukazaniem się szkła w handlu, Zarząd m. Gdyni komunikuje, że cena za 1 m kw. oszklenia (szkło+robocizna) w nowej budowie nie może przekraczać 180 zł., a w starej budowie, łącznie z oczyszczeniem ram z kitu i odłamków 185 zł. W razie żądania przez szklarza wyższej ceny należy nazwisko jego podać do Zarządu Miejskiego.

„*Dziennik Bałtycki*”, 14.06.1945

—

Wszyscy do łopat! W niedzielę dzień pracy dobrowolnej dla Gdyni.

—

Wolno chodzić do 23 godz. Zaciemnienie w Gdyni zniesione.

„*Dziennik Bałtycki*”, 15.06.1945

—

W związku ze wzmożoną akcją wywożenia gruzu, władze sanitarne przystąpiły do ekshumowania zwłok pogrzebanych w okresie powstania na chodnikach i zieleńcach. Ekshumacji pojedynczych podejmuje się Zakład Oczyszczania Miasta, licząc za wykopanie zwłok i odwiezienie na cmentarz 800 zł.

„Życie Warszawy”, 16.06.1945

—

Departament Morski Ministerstwa Przemysłu ostrzega, że osoby podszywające się pod miano Departamentu Morskiego, celem zajmowania mieszkań lub rekwizycji mebli na terenie Wybrzeża, ścigane będą z całą bezwzględnością.

„Dziennik Bałtycki”, 17.06.1945

—

Uwaga! 200 złotych wieczna ondulacja. Gwarantowana, dawniej Wolska 19, obecnie Sewerynów 4 m. 36 (ulica koło Kopernika)

„Życie Warszawy”, 17.06.1945

—

Kupię w Warszawie dom spalony nadający się do odbudowy, hipotecznie i regulacyjnie czysty. Warszawa, Poznańska 38-15.

„*Życie Warszawy*”, 18.06.1945

—

Wstyd, obywatele Gdyni! Na 70 tys. ludności, tylko 2 tys. zgłosiło się do pracy dobrowolnej przed Świętem Morza.

„*Dziennik Bałtycki*”, 19.06.1945

—

Sierotę zupełną – dziewczynkę w wieku 10-14 lat z lepszego domu, najchętniej warszawiankę – wezmę za swoją. Wiadomość: Kraków, Na Ustroniu 3.

„*Dziennik Polski*”, Kraków, 20.06.1945

—

Mistrz cukierniczy, lat 35, spalony w Warszawie, poszukuje współlnika z lokalem. Wiadomość: Sopot, ul. Wilhelma 3.

„*Dziennik Bałtycki*”, 22.06.1945

—

Rodzice, proszę, może kto ma wiadomość o Leszku Buczyńskim, lat 17, w czasie powstania był na Żoliborzu w Armii Ludowej, Puławska 26-17.

—

Poszukuję swej córeczki Izabelli Elżbiety, lat 2, która

zaginęła w czasie powstania ze schronu przy ul. Górskiej 9, dzielnica Sielce, córka dozorczy tego domu. Twarz okrągła, oczy niebieskie, dołeczek w brodzie, włosy jasne, ubrana była w granatowy kaftanik, także majteczki, długie pumpy. Pod spodem miała 2 sukienki. Pierwsza ciepła, kolor jasny granat, w kraty popielate. Druga w szerokie białe pasy w czerwone kwiaty. Na nóżkach brązowe sandałki, białe skarpetki. Była na ręku u p. Zaneckiej z tego samego domu, która ranna w oko, wyszła bez dziecka i dotąd nie wróciła. Kto by wiedział bliższe szczegóły o zaginionym dziecku i p. Zaneckiej Julii, proszony jest kierować wiadomość na adres: Warszawa, Żulińskiego 5. Rodzice zaginionego dziecka Józef i Władysława Milcuszek.

Zaginął pies (erdal terrier) wabi się Niedola. Odprowadzić za nagrodą: Wileńska 11 m 12.

Magister Kazimierz Załuska, właściciel spalonej apteki, Freta 29, powrócił. Obecny adres Jagiellońska 9 m. 48.

„Życie Warszawy”, 22.06.1945

Zaginęła koza – czarna w białe plamy, bez rogów, w rejonie ulicy Morskiej. Znalazcę solidnie wynagrodzę. Gdynia, Kapitańska 29.

„Dziennik Bałtycki”, 23.06.1945

Zawiadamiam PT Klientelę i moich Odbiorców, że wróciłem z obozów koncentracyjnych i nadal prowadzę Hurtownię Galanterii, Kosmetyków i krótkich towarów „Canada”. Polecam swoje dobrze zaopatrzone składy. Ceny niskie! Fabryczne! Józef Cepura, Kraków, Rynek Gł. 37.

Mamusi wróć! Dzidzia Szarecka, Kielce, Silniczna 18.
„Dziennik Polski”, Kraków, 24.06.1945

Wydział Kultury i Sztuki Gdańskiego Urzędu Wojewódzkiego do właścicieli restauracji i kawiarni Województwa Gdańskiego: „[...] Ostrzegam kierowników lokali i dyrygentów orkiestr, że odegranie hymnu państwowego lub hymnów państw zaprzyjaźnionych bez należytego usprawiedliwienia powagą chwili, jest przestępstwem w sensie obywatelskim i w sensie dobrych obyczajów, a jako takie winno być piętnowane lub ścigane prawem”.

„Dziennik Bałtycki”, 24.06.1945

Napoje chłodzące (wody gazowe, lemoniada itp.)

przygotowane na wodzie niekontrolowanej i na niepewnych surowcach mogą być szkodliwe dla zdrowia a w szczególności powodować zakażenie tyfusem brzusznym, czerwonką itp. Za wyrób i sprzedaż artykułów żywności szkodliwych dla zdrowia grożą surowe kary i we własnym interesie wytwórców napoi chłodzących jest zapewnienie sobie stałej kontroli nad wodą i surowcami używanymi do ich wyrobu. W tym celu Państwowy Zakład Higieny, Zakład Badania Żywności i Przedm. Użytku wzywamy wszystkich wytwórców napoi chłodzących, by zgłosili się w Zakładzie od 10-12 do dnia 10 lipca 1945 r.

Zarząd Cmentarza Powązkowskiego podaje do wiadomości PT publiczności, że przyjmuje opłaty za konserwację grobów. Sprzątaczkę nie są upoważnione do przyjmowania opłat. [...]

„Życie Warszawy”, 25.06.1945

Wszystko co mi zostało to brunatna suczka owczarka z obrozą. Zaginęła między Polną a Mokotowską. Serdecznie proszę o zwrot. Nagroda. Mokotowska 57.

Przepowiadam z niespotykanych kart, wody, rąk, fotografii, pisma, jasnowidzenie. Porady życiowe. Codziennie 11-5 oprócz świąt. Mała 1-7.

„*Życie Warszawy*”, 27.06.1945

—

Posiadam ok. 100000 kapitału. Oczekuję propozycji. Miejscowość na Wybrzeżu obojętna. Oferty pod „Handel” składać do Administracji „Dziennika”.

„*Dziennik Bałtycki*”, 28.06.1945

—

Siwe włosy farbuję. Rozjaśniam. Czwartki, piątki, soboty 3-6. Wilcza 16-14.

„*Życie Warszawy*”, 28.06.1945

—

Rekolekcje ogólne w kaplicy O.O. Jezuitów, Gdynia ul. Tatrzańska 35, od 2 lipca br. codziennie o godz. 19. Zakończenie w niedzielę 8 lipca o godz. 8. Od 9 lipca br. w podobnym porządku rekolekcje dla inteligencji. O.O. Jezuici.

„*Dziennik Bałtycki*”, 30.06.1945

—

Nowa Kabała. Karty do wróżenia. Setki odpowiedzi na pytania ze wszystkich chwil życia. Wysyłka polecona po nadesłaniu przekazem pocztowym 25 zł. Warszawa, Mokotów, Ikara 9 Wiśniewski.

„Życie Warszawy”, 30.06.1945

Ja nie sziksa, ja Żydówka

Nigdy, przenigdy nie używali słowa sierociniec. To był dom.

Franciszka

Dziwna grupa. Dziesięcioro obdartych dzieci i żołnierz radziecki. Trzyma ich ręce w swoich dłoniach. Krążą po ulicach Otwocka jak skołowani.

A właśnie ulicą Prusa idzie kobieta. Ma 31 lat i niebrzydką twarz, choć taką, jakby narysował ją trzylatek grubą kredką – czoło wyszło mu za wysokie, nos i uszy za duże, usta zbyt pełne. Kobieta lekko kuleje na lewą nogę (pamiątka po polio). Ma też niedowład lewej ręki. Ale tego akurat nie widać, bo dłonie bez rękawiczek schowała w kieszeniach lichego palta. Nazywa się Franciszka Oliwa.

Żołnierz podchodzi do niej i wskazuje na swoją grupkę. „To są dzieci żydowskie, bezdomne – mówi – wałęsały się przy wojsku, które stacjonuje w Otwocku. Przeszkadzały nam. Teraz pani się nimi zajmie”. Oliwa protestuje: „Ale ja też nie mam domu”. Sołdat pokazuje

na pierwszą z brzegu willę, pod numerem 11. „Tu będziecie mieszkać”. I odchodzi.



Wychowawczynie Franciszka Oliwa

Pierwszą noc Franciszka i dzieci śpią na podłodze. Budynek przedwojennego pensjonatu Zachęta ocalał, ale jest w złym stanie. W oknach brakuje szyb, z kranów nie leci woda, ze ścian odpadają płyty tynku. Jest zimno, wszyscy są głodni. Dzieci szukają w domu kryjówek, chowają się w zakamarkach. Rano mieszkańcy sąsiednich domów przynoszą im chleb i gorącą herbatę.

„Zrozumiałam – Franciszka Oliwa napisze po latach – że te dzieci nie mają dokąd iść i że zostaną ze mną, że ja jestem jedyną osobą, która musi się o nie troszczyć, pomóc im i nimi się zaopiekować”.

Kończy się styczeń 1945 roku.

Jaka szkoda, że wszystko to, co napisałam powyżej, jest nieprawdą.

Poza trzema szczegółami: kobietą, dziećmi i pensjonatem Zachęta w Otwocku. Oni są prawdziwi.

Resztę Franciszka Oliwa, wychowawczynie średniej grupy w Domu Dziecka Żydowskiego w Otwocku, zmyśliła.

Prawie nic o niej nie wiem. „Pani Oliwa”, mówiły na nią dzieci z jej grupy. Nigdy „mamo”, jak wołały maluchy

na wychowawczynię. Niezbyt serdeczna, nie nadto czuła, choć wiele lat później będzie pisać o niedzielnych porannych pieścizotach i pocałunkach, jakimi budziła swoje dzieci. One tego nie będą umiały sobie przypomnieć. Zapamiętają za to, że była dla nich dobra i oddana. Kochała je bardzo. O tym też napisze we wspomnieniach.

Bezdzietna do końca życia. Komunistka, Żydówka, antysyjonistka, przedwojenna otwockanka. Czy była wykształcona? Też nie wiem. Po ucieczce na aryjską stronę, w czasie likwidacji otwockiego getta w sierpniu 1942 roku, była służącą w Warszawie, przy ulicy Wilczej 53. Po upadku powstania warszawskiego zbiegła z transportu, którym jechała do obozu pracy, i do końca wojny ukrywała się u Joanny i Rudolfa Nowaków w Kielcach. Traktowali ją jak krewną, nie brali pieniędzy za pomoc (w 1991 roku zostaną wyróżnieni medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata).

W styczniu 1945 roku opuściła Kielce i pojechała do Warszawy. „Piwnica, gdzie zakopałam mój skromny dobytek, została ograbiona”. Mostem pontonowym na zamrożonej Wiśle dostała się więc do Otwocka, gdzie nie znalazła nikogo z bliskich.

Nie wolno mi wierzyć w to, że spotkała tam gromadkę dzieci z żołnierzem radzieckim. Proszą mnie o to byli wychowankowie otwockiego domu dziecka, z którymi rozmawiam: Awiwa, Janusz, Irka, Linka, Włodek, Judyta, Israel i Ludwik. To nie ona była jego

założycielką ani pierwszą dyrektorką, jak chciała po latach.

Nikt jednak nie wie dokładnie (ani dawne dzieci, ani Żydowski Instytut Historyczny, ani Yad Vashem), jak i kiedy dokładnie w willi Zachęta zamieszkały dzieci. Kto przydzielił im pensjonat, przedwojenną własność Rywki Flunt-Zylberbaumowej? Wiadomo tylko, że pierwszym dyrektorem domu dziecka został pediatra z Otwocka Michał Kokoszko, który ukrywał się w czasie okupacji pod nazwiskiem Kosowski. Pewnie znał Franciszkę sprzed wojny. Może to on zaproponował jej pracę? Na pewno Oliwa była tam od samego początku. A potem doktora Kokoszkę wymazała z pamięci.

Kiedy w 1948 roku będzie odchodziła z domu dziecka, zabierze z sobą część dokumentacji, fotografie i Księgę Wspomnień, w której wychowankowie zapisywali swoje okupacyjne przeżycia. Przekaze je później do ŻIH-u. „Jest to jej zasługa, że wzięła te materiały – napisze po latach Luba Bielicka-Blum, była dyrektorka otwockiego domu dziecka, następczyni Kokoszki – bo nikt inny ich nie zabrał”.

Do pamiątek z domu dziecka pani Oliwa dołoży wspomnienia, które spisze po latach. Nie wszystko w nich będzie nieprawdą.

Irka

Irka jest pewna, że wszystko zaczęło się wcześniej, jesienią 1944 roku. Miała wtedy 12 lat i ważyła najwyżej 30 kilogramów (w domu dziecka będzie dostawać codziennie dodatkową porcję śmietanki i jajko na twardo, przy stole dla głodomorów).

Dobrze pamięta, jak uchyla jakieś drzwi i słyszy mężczyzn rozmawiających po żydowsku. Jeden z nich zauważa dziewczynkę i mówi: „Zobacz, co ta sziksa tutaj chce”. Irka rozumie trochę jidysz, więc wybucha płaczem i mówi po polsku: „Ja nie sziksa, ja Żydówka”. Mężczyzna zaprasza ją do środka. Nazywa się Olek Awol, jest z Warszawy, ma dwie córki, drugą żonę, przed wojną był brylanciarzem.

Teraz działa w Centralnym Komitecie Żydów Polskich (podlegającym bezpośrednio przewodniczącemu PKWN Edwardowi Osóbce--Morawskiemu), który powstał w listopadzie 1944 roku i ma pomagać wszystkim Żydom, którzy przeżyli wojnę. Komitet ma filię także w Otwocku.

„Jestem Irka Młotek – mówi dziewczynka. – Mam dwóch braci, Janka i Danko”. Przed wojną mieszkali w Otwocku, opowiada, przy Raławickiej 16. Kiedy w sierpniu 1942 roku Niemcy rozpoczęli likwidację otwockiego getta, ukryli się z mamą Leą i babcią Borucką pod daszkiem werandy, gdzie tata Szulim przygotował wcześniej schowek.

Patrzyli przez szpary w deskach, jak Polacy, szabrując opustoszałe getto, wynoszą z ich mieszkania

porcelanowe figurki, srebrne sztucce, zegar ze ściany. Mama płakała, ale tatuś ją pocieszał, że jak przeżyją, to kupią sobie nowe. A jakby mieli nie przeżyć, to po co im te rzeczy?

Uciekli po kilku dniach w stronę wsi, gdzie wszyscy chłopci znali i lubili tatę, bo przed wojną skupował od nich owoce, siadał z nimi do stołu, uczciwie płacił. „Nasz Szulimek” – mówili o nim.

Nie jeden zapłacze potem, gdy dowie się, że jesienią 1943 roku zginął z rąk Polaków, którzy wyciągnęli go z domu znajomej kobiety, mówiąc: „Pójdiesz z nami do lasu, walczyc z Niemcami”. Zastrzelili go potem.

Babcia poszła któregoś dnia w stronę rodzinnej wsi i nikt jej więcej nie zobaczył.

O mamie słuch zaginął, gdy we wrześniu 1942 roku przedostała się do getta we wsi Sobienie-Jeziory w pobliżu Otwocka, gdzie była jej rodzina. Chciała ich tylko pożegnać, umówiony przez ojca mleczarz czekał, żeby ją zabrać do kryjówek, ale akurat tego dnia Niemcy likwidowali getto.

Wojnę przeżyła tylko Irka i jej bracia. Ukrywali się, każde oddzielnie, u chłopów ze wsi Piotrowice, Kosumce, Kępa Nadbrzeska, służąc u nich za parobków i chowając się przed obcymi. Kiedy w lipcu 1944 roku Otwock został wyzwolony, zostali u swoich gospodarzy. Bo dokąd mieli iść?

A dziś właśnie Irka przyjechała do Otwocka ze swoją gospodynią na targ. Ledwie rozłożyły ziemniaki

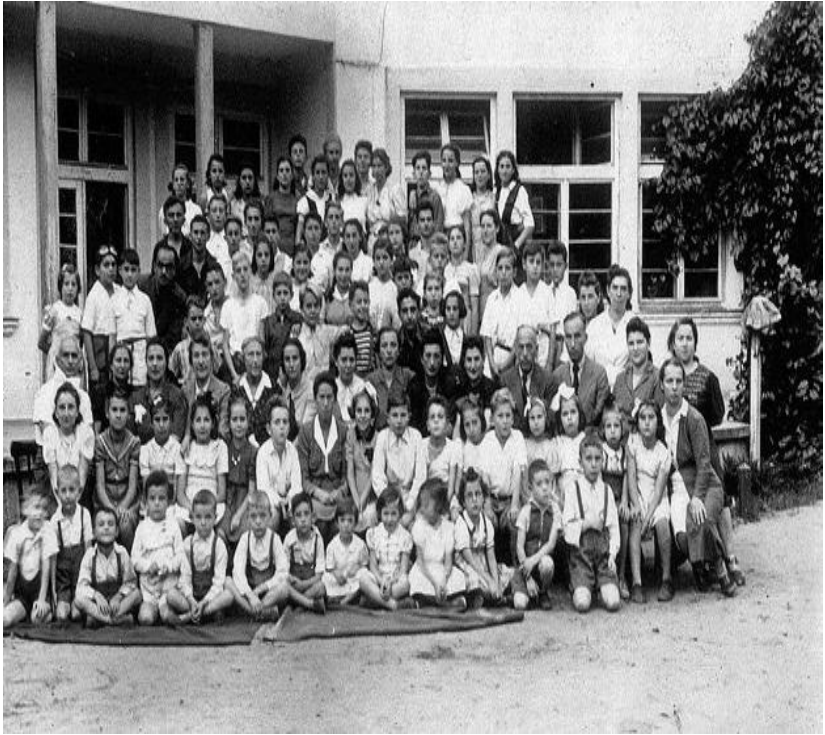
i marchew do sprzedania, gdy Niemcy zaczęli ostrzał z drugiej strony Wisły, wciąż przez nich zajętej. Ludzie rozpierzchli się, a ona pobiegła zobaczyć, czy jej rodzinny dom wciąż stoi. Stał. Z obcym nazwiskiem na skrzynce pocztowej. Bała się zapukać. Zapytała przechodnia, czyj to dom teraz. „A tyś tu mieszkała?” – zapytał. Przytaknęła. Zrozumiał od razu. „Ja ci nie pomogę, ale wiem, że na ulicy Warszawskiej, niedaleko skrzyżowania na Kościelną, jest komitet żydowski. Ci, co zostali przy życiu, szukają się tam nawzajem”.

Pobiegła. Uchyliła jakieś drzwi. Usłyszała mężczyzn rozmawiających po żydowsku.



– Wkrótce powstanie w Otwocku dom dziecka – mówi Awol do Irki.

– Proszę pana, ja jestem silna, mogę pracować na wsi do końca życia. Ale moi bracia, oni są słabsi, starszy ciągle choruje. Odwiedzam ich czasem, zdejmuję koszulę, iskam wszy. W garnuszku, który dostałam od gospodyni, gotuję im marchew i kartofle. Ale oni dłużej nie dadzą rady. Ja bym strasznie chciała, żeby mogli przyjść do tego domu. Jakby to było ograniczone jakimś limitem, to ja im ustępuję miejsca – mówi do niego 12-letnia Irka.



Franciszka Oliwa (drugi rząd, w środku) z pracownikami i dziećmi

– Jak powstanie dom, to żydowskie dzieci bez rodziców będą miały pierwszeństwo – odpowiada jej Awol. – Posłuchaj, mam dwie córki. Dana jest w twoim wieku. Wkrótce zabiorę ją od Polaków, z ukrycia. Mieszkam w Otwocku, zostań ze mną. Poczekaj na Danę. Jej mama zginęła w getcie. Z tobą będzie jej lżej. Planujemy wyjechać potem do Ameryki. Zabierzemy cię z sobą.

– Teraz nie mogę, proszę pana. Dopóki nie powstanie

dom dziecka, zostaną na wsi, blisko braci. Jestem u dobrych ludzi. Ale w dniu, kiedy umieści pan Janka i Dankę w tym domu, zamieszkać z wami. I zostaną, dopóki nie wyjedziecie do Ameryki. Obiecuję.

Bracia Młotkowie wprowadzają się do otwockiego domu dziecka w marcu 1945 roku. Są tam już inne dzieci.

Irka Młotek wkrótce przeniesie się z rodziną Awolów do Katowic. Pójdzie do szkoły. Kiedy późną jesienią 1945 roku Awol z rodziną wyjedzie do Niemiec, a stamtąd do Ameryki, ona wróci do Otwocka i zostanie wychowanką domu dziecka.

Olek Awol będzie wysyłał jej zdjęcia zza oceanu.

Srulek

Nie chce być Srulem. Zaraz, za kilka tygodni, każe na siebie mówić Israel.

Franciszka Oliwa napisze o nim: „Przeżycia podczas okupacji uczyniły z niego dorosłego, twardego człowieka. Był średniego wzrostu, o twarzy skupionej, poważnej, stanowczej i zatroskanej. Trudno było trafić do jego psychiki. Miał w sercu żal i ból”.

Ale tylko jego Oliwa pokocha naprawdę. Tak zapamiętają to inne dzieci. Nazwie go „synoczkem”.

Doroślemu będzie słała z Polski do Izraela konfitury. Napisze o nim artykuł do gazety, poświęci mu 11 stron wspomnień (najwięcej ze wszystkich dzieci).

O losach Izraela Nojmarka w czasie okupacji opowie Franciszce jego siostra Bronka.

W październiku 1942 roku uciekli z mamą z getta w Legionowie, w trakcie akcji likwidacyjnej. Niemcy podczas pościgu zastrzelili matkę. Bronka ukryła się w lesie, Israel w psiej budzie w jednym z gospodarstw. Został tam na dłużej. Spał z psem, jadł z nim z jednej miski (gospodarz wiedział o żydowskim dziecku i stawiał przy budzie więcej jedzenia), żebrał po wsiach. Czasem spotykał w lesie siostrę. Ukrywała się w opustoszałych domach, studni i na śmietnikach, dostając czasem coś do jedzenia od ludzi. Nie miał butów, więc szybko odmroził sobie stopy, wdała się gangrena i stracił większość palców u nóg. Nie mógł chodzić. Do końca wojny musiał się czołgać.



Kiedy tylko wycofują się Niemcy, na tereny zajęte przez armię radziecką wyruszają ludzie z CKŻP w poszukiwaniu żydowskich dzieci ukrywanych, wałęsających się, przetrzymywanych, adoptowanych. Od Rady Pomocy Żydom – Żegoty – dostają adresy Polaków, którzy ukryli żydowskie dzieci. Ludzie z komitetu chodzą po klasztorach, pukają do drzwi,

rozglądają się po wsiach i miastach. Zaglądają do piwnic, na strychy i do grobowców. Wyciągają dzieci z szaf, komórek i skrzyń na węgiel.

Przed wojną w Polsce żyły 3 miliony Żydów. Wojnę przeżyło, według różnych szacunków, od 30 do 150 tysięcy, w tym około 5 tysięcy dzieci i młodzieży. Wszystkie dzieci, prędej czy później, zostaną objęte opieką komitetu, 1600 z nich trafi do któregoś z dziewięciu żydowskich domów dziecka w całym kraju.

Israel ma dziewięć lat, gdy za pośrednictwem CKŻP na początku marca 1945 roku przyjeżdża razem z Bronką do Otwocka.

Włodek

Helena Kazimiera Szytkgold przed wojną miała męża, służbę i kamienice w Warszawie. W lutym 1945 roku ma dziewięcioletniego syna Włodka, córkę Wandę i podarte buty. Koniec wojny przeżyła, ukrywając się z córką w Otwocku. Tam, dzięki znajomości z Felicją Winawerową, została zatrudniona pod koniec lutego 1945 roku w żydowskim domu dziecka. Zostaje higienistką. Nie ma ku temu żadnych kwalifikacji.

Winawerowa jest przedwojenną właścicielką jednego z otwockich pensjonatów, damą i piękną, której popiersie wyrzeźbił zakochany w niej artysta Henryk Kuna. W domu dziecka jest „kierowniczką sanitarno-

gospodarczą”.

Syn Heleny Sztykgold jest gdzieś w Żyrardowie, w domu na przedmieściach. Matka nie wie, że ostatnie pół roku był ukrywany przez Polaków w komórce, a jedynym jego towarzyszem był kozioł. Jedzie do niego drezyną, widzą się. Włodek jest spuchnięty, jego ciało pokrywają wrzody, które opiekunowie okładają cebulą, jedyną, jaką mieli. Matka docenia ich gest, mogli przecież zjeść cebulę. Ale wraca do Otwocka bez syna. Polacy żądają pieniędzy za oddanie Włodka, a ona ich nie ma. Dostaje gotówkę na początku marca od znajomego działacza żydowskiego. Wkrótce potem higienistka Sztykgold wprowadza swojego syna do otwockiego domu dziecka.

Jest wieczór, przestraszony Włodek widzi ciemne postaci w kocach.

Judyta

Do Otwocka Judytę Finkiel na początku marca 1945 roku zapisuje mama. Wiele żydowskich matek pragnie oddać swoje córki i synów do domu dziecka.

Na razie.

Póki są biedne i same nie mają gdzie mieszkać.

Póki nie stać ich na nic.

Wrócą po dzieci, jak tylko przestaną się bać je kochać.

Judyta wyszła z mamą z warszawskiego getta

na aryjską stronę w 1943 roku. Przeżyły wojnę na polskich papierach. Teraz dziewczynka ma osiem lat i nie wie, kim jest.

Do niedawna uczono ją, że Polką. Nauczyła się żegnać: prawą ręką dotknij czoło, pierś, lewe ramię, prawe ramię. Zna pacierz, zna Maryję. Wie, że Żydzi zabili Jezusa.

Nagle mówią Judycie, że jednak jest Żydówką.

Linka

Eda Szternes spotyka Andzię Sztarkman na Targówku. Jest koniec lutego 1945 roku, najwyżej sam początek marca. Kobiety znają się z getta. Eda w kamienicy, gdzie mieszkali Sztarkmanowie, prowadziła sekretny kącik dla kilkorga dzieci. Uczyła tam rzeczy, które zdaniem Niemców Żydom się już nie miały przydać. O Eskimosach na przykład albo o Japonii. Jej uczennicą była też córka Andzi – Linka (rocznik 1933, w przyszłości wyjdzie za mąż za kolegę z domu dziecka Władka Kornbluma).

Rozmowę Edy z Andzię można sobie wyobrazić tak: Żyjecie? Żyjemy. Wszyscy inni nasi zginęli. Co pani porabia, Andziu Sztarkman? Nie mam żadnego wykształcenia. Staję więc w kolejkach, kupuję pieprz, dzielę go na porcje i sprzedaję w mniejszych paczuszkach. Dlaczego, Andziu, nie odda pani córki

do żydowskiego domu dziecka? Właśnie powstał taki w Otwocku. Jestem tam wychowawczynią. Proszę przyjść do komitetu żydowskiego na Targowej i zapisać się.

5 lub 8 marca Linka Sztarkman wspina się więc na pakę ciężarówki. Mama macha jej na pożegnanie. Obiecuje, że będzie przyjeżdżać do Otwocka w każdą niedzielę.

Linka jest prawnuczką, w siódmym pokoleniu, Dawida, cadyka z Lelowa. We wrześniu 1939 roku, podczas bombardowania Warszawy, wszyscy pobożni Żydzi z sąsiedztwa chcieli przebywać z nią i matką w tej samej piwnicy na Grzybowskiej. Wierzyli, że święty cadyk ocali swoje krewne.

Na ciężarówce oprócz Linki jest jeszcze szesnaścioro dzieci i Eda. Samochód rusza, a wychowawczyni intonuje piosenkę. Po żydowsku i na głos! Linka nie zna jidysz, jej polski jest bez zarzutu, ale osłuchiwała się z tym językiem w getcie. Po ucieczce na aryjską stronę ukrywała się z mamą w różnych mieszkaniach. Przez ostatnie miesiące przed wyzwoleniem mieszkały w piwnicy na przedmieściach Warszawy z trzynaściorgiem innych Żydów. Jako jedyna z nich Linka miała „dobry wygląd”. Tylko ona mogła bez podejrzeń wychodzić na ulicę, żeby zdobywać jedzenie, wylewać kubły nieczystości, przyprowadzić lekarza

do chorej na dyzenterię kobiety. Od jej nienagannego akcentu, jedenastoletniej pewności siebie zależało życie ich wszystkich.

A teraz jedzie sobie w zapadającym zmroku w stronę Otwocka i śpiewa z innymi głośno po żydowsku.

Przyjeżdżają. Domu przy Prusa 11, jego białych ścian, modernistycznych okien (szyby już wstawiono), balkonu podpartego prostymi kolumnami, dużego ogrodu wokół już nie widać. Jest ciemno, prawie noc. W domu wita ich kilkoro dzieci. Wśród dorosłych jest doktor Kokoszka, Franciszka Oliwa, kucharka Katarzyna Raguzowa, zwana Odesową, i higienistka Helena Szytykgold.

Dzieci oddają ubrania, które zostaną spalone w obawie przed chorobami zakaźnymi (to pomysł higienistki). Komitet żydowski nie dostarczył jeszcze rzeczy na zmianę. Wszyscy dostają więc wojskowe koce, w które mają się zawinąć. Każdemu dziecku goli się głowę, bez sprawdzania nawet, czy ma wszy, żeby nikogo nie wyróżniać.

Linka ma wszy, więc choć żal jej krótkich warkoczy, nie protestuje.

Na kolację jest chleb maczany w tłuszczu, na który w domu dziecka mówi się steryna. To dar od wojska. Kucharka rozpuszcza sterynę na patelni i macza w niej kromki. Zastygnięty tłuszcz przypomina wosk. Jeśli uda

się zdobyć cebulę, można ją usmażyć na sterynie. Pyszności.

Dom

Wkrótce, za kilka miesięcy najdalej, parkiety będą tam błyszczące od rana do wieczora. Ściany zostaną pomalowane.

Obiad będzie się składał z trzech dań i deseru. Mięso będzie dwa razy w tygodniu, w tym uwielbiane przez wielu płucka.

Chleba i sera będzie pod dostatkiem.

W ogrodzie zakwitną kwiaty i stanie pasieka.

Felicja Winawerowa zdobędzie skądś kapy na łóżka dziecięce.

Dziewczynkom zawiąże się we włosach kokardy.

Każde dziecko dostanie nową amerykańską teczkę szkolną z kraciastego płótna.



Ale jeszcze nie teraz. Na razie jest kwiecień 1945 roku i do domu dziecka w Otwocku przyjeżdża inspekcja lekarsko-wychowawcza przysłana przez komitet żydowski.

Wciąż trwa wojna, zdobycie majątek dla dzieci czy ziemniaków na obiad graniczy z cudem. A doktor M. Simchowiczowa i towarzyszący jej K. Fuswerk (nie

podadzą imion w raporcie) kręcą nosami, jakby wizytowali pensję dla panien z dobrych domów ze stuletnią tradycją.

Otóż stan zdrowia dzieci jest średni. Dziewięcioro choruje na grypę, jedno ma gruźlicę kości, dwoje wysięk w opłucnej, siedmioro odizolowano, bo miały kontakt z dudem plamistym. Reszta, na szczęście, jest stosunkowo zdrowa i wesoła. Jeśli tylko uda się zdobyć aparat Roentgena, wszystkie zostaną prześwietlone.

Za to stan higieniczny dzieci i pomieszczeń pozostawia wiele do życzenia. Brakuje: bielizny pościelowej i osobistej, pieluch (na czworo niemowląt przypada pięć pieluch), chustek do nosa i ręczników. Dzieciom idącym do szkoły ubranie kompletuje się z części odzieży kolegów. Trzydzieścioro sześcioro nie ma odpowiedniego obuwia. W domu brakuje mebli, więc niektórzy wychowankowie przy posiłku klęczą. Nie ma zabawek, przyborów do pisania, butów do gimnastyki.

Na meblach jest kurz, w ubikacji odór, w sypialniach bałagan. Mimo kąpieli dwa razy w tygodniu i codziennego wieczornego mycia wciąż znajduje się u podopiecznych wszy.

Pokój dla dziewięciorga dzieci w wieku do trzech lat jest w stanie opłakanym. Leżą w dużych łóżkach bez bocznych ścianek, przykryte kocami. Zajmuje się nimi tylko jedna osoba, która je karmi, myje, przewija, gotuje im, pierze, zabawia, a nocą czuwa. Łóżka dzieci stoją

zbyt blisko siebie, „co jest ze wszech miar przeciwwskazane – obawa przed zarażeniem się, zboczenia seksualne itp.” – notują inspektorzy. Rzuca się w oczy brak spluwaczek i nocników.

Starsze dzieci śpią (czasem po dwoje) na wojskowych łóżkach z płótna rozciągniętego na drewnianym stelażu, za materace służą im papierowe worki wypchane sianem.

Kuchnia zyskuje aprobatę inspektorów. Jest bardzo czysto utrzymana, posiłki są smaczne, regularne, pożywne.

Główny wniosek, jaki płynie z raportu, dotyczy natychmiastowego zatrudnienia dyrektora domu dziecka z prawdziwego zdarzenia. Doktor Kokoszka może jest świetnym pediatrą, ale, jak się okazuje, nie najlepszym organizatorem.



Wejście do Domu Dziecka Żydowskiego w Otwocku



Posiłek, Otwock, 1947 rok

Księga Wspomnień

Jedna dziewczynka zrywa się co noc z krzykiem: „Nie zabijajcie mamy! Nie zabijajcie taty!”. Inne płaczą przez sen. Wiele się moczy. Ssą palce. Obgryzają paznokcie. Pod łózkami szukają schowków. Pod poduszkami robią zapasy chleba.

Oliwa napisze po latach: „Od razu po przybyciu dziecka starano się spisać jego losy wojenne”. CKŻP także zaleca spisywanie historii dzieci. W przyszłości mają posłużyć za dowód przeciwko nazistom.

Ale niektórych rzeczy się nie zapisuje. Historie

dziewczynek molestowanych i zgwałconych przez swoich opiekunów lub przypadkowych mężczyzn zostawia się w głowie. „[Tę], która ukrywała się na wsi, pani wychowawczynie musiała kilkakrotnie prosić, żeby nie opowiadała nikomu, co chłopci robili z nią na strychu, bo dobrze wychowane panienki o takich rzeczach w towarzystwie nie opowiadają” – będzie w przyszłości wspominał Marek Edelman, znajomy dyrektorki Luby Bielickiej-Blum.

Badaniom ginekologicznym poddaje się wszystkie dziewczynki, żeby żadnej nie wyróżniać. Zdarzają się choroby weneryczne.

Wspomnienia maluchów spisują opiekunki (zeszyty zaginą). Starsze dzieci same wpisują się do Księgi Wspomnień. Te, które nie potrafią pisać, dyktują kolegom albo zwierzają się wychowawczynom.

„Księga Wspomnień spisana przez starszych wychowanków jest dokumentem oryginalnym” – Oliwa poda tę informację do Żydowskiego Instytutu Historycznego.

To nie do końca jest prawdą. Niektóre wspomnienia dzieci (zachowa się 25) Oliwa przepisze po swojemu, charakterystycznym kwiecistym stylem.

Inne znów wymyśli. Które?



Każde dziecko, które przychodzi do Otwocka, dostaje

kolejny numer. Zula Goldminc jest jedynką. Do domu dziecka przyprowadził ją starszy, 19-letni brat. Zulejka ma siedem lat, rude włosy i piegi. Według relacji brata ojciec ukrył ją z matką na terenie getta w jakiejś piwnicy. Zostawił jedzenie i picie, a potem zamurował wejście. Sam poszedł walczyć w powstaniu i zginął. Miejsce ukrycia siostry i matki znał brat Zuli, wskazał je kolegom. Kiedy odmurowali schowek, znaleźli dziewczynkę siedzącą przy trupie dawno zmarłej matki.

W domu dziecka wystraszona z początku Zula zostaje z czasem wybrana na przewodniczącą średniej grupy. Lubiana, szczególnie przez młodsze dzieci, opiekuje się nimi, jednocześnie pilnując porządku wśród średniaków. Z tęsknoty pisze: „Dziecko, które nie ma matki, jest bardzo nieszczęśliwe. Więc wy, którzy macie matki, szanujcie je i kochajcie!”.

Odnaleziona przez krewną opuści dom dziecka w Otwocku i umrze na statku w drodze do Palestyny, na zapalenie opon mózgowych.

Byli wychowankowie domu dziecka pamiętają miłą, rudą Zulę.

Ale w historię o zamurowanej córce i matce radzą nie wierzyć.



Bobi powinien być w maluchach. Ma zaledwie pięć lat. Ale jest w średniakach, bo nie lubi innych małych dzieci.

Często płacze. Matka, która oddała go do Otwocka, opowiada, że uciekła z mężem i rocznym synkiem podczas likwidacji warszawskiego getta na aryjską stronę. Chłopca wzięła pod opiekę znajoma kobieta. Jednak wzbudziła w sąsiadach podejrzenie, że ukrywa Żyda. Podrzuciła więc Bobiego pod drzwi mieszkania, gdzie tajne modły odbywała sekta, „w której istnieje przepowiednia, że pojawi się dziecko, które zbawi wyznawców tej wiary” – zanotuje Oliwa. Od tej pory Bobi, przebrany w liturgiczne szaty, do końca okupacji traktowany był jak bóstwo.

Dobrze odżywiony, wypielegnowany, kapryśny, nie znosi sprzeciwu, nie chce mieszkać z mamą po wyzwoleniu. Dom dziecka też mu się nie podoba. Jedyłą osobą, którą lubi, jest Srul.

Piszę list do Israela Nojmarka, dawnego Srula: „Czy to możliwe, że w czasie okupacji Bobi mógł być bóstwem w sekcie?”.

Odpisuje: „Odpowiedź brzmi – nie”.



Jak to się stało, że do żydowskiego domu dziecka trafiła niemiecka siedmiolatka o imieniu Gertruda? Przysłał ją CKŻP. Matka jest służącą w polskim domu, nie ma tam miejsca dla jej córki. „Był to nierozważny krok, który postawił mnie w bardzo przykrew sytuacji, wiedziałam, jak zareagują dzieci żydowskie, którym Niemcy

zgotowali wielkie cierpienia i okrutny los” – Franciszka Oliwa po latach będzie wspominała.

Gertrudy się nie lubi. Nie rozmawia z nią. Dokucza. Nie wymawia jej imienia. Ona nie zna języka polskiego, nie rozumie więc pytania: „Ilu Żydów zabił twój ojciec?”. Na nic tłumaczenia wychowawców, że dzieci nie mogą odpowiadać za czyny swoich rodziców.

„Pewnego razu przyjechał do domu dziecka teatrzyk kukiełkowy Baj. Główną rolę grała kukiełka bardzo podobna do Gertrudy. Miała pociągłą twarzyczkę, sterczący spiczasty nos. Nazywała się Petronela. [...] Po przedstawieniu dzieci otoczyły Gertrudę i oświadczyły, że teraz będzie się nazywała Petronela, i wciągnęły ją do zabawy – napisze Oliwa. – Nie było już niechęci do dziewczynki”.

Gertruda-Petronela wkrótce wyjeżdża z matką do Niemiec.

Nikt z moich rozmówców jej nie pamięta. Niemka w żydowskim domu dziecka? Gruba przesada, pani Oliwa.



W czasie wojny Karol Bał ucieka z rodzicami z Zamościa (gdzie urodził się w 1934 roku) do Warszawy, a stamtąd do Rosji. Ojciec idzie do wojska, mama ginie w getcie w Mińsku, a on dołącza do partyzantów, wśród których są znajomi rodziców.

W Księdze Wspomnień Karol zapisze: „W partyzantce byłem przeszło rok i siedem miesięcy. Byłem łącznikiem, zajmowałem się gospodarstwem, czyściłem broń, czasami pasłem krowy. [...] Często były potyczki z Niemcami”.

W oddziale Karola jest tysiąc osób, w tym pięćset dzieci. Wszyscy partyzanci są Żydami. Po wojnie chłopiec trafia do radzieckiego domu dziecka, gdzie odnajduje go ojciec. Wracają razem do Polski, a Karol trafia do Otwocka.

Nie muszę sprawdzać, czy Franciszka Oliwa nie zmyśliła małego partyzanta. W kwietniu 1947 roku 13-letni Karol Bal został odznaczony Krzyżem Partyzanckim, Medalem „Za Wolność i Zwycięstwo” oraz Odznaką Grunwaldzką za „pełnienie służby wartowniczej i oddawanie cennych usług służbie wywiadowczej”.

Informację o tym podał Biuletyn Żydowskiej Agencji Prasowej.

Wiesia

Tak bardzo pragnie towarzystwa innych dzieci, że rezygnuje z mieszkania z matką Lubą Bielicką-Blum, która jest nową dyrektorką żydowskiego domu dziecka w Otwocku i ma dobre warunki.

Wiesia Blum ma 13 lat i woli mieszkać

w czteroosobowym pokoju w otwockim domu dziecka. Podoba jej się rygor, wczesne wstawanie, gimnastyka, śniadanie na wspólnej sali, noszenie ubrań z wyszytym numerem, kąpiel w jednej z dwóch wanien, które były miarą luksusu pensjonatu Zachęta. Przyjaźnie na całe życie Wiesia zawiera już pierwszego dnia.

Luba Bielicka-Blum, mama, była przed wojną wicedyrektorką Szkoły Pielęgniarstwa przy Szpitalu Starozakonnych w Warszawie. Dzięki jej staraniom szkoła została przeniesiona do warszawskiego getta i była jedyną placówką edukacyjną, na którą zgadzali się Niemcy. Tata Wiesi Abrasza Blum, jeden z przywódców Bundu, członek komendy Żydowskiej Organizacji Bojowej, uczestnik powstania w getcie, wyszedł kanałami, z ostatnimi powstańcami, na aryjską stronę. Dozorca domu, w którym Abrasza się ukrył, zawiadomił Gestapo o Żydzie. Blum uciekł przez okno, ale sznur z prześcieradeł rozwiązał się, gdy był na wysokości trzeciego piętra. Spadł, złamał obie nogi. Gestapo zamordowało go w alei Szucha.

Dziewczynka uciekła z getta z młodszym o cztery lata bratem Aleksandrem i matką. Dostali fałszywe papiery. Brat Wiesi trafił pod opiekę do rodziny Borkowskich w Warszawie. Ona z matką wyjechała w Góry Świętokrzyskie, do miejscowości Grzegorzowice, gdzie we dworze rodziny Rauszer matka do końca wojny opiekowała się dwojgiem niepełnosprawnych dzieci.

Jej brat tylko przez chwilę woli mieszkać z mamą

w domku wynajętym w pobliżu Zachęty. Wkrótce też przeniesie się do pensjonatu.

Jest czerwiec 1945 roku.

Luba

Dla maluchów (zwanych deborzątkami od imienia ich opiekunki, byłej więźniarki Auschwitz Debory Adler) jest mamą Lubą. W starszych dzieciach budzi respekt. Ale i miłość.

„Uczucie, które żywię dla Pani, napełnia mnie niewysłowioną słodyczą. To jest miłość połączona z wielką, głęboką wdzięcznością” – w archiwum ŻIH znajduje anonimowy list do dyrektorki zapisany dziecinnymi literami.

Ona też je musi kochać jak swoje dzieci. Inaczej dlaczego tym, które nie wiedzą, kiedy się urodziły, nadawałaby datę urodzin swojej Wiesi? Wszystkie traktuje jednakowo. Nie obraża, nie poniża. Nie wyróżnia córki. Zachowuje dystans.



Dyrektorka Luba Bielicka-Blum z mężem Abraszą Blumem
w dniu ślubu

Hanna Krall, była wychowanka otwockiego domu dziecka, będzie ją wspominała: „Rzeczowa. Bardzo energiczna. Na płaskich obcasach. Włosy proste, tylko umyte. Nigdy u fryzjera. Nigdy umalowana. Zawsze w białej bluzce. Krótko obcięte paznokcie. Typ starej harcerki albo starej pielęgniarki, chociaż ona nie była taka stara w domu dziecka”.

W czerwcu 1945 roku Luba Bielicka-Blum ma zaledwie 40 lat.

Do polskich Żydów, między innymi za pośrednictwem Dawida Guzika, przedwojennego szefa na Polskę American Jewish Joint Distribution Committee, płyną paczki i pieniądze z datków Żydów amerykańskich. Ich rozdzielaniem zajmuje się CKŻP. Luba Bielicka-Blum często jeździ do Warszawy, do komitetu. Umie zdobyć dla swoich dzieci: gotówkę, amerykańskie sukienki, sto ubrań męskich, buty, 83 kilogramy czekolady, koce z UNRRY, sprzęt sportowy, pianino, płótno malarskie, zeszyty, warzywa na zimę, 27 stołów, 28 szaf, 6 biurek, 15 ławek, 203 krzesła, 21 taboretów, 5 etażerek, 200 łóżek żelaznych, 5 leżaków, 40 półek, 1 stół pingpongowy.

Dyrektorka zatrudnia intendenta, buchalterkę, sprzątaczkę, krawcowe, praczki, pomoce kuchenne, pielęgniarki, higienistki.

W sumie w dawnym pensjonacie Zachęta będzie

mieszkało około dwustu osób, w tym 130-150 uczniów. Liczba dzieci będzie się wciąż zmieniać. Niektórzy z pracowników będą ich rodzicami lub krewnymi.

Zimna krew i rutyna w każdych warunkach. Luba Bielicka-Blum nigdy się nie rozpada. Tę umiejętność chce przekazać swoim wychowankom. Wierzy, że porządek, zasady i nienaganne maniery mogą uratować każdego w decydującym momencie.

„W getcie pilnowała, żeby pielęgniarki miały czepki czyściutkie i sztywno nakrochmalone, a w domu dziecka przypominała, że trzeba odpowiadać grzecznie i pełnymi zdaniem” – powie o niej po latach Marek Edelman. Jego żona Alina Margolis-Edelman, uczennica szkoły pielęgniarskiej: „Po prostu nie przyjęła do wiadomości, że Szkoła znajdowała się teraz w getcie. [...] Prowadziłyśmy zeszyty, przepisywałyśmy wykłady i dostawałyśmy za to stopnie”.

Przy śniadaniu, w jadalni, u szczytu każdego stołu siadają wychowawczynie, higienistka Szytkgold i Felicja Winawerowa. Nie mlaszczemy i nie garbimy się, mówią. W prawej ręce trzymamy nóż, w lewej widelec, powtarzają. Niektóre z dzieci pierwszy raz w życiu widzą sztucce.

Przed wyjściem do szkoły Felicja Winawerowa robi przegląd uczniów. Poprawia kokardy, obciąga mankiety,

podciąga skarpetki. Jeśli jest niezadowolona z wyglądu którejś z dziewczynek, przebiera ją do skutku.

Wszystko w otwocim domu dziecka ma być najwyższej próby.

Po szkole odrabia się lekcje. Potem są zajęcia dodatkowe. Chór prowadzi znany muzykolog. Na lekcje tańca dojeżdża z Warszawy Irena Prusicka, przedwojenna właścicielka słynnej szkoły tańca (zauważyła duży talent u Irki Młotek). Śpiewu uczy Izabella Szereszewska, śpiewaczka i reżyserka. Są lekcje malarstwa i języków obcych – angielskiego, rosyjskiego i jidysz. Sekcja zakładowych dziennikarzy, wśród nich Wiesia Blum, regularnie wydaje gazetkę. Z Warszawy przyjeżdża Berta Górecka z naręczami kwiatów do wazonów, ofiarowuje kilimy i makramy, w ogrodzie sadi róże i stawia ule – uczy dzieci pszczelarstwa. Są zuchy i przez chwilę harcerstwo. Historii i kultury Żydów uczy profesor Henryk Ehrlich. Mówi, jak obchodzić żydowskie święta.

Raz w miesiącu dzieci same sprzątają dom.

Wszyscy podopieczni uczą się przyszywać guziki. Każdej dziewczynce ze starszej i średniej grupy przydziela się chłopca, o wygląd którego ma dbać i w razie potrzeby cerować mu skarpetki.

W czasie wakacji dzieci o słabym sercu jadą nad morze, niedomagające na płuca wysyła się w góry. Zdarzy się też wycieczka do Francji, gdzie polskie dzieci żydowskie spotkają francuskie dzieci żydowskie.

Inne domy dziecka hodowały krowy, nasz róże, powie mi Włodzimierz Sztykgold. Ale wiedz też, doda, że część naszych wychowanków to były dzieci przedwojennej inteligencji, żydowskiej arystokracji, która miała pieniądze i kontakty, dzięki którym mogła się ukryć po aryjskiej stronie. Zresztą żydowskie dzieci z Warszawy i okolic, nawet jeśli nie były z bogatych domów, chodziły do polskich szkół i władały poprawną polszczyzną. Tu nikogo nie zdradziłby żydowski akcent. W 1946 roku zaczęły przyjeżdżać do Polski z Rosji żydowskie dzieci wywiezione na wschód podczas okupacji. Kilkoro z nich trafiło też do nas. Nic nas z nimi nie łączyło.

Luba Bielicka-Blum będzie przez krótki czas hodowała przy Zachęcie kilka świń (na polecenie CKŻP), ale przedsięwzięcie, które w założeniu miało przynieść oszczędności, pochłonie dużo pieniędzy i okaże się nieudane.

Za to kwiaty będą rosły jak szalone.



W wolne dni wychowankowie domu dziecka jeżdżą do Warszawy, do teatru lub kina. Bardzo często odwiedzają ich działacze różnych organizacji, artyści, pisarze i poeci. Pianiści grają im Beethovena, tancerze pokazują tradycyjne tańce żydowskie. Przyjeżdżają górnicy żydowscy z Wałbrzycha w czapach

z pióropuszcami (przywożą węgiel na zimę) i żołnierze z Brygady Żydowskiej stworzonej w 1944 roku przy brytyjskiej armii. Wspominają wojnę, opowiadają o cudownej Palestynie.

Kilka razy zjawiają się dziennikarze i ekipa filmowców. Dyżurnym dzieckiem od wywiadów z zagranicznymi reporterami jest Jurek Glass, który jako jedyny zna język angielski. Ulubieńcem dziennikarzy jest też Tomek Buergenthal, jedyny z wychowanków, który przeżył Auschwitz. Często gościem w Zachęcie bywa Julian Tuwim, zdarza się wizyta Zofii Nałkowskiej. Pisarka zanotuje w swoim dzienniku: „Zostałam porwana autem do Otwocka [...]. Chodziło o wizytę w Domu Sierot Żydowskich. Przemawiam serdecznie, choć nie całkiem umiejętnie. [...] W pierwszej chwili, gdy tam weszłam między dzieci, myślałam, że to pomyłka – wszystkie o wyglądzie aryjskim, prawie nie ma oczów czarnych i kędzierzawych włosów. Cóż to znaczy? No właśnie, dlatego w ogóle są! Dlatego ocalały z obozów, z nor, piwnic i ruin, gdzie się ukrywały. Oto szczególna selekcja”.



One niezbyt lubią te wizyty. Kolejnym paniom i panom trzeba grzecznie odpowiadać na pytania. Mówić, gdzie się było ukrytym, jak się przeżyło. Wzruszać

Jakubkiem, który w czasie wojny był przebierany za dziewczynkę i dopiero w domu dziecka dowiedział się, że nie ma na imię Zosia. Prosić Stefę, która żyła w śmietnikach, żeby zatańczyła przed gośćmi (zostanie w Izraelu solistką baletu). Albo zachęcić Lilkę do wspomnień z grobowca.

Najlepsze opowieści goście nagradzają łzami, chałwą i wiecznym piórem.

Ale najtrudniej potem słuchać tego, co sami mają do powiedzenia. „Nie było niedzieli, by w porze obiadu nie ukazał się wychowankom kolejny gość, który, oparty o framugę drzwi w sali jadalnej, mówił o okropnościach wojny i braterstwie ludzi, a także zapewniał o czymś, czy też się z czegoś tłumaczył” – napisze Hanna Krall w książce „Sublokatorka”.

Dzieci

Niech mi się nie wydaje, że coś pojmem, ostrzegają mnie dawni wychowankowie.

Żadnego przykładania dzisiejszych miar!

Tylko żebym nie dała im się zwieść, radzą. Ich minkom, warkoczykom, krótkim spodenkom. One jedynie udają dzieci. Hanna Krall napisze w „Sublokatorce” o Julianie Tuwimie: „[...]nie dał się tym cynicznym typom nabrać na ich powierzchowność siedmio- i dziesięcioletnich dzieci. Obrzucił je tylko

jeden raz spojrzeniem, o coś zapytał i chyba się przestraszył czegoś, bo zaraz odszedł pośpiesznie, nie odwróciwszy nawet głowy. Kiedy później przyjeżdżał co niedzielę, próbowały różnych sztuczek, a to w klasy bawiły się, a to w karuzela czeka wzywa nas z daleka, śmiejąc się przy tym beztrosko, jak to dzieci, ale nic nie pomagało. Tuwim mijał je szybko, nie patrząc, biegł do niemowlaków i godzinami czytał im swoje wiersze”.

Nie potrafię was zrozumieć, mówię im.

Nie staraj się zrozumieć, odpowiada Włodek Szytkgold.

Przez całą wojnę nie wolno było płakać, żeby ktoś nie usłyszał. Śmiać się nie było z czego, mówi Judyta Finkiel. Zapomniałam obu rzeczy. To nie było jakieś niezwykle. Tam z początku nikt nie śmiał się spontanicznie.

Nie byliśmy normalni, ani dzieci, ani wychowawcy. To był dom wariatów. Znów Włodek Szytkgold.

Wszyscy byliśmy trochę kopnięci, mówi Linka Sztarkman. Trudno nie być. Bardzo starałam się być dzieckiem. Ale już na zawsze zostałam niedobawiona. Wiesz, mam w domu plastikowe drzewko i kiedy mają przyjść goście, żeby zrobić im niespodziankę, potrafię cały dzień wieszać na nim koktajlowe pomidorki.

Miałam urodziny i dostałam ciasto. Byłam wstrząśnięta. To Irka Młotek.

Janusz Karcz (o nim będzie później) mówi, że niektórzy z nich zbyt daleko przeszli na dorosłą

stronę i już nie umieli wrócić. Zapamiętał 15-letniego Janka, który po wielu latach mu się zwierzył: „Słuchaj, ja znalazłem w getcie trupa ojca. Zmarł z głodu. Wziąłem, zniosłem go na dół i położyłem na wózek. Trudno mi było się przyzwyczaić do tego sztucznego dzieciństwa”. Tacy odchodzili.

Ale nie zapominaj, prosi Linka, że dla większości z nas dom dziecka w Otwocku to był powrót do życia. Byłam jak krokus, który po zimie zaczął kiełkować przez śnieg.

Do tej pory byłam śmieciem, mówi Irka. Nagle okazało się, że mam godność.

Nigdy potem nie byłem już tak szczęśliwy jak tam. To Ludwik Eisenbach.



Zajęcia z pszczelarstwa prowadzone przez Bertę Górecką



Zabawy piłką, 1946 rok

Ludwik

Małego panicza przywozi jakaś dama kolaską. Mówi, że dziecko ma na imię Ludwik. Urodzony w Łodzi. Żydowska sierotka. Nazwiska i daty urodzenia nie podaje. Może nie zna? Odjeżdża.

Chłopiec wygląda na sześciolatka, więc wpisują mu w księdze przyjęć rok urodzenia 1939. Będzie nazywał się Rabinowicz (w przyszłości jego adopcyjny ojciec nada mu swoje nazwisko Eisenbach). Nadawanie

nazwisk jest tu dowolne. Kogoś nazwą Zachęta na cześć pensjonatu, innego dzieciaka Gwiazda, bo trafił do Otwocka w wyjątkowo gwiazdzistą noc.

Ludwik nie za wiele mówi. Płacze tylko rozdzierająco za jakąś „panienką”. Wychowawczynie przypuszczają, że chłopiec był przechowywany przez zamożnych ludzi, a „panienka” była jego nianią. Ale dlaczego go oddali? Nie wiadomo. Ludwik trafia do deborzątek, jednak żeby ukoić jego rozpacz, zostaje oddany pod opiekę przewodniczącej najstarszej grupy Tamary Buchman. Dziewczynka jest prawą ręką wychowawczynie, autorytetem dla innych dzieci. Chwilowo zastąpi mu panienkę.

Zdarza się, że tymczasowe polskie matki oddają swoje żydowskie dzieci, a potem po nie wracają. Franciszka Oliwa zapamięta Polkę, która przyprowadziła pięciolatkę, wzięła pieniądze należne za opiekę i odczepiając palce dziewczynki łapiącej ją za spódnicę, wyszła ścigana płaczem: „Mamusi, nie zostawiaj mnie tutaj”. Wróciła następnego dnia. „Macie swoje pieniądze, a oddajcie mi moje dziecko”.

Ludwik nie ma jednak tego szczęścia. Dama z kolaski odwiedza go jeszcze kilka razy i więcej się już nie pojawia. Nigdy się nie dowie, kim była.



Spośród 130 żydowskich dzieci z Otwocka, spisanych

dla Jointu prawdopodobnie latem 1945 roku (lista jest bez daty), 58 z nich jest pełnymi sierotami, 71 to półsieroty i tylko jedno, Samuel Gruszka (rocznik 1930), ma oboje rodziców.

Wszyscy szukają wszystkich. Matki i ojcowie wychodzą z ukrycia, wracają z obozów i ślą listy do domu dziecka, pytają, czy jest u was Rywka, a może mieszka z wami mój Dawid? Przychodzą osobiście. Rozglądają się. Przyjeżdżają ciotki, wujkowie, kuzyni, siostry. Cuda się zdarzają. Rodziny się odnajdują. Szczęśliwcy znikają nagle. Często bez pożegnania. Linka kładzie się wieczorem obok swojej przyjaciółki Lucynki, rano już jej nie ma. Znaleźli się jej krewni? Została adoptowana? Wychowawcy niczego nie tłumaczą.

Nie wszystkie odejścia będą szczęśliwe. Ewa, która trafi do wujostwa w Urugwaju, zostanie służącą u swojej rodziny. Ucieknie od nich do Izraela. Także Larysa zostanie pomocą domową u krewnych w Paryżu.

Irka Młotek nienawidzi niedziel, dni odwiedzin. Jej rodzice nie przyjdą. Nie może znieść patrzenia na te uściski, pocałunki, nie znosi tego rozbijania grupy, zagarniania pojedynczych dzieci do kątów. Mama Tereski Pinczower przywozi startą marchewkę (dużo witamin!) i karmi córkę łyżeczką, tak żeby inni nie widzieli. Irka nie może wejść do swojego pokoju, bo jest zamknięty od środka na klucz. Pewnie którejs z koleżanek wpychają tam szybko czekoladę do ust. Bez

świadców, bez dzielenia się z innymi.

Matka Linki odwiedza ją co tydzień. Przywozi jedno ciastko. Nie jesz? – pyta mama. Potem. Podzielę się z tymi, do których nikt nie przyszedł – mówi córka.

Wychowawcy starają się tłumić w dzieciach marzenia o rodzinie. Lepiej nie czekać. Nie rozpamiętywać. Należy patrzeć w przyszłość. Tak jest łatwiej.

Ci, którzy wiedzą, że nie mają rodziców, odgrywają twardzieli w domu dziecka. Tomek Buergenthal jest przekonany, że jego ojciec i matka nie żyją. Jest więc twardzielem. Napisze we wspomnieniach: „W jakiś przewrotny sposób nasz stosunek do nich [dzieci, które nie były pełnymi sierotami] przypominał sposób, w jaki dumni ze swego więziennego statusu, grypsujący recydywiści – »ludzie« – traktują »frajerów«”. Chłopiec stara się uwolnić od myśli o rodzicach, szuka zapomnienia w sporcie do dnia, gdy dostaje list od matki. „W okamgnieniu opadła ze mnie maska »twardziela«, którą tak pieczołowicie pielęgnowałem. [...] Miałem matkę, a to oznaczało, że znów mogę być dzieckiem”.

Są jeszcze adopcje.

List z archiwum ŻIH: „Wyczytawszy z gazet, iż znajduje się w Otwocku dom sierot [...], chciałabym sprowadzić i przyjąć na wychowanie sierotę, która nie

ma żadnych krewnych. [...] Chodzi mi o dziewczynkę do lat 6. Warunki moje są dobre i chciałabym bardzo pomóc sierocie. Z poważaniem B. Lew”.

Ale Irka Młotek za żadne skarby nie dałaby się adoptować. Ma ciotkę w Otwocku, woli jednak mieszkać z braćmi w Zachęcie. Wujowi z Ameryki, który odnalazł ją, gdy usłyszał, jak śpiewa w radiu żydowską piosenkę, i chciałby teraz ściągnąć do siebie z Jankiem i Dankiem, dziękuje grzecznie. Jedynym miejscem, dokąd zamierza wyjechać ewentualnie z Polski, jest Palestyna.

Tomek Buergenthal: „My, starsze dzieci, uważaliśmy za punkt honoru, by nie godzić się na adopcję”.

Israel odrzuca cukierki, którymi częstuje go kobieta chcąca adoptować dziecko. Franciszka Oliwa zapamięta, że chłopiec wołał przy tym: „Nie jestem żebrakiem, już dosyć się naźebrałem w czasie okupacji!”.

Ale adopcje się zdarzają. Najpiękniejsza przytrafia się Mendlowi Gwieździe. O chorym, niedołączonym trzylatku, który był przechowywany przez chłopkę w koszyku, a teraz nie mówi, nie chodzi, ma wagę i wzrost rocznego dziecka, opowiada w Kanadzie przedstawiciel komitetu żydowskiego. Historia dociera do milionera, który przypadkiem też nazywa się Gwiazda. Był w Polsce tuż po wojnie, szukał rodziny, nikogo nie znalazł. „To znak z nieba! To będzie mój syn!” – woła i posyła statkiem pielęgniarkę po chłopca, który trafił do domu dziecka w pewną gwiazdzistą noc.

Zwykle jednak jest mniej romantycznie. Oliwa

napisze, że warunki kandydata na rodzica rozpatrywał CKŻP i dyrektorka domu dziecka, bez porozumienia z wychowawczyniami i wychowankami. „Z małymi dziećmi nie było problemu, natomiast starszym nie mówiono, że są adoptowane przez obcych ludzi, ale że odnaleźli się szczęśliwie rodzice, których dzieci już nie pamiętały, albo krewni, przeważnie ciotka lub wujek”.

Oszukiwano dzieci? W jakim celu? Wydaje się to nieprawdopodobne. Nie umiem potwierdzić informacji Oliwy w innym źródle. W archiwach ŻIH znajduję jedynie „Wykaz dzieci za cały okres istnienia Domu Dziecka w Otwocku” podpisany przez dyrektorkę Bernhautową, która w 1948 roku zastąpiła Lubę Bielicką-Blum. Na wykazie jest tylko siedem nazwisk – sześć dziewczynek (najstarsza urodzona w 1937 roku) i jeden chłopiec (rocznik 1939).

Młodsze dzieci, przynajmniej niektóre z nich, chcą być adoptowane. Ludwik zapamięta plotkę powtarzaną wśród wychowanków, że dom dziecka wkrótce przejdzie w ręce Polaków, a oni będą musieli nosić pasiaki, takie jak w obozach koncentracyjnych. Adopcja wydaje się lepszym wyjściem.

Janusz

O nim dowiem się najmniej. Będzie siedział jakoś tak

bokiem do mnie i na każde zdanie, którym spróbuję go zdobyć, przeciągnąć na swoją stronę, odpowie niechętnie i z ironią. Irka Młotek zanuci mi potem piosenkę o nim napisaną w Otwocku: „Chociaż pchełka to niewielka, ale żądło jak szabelka, oj dana, dana”.

Ojca stracił podczas okupacji, wyzwolenie zastaje go z matką na warszawskiej Pradze. „Musicie stąd iść – mówi im mężczyzna, u którego się ukrywali. – Jesteście wolni, będziecie się tu kręcili i nagle ludzie dowiedzą się, że trzymałem Żydów. Ja nie mogę sobie na to pozwolić”.

Przenoszą się więc na dziesięć miesięcy do Siedlec, rodzinnego miasta matki. Janusz idzie do szkoły, pod koniec drugiego semestru. Dwa tygodnie uczy się w pierwszej klasie gimnazjum i zaraz zdaje egzamin do drugiej, z poprawką z biologii (bo nie wie, czym są glony).

W lipcu 1945 roku zjawia się w Otwocku, gdzie jego ciotka Czesława Czarnobroda jest pielęgniarką, a wśród wychowanków jest Wiesia Blum, starsza o dwa tygodnie koleżanka, z którą mieszkał przed wojną w jednej kamienicy przy Mylnej 9.

W bagażu ma świadectwo ukończenia klasy pierwszej (drugiej nie zdążył). W pensjonacie Zachęta to niezwykle dokument.

Niektórzy, pojedyncze przypadki, chodzili w getcie na tajne komplety. Kto miał szczęście, warunki i ukrywał się z kimś bliskim, uczył się pisać i czytać. Ale większość dzieci przez całą wojnę nie uczyła się niczego. Są takie, które nigdy nie trzymały w ręku ołówka.

Ale wolałyby nie iść do szkoły. Nie chcą chodzić codziennie ulicami miasteczka wśród Polaków, nie chcą siedzieć z ich dziećmi w ławkach. Mogą się przecież uczyć w Zachęcie, przekonują.

Musisz zrozumieć, powie do mnie Janusz Karcz, że między nami i polskimi dziećmi była naturalna różnica, podejrzliwość, antagonizm. Polscy chłopcy i dziewczęta podrosli w czasie wojny, w latach, podczas których Żyd był plugastwem albo czymś odrażającym. A w nas był strach i nieufność.

Wychowawcy w domu dziecka przekonują jednak, że do szkoły iść trzeba. I to od razu, jeszcze zanim skończy się czerwiec 1945 roku, choćby na kilka tygodni. Inaczej dawny pensjonat Zachęta, pełen żydowskich dzieci, zamieni się w getto.

Tylko do jakich mają iść szkół? Do której klasy posłać nastolatka analfabetę, bo całą wojnę spędził w lesie? A co z Ludwikiem Rabinowiczem? Mówi, że chciałby iść od razu do drugiej, to może niech idzie. Wiesię Blum zapisze się do pierwszej gimnazjalnej przeskakującej (o szybszym trybie nauczania), Janusz Karcz z innymi kolegami pójdzie do drugiej

gimnazjum, w końcu ma świadectwo. Włódkowi Szytkgoldowi szkołę objaśnia kolega, który uczył się miesiąc po wojnie. Mówi mu, że idzie od razu do trzeciej klasy. A czy to dobrze, chce wiedzieć Włodek, który nic nie wie o szkole. Bardzo dobrze, mówi kolega. Syn higienistki zostaje więc trzecioklasistą.

W wakacje dzieci uzupełniają braki, uczą się. 1 września wychodzą parami za bramę Zachęty.

Tuż za ich domem, jeśli pójść ulicą Prusa w stronę centrum, jest polski sierociniec. Prowadzą go zakonnice, surowe kobiety bez makijażu.

Żydowskie dzieci idą – najpierw podstawówka, za nią gimnazjum. Polskie biegną wzdłuż płotu i wołają: „Żydy! Moški! Icki!”. Za słowami lecą kamienie. Zakonnice widzą to i nie reagują.

Droga do szkoły zajmuje pół godziny. W lasku czekają polskie dzieci z Otwocka, w większości koledzy ze szkół. Mają wyzwiska i kamienie. Niemal codziennie. Pochód z Zachęty zwiera szyki, maluchy i dziewczynki bierze się do środka.

Miasteczko też ma im coś do powiedzenia. „Popatrzcie, ludzie, że też Hitler wszystkim jednak nie dał rady” – można usłyszeć od dorosłych, już niedaleko szkoły.

Bronią się? Czy zdarza im się odrzucić kamień w drugą stronę? A może wyzwiskiem bluznąć, coś o polskich świniach zawołać? Myśmy chyba wtedy nie rozumieli, że też możemy rzucić w kogoś kamieniem, zastanawia się Linka. To my byliśmy bici. Taki był porządek. Ale Janusz Karcz zapamięta, że czasem, gdy w ich stronę padały obelgi, bili się z polskimi rówieśnikami.

Przez jakiś czas dom dziecka będą konwojować do szkoły wychowawcy. Niewiele to jednak pomoże.

We wrześniu 1945 roku komitet żydowski nakazuje dyrektorce Bielickiej-Blum zawiesić na bramie tabliczkę z napisem „Obcym wstęp wzbroniony”.



Żydowskie i polskie siedzą czasem razem w ławkach. Przeważnie wtedy, gdy nauczyciele usadzą ich według wzrostu. Ale nie rozmawiają ze sobą na przerwach, nie odwiedzają się po lekcjach. Nie są sobie ciekawe.

Żydowskie wstają, gdy polskie modlą się każdego ranka. W niektórych klasach zostają na lekcji religii. Ale w innych wychodzą na polecenie zakonnic: „Dom dziecka opuści klasę”. Żydowskie dzieci denerwują katechetkę, bo znają odpowiedź na każde jej pytanie. I lepiej się modlą. Jeszcze niedawno „Ojcze nasz” bywało ich przepustką do życia.

Nauczyciele czasem się starają. „Te kochane Żydziaki,

jak one dobrze się uczą” – chwali swoich ośmiolatek Helena Dybowska, wychowawczyni drugiej klasy. I nie rozumie, dlaczego Oliwa ją poprawia: „Żydzi, proszę pani”.

Bo to prawda. Żydowskie lepiej i więcej czytają, piszą bezbłędne dyktanda, rozwiązują szybko zadania. Chcą być lepsze od polskich. „Te Żydówki, one zawsze więcej wiedzą” – wzdychają nauczycielki Wiesi Blum, wstawiając jej dobrą notę. I przyznają, że żydowskie dzieci traktują naukę bardzo poważnie.

Innym nauczycielom się nie chce. Janusz Karcz pamięta, że harcmistrz, ksiądz prefekt Jan Raczkowski na jednej ze zbiórek potępia ucieczkę dwóch uczniów ze szkoły za granicę. „Słuchajcie, chłopcy – mówi do harcerzy – my nie opuścimy Polski, nie zostawimy jej w rękach komunistów i Żydów”. Ten sam ksiądz w czasie okupacji pomagał ukrywać Żydów, wspierał ich finansowo i udzielał fikcyjnych chrztów. Janusz dowie się tego już po latach.

Są jednak wyjątki. Ktoś zapamięta, że w Szkole Podstawowej numer 4 żydowskie i polskie dzieci rozmawiały z sobą, a Helenka Brener z domu dziecka była pupilką wychowawczyni, pani Czyżowej.



W 1946 roku na płaskim dachu Zachęty kładą się ludzie z karabinami. Jest już po pogromie w Kielcach. W lipcu

Polacy (obywatele, milicjanci, żołnierze) zamordowali tam około 37 Żydów, a 35 zranili. Wszystko przez plotkę, że w domu przy ulicy Planty 7 (mieści się tam komitet żydowski) Żydzi przetrzymywali ośmioletniego Henryka Błaszczyka, żeby dokonać na nim mordu rytualnego. Potem okazało się, że chłopiec uciekł na kilka dni z domu, a historię o porwaniu wymyślił, żeby uniknąć kary.

Ale w Otwocku nikt nie wie, że Henio Błaszczyk to kłamczuch. Mówi się za to, że kto wie, czy Żydzi tutaj też nie porwą polskiego dziecka. CKŻP nakazuje najwyższą czujność. Wysłała pięciu wartowników z zaleceniem zatrudnienia szóstego. Do ewentualnej obrony dzieci jest sześć karabinów ręcznych i jeden automat.

Na szczęście do niczego nie dochodzi.

Eda

Nie znam jej daty urodzenia, tym bardziej śmierci. Mam kilka fotografii, z których łagodnie spogląda dziewczyna o czarnych brwiach. Wiem, że w getcie działała w Centrali Towarzystw Opieki nad Sierotami (CENTOS) i zarabiała na życie, ucząc w sekretnych kącikach (między innymi Linę). Zagorzała syjonistka. Raczej wykształcona, na pewno знаła metody doktora Korczaka.

Kiedy w marcu 1945 przyjeżdża z transportem dzieci do Otwocka, chyba nie ma jeszcze 30 lat.



Franciszka Oliwa jej nie znosi. Jest zazdrosna.

O samorząd wychowanków, który Eda wprowadza w najstarszej grupie na kształt korczakowskiego. Od tej pory dzieci mają mieć pewien wpływ na to, co się dzieje w domu dziecka. Wybierają spektakle teatralne i filmy, które chciałyby zobaczyć w Warszawie. Dyrektorka Bielicka-Blum powinna się ich radzić w sprawie wakacji. Sąd wychowanków może samodzielnie wyznaczać kary za przewinienia (Tomek Buergenthal za zamoczenie w kałamarzu końcówki warkocza Tamary Buchman zostaje skazany na dwa tygodnie noszenia jej teczki do szkoły).

W grupie średniej, której wychowawczynią jest Oliwa, wkrótce też powstaje samorząd.

Franciszka zazdrości Edzie zdolności manualnych. Tego, że uczy dzieci papieroplastyki i że umie wycinać litery z glansowanego papieru. Od razu po przyjeździe wycięła hasło „Ku pamięci, ku chwale, ku czci tych, co zginęli, będziemy się uczyli i pracowali” i zawiesiła je na łuku przejścia, które dzieli jadalnię od auli. Dzieci pokochają ten napis. Lince Sztarkman na przykład pomoże zrozumieć, że nie powinna zapominać tego, co się zdarzyło, ale jej najważniejszym celem jest nauka i praca.

Franciszka nie umie czytać tak ładnie jak Eda. Szternes w każdą niedzielę zabiera dzieci do lasu za torami i czyta im o zwierzętach albo o miastach. Bywa Jelonek Bambi albo Kraszewski. Robi to świetnie, słuchacze proszą, żeby nie przestawała.

Oliwa napisze o Edzie: „Była osobą energiczną, świetną organizatorką, rygorystyczną, a nawet w niektórych przypadkach bezkompromisową. Zaprowadziła w grupie ostrą dyscyplinę, porządek, opanowała wybryki niektórych wychowanków”.

To Eda nadaje rytm, kształt i charakter żydowskiemu domowi dziecka w Otwocku. Franciszka nie może tego ścierpieć.



Eda często gniewa się na dzieci. Szykanuje wychowanków. Rozzłoszczona policzkuje Teresę, która myli się podczas deklamacji wiersza Broniewskiego. Na szyi zawiesiła gwizdek, z którym się nie rozstaje. Jest niedobra dla swojej młodszej, ślicznej siostry Krysi, która przyjeżdża do niej czasem z Warszawy. „Kiedy się stąd wyniesiesz?” – pyta ją przy wychowankach.

Linka przysięga innym, że Szternes przez pierwsze dwa tygodnie pobytu w Zachęcie była opanowaną, energiczną wychowawczynią. Tylko potem coś się z nią stało. Ale nikt w to nie wierzy. Nie lubią jej. Linka

Sztarkman też. „Pamiętam cię z getta” – mówi kiedyś do niej Eda i brzmi to tak, jakby pamiętała dziewczynkę spod latarni, a nie z sekretnego kącika.

W wakacje 1945 roku Szternes wskazuje, którzy z jej wychowanków będą mogli przeskoczyć szóstą klasę i pójść od razu do gimnazjum. Linka uczy się świetnie, ale słyszy od Szternes: „Jesteś za młoda, pójdziesz do podstawówki”. To niesprawiedliwe. Mniej zdolni, w jej wieku, dostają zgodę. Linka pamięta, że było tak już w getcie. Eda zadała dzieciom w kąciku wiersz do nauczenia. Kiedy Linka skończyła recytować, usłyszała od niej: „Koleżanka lepiej deklamuje od ciebie”. Władek Kornblum, przyszły mąż Linki, nienawidzi Edy. Z wzajemnością. Nie pozwala mu chodzić na potańcówki, choć wie, że Władek uwielbia tańczyć: „Za mały jesteś” – mówi mu.

Irki Młotek też nie puszcza na wieczorne zabawy, choć proszą o to wszystkie dzieci, bo Irka zna najwięcej piosenek i tańców. „Za smarkata” – kwituje Eda i odsyła ją do łóżka. Irka czuje strach i wstręt do wychowawczynie. Jeśli Szternes ją przypadkowo pogłaszcze, dziewczynka wyciera się ukradkiem.

Nie wiem, czy Tomek Buergenthal jest w grupie ulubieńców Edy, ale on ją zapamięta jak najlepiej: „Wszyscy – nie wykluczając mnie – ją uwielbiali”.

Franciszka Oliwa: „Zdawałoby się, że dzieje się dobrze w tej małej społeczności, ale wychowawczynie zajęła się przeważnie starszymi wychowankami”. Eda

Szternes posyła przewodniczącą samorządu, żeby dopilnowała kąpieli dziewcząt z grupy. Jednak u chłopców mycie nadzoruje osobiście. Najstarszych zaprasza do swojego pokoju. Po jakimś czasie dyrektorka dokwaterowuje jej dwie wychowanki.

Luba Bielicka-Blum jest działaczką Bundu. Wierzy, że przyszłość polskich Żydów jest w kraju. Syjonistów, którzy chcą wyjechać do Palestyny i zbudować tam Izrael, uważa za marzycieli.

W CKŻP bundyści ścierają się z syjonistami. Dzielą między siebie domy dziecka. Otwock jest bundowski, syjoniści mają zakaz wstępu. Dzieci powinny się uczyć, zdać maturę, skończyć studia i zostać w Polsce, uważa Bielicka-Blum.

Dom dziecka w Białym Kamieniu pod Wałbrzychem jest pod wpływem syjonistów. Dzieci i młodzież stamtąd należą do Ha-Szomer ha-Cair, organizacji, którą można by przyrównać do polskiego harcerstwa. Noszą chusty, mundurki i są przygotowywane do przyszłego życia w kibucach.

Eda Szternes jest syjonistką. Pomaga przeniknąć do Zachęty ludziom z Ha-Szomer ha-Cair. Wie, że dzieci z najstarszej grupy wykradają się co kilka tygodni na łąkę w lesie. Tam spotykają się z Aronem, który jest tak niewielki i ma tak piękne loki, że dziewczyny

nazywają go Arończykiem. Linka z innymi chłonie jego słowa o nowym życiu w Palestynie. Chcecie być obrzucani wciąż kamieniami? – pyta Arończyk. Nie chcą. Chcecie mieć wreszcie swój kraj? Chcą. Szykujcie się więc do wyjazdu.

Tylko Wiesia Blum nie wie nic o Ha-Szomer ha-Cair. Jest ich przyjaciółką, ale też córką dyrektorki. Boją się, że mogłaby zdradzić.

Którejś nocy na początku 1947 roku z domu dziecka zniknie dwadzieścioro wychowanków z najstarszej grupy. Pojadą do Białego Kamienia pod Wałbrzychem, a stamtąd, przez Francję, do Palestyny.

Będzie wśród nich Israel Nojmark.

Irka Młotek odejdzie z Zachęty dzień wcześniej (odbierze ją ciotka) i dołączy do przyjaciół w pociągu do Wałbrzycha.

Wiesia Blum wstąpi do Ha-Szomer dopiero po ich wyjeździe. Do Izraela wyjedzie po maturze.

Irka Młotek i Judyta dołączą za kilka lat.

Ludwik Eisenbach i Włodek Szytykgold dopiero po studiach, w 1957 roku.

Janusz Karcz, syn przedwojennego syjonisty, już tam jest.



Eda Szternes zniknęła z domu dziecka jeszcze przed ucieczką swoich wychowanków. Franciszka Oliwa

napisze we wspomnieniach, że opiekunka najstarszej grupy oszalała na widok umundurowanych wartowników pilnujących Zachęty. Ale nikt tego nie będzie umiał potwierdzić. Podobno pojechała potem do Białego Kamienia zobaczyć się ze swoimi wychowankami. Ale nie chcieli jej widzieć. Ktoś mi powie, że przeniosła się do Szwajcarii, skończyła szkołę pielęgniarek i tam po latach umarła. Tego jednak też nikt nie wie na pewno.

W październiku 1948 roku z domu dziecka odeszła Franciszka Oliwa. „Zmusiły mnie do tego sprawy natury osobistej” – poda we wspomnieniach. Dostała pracę w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. Mówiło się, że jest okiem i uchem ministra Hilarego Minca. W przyszłości znajdzie pracę w Żydowskim Instytucie Historycznym. Wyjdzie za mąż za oficera Wojska Polskiego o nazwisku Cynamon.

W kwietniu 1949 roku żydowski dom dziecka opuściły ostatnie dzieci, które miały rodziców lub krewnych. Komitet żydowski miał coraz mniej pieniędzy na utrzymanie domów dziecka. Miejsca były już tylko dla pełnych sierot.

W połowie 1949 roku Luba Bielicka-Blum odeszła z Otwocka na stanowisko dyrektorki odradzającej się Szkoły Pielęgniarstwa. Kilka razy odwiedziła Wiesię w Izraelu, nigdy jednak nie chciała przenieść się na stałe do „beczki prochu”, jak nazywała ten kraj.

Funkcję po niej, na kilka miesięcy, przejęła Alfreda

Bernhautowa. Pod koniec 1949 roku żydowski dom dziecka w Otwocku opuściło ostatnich 52 dzieci. Młodsze poszły do żydowskiego domu dziecka w Śródborowie, starsze do bursy na ulicy Jagiellońskiej w Warszawie.

W 1950 roku przestał istnieć Centralny Komitet Żydów Polskich.

Franciszka

W internecie trafiam na fotografię z balu zorganizowanego z okazji święta Purym. Dwadzieścioro troje dzieci.

Przypominam sobie, że Franciszka Oliwa opisała ten bal w swoich wspomnieniach. Wychowankowie mieli się przebrać za tego, kim chcieli zostać w przyszłości.

Mała Niemka Gertruda-Petronela, której nikt nie zapamięta, chciała być pokojówką. Dostała biały fartuszek, czepek na głowę i kijek z piórkami do ścierania kurzu.

Jeśli to prawda, Petronela powinna być gdzieś na tym zdjęciu, myślę. Jest górnik, pajac i malarz, Cyganka, góralka i Chinka. Ale pokojówki nie ma.

A jednak kłamałaś, Franciszko Oliwa.

Ale po chwili zauważam, że zdjęcie z balu zostało zeskanowane obustronnie. Czytam napis na odwrocie: „Dom dziecka w Otwocku. Petronela, dziewczynka

w pierwszym rzędzie w białym czepeczku. P. Oliwa”.



Bal w Domu Dziecka w Otwocku zorganizowany z okazji święta Purim, 1948 rok. W pierwszym rzędzie w białym czepeczku siedzi Petronela

Jeszcze raz oglądam fotografię. Jak mogłam jej nie zauważyć? Wesoła dziewczynka siedzi po turecku między ogrodniczką z koszem na głowie a tancerką w wianku. Wsparła buzię o kijek z piórkami.

Franciszka Oliwa stoi na zdjęciu nieco z boku, za dziećmi.

Przymknęła oczy, lekko się uśmiecha.

Postscriptum. Dostaję list od Wiesi Blum. Jej brat Olek pisze ze Stanów Zjednoczonych, że pamięta Petronełę.

Lipiec 1945

—

Czy byłeś już w „Telimienie”. Kraków, Dietla 93, na najlepszych lodach, tortach, kawie. Lokal prowadzą Ravensbruczanie.

„*Dziennik Polski*”, Kraków 1.07.1945

—

Przepraszam panią Marię Białkowską, urzędniczkę Zarządu Miejskiego w Gdyni, za mimowolne wyrządzenie jej krzywdy, przez wyrażenie się o niej w sposób obraźliwy i podający w wątpliwość jej narodowość polską. M. Błażejczyk. Gdynia Indyjska 3.

„*Dziennik Bałtycki*”, 4.07.1945

—

Zarządzeniem Ministra Sprawiedliwości upoważniony został Polski Czerwony Krzyż do dokonywania zabiegów lekarskich w związku z wypadkami gwałtu nad kobietami. Osoby poszkodowane mogą zgłaszać się do PCK, który przy zachowaniu określonych przepisami wymogów, władny jest zezwolić na dokonanie zabiegu.

„*Dziennik Bałtycki*”, 6.07.1945

Męską bieliznę wykonuję tanio, solidnie, wykwinnie
Spółdzielnia Pracy „Ponowa”, Poznańska 3.

Słucki pas kupię. Krucza 13-1.

Mająteczek podwarszawski 40 ha, ziemia pszenna.
Gospodarstwo wybitnie dochodowe sprzedam z powodu
starości okazji. Widok 16-3. Krężel – Rothert.

„Życie Warszawy”, 7.07.1945

Polskie Linie Lotnicze „Lot” poszukują od zaraz kilku
młodych kobiet (do lat 28) z wykształceniem
co najmniej 6 lat gimnazjum, władających co najmniej
jednym językiem obcym (za wyjątkiem niemieckiego)
i obeznanych z usługą hotelarską. Najchętniej widziane
absolwentki szkoły hotelarskiej w Krakowie.

„Życie Warszawy”, 10.07.1945

Mydła „Panta” przyjemne w użyciu, chronią skórę
od pierzchnięcia.

Spółdzielnia Przemysłu Mięsnego, Targowa 27,
zawiadamia wszystkie stołówki, że są do nabycia kości

wołowe w cenie 10 gr za kg.

A. Choiński powrócił. Mieszka Dobrowoja 3-7. Zielna 7 spalone.

Ostrzeżenie. Wobec ukazania się w sprzedaży falsyfikatów pakowanych w skradzione nam słoiki, komunikujemy, że prawdziwe wyroby zaopatrzone są na etykiecie w nasz podpis. Winnych podrabiania pociągniemy do odpowiedzialności. Laboratorium Kosmetyczne Doktorów Zofii i Feliksa Restkowskich.

„Życie Warszawy”, 11.07.1945

Drewniaki na zamówienie ale szybko, robi: „Vogue”, Kraków, Poselska 24.

„Dziennik Polski”, Kraków 12.07.1945

Potrzebna pilnie maszynistka, polsko-rosyjski język obowiązkowy. Zgłoszenia Główny Zarząd Budownictwa Wojskowego, WP Ursus, Piłsudskiego 1.

„Życie Warszawy”, 14.07.1945

Sprzedamy niemal za darmo, bowiem tylko za 10 proc.

wartości przedwojennej 4 kolonijki przy EKD. Kilka willi, parę domków i domów, oraz szereg placów w stolicy i letniskach. Pacek – centrala, Żurawia 2.

Obrazy wybitnych malarzy uszkodzone przez działania wojenne kupię. Stanisław Dybowski, Marszałkowska 21, sklep.

Piekiełko – lokal nastrojowy. Najlepsze napoje, najsmaczniejsze zakąski i coś jeszcze. Gdzie, co, jak? Wkrótce!

Weneryczne cały dzień. Przychodnia – Marszałkowska 62.

„Życie Warszawy”, 18.07.1945

Wysiedlona, spalona i w dodatku kompletnie okradziona Warszawianka prosi o pomoc odzieżową a to: suknie, bieliznę, pończochy, buciki itp. gdyż inaczej nie może otrzymać pracy. Ofiarowane rzeczy proszę składać w firmie „Piasek”, Kraków, Gołębia 8.

Oddam za swoje, niemowlę, dziewczynkę dobrej rodzinie. Wiadomość: Kraków, Szlak 9, położna.

„Dziennik Polski”, Kraków, 19.07.1945

Zostały zgubione dwa medale rosyjskie „Za zasługi bojowe”. Znalazcę proszę o odesłanie pod adresem: major Gubarew w Piastowie pod Warszawą ul. Boh. Wolności 28, za wynagrodzeniem 1000 zł.

P. Złodzieja bardzo proszę o zwrot następujących dokumentów: 2 dowody osobiste i legitymacja kasjera na nazwisko Grzybowska Wł. i Władysław, zdjęcia męża i syna, upoważnienie oraz karty spalania. Pieniądze zatrzymać. Dyskrecja zapewniona. Zwrot na stację kolejki, Park Paderewskiego.

W czwartek, 26 bm. w gmachu teatru poniemieckiego otwarcie teatru rewiewego „Młodość” pełnym humorem wodewilem pt. „Yachtem naokoło świata”.

„Dziennik Bałtycki”, 22.07.1945

Do więźniów z Pawiaka i powracających z obozów w Niemczech. Ktoby wiedział cokolwiek o losie ucznia Gimnazjum Reya Jerzego Witolda Ludkiewicza, ur. 2.06.1926 r. zam. Warszawa ul. Mazowiecka 6 i jego kolegów, aresztowanych 2.02.1944 r. po zabójstwie Kutschery – proszony jest o zakomunikowane

Władysławowi Ludkiewiczowi, Kielce ul. Sienkiewicza 47.

Za długi i inne operacje handlowe męża mego Józefa Dodajewskiego z Warszawy obecnie zamieszkałego w Olsztynie Pruskim Dietzel-Estradstrs. willa nr 10 nad jeziorem nie odpowiadam. Julia ze Śliwów Dodajewska.

„Życie Warszawy”, 24.07.1945

Muzułmańskie Walne Zebranie odbędzie się 29.VII.1945 r. w lokalu gminy Mokotowska 50. [...] z porządkiem następującym 1. Zagajenie 2. Wybór prezydium 3. Wybór Imana i zastępcy 4. Wybór Zarządu Gminy 5. Wolne wnioski. Przybycie wszystkich mahometan obowiązkowe.

Przy bezsenności i wyczerpaniu nerwowym sok świeżej waleriany mgra Edwarda Gobeica. Do nabycia w aptekach.

„Życie Warszawy”, 26.07.1945

Na ostatnim posiedzeniu Miejskiej Rady Narodowej m. Sopotu postanowiono przeznaczyć jedną willę na Dom Wypoczynkowy dla członków Polskiego Komitetu

Wyzwolenia Narodowego. Zdecydowano utworzenie Komunalnej Kasy Oszczędności m. Sopotu oraz przemianowano 3 ulice nadając im imiona Prezydenta Bieruta, Premiera Osóbki-Morawskiego i Marszałka Żymierskiego.

„Dziennik Bałtycki”, 27.07.1945

—

Kino Tęcza, Żolibórz, Suzina 4. Premiera! Program otwarcia kina! Wspaniała radziecka komedia muzyczna „Antoni Iwanowicz gniewa się”.

„Życie Warszawy”, 27.07.1945

—

Idziemy na ziemie zachodnie po Odrę i Nisę.

„Dziennik Rzeszowski”, 30.07.1945

Trzydzieści sześć dni Bolesława Pierwszego

Karteczka jest naprawdę mała, wyrwana z kieszonkowego notesu. Mężczyzna, który trzyma ją w dłoni, przepycha się w tłumie na krakowskim Rynku. Szuka doktora Bolesława Drobnera, człowieka niewysokiego, za to z wąsem tak bujnym, że mógłby mu pozazdrościć sam Józef Stalin (którego zresztą doktor kilka razy spotkał). Trwa narodowa manifestacja przeciw faszyzmowi. Drobner uwielbia wiece, pochody, protesty, powinien gdzieś tu być, może nawet przemówi. Jest! Stoi pod arkadami Sukiennic w otoczeniu znajomych robotników. Mężczyzna wręcza mu kartkę z krótką notatką.

Jej treść nie przetrwa, ale mogła brzmieć tak: „Bolek, zostałeś prezydentem Wrocławia. Skontaktuj się jak najszybciej z Ochabem”.

Jest 24 marca 1945 roku.

Wojna się jeszcze nie skończyła. Twierdza Breslau wciąż się broni.

Rok 1913, najdalej 1914

Do Atelier „Adela” Drobnerowie mają najbliżej. Wystarczy wyjść z kamienicy przy placu Szczepańskim 3 w Krakowie, przejść kilka kroków i już pod numerem 2 jest fotograf. Właściciel Zakładu Nowoczesnej Fotografii Ignacy Pretzel jest znanym artystą tak w mieście, jak i na świecie. Jego prace doceniono na wystawach w Paryżu, Londynie i w samym Karlsbadzie.

Drobnerowie ubierają się więc na spotkanie z mistrzem Pretzlem szczególnie starannie.

Bolesław, krakowianin od pokoleń, wkłada surdut. Jest synem zasymilowanego Żyda Abrahama Romana Drobnera, powstańca styczniowego, radcy miejskiego. Roman na parterze, pod numerem trzecim, prowadzi skład farb, przyborów toaletowych i zabawek, a od strony Plant wybudował kawiarnię zwaną Drobneironem.

Pod spód Bolesław kładzie kamizelkę, pod szyją, wokół sztywnego kołnierzyka w fasonie cesarskim, wiąże krawat. Gęste ciemne włosy zaczesuje do tyłu. Wąs podkreca. Ma 31 lat, ubranie go jednak postarza co najmniej o dekadę.

Jeszcze nie wie, że za 22 lata wróci z Moskwy, z pogrzebu swojej córki, ubrany w ciemną bluzę, zwaną na wschodzie „gimnastiorką”. Nigdy już jej nie zdejmie. W latach pięćdziesiątych XX wieku donosiciel

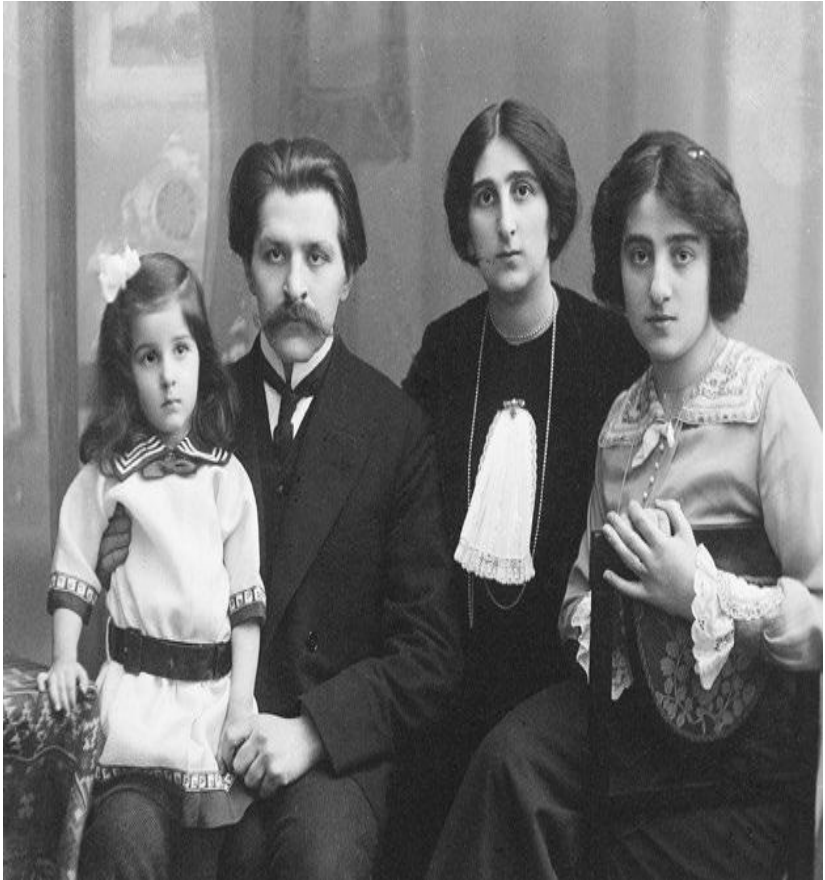
o pseudonimie „Okularnik”, napisze o nim w charakterystyce dla UB: „ubierał się zawsze w ten niby robotniczy strój, podchodził do każdego robotnika z uśmiechem, pytał o zdrowie, o dom, o dzieci i to ujmowało prostego robotnika”.

Luba Tauba Hirszowicz, młodsza o rok żona Bolesława, kobieta o urodzie greckiego posągu z melancholijnym spojrzeniem, czesze do zdjęcia włosy z przedziałkiem i wiąże je w luźny kok. Wkłada czarną aksamitną suknię, do gorsu srebrną broszką przypina koronkową chusteczkę.

Urodziła się w Moskwie. Jest wnuczką jubilera Lejba Hirscha, który posiada koncesję grawera szlachty rosyjskiej, i córką Józefa Hirszowicza, który w Warszawie przy Alejach Jerozolimskich zbudował drukarnię, jedną z największych w Polsce.

Bolesław Drobner sadza na prawym kolanie córkę Irenkę, która ma smutne spojrzenie matki, marynarskie ubranko i cztery lata. To ona umrze na gruźlicę w luksusowej klinice pod Moskwą.

Do fotografii pozuje też Ida, jedna z kilku sióstr Luby, ale nic o niej nie będzie wiadomo.



Rodzina Bolesława Drobnera, około 1914 roku. Od lewej: córka Irena, Bolesław Drobner, żona Luba, bratowa Ida Hirszowicz

Drobnerowie nie zabrali z sobą do atelier synka Mieczysława, który w przyszłości zostanie wybitnym muzykiem, a zbiór łatwych utworów na pianino jego kompozycji będą grały dzieci nawet za sto lat. Ale na razie najmłodszy Drobner ma dopiero dwa lata i został w domu. Może się przeziębił?

Kiedy są już gotowi, upozowani na krzesłach, wsparci o stolik, nieruchomieją na tle namalowanego mieszczańskiego wnętrza. Mistrz Pretzel prosi ich o chwilę uwagi i robi fotografię.

Jest późna jesień 1914 roku

Bolesław Drobner, żołnierz armii austriackiej, pozuje do zdjęcia w pełnym rynsztunku. Prawą rękę oparł o lufę karabinu, lewą opuścił wzdłuż ciała. Przez ramię przerzucił chlebak, na głowie ma czapkę z daszkiem, z tyłu saperkę przymocowaną do plecaka. Nie patrzy w obiektyw, minę ma nieszczególną.

Nie nadaje się chyba na żołnierza, podwładnego wypełniającego rozkazy. To on chce rządzić, zlecać, zalecać, prowadzić do boju, stawiać sprawy na ostrzu noża, doradzać innym, nie słuchać nikogo, przemawiać patetycznie i przypisywać sobie większe niż ma zasługi.

Gdyby urodził się w innych czasach, być może zostałby reżyserem. W tej samej pierzei co kamienica jego ojca jest Stary Teatr, w którym Bolesław statystuje od piątego roku życia. Bywa paziem, który nosi długie treny za aktorkami na scenie, grywa chłopca z kuźni w „Kościuszcze pod Racławicami” Anczyca. Przyjaźni się z obsługą teatru, zna z Ludwikiem Solskim. Teatru Drobner nie przestanie kochać nigdy, sprawom kultury będzie oddany już zawsze. Kiedy po II wojnie światowej

zostanie krakowskim radnym, uprze się przy przekazaniu pałacu Pod Baranami, zajmowanego wcześniej przez radziecką komendanturę, na potrzeby domu kultury. W podziemiach pomoże też ulokować Piwnicę pod Baranami.

Ale bardziej od teatru Bolesław Drobner, dziecko z zamożnego mieszczańskiego domu, uczeń gimnazjum klasycznego imienia Sobieskiego pobierający lekcje muzyki i języków obcych, pokocha socjalizm.



Podobno od dzieciństwa razi go nędza żebraków i obchodzi los robotników. Podobno jego rodzice uważają się za demokratów. Podobno patrzą przychylnie na spotkania młodych krakowskich socjalistów, które w ich mieszkaniu organizuje Józef, starszy syn. Na pewno w wieku 15 lat Bolesław Drobner wstępuje do Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Galicji i Śląska Cieszyńskiego.

Studiuje chemię w Berlinie, gdzie jest aresztowany za udział w akcji protestacyjnej przeciwko biciu polskich dzieci we Wrześni. Zostaje wydalony ze stolicy Cesarstwa Niemieckiego z zakazem wjazdu przez dziesięć lat. Studia kończy więc w Zurychu. Tam prowadzi kurs „Chemia życia codziennego”, podczas którego uczy młodych socjalistów konstruować bomby domowym sposobem. Doktorat z chemii robi w 1907 roku we Fryburgu. W Szwajcarii pracuje w gazowni, w Wiedniu w laboratorium biochemicznym, w Krakowie w 1909 roku, za pieniądze ojca, zakłada własne laboratorium analityczne.

Ale przede wszystkim działa. Jeździ na wiece robotnicze we wszystkich zaborach. Zawiera znajomość z chemikiem Ignacym Daszyńskim, czołowym polskim socjalistą. Zostaje członkiem Polskiej Partii

Socjalistycznej. W organizacji uważany jest za lewicowca.

W 1914 roku wstępuje na krótko do Związku Strzeleckiego Józefa Piłsudskiego, ale zaraz sięga po niego armia austriacka. Ubierają go w mundur, robią fotografię i wysyłają na wojnę. Wróci z niej w 1918 roku. Gdzie był i co robił tak długo? Tego nie wiadomo.

Rok 1925, 1932 i później

Dobrze, że ma te swoje sumiaste wąsy, bo dzięki nim łatwo rozpoznać go na niewyraźnych fotografiach zdejmowanych przenośnymi aparatami z okazji konferencji i spotkań socjalistów.

Wielbią go.

Nienawidzą go.

Umiarkowanych uczuć wobec Bolesława Drobniera władze państwowe i socjaliści nie wykazują.

Wszędzie go pełno. Jest w zarządzie Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego, w Związku Zawodowym Pracowników Umysłowych, w egzekutywie Międzynarodówki Socjalistycznej. Jest jednym z najbardziej znanych działaczy PPS w Polsce.

Radny miejski, mówca na wiecach, skory do awantur na pochodach pierwszomajowych i podczas starć z endekami i policją.

Jego ukochaną pieśnią jest „Czerwony Sztandar”, hymn socjalistów. Ostatni raz zagrają mu go nad trumną, w 1968 roku.

W dwudziestoleciu międzywojennym trafia do aresztu niezliczoną ilość razy, wielokrotnie sądzony i skazywany na więzienie, odsiedzi w sumie sześć lat.

Nazywają go człowiekiem czystych rąk, słynie z uczciwości i bezkompromisowości. Jednocześnie nikt jak doktor Drobner nie umie skłócać, krytykować i szukać dziury w całym. „Okularnik” zanotuje: „On w swojej pracy, w swej działalności nie wnosi nic konstruktywnego, budującego. On wszystko jakoś rozbija. I to nie burzy jednym zamachem od zewnątrz, ale wchodzi do sedna i od środka potrafi rozbić, roznieść. Nie ma przyjaciół i nie zna się na ludziach”.

Niezadowolony z PPS w 1922 roku zakłada własną Niezależną Socjalistyczną Partię Pracy, ale wkrótce krytykuje jej działania i znów łączy się z PPS, gdzie zostaje powołany do rady naczelnej tej partii.



A kiedy ma czas na życie rodzinne? Czy spaceruje z bliskimi po Plantach co niedziela? Ucina drzemkę po obiedzie? A praca? Jak utrzymuje rodzinę?

Firma ojca, który umiera w 1913 roku, przechodzi w obce ręce. Bolesław znajduje zatrudnienie jako dyrektor nauk technicznych Towarzystwa dla Higieny

Przemysłu Chemicznego i Leków. Czym konkretnie zajmuje się towarzystwo? Nie wiadomo. Żona Drobnera Luba także jest chemiczką i też pracuje w tym samym miejscu. I tak jak mąż działa w PPS.

Ich córka Irena wpada w socjalizm po same uszy. Chodzi do przedszkola i szkoły prowadzonej przez ludzi z PPS. Zamiast religii uczy się tam etyki. Od szesnastego roku życia należy do Związku Młodzieży Komunistycznej. Pracuje jako retuszerka fotografii. Szybko wychodzi za mąż za komunistę Salomona Stramera (później Romana Korneckiego). Mówi się o niej na mieście, że ugryzła w rękę jednego z endeków podczas bójk. W 1928 roku Irena po raz pierwszy trafia do krakowskiego więzienia św. Michała, gdzie zaraza się gruźlicą. Pięć lat później jest już bardzo ciężko chora. Na kurację zaprasza ją do siebie do Moskwy Mania, siostra matki, która wyszła za mąż za Bułgara Borysa Stomoniakowa. Borys jest członkiem kolegium Komisariatu Ludowego Spraw Zagranicznych ZSRR i załatwia siostrzenicy żony wyjazd na Krym, a potem miejsce w ekskluzywnym kremlo wskim szpitalu.

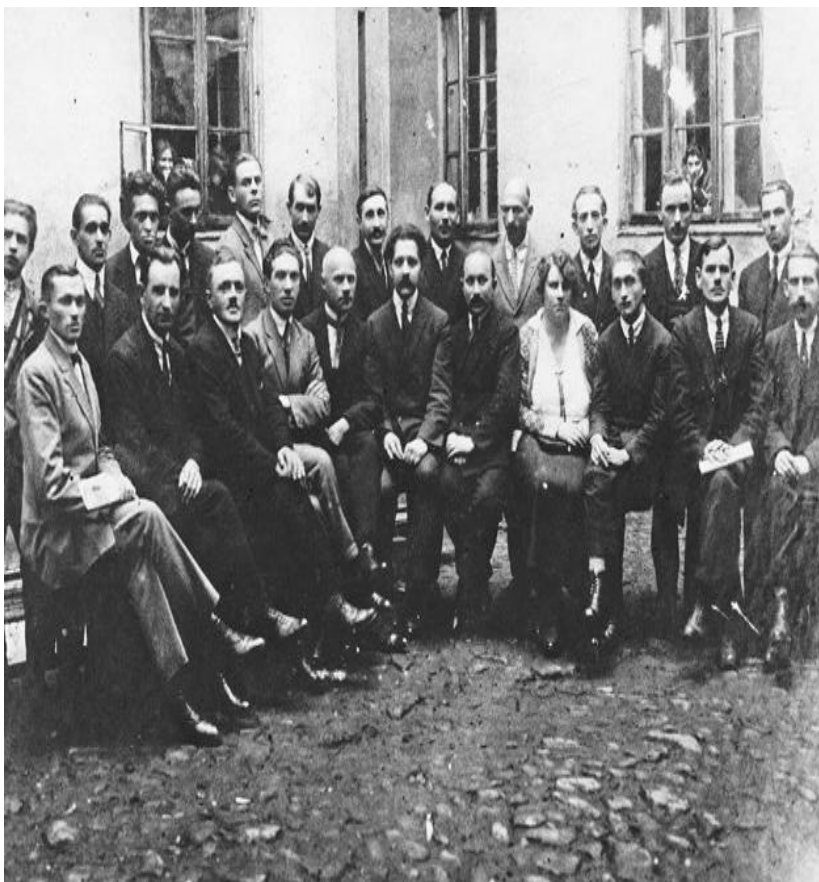
Irena umiera pod koniec 1935 roku. Przy jej łóżku są rodzice.

Z Moskwy ojciec przywozi cykl odczytów „Co widziałem w Rosji sowieckiej”.

Wygłasza je w całym kraju. Na wykłady w Warszawie jedzie na specjalne zaproszenie Dziuni, czyli

towarzyszki Wandy Wasilewskiej, znajomej z PPS.

Władze partii uważają, że Drobner stał się komunistą, i w 1936 roku wyrzucają go z PPS. Nie zdążają jednak tego ogłosić, bo w tym samym czasie sąd skazuje Drobnera na cztery lata więzienia za działalność komunistyczną, za którą uważa wykłady o Rosji sowieckiej.



Aktyw Niezależnej Socjalistycznej Partii Pracy, w środku siedzi Bolesław Drobner, grudzień 1925 roku

Rok 1939, aż do wiosny 1944

Fotografii nie ma. A kto by brał z sobą aparat na Syberię? Może później, już w Moskwie, były jakieś zdjęcia. Z Wandą Wasilewską albo z samym Stalinem? Ale niestety nie zachowały się.

Bolesław Drobner we wrześniu 1939 roku przedostaje się z rodziną do Lwowa (w czasie wakacji miał urlop z więzienia i już tam nie wrócił). Kilka miesięcy później zostaje aresztowany przez NKWD pod zarzutem próby wyjazdu do Niemiec. Rzecz w tym, że Drobner nigdzie wyjeżdżać nie zamierzał. Podejrzewa, że doniósł na niego lwowski znajomy.

Doktor trafia na Syberię, do Asino. Jest jednym z czterech tysięcy osadzonych w obozie. Pracuje jako listonosz. Za przemawianie podczas strajku więźniów, którzy domagają się lepszych warunków życia – Drobner próbuje ich przekonać, że protest w tych warunkach nie ma sensu – NKWD oskarża go o kontrrewolucję. Po dziewięciomiesięcznym śledztwie w Nowosybirsku sąd zsyła go do Bieregajewa nad Oceanem Lodowatym. Jest tam drwalem, buchalterem, kontrolerem w stołówce i pasterzem świń.

Blisko 60-letni Drobner z trudem znosi warunki obozowe. Jest słaby, choruje na malarię. Na szczęście we wrześniu 1941 roku dostaje pozwolenie na wyjazd do Czeboksar w Republice Czuwaskiej, gdzie czeka na niego żona i syn z synową. Doktor dostaje tam pracę

chemika w browarze i w spółdzielni inwalidzkiej, gdzie uruchamia produkcję aspiryny z kory iwy, eteru, kredy do tablic szkolnych, atramentu, pasty do czyszczenia metalu i zapalek.

Drobnerowie za wszelką cenę chcą się wydostać z Czeboksar. Myślą nawet o ucieczce na piechotę, powstrzymuje ich tylko strach przed wilkami.

Pewnego dnia w ręce Bolesława Drobnera wpada gazeta „Polska” drukowana przez polską ambasadę w Kujbyszewie. Czyta w niej o armii polskiej tworzonej na Bliskim Wschodzie. Doktor napisze we wspomnieniach: „Dowiedziałem się od jednego z bieżęńców, że dowódcą tego nowego wojska polskiego jest jakiś pułkownik czy generał Anders. Nic o takowym przedtem nie wiedziałem”.

Późnym latem 1942 roku do Czeboksar dociera też pismo „Nowe Widnokregi” wydawane w Kujbyszewie przez Wandę Wasilewską. Piszę do niej list. Dziunka odpisuje z serdecznymi pozdrowieniami, a w październiku zaprasza go do Moskwy.

Życie doktora Drobnera właśnie nabiera tempa.

Wiele godzin rozmawia w Moskwie z Wasilewską i jej trzecim mężem, ukraińskim pisarzem Ołeksandrem Kornijczukiem. Idą razem do teatru.

Chodzi do biblioteki. Spotyka komunistów: Hilarego

Minca, Zygmunta Modzelewskiego i Edwarda Ochaba. Poznaje pułkownika Zygmunta Berlinga.

Do żony wraca po trzech tygodniach. Dziunka daje mu na drogę kiełbasę moskiewską, prawdziwą herbatę i czekoladę. Informuje go też, że będzie musiał przenieść się z rodziną na stałe do Moskwy. Wkrótce ma powstać Związek Patriotów Polskich i tacy ludzie jak Drobner będą potrzebni.

Wanda Wasilewska montuje ZPP w porozumieniu ze Stalinem. Związek mógłby stanowić po wojnie ośrodek władzy w Polsce. Jednocześnie Józef Wissarionowicz gra na kilka frontów. Zdaje sobie sprawę, że rząd polski powinien być stworzony w kraju. Początkowo nie wyklucza też porozumienia z rządem w Londynie.

W marcu 1943 roku Wasilewska pisze do Drobnera: „Zapraszam Was do wzięcia udziału w zebraniu Związku Patriotów Polskich. Wyjedźcie szybko do Moskwy”. Trzy miesiące później doktor na I Zjeździe ZPP zostaje wybrany do zarządu głównego. Stalin po zjeździe wysłał mu list gratulacyjny i życzy, aby udało się „wzmocnić polsko-radziecką przyjaźń i wszelkimi środkami współdziałać we wskrzeszaniu silnej i niepodległej Polski”.

Środowisko komunistów, wśród których Drobner się znalazł, było mu wcześniej mało znane. Oni odnoszą się z rezerwą do socjalisty. Jednocześnie jest im niezbędny, zdaje sobie z tego sprawę. We wspomnieniach napisze:

„Dla bardzo wielu uczestników zjazdu moje nazwisko było jedynym, obok nazwiska Wandy Wasilewskiej, które znali”.

Nie ufają mu. Nie powierzają żadnych ważnych zadań. Bolesław Drobner pełni funkcje reprezentacyjne. Bierze udział w defiladach, zebraniach, wieczorkach. Kilka razy spotyka Stalina (uważa że to sympatyczny człowiek, z którym można pogadać o wszystkim). Ale Drobner chciałby rozmawiać w ZPP o przyszłości kraju. Ma pomysły, tworzy projekty, jego uwag nikt jednak nie traktuje poważnie.

Na otarcie łez Drobner dostaje funkcję kierownika Komisji Opieki Społecznej przy ZPP, której zadaniem jest ochrona Polaków pozostających w Związku Radzieckim. On uważa, że takie zadanie jest poniżej jego ambicji.

Budzi się w nim dawny duch. Krytykuje działania kierownictwa ZPP, oskarża o nieprzestrzeganie statutu, ma pretensje do Wasilewskiej, żali się na piśmie, że nie jest w prezydium związku, lecz tylko w zarządzie głównym.

Dziunka napisze o nim po latach: „...był niesłychanie wspaniałym człowiekiem, ale jako organizator czy ideolog w danym wypadku występować nie mógł”. Dla świętego spokoju zostaje jednak wybrany do zarządu głównego ZPP. Zdaniem Wasilewskiej „...ten gest z pewnością mile połechtął ambicje polityczne Bolesława Drobnera”.

Tymczasem w Warszawie w noc sylwestrową 1943/1944, przy ulicy Twardej 22, Władysław Gomułka, członek Polskiej Partii Robotniczej, bez porozumienia z Moskwą tworzy w konspiracji Krajową Radę Narodową. KRN ma być reprezentacją narodu polskiego, swoistym rodzajem parlamentu. W skład prezydium KRN wchodzi między innymi Bolesław Bierut, Michał Rola-Żymierski i Edward Osóbka-Morawski.

W maju 1944 roku do Moskwy przyjeżdża delegacja KRN. Drobner rozmawia wiele godzin z Osóbką-Morawskim. Angażuje się też w prace nad programem mającego powstać Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. PKWN ma być tymczasowym organem władzy wykonawczej w Rzeczypospolitej Polskiej, zdominowanym przez komunistów i pozostającym pod całkowitą kontrolą Stalina.

Komuniści chcą stworzyć iluzję rządu wielopartyjnego, ponad podziałami. Potrzebują do tego przedstawicieli innych ugrupowań politycznych. Andrzej Witos, brat Wincentego, reprezentuje Stronnictwo Ludowe, Wincenty Rzymowski Stronnictwo Demokratyczne, Drobner, jedyny przedstawiciel PPS, wchodzi do PKWN jako kierownik resortu pracy, opieki społecznej i zdrowia.

Na czele komitetu staje Edward Osóbka-Morawski,

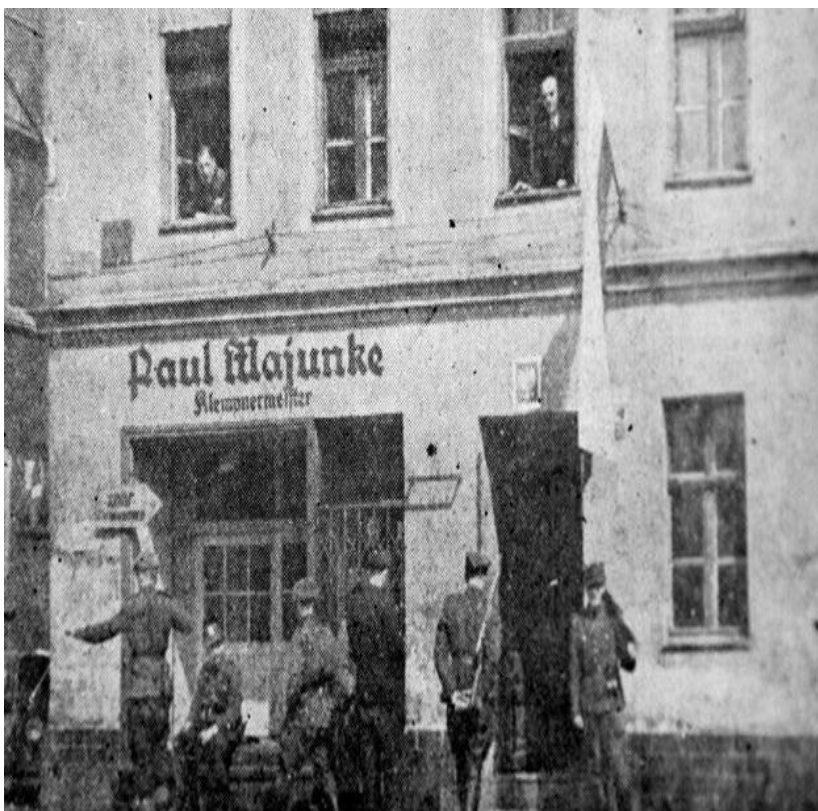
Wanda Wasilewska jest jego zastępczynią.

22 lipca 1944 roku Radio Moskwa ogłasza tekst Manifestu PKWN, kłamiąc przy tym, że został podpisany dziś w Chełmie, mieście zajętym przez Armię Czerwoną.

W rzeczywistości Bolesław Drobner z resztą ekipy PKWN dociera do Chełma dopiero pod koniec lipca.

13 kwietnia 1945 roku i trochę wcześniej

Na tym zdjęciu nie ma Bolesława Drobnera. Jest tylko grupka sześciu umundurowanych mężczyzn: trzech polskich milicjantów i trzech radzieckich żołnierzy. Nie zwracają uwagi na fotografa, wygrzewają się w słońcu. Tylko jeden, z karabinem na ramieniu, tuż pod polskim godłem i biało-czerwoną flagą, pełni straż przed wejściem do niedużej kamienicy.



Kwatera Grupy Operacyjnej Drobnera w Kątach Wrocławskich,
13 kwietnia 1945 roku

W domu tym swój zakład miał hydraulik Paul Majunke, o czym informował szanownych klientów wielki napis wyrysowany szwabachą nad witryną. Ale było to dawno, pewnie kilka miesięcy temu, w innym świecie, kiedy dom stał w miasteczku Kanth niedaleko Breslau. Teraz dom należy do Armii Radzieckiej, która chwilowo użyczyła gościny grupie operacyjnej prezydenta Bolesława Drobnera, w drodze

do Wrocławia. Gdzie się podział hydraulik Majunke, to doprawdy nikogo nie obchodzi. Front ściany zostanie wkrótce zamalowany, w ramach przywracania polskości ziemiom piastowskim, a Kanth zmieni nazwę na Kąty Wrocławskie. Może się zdarzyć, że za kilkadziesiąt lat spod tynku wypełźnie ozdobne M z nazwiska Majunke. Przedwojenne farby były naprawdę dobre.

Towarzysze z PKWN, którzy od 1 sierpnia 1944 roku urzędują w Lublinie, chyba już wiedzą, jak okiełznać Bolesława Drobnera. Trzeba dać mu zadanie. A najlepiej wysłać w teren. Doktor jeździ więc w towarzystwie innych członków komitetu, pod ochroną żołnierzy, po terenach zajętych przez Armię Czerwoną. Obejmuje władzę, zakłada samorządy. Jest w Rzeszowie, Łańcucie, Stalowej Woli i na warszawskiej Pradze.

18 stycznia 1945 roku Sowieci wchodzą do Krakowa. Dzień później, przydzielonym autem marki Dodge (prowadzi Rosjanin Niko Kartoszkin), w towarzystwie żony do miasta przyjeżdża Bolesław Drobner.

PKWN już wtedy nie istnieje. W jego miejsce 31 grudnia 1944 roku został powołany przez KRN Rząd Tymczasowy Rzeczypospolitej Polskiej. Premierem jest Osóbka-Morawski, ministrem administracji publicznej Edward Ochab. Wkrótce, już w kwietniu, będzie pełnił funkcję pełnomocnika generalnego rządu na Ziemi

Zachodnie i Północne. Doktor Drobner do rządu nie został zaproszony. Jest za to członkiem Krajowej Rady Narodowej i wiceprzewodniczącym PPS.

Krakowianie witają go entuzjastycznie. Dawni towarzysze partyjni są na usługi. On im mówi, że ma wszelkie pełnomocnictwa rządu i będzie tu stanowiął władzę. Kłamie. Żadnych pełnomocnictw nie posiada.

Ale nikt z Krakowa przecież nie będzie sprawdzał takiego człowieka.

A rząd tego nie prostuje, tylko nakazuje śledzić Drobnera i donosić o jego ruchach.

Drobner zaczyna od znalezienia godnej siedziby dla swojej partii. Najlepiej gdyby była na Rynku Głównym. Niestety, pałac Pod Baranami okupują Rosjanie, a PPR zajęła kamienicę tuż obok, w narożniku Rynku i Wiślniej. Nie szkodzi. Dwa dni później Drobner zaczyna urzędowanie w reprezentacyjnym pałacu Szołayskich przy placu Szczepańskim, niedaleko rodzinnego domu (Drobnerowie mieszkają teraz przy Straszewskiego 25). Pałac staje się kwaterą PPS.

Niektórzy widzą, że Drobner jest zmęczony. Postarzał się na Syberii, posiwiął, drżą mu ręce, słabnie pamięć. On tego jednak nie zauważa. Jest w swoim żywiole. Odnowia dawne kontakty, obsadza znajomymi socjalistami stanowiska w mieście, próbuje tworzyć

pepeesowską milicję, coraz głośniej mówi, że jak nikt nadawałby się w przyszłości na prezydenta lub wojewodę Krakowa. Bywa na wiecach, przemawia podczas manifestów. Wśród robotników krakowskich ma coraz większe poparcie.

Daje do zrozumienia, że socjaliści z komunistami nie powinni się łączyć. Nie chce iść z nimi w jednym pochodzie podczas zbliżającego się święta 1 Maja. Nakazuje wybić osobne znaczki pierwszomajowe.

A to już może niepokoić. Drobner znów wyrwał się spod kontroli. To komuniści z PPR mają stanowić przewagę. Wprawdzie pierwszy krakowski prezydent Aleksander Żaruk-Michalski, powołany na stanowisko przez Warszawę, jest z PPS, ale rządzi tylko miesiąc i zaraz zastępuje go Alfred Fiederkiewicz, oddany przedwojenny komunista.

Czy Edwarda Osóbkę-Morawskiego martwi rosnący w siłę Bolesław Drobner?

Może główkuje, jak pozbyć się z miasta krakowskiego socjalisty?

Czy dlatego 24 marca 1945 roku na stanowisko prezydenta Wrocławia wyznacza człowieka, o którym powszechnie wiadomo, że nie jest dobrym organizatorem?

Wiadomość o nominacji, na kartce wyrwanej z notesu, przekazuje doktorowi Stanisław Szwalbe, socjalista, wiceprezydent KRN.

Tego samego dnia wieczorem informację

o prezydenturze Drobnera podaje Radio BBC.

Bolesław Drobner nigdy jeszcze nie był we Wrocławiu. Ale nie waha się ani chwili. „Faktem było, że nikt ze mną nie rozmawiał wcale na temat tej nominacji. Ale w tych czasach spadał przecież na całą Polskę deszcz mianowań, decyzji, postanowień, zarządzeń i widocznie Tymczasowy Rząd musiał w sprawie Wrocławia działać szybko. [...] Odmówić? Chyba nie wolno!” – napisze we wspomnieniach.

Jedzie więc do Warszawy na rozmowę z Ochabem. Wrocław wciąż się broni, a oni dzielą skórę na niedźwiedziu. Kiedy miasto będzie już polskie, planują, zostanie wydzielone, jak Warszawa i Łódź. A jego prezydent będzie de facto pełnił funkcję wojewody. A w ogóle, ponagla minister Ochab, niech się towarzysz Drobner jak najszybciej zabiera do pracy. We wszystkim ma wolną rękę. Najważniejsze to współpracować z komendanturą frontu radzieckiego.

Z Osóbką-Morawskim Drobnerowi nie udaje się porozmawiać tego dnia. Zajęty, wysyła na spotkanie z nowym prezydentem Wrocławia swojego przedstawiciela, który przekazuje mu jedno zdanie od premiera: „Niech Drobner robi, co chce i jak chce”.

Na początku kwietnia Drobner ogłasza w prasie i wśród działaczy PPS werbunek do ekipy, która wyjedzie zarządzać Wrocławiem zaraz po spodziewanej klęsce Niemców. Do biura przy ulicy Floriańskiej 55 (potem przy placu Kleparskim) mają się zgłaszać inżynierowie, specjaliści, naukowcy, którzy będą umieli zabezpieczyć, a potem uruchomić fabryki, elektrownie, gazownie, tramwaje, uczelnie i teatry. Zbieranie grupy operacyjnej przeciąga się. Chętnych nie ma wielu. Nikt nie wie, co zastanie we Wrocławiu. Czy stoją tam jeszcze jakieś budynki? Czy to nie jest zbyt ryzykowne?

Tymczasem 7 kwietnia do Krakowa przyjeżdża szef wydziału komendantur wojskowych I Frontu Ukraińskiego ppłk Riepin. Ma dokument dla Bolesława Drobnera zezwalający na przejazd do Wrocławia i nakazujący wojennym komendantom miast pomoc jego ekipie.

Wkrótce Edward Ochab przysyła do Krakowa pieniądze i ponaglenie do przyśpieszenia wyjazdu rozpoznawczego. Chodzi o symboliczne zaznaczenie obecności Polski we wciąż niemieckim Breslau, zanim jeszcze twierdza upadnie.

W piątek 13 kwietnia 1945 roku Drobner wyrusza więc w stronę miasta, którego jest prezydentem. W trzech samochodach jedzie z nim kilkanaście osób, w tym wielu dziennikarzy i fotografów (doktor zdaje sobie sprawę z mocy propagandowej tej wyprawy). Ochronę ma stanowić 15 uzbrojonych milicjantów,

którym Drobner nie za bardzo ufa.

Zabierają z sobą polskie flagi, kilka tablic z orłem białym, opaski na rękawy z napisem Zarząd Miejski m. Wrocławia. Nie mają za to map. Pytają o drogę przypadkowych ludzi. Zatrzymują się w Katowicach i w Opolu, gdzie urzęduje już starostwo. Na najbliższym moście nad Odrą przybijają pierwszą tablicę z orłem (stają do zbiorowego zdjęcia). Zamierzają nocować w małym miasteczku Kanth, tuż przed Wrocławiem.

Po drodze rozjeżdżają czarnego kota.

Styczeń, aż do maja 1945

Jak wybrać fotografię, która opowie o mieście obróconym w perzynę w ciągu 76 dni? Lepsze będzie zdjęcie trzymającego się jeszcze jako tako wrocławskiego ratusza, widok wypalonych ruin miasta z lotu ptaka czy może wnętrze katedry pozbawionej dachu? Jest z czego wybierać. Są ujęcia zwłok na ulicach i konstrukcji kamienic powyginanych jak patyki. Są zwalone wieże kościołów, jest też barykada z tramwajów.

A może ocalały pomnik Fryderyka Wilhelma III byłby najlepszy? Cesarz w pełnym rynsztunku z wysokości swojego konia wpatruje się w ziejącą dziurę kamienicy po drugiej stronie nieistniejącej już ulicy. Władca nie ma się zresztą co cieszyć z ocalenia.

Wkrótce spadnie z cokołu i razem ze swoim rumakiem trafi na złom.



Na pomysł tworzenia twierdz, które będą punktami niemieckiej kontrofensywy i opóźnią pochód Armii Czerwonej na Berlin, Adolf Hitler wpada wiosną 1944 roku. Do rangi *Festungen* podnosi między innymi Mohylew, Bobrujsk, Witebsk, Königsberg, Danzig, Oppeln, Posen.

W sierpniu Führer mianuje festung Breslau. Pierwszym Festungskommandantem tego miasta, we wrześniu, zostaje Johannes Krause. Nie robi wiele na rzecz przyszłej twierdzy. Opracowuje wprawdzie plan ewakuacji ludności, nie zostaje on jednak ogłoszony. To gauleiter Karl Hanke, fanatyczny nazista, nie chce w żaden sposób dawać do zrozumienia, że wielkość Rzeszy może być zagrożona.



Ratusz wrocławski w 1945 roku



Pomnik Fryderyka Wilhelma III w maju 1945 roku

—

Wszystko się zmienia 20 stycznia 1945 roku. I Front Ukraiński pod dowództwem marszałka Iwana Koniewa zbliża się do Śląska.

Temperatura spada do minus 20 stopni. W Breslau przebywa milion ludzi. Oprócz mieszkańców są tu niemieccy uchodźcy ze wschodu, jeńcy wojenni, więźniowie filii obozu koncentracyjnego Gross Rosen i robotnicy przymusowi.

O dziesiątej rano megafony nawołują do natychmiastowej ewakuacji kobiety i dzieci. W Breslau wybucha panika. Dworce są oblegane przez

łupy, część ludzi decyduje się na pieszą wędrówkę. 60 tysięcy kobiet z dziećmi wyrusza w stronę miasteczka Kanth. 18 tysięcy z nich umrze w drodze.

Za matkami z dziećmi w ciągu najbliższych kilku dni ruszą inni, niezdolni do służby wojskowej. Władze już wiedzą, że trzeba będzie ewakuować dwie trzecie ludności. Nie wyobrażają sobie tylko, że w wyniku ucieczki zginie w sumie 90 tysięcy breslauerów. Część uciekinierów kieruje się do Drezna, które wkrótce zostanie zbombardowane przez aliantów w nalocie dywanowym.

15 lutego wojska radzieckie zaciskają wokół miasta pierścień. W festung Breslau jest 65 tysięcy żołnierzy niemieckich i – według różnych szacunków – od 80 do 200 tysięcy cywilów.

Tydzień później Rosjanie rozpoczynają szturm na miasto.



Walki trwają nieustannie. Raz Rosjanom udaje się wdrzeć na przedmieścia, to znów są wypierani.

W marcu Niemcy wprowadzają nową taktykę walki, którą nazywają *toten Räume* (martwe pole). Ewakuują przymusowo, w ciągu kilku chwil, mieszkańców przedmieść i podpalają ich kamienice. Burzą kościoły i zabytki. Rosjanie im nie ustępują. Podpalają każdy zdobyty dom, żeby wykurzyć ukrywających się

Niemców, zdobywają budynki piętro po piętrze.

Zaopatrzenie miastu dostarczają samoloty. W sumie przywiezła 1638 ton zapasów, przede wszystkim amunicji. Kiedy główne lotnisko miasta w Gandau jest zagrożone, gauleiter Hanke wpada na pomysł zbudowania nowego, w centrum Breslau. Popiera go kolejny już komendant twierdzy Hermann Niehoff. Część ulicy, przy której stoją budynki uniwersyteckie, liczne gmachy i urzędy, zostanie wysadzona w powietrze i odgruzowana przez ludność cywilną. W trakcie prac nad nowym lotniskiem zginą 3 tysiące ludzi, w tym dzieci.

Przez cały kwiecień trwają walki. Rosjanie bombardują miasto z powietrza, ostrzeliwiają je z artylerii. Krok po kroku zdobywają Breslau.

Kiedy 14 kwietnia 1945 roku z Kanth do Wrocławia przyjeżdża ekipa Bolesława Drobnera, z trudem dociera do Hindenburgplatz. Podróży w głąb miasta Rosjanie im nie zalecają.



Ostatniego dnia kwietnia 1945 roku Adolf Hitler popełnia samobójstwo.

2 maja kapituluje Berlin.

Komendant Niehoff poddaje festung Breslau cztery dni później.

Wściekły i wystraszony Hanke rekwiruje w nocy

awionetkę i ucieka nią w Sudety.

Jego samolot jest jedynym, który kiedykolwiek wystartował z nowego lotniska w centrum miasta.

Kwiecień i maj 1945

Fotograf uchwycił ich w ruchu. Zawołał do nich, żeby przystanęli na chwilę do zdjęcia, i wyszli trochę zamazani. Stoją na kupie gruzów, które kiedyś były Lehmgrubenstrasse, a za jakiś czas będą ulicą Glinianą. Za nimi wypalone kamienice. Barykada sięga do połowy parteru.



Bolesław Drobner na ul. Glinianej. Widok na zachód, w stronę skrzyżowania z ul. Gajową (kamienica z wieżyczką), 10 maja 1945 roku

Na zdjęciu jest 10 maja 1945 roku. Pierwsze chwile Drobnera w tym mieście. Musiało się ochłodzić, bo mimo słońca włożyli płaszcze, prezydent na głowę nałożył kapelusz. Pięć osób z Zarządu Miejskiego we Wrocławiu. Wysiedli na chwilę z samochodu, żeby zapytać o drogę, bo ulica, którą jechali, skończyła się nagle.

Przeraża ich ogrom zniszczeń, ale statystyk jeszcze nie mają. Nie wiedzą więc, że z ocalałych 30 tysięcy budynków 20 tysięcy jest znacznie uszkodzonych. Ze 186 tysięcy mieszkań doszczętnie zniszczono ponad 53 tysiące. Spośród 422 budynków użyteczności publicznej 48 nie nadaje się już do niczego. Spośród 179 szkół w 116 zniszczenia przekraczają 50 procent. Ze 104 obiektów, jakimi dysponowały wyższe uczelnie, 70 leży w gruzach. Całkowitemu zniszczeniu uległo 60 procent obiektów przemysłowych. Zerwane są trzy mosty na Odrze i spora liczba wiaduktów kolejowych. Niemal nie istnieją tramwaje, szyny i trakcje. Nie działają telefony, nie ma prądu, gazu ani wody.

W dodatku Wrocław wciąż płonie, bez przerwy wybuchają też nowe pożary. Są wzniecane przez żołnierzy radzieckich chcących zatrzeć ślady plądrowania. Ogień zapraszają także szabrownicy, którzy do oświetlania okradanych piwnic używają podpalonych kawałków papieru. Wybuchają miny i pociski, którymi miasto jest nafaszerowane.

Werbunek do grupy wrocławskich pionierów trwa przez cały kwiecień. Niemal każdego Bolesław Drobner przesłuchuje osobiście. Badania kwalifikacji kandydatów odbywają się publicznie. Prezydent Wrocławia chciałby zgromadzić w swojej grupie ludzi

tak jak on oddanych sprawie. Odsiewa więc potencjalnych szabrowników i pieczeniarzy. Najchętniej zabrałby samych socjalistów. Ale zdaje sobie sprawę, że nie zawsze będzie to możliwe. „Wyjeżdżali chętnie do Wrocławia sanatorzy z poszarpaną »hipoteką«. Musiałem ich wykorzystać, jeśli znali się na administracji. Takim był dr Łach, z którym mieliśmy dawniej polityczne porachunki. [...] Trzeba było ich czasem i usuwać z Wrocławia” – będzie wspominał.

Grupę naukowców, na zaproszenie Drobnera, stara się zgromadzić wokół siebie profesor Stanisław Kulczyński, specjalista w dziedzinie pajęczaków, przedwojenny rektor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Wielu mu odmawia, wolą zostać w Krakowie, przenieść się do Torunia albo na Śląsk. Ostatecznie Kulczyński werbuje 27 osób, pracowników uniwersytetów i politechnik oraz działaczy ochrony zabytków. Grupę dopełniają studenci i asystenci. Ponieważ nie wiedzą, w jakich warunkach przyjdzie im żyć, decydują się nie zabierać kobiet. Wyjątek czynią dla Zofii Gostomskiej, bibliotekarki, która przeszła wszereż Kanadę i potrafi posługiwać się bronią. Jednym z pierwszych zadań grupy naukowej, jeszcze w Krakowie, jest przygotowanie fotograficznych odbitek planu Wrocławia.

Gazownię wrocławską ma postawić na nogi Mieczysław Seifert, były dyrektor Gazowni Miejskiej w Krakowie. Dowodzenie strażą pożarną przejmie kapitan straży ogniowej Mieczysław Rakisz. Wydział kwaterunkowy zorganizuje krakowski inspektor pracy Adam Konopczyński. Wydział kultury poprowadzi Stefan Podgórski, zdrowia – społecznik Mieczysław Czarnecki. Dr Maciej Łach, były starosta Nowego Sącza, ma pokierować magistratem. Drobner zaprasza też do ekipy Adama Kabaja, swojego dawnego znajomego, mechanika z Teatru im. Słowackiego w Krakowie, „człowieka świetnych pomysłów”.

Doktor, człowiek niewierzący, zdaje sobie sprawę z tego, że we Wrocławiu będzie potrzebował polskich duchownych. Krakowska Kuria Metropolitalna wyznacza do grupy pionierskiej księdza kanonika Kazimierza Lagosza, przedwojennego kapłana archidiecezji lwowskiej, katechetę, działacza Towarzystwa Czytelni Ludowych. Lagosz do pomocy zabiera trzech księży katolickich i jednego protestanckiego. Inżynier Kazimierz Kuligowski, przed wojną między innymi wicedyrektor Syndykatu Polskich Odlewni Stali w Warszawie, w Zarządzie Miejskim we Wrocławiu będzie odpowiadać za przemysł i handel. Bolesław Drobner mianuje go swoim zastępcą.

Drugim wiceprezydentem zostaje doktor Józefa Filipczakowa, o której nie uda mi się znaleźć żadnych informacji. Kim była ta niewysoka kobieta o krępej

sylwetce, która na każdej fotografii tuli do siebie wielką torebkę, co nadaje jej wygląd Mamy Muminka? Na jej jedyny ślad natrafiam w liście Bolesława Drobnera do towarzysza z PPS. Napisał go w lipcu 1945 roku, kiedy od miesiąca nie był już prezydentem Wrocławia: „Albo sprawa Filipowiczowej. Jest to oszustka, bo pozawieszała sobie pełno orderów, a prawa do nich nie ma. Okazuje się, nie była nigdy sędzią, ani kapitanem, ani wojewodą, a za niepolityczne sprawy siedziała na Pawiaku. W tej chwili należało ją usunąć, tymczasem jak mi Mazur opowiada, zyskała u Wachniewskiego [następca Drobnera na stanowisku prezydenta] prawo do dysponowania mieniem państwowym, bo meblami w willi, i gdy przyjechała do Wrocławia z torebką damską, wyjeżdżała samochodem ciężarowym za... zasługi wobec Wrocławia”.

W sumie grupa, która wyjedzie do Wrocławia z Bolesławem Drobnerem, liczy 160 ludzi. Będą pracowali w ośmiu wydziałach i w Zakładzie Użyteczności Publicznej. Dołączają do nich też kucharze, fryzjer i ekipa porządkowa.

Szefowie oddziałów spotykają się codziennie w mieszkaniu Bolesława Drobnera. Spakowani, przygotowani, czekają na sygnał o kapitulacji

Wrocławia.

7 maja prezydent Drobner dostaje wiadomość od ppłk. Riepina, że można jechać.

Dzień później pionierzy ładują swoje rzeczy i sprzęt na ciężarówkę. Jest 8 maja 1945 roku, dziś skończyła się wojna. „Nie wymyślałem ludziom za to, że im się czubiło z głów. Wrocław nasz! Wyśpiewywali: Sto lat! Sto lat! I to bez końca” – Drobner będzie wspominał po latach.

9 maja o świcie wyrusza pierwsza ciężarówka z grupą kwatermistrzowską, na czele której stoi pracownik naukowy doktor Antoni Knot. Mają znaleźć mieszkania na nocleg dla pionierów.

Po południu tego samego dnia z Krakowa wyjeżdża reszta grupy operacyjnej Zarządu Miejskiego we Wrocławiu. Za maskę ciężarówki wetknęli biało-czerwony sztandar.

Po drodze robią przystanek w Katowicach. Cudem zdobywają miejsce w kawiarni w pobliżu dworca, długo czekają, aż kelnerka poda im letnią kawę.

Nocują w starostwie w Brzegu i z samego rana, po składkowym śniadaniu (masło, wędliny, ser, konserwy), ruszają na zachód.

12 maja 1945 roku

Bardzo lubię tę fotografię, nieoficjalną, przypadkową,

zrobioną tylko na pamiątkę, a nie na potrzeby propagandy. Bolesław Drobner, ustawiony między dwoma milicjantami, nie przejmuje się fotografem. Odwrócony bokiem, mówi coś do uśmiechniętego mężczyzny w kaszkiecie, prawdopodobnie inżyniera Kuligowskiego. Dwie postaci z prawej strony zdjęcia to onieśmiałe radzieckie żołnierki w spódnicach i białych skarpetkach, wyglądają jak harcerki na zbiórce. Dziewczyny na głowach mają berety, na plecach karabiny, w każdej dłoni po chorągiewce. Oddelegowano je do kierowania ruchem na skrzyżowaniu dróg. Pewnie nudziły się na pustej chwilowo autostradzie, zaproszono je więc do wspólnej fotografii. Pozują na tle drogowskazów wypisanych cyrylicą. Do Breslau, z miejsca gdzie stoją, są 142 kilometry, od Berlina dzielą je 164 kilometry.

Zdjęcie robi fotograf towarzyszący ekipie prezydenta Wrocławia w drodze do Sagau (Żagania), gdzie mieści się dowództwo I Frontu Ukraińskiego.

To wszystko jest bardzo dziwne. Rząd w Warszawie nie interesuje się Bolesławem Drobnerem. Nikt nie chce raportów, nikogo nie ciekawi, jak sobie radzą Polacy w zniszczonym ponemieckim mieście. Nie wpada do Wrocławia żaden przedstawiciel Ministerstwa Kultury czy Oświaty, choć na jeden dzień. Do dnia

dymisji, która nastąpi 9 czerwca 1945 roku, Bolesław Drobner nie otrzyma z Ministerstwa Administracji Publicznej nawet formalnego określenia swoich kompetencji. Raz tylko pojawia się przedstawiciel Ministerstwa Przemysłu. Ale oświadcza, że ma swoje dyrektywy w sprawie zakładów przemysłowych i nie ma potrzeby porozumiewania się z zarządem miejskim.

Tak jakby prezydent Drobner naprawdę mógł sobie robić we Wrocławiu, co chce. Ale on wie, że tak przecież nie jest. Śle więc do Warszawy przez różnych ludzi pytania o to, kto we Wrocławiu zorganizuje przemysł, obejmie fabryki, żeglugę na Odrze. „Warszawa milczała jak zaklęta” – będzie wspominał.

Prosi o przysłanie ludzi z Urzędu Bezpieczeństwa. Do Wrocławia przyjeżdża więc mała grupa pracowników UB, ale nie kontaktują się z władzami miejskimi.

W mieście brakuje milicji i nic nie zapowiada, że wkrótce powstanie. Inżynier Kuligowski powołuje więc na własną rękę straż porządkową. Ogłasza nabór i w ciągu tygodnia zbiera oddział złożony ze 150 ludzi. Wydaje im broń, odbiera przysięgę, wygłasza przemówienie, ustawia posterunki. Ale po dwóch dniach wszyscy strażnicy przepadają bez wieści, a z nimi karabiny.

Od połowy maja we Wrocławiu działa też jedenastoosobowa grupa operacyjna, przysłana tu przez Komitet Centralny Polskiej Partii Robotniczej. Andrzej

Żak, I sekretarz Komitetu Miejskiego PPR, będzie wspominał: „Wraz z Drobnerem przyjechała do Wrocławia w maju 1945 r. grupa działaczy PPS, która również utworzyła organizację partyjną. Współpraca między naszymi partiami nie od razu ułożyła się gładko. Początkowo nie mieliśmy możliwości pełnego oddziaływania na pracę Zarządu Miasta”.

To się szybko zmieni i już następny po Drobnerze prezydent Wrocławia będzie komunistą.

Miastem tak naprawdę rządzą Rosjanie i od nich wszystko zależy. Bolesław Drobner od chwili przyjazdu szuka porozumienia z radzieckim wojennym komendantem Wrocławia ppłk. Liapunowem. To on wystawia Polakom przepustki zezwalające na poruszanie się po mieście, członkom zarządu nakazuje nosić białoczerwone opaski na rękawach, upoważnia do gospodarowania we Wrocławiu, wpuszcza do magazynów z żywnością, przydziela na stałe łącznika kapitana Burkunowa, który ma gasić ewentualne nieporozumienia z dowódcami stacjonujących w mieście oddziałów (a w domyśle donosić o wszystkich ruchach Polaków). Wreszcie to on na pierwsze kwatery wskazuje grupie pionierów ocalałe domy przy ulicy Blücherstrasse 23, 25, 27.

Nie mniej ważna jest wizyta, którą Drobner składa 12 maja 1945 roku w Żaganiu, w dowództwie I Frontu Ukraińskiego. Przywozi stamtąd rozporządzenie dla Liapunowa, aby polskiej administracji wydał niezwłocznie wszystkie zakłady komunalne, wrocławskie placówki naukowe i zakłady przemysłowe.



Prezydent Bolesław Drobner (drugi z lewej) wraz z przedstawicielami Zarządu Miejskiego we Wrocławiu w drodze do Żagania, do Dowództwa I Frontu Ukraińskiego, 12 maja 1945 roku

W kontaktach z Rosjanami Drobner balansuje jak tancerka na linie. Widzi przecież, że Sowieci nie mają żadnych hamulców i traktują Wrocław jak swoją własność. Szabrują, kradną, piją, gwałcą, podpalają, strzelają na wiwat i do ludzi. Co z tego, że Liapunow obiecał przekazać przemysł wrocławski w polskie ręce, kiedy wkrótce nie będzie już co przekazywać. Dniami i nocami Rosjanie demontują i wywożą z zakładów wszystko, co się da.

Prezydent Drobner to widzi, ale mówić nie za bardzo może. Zresztą komu miałby się poskarżyć? Czasem próbuje interweniować. We wspomnieniu opublikowanym w 1960 roku (a więc na pewno ocenzurowanym), w tomie „Trudne dni”, opisze to w sposób dyplomatyczny: „Z kilku stron zawiadomili Zarząd Miejski robotnicy, że zamierzona jest wysyłka urządzeń wielu wrocławskich fabryk. Zmuszony byłem wyjechać w tej sprawie na jeden dzień, tj. 18 maja, do Legnicy. W dwa dni potem odwiedził mnie pułkownik Riepin i kilku oficerów, którzy wyjaśnili sprawę jako nieporozumienie, albowiem fabryki, których urządzenia były spakowane albo miały być spakowane, pozostają własnością Polski”.

Rosjanie kłamią Drobnerowi w żywe oczy. I on najpewniej zdaje sobie z tego sprawę. Oddadzą wprawdzie Polakom część zarekwirowanych maszyn z zakładów Linke-Hofmann, ale będą one niekompletne, pozbawione ważnych i trudnych do zastąpienia części.

Z pozostałych zakładów wciąż będą wywozić kolejne maszyny.

Dziennikarz Friedrich Jerrig w reportażu o Wrocławiu z 1949 roku napisze, że Bolesław Drobner został spoliczkowany przez jednego z generałów wojsk rosyjskich, kiedy chciał głośno skrytykować nasilające się plądrowanie przez rosyjskich żołnierzy.

Polacy są we Wrocławiu. A przecież nie było jeszcze konferencji w Poczdamie. A jeśli zwycięskie mocarstwa zechcą zostawić Breslau Niemcom? Na wszelki wypadek radziecki komendant pozwala na utworzenie niemieckiego zarządu w mieście.

Niemcy dzielą Breslau na 52 kwartały. Opiekunowie kwartałów zajmują się rejestracją niemieckich mieszkańców (w całym mieście jest ich niemal 200 tysięcy), kierowaniem ich do pracy, rozdziałem żywności, kontrolowaniem miejscowych sklepów i ochroną podległych im obywateli. Rosjanie pozwalają nawet na utworzenie policji, która się nazywa tak samo jak w III Rzeszy – Ordnungspolizei. Na początku czerwca w jednym z kwartałów w dzielnicy Sępolno pojawia się kuriozalne obwieszczenie o konieczności rejestracji w niemieckim Urzędzie Pracy „Żydów, pół-Żydów, Polaków i obywateli obojętnie jakiej narodowości”. Drobner interweniuje w tej sprawie

u radzieckiego komendanta i obwieszczenia znikają. Do doktora docierają też meldunki o biernym oporze Niemców, a nawet o ćwiczeniach w lasach pod Wrocławiem grup dywersyjnych typu Werwolf.

Ale ujawniają się w mieście Niemcy, głównie socjaliści i komuniści, którzy twierdzą, że nienawidzili Hitlera i zawsze byli mu przeciwni. Jednoczą się w grupy. Najważniejszą jest Antyfaszystowski Ruch Wolnościowy Antifa, któremu szefuje Hermann Hartmann i Zjednoczenie Niemieckich Antyfaszystów Paula Marzolla.

Niemieccy antyfaszyści oferują radzieckim i polskim władzom wsparcie w administrowaniu miastem i pomoc w tropieniu zbrodniarzy wojennych i funkcjonariuszy III Rzeszy. Oba ugrupowania zwalczają się wzajemnie, głównie za pomocą donosów. Dzięki temu okazuje się wkrótce, że większość członków antyfaszystowskich organizacji we Wrocławiu jeszcze niedawno należała do NSDAP.

Trójwładza we Wrocławiu skończy się dopiero po konferencji poczdamskiej, a niemiecki zarząd i organizacje antyfaszystowskie zostaną rozwiązane 16 sierpnia 1945 roku.

Maj 1945

Tu najbardziej pasowałaby fotografia Bolesława

Drobnera podczas pracy. Mam taką, chociaż jest z początku czerwca, a w mojej opowieści wciąż trwa maj. A więc doktor, oświetlony słońcem wpadającym przez okno, siedzi przy dużym biurku. Prawą rękę wsparł na blacie, lewą oparł na poręczy krzesła. Przed nim stoi kwiatek w doniczce. Włosy, jak zwykle, Drobner zczesał do tyłu. Ubrany jest w swoją nieśmiertelną „gimnastiorkę”, która ma go równać z robotnikami. W lewą kieszonkę bluzy wpiął srebrnego orzełka, chyba takiego jak żołnierze noszą na czapkach. Lekko się uśmiecha, ale jest spięty.

Pracują ponad siły, od pierwszego dnia. Ledwie przyjechali, ledwie wysiedli z ciężarówek a już lecą sprawdzić, czy stoi cokolwiek z tego, czym mają się zajmować we Wrocławiu.

Ksiądz Lagosz z pozostałymi duchownymi wśród palących się domów odwiedza okoliczne świątynie i kaplice. Zastanawia się, skąd wziąć deski, gwoździe i młotki do zabicia nimi wyrwanych drzwi i okien. Już jutro, najdalej pojutrze dostanie od Rosjan żółtą bryczkę, jednego konia i zapas desek. Na ścianie każdej zabezpieczonej prowizorycznie budowli powiesi tabliczkę „Wstęp wzbroniony – Zarząd Miasta Wrocławia”.



Bronisław Drobner w swoim gabinecie. Obok prezydenta Maria Jeleniowa i por. Wiktor Orczewski, 9 czerwca 1945 roku

Profesor Stanisław Kulczyński w towarzystwie kolegów naukowców przedziera się przez gruzy w stronę uniwersytetu. Zakład Geologii i Mineralogii leży, obok sterczy szkielet budynku Zakładu Chemii, na parterze widać tylko zgniecione stoły i resztki przyrządów. Barokowy gmach główny bomba przecięła na dwoje, dostępu broni barykada z mokrych i spleśniałych książek. W budynku Geologii

i Antropologii naukowcy znajdują rozrzucone kości zwierząt i stos ludzkich czaszek. Budynek seminariów humanistycznych nie ma wprawdzie okien i dachu, jednak jest cały. Biblioteka uniwersytecka płonie. Ale naprzeciwko niej, w studenckim kościele św. Anny, znajdują trzysta tysięcy książek przeniesionych tu z biblioteki. Prawdziwy skarb. Nie wiedzą jeszcze, że jutro ktoś wzniesi tam pożar i spłoną także ocalałe zbiory.

Dalsze zwiedzanie dóbr uczelnianych jest przygnębiające. Zgliszcza, ruiny i pożary. Wracają zasmuceni.

Mieczysław Rakisz, kapitan straży ogniowej, widzi, że w płonącej mieście będzie miał dużo pracy. Ale jak gasić ogień bez odpowiedniego sprzętu? Podczas wędrówek po mieście odkrywa, że ocalało przed zniszczeniem Muzeum Pożarnictwa. Uruchomił zabytkowe wozy strażackie i dużym wysiłkiem ugasił śródmieście.

Adam Kabaj, mechanik z Teatru im. Słowackiego, niemal natychmiast wprowadza się na stałe do ocalałego, choć zniszczonego budynku Opery. Drobner będzie go wspominał: „Zginął nam. Nie przychodził na obiad, nie szukał nigdzie butów czy koszuli. [...] Zliczał rekwizyty, kostiumy, naprawiał dziury w dachu, pakował literaturę, gasił małe pożary”.

Wieczorem kierownicy i naczelnicy poszczególnych działów spotykają się w mieszkaniu prezydenta

Drobnera na odprawie. Będą tak robić jeszcze przez wiele dni, choć wkrótce przeniosą się do gmachu dawnej szkoły przy ulicy Różanej, bo mieszkanie doktora okaże się za małe. Dzielią się wrażeniami, studiują plany miasta, rozdzielają pracę na następny dzień.

Bolesław Drobner napisze: „To, co robiła ta pierwsza ekipa operacyjna w ciągu kilku dni, było czymś nie do wiary. Jakiś szal opanował wszystkich”.

Ten uparty, kłótlivy, zawzięty socjalista, którego uważano za jednego z najgorszych lokalnych liderów PPS, pierwszy i ostatni raz w życiu okazuje się urodzonym przywódcą na czas kryzysu. Miesiąc jego rządów będzie się określało jako czas „republiki drobnerowskiej”.

Doktor kreśli plany na przyszłość. Wrocław pozostanie miastem na prawach województwa. Pracownicy magistratu dostaną najlepsze mieszkania w jednej dzielnicy. Podobno marzy też, że w mieście nie będzie obiegu pieniądza, a jedzenie i ubrania pracującym ludziom będą rozdawane na kartki.

Pieniądzy z początku faktycznie nie ma we Wrocławiu. Niemiecka waluta już nie obowiązuje, polskiej jeszcze nie ma. A kiedy już dotrze na ziemie zachodnie, mało kto będzie jej na początku ufał. Wprawdzie pracownicy zarządu miejskiego od początku mają naliczane pensje – 100 złotych dziennie – ale wypłaty dostaną dopiero za kilka miesięcy.

Choć prezydent starał się wybrać jak najlepszych ludzi, niektórzy zawodzą już na początku. Majster, który miał pracować przy remontach zleczanych przez zarząd, pyta od razu, kiedy będzie mógł rozpocząć własną działalność. Ktoś z ekipy szabruje ubrania, ktoś inny preparaty dla swojej drogerii w Łodzi.

Michał Śliwa, autor książki „Bolesław Drobner. Szkic o działalności politycznej”, znajomy doktora, zapamięta swoją wizytę we Wrocławiu. „Wicie – powie mu prezydent – znów zacząłem wierzyć w socjalizm! Szereg z mej asysty – i tu wymienił nazwiska paru przedwojennych kolporterów »Naprzodu« – w ogóle nie bierze pensji!”. „Doktorze, to bardzo niedobrze!” – zawoła do niego Śliwa. I doda we wspomnieniach: „Niestety, szybko wyjaśniło się, że tych paru zdemoralizowanych i rozpitych członków ekipy uprawiało jak za czasów okupacji »eksy« (ekspropriacje), ale faktycznie był to oczywisty rabunek”.

Bolesław Drobner nie jest chyba jednak aż tak naiwny, jak go widzi Michał Śliwa. Samochód, który wiezie do Wrocławia żony dwóch inżynierów, wjeżdża na minę. Kobiety giną, a ich ciała, złożone w trumnach i załadowane do zamkniętego auta, czekają na odesłanie do Krakowa. „Żegnaliśmy z głębokim współczuciem owdowiałyeh towarzyszy. Ale doktor Drobner, lepszy

od nas znawca duszy ludzkiej, uparł się, aby auto otworzyć. Klucz gdzieś się zapodział. Po odbiciu drzwi zauważyliśmy dwie trumny, a obok nich dwa worki kawy, dorzucone tam widocznie dla otarcia czyichś łez” – będzie wspominał Stanisław Kulczyński.

Początkowo wszyscy mieszkają w kilku kamienicach wyznaczonych im przez Rosjan przy Blücherstrasse (później plac Pionierów). Mieszkanie prezydenta i jego najbliższych współpracowników jest na pierwszym piętrze w domu numer 27, piętro drugie przypada naukowcom, trzecie i czwarte, tak jak pozostałe kamienice, numer 23 i 25, rozdzielono wśród członków zarządu miasta, po cztery osoby w pokoju.

Nocami słychać strzały, obowiązuje godzina policyjna, każdy śpi z karabinem przy łóżku.

Niemców, którzy tu mieszkali do tej pory, wyrzucono. Zostaje tylko właściciel piekarni spod numeru 27, który od tej pory piecze dla pionierów darmowy chleb.

Dawni lokatorzy zostawili po sobie całkowicie wyposażone mieszkania. W łóżkach jest pościel, w łazienkach ręczniki, w kredensach zastawa. Jeden z duchownych, który towarzyszy księdzu Lagoszowi, zachwyca się luksusem, uważa, że mieszkania musiały wcześniej należeć co najmniej do niemieckich oficerów. Niestety, domy pozbawione są dachu i kiedy po kilku

dniach spadnie deszcz, lokale zostaną zalane do parteru.

Na placu przed kamienicą od pierwszego dnia działa stołówka dla pionierów. Wydawane są trzy posiłki dziennie, o stałej porze. Niektórzy jedzą na stojąco, bo nie dla wszystkich wystarcza miejsc. Stołówka nie ma dachu, czasem więc do talerza kapie deszcz. Żelazne menu obiadowe stanowi grochówka na boczku. Zdobicie jedzenia stanowi duży problem. Wprowadzie początkowo nie brakuje mąki, kasz i cukru, ale o świeżym mięsie, jarzynach i nabiale można pomarzyć.

Zofia Gostomska zapamięta, że stołówki miały nie lada zmartwienie: „jak by rojącą się od robaków i cuchnącą peklowinę podać stołownikowi w takim sosie, ażeby mógł ją przełknąć z możliwie najmniejszym wstrętem. Oczyszczano ją więc wpierw szczotką ryżową, płukano z dodatkiem hypermanganicum, lecz efekt takiego żywienia nie dał długo na siebie czekać. [...] Jeśli wypadków śmiertelnych nie było, daje się to tylko wytłumaczyć znowu – uśmiechem losu. Muchy rozmnożone na trupach ludzkich i końskiej padlinie z okresu oblężenia miasta, żerujące na zapasach solonego [...] mięsa w poniemieckich magazynach, atakowały w rojach jak pszczoły, nawet mieszkania, oblepiając okna i sprzęt czarną, ruchliwą masą”.

26 maja 1945 roku

Dwie fotografie. Każdej czegoś brakuje. Połączone razem stanowią całość.

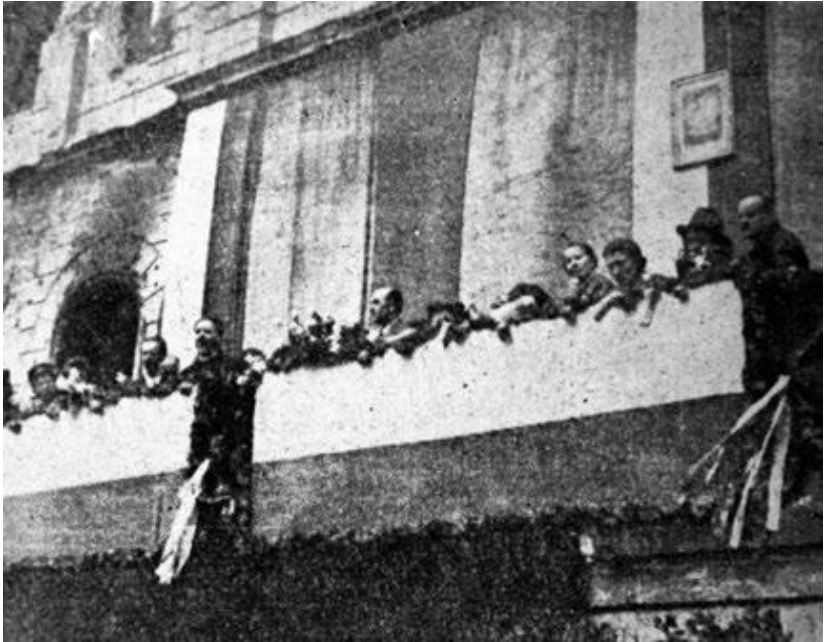
Na pierwszej jest trybuna, którą wzniesiono przed ruinami pałacu Hohenzollernów na Schlossplatz (już od teraz plac Wolności). Udekorowana uroczyście biało-czerwonymi tkaninami i gałązkami świerków dźwiga kilkudziesięciu ludzi. Pośrodku Bolesław Drobner. Fotograf uchwycił go w trakcie przemówienia, bo prezydent ma otwarte usta, jakby śpiewał. Tego, co się dzieje przed trybuną, nie widać.

Na drugim zdjęciu jest ulica i defilada. Akurat w stronę trybuny, która nie zmieściła się na fotografii, salutują trzej żołnierze II Armii Wojska Polskiego w galowych mundurach. Gra orkiestra. Ale najważniejsze jest to, co leży na ziemi, pod nogami maszerujących.



Prezydent Wrocławia, poza pracą na rzecz miasta, musi też pełnić honory gospodarza. Czyli robi to, co najbardziej lubi – przemawia, pisze odezwy, organizuje spotkania i wiece.

Dzień po przyjeździe do miasta odwiedza byłych więźniów obozu koncentracyjnego Buchwald pod Wrocławiem. Towarzyszy mu ekipa Polskiej Kroniki Filmowej.



Defilada na placu Wolności z udziałem prezydenta Drobnera, 26 maja 1945. Żołnierze depczą niemieckie flagi

16 maja jedzie na otwarcie cmentarza żołnierzy radzieckich, który został właśnie ukończony. Przymusza w przemówieniu, że miasto nigdy nie zapomni „tych, którzy na polskiej ziemi polegli za waszą i naszą wolność”.

W międzyczasie pisze obwieszczenie do Polaków, którzy są we Wrocławiu (breslauerzy, jeńcy wojenni i przymusowi robotnicy). „Polacy! Dolny Śląsk powrócił do macierzy! [...] Jesteście nie na obczyźnie, a u siebie, w wolnej, niepodległej, demokratycznej Polsce, na ziemiach Chrobrego i Krzywoustego”. A pod koniec maja spotyka się z przedstawicielami Polonii wrocławskiej.

Nie podobają mu się pomniki, które przetrwały walki o festung Breslau. Michał Śliwa napisze: „A ponieważ »Doktor« doceniał propagandę i lubił historyczne gesty, pamiętam, jak grubym sznurem ściągał za nogę z cokołu pomnika jakiegoś dumnego jeźdźca, Fryca czy Wilhelma, a gdy figura uparcie nie chciała runąć, polecił podpiłować kopyta spiżowego rumaka”. Owym „Frycem” jest pomnik Wilhelma III, w miejscu którego stanie w przyszłości na wrocławskim rynku pomnik hrabiego Fredry.

Spiżowy Wilhelm I, stojący na placu przed domem towarowym Wertheim, też mu się nie podoba. Kiedy

zarząd miasta będzie strącać figurę z cokołu, w październiku 1945 roku, Bolesław Drobner zostanie poproszony o przyjazd i wygłoszenie przemówienia.

Podczas kontroli stanu Ratusza po ugaszonym pożarze z grupą pracowników w piwnicach doktor trafia na kilka drewnianych skrzyń i okuty kufer. W innym pomieszczeniu znajdują magazyn flag ze swastykami. Zarówno skrzynie, jak i flagi zostają przewiezione do mieszkania prezydenta. W kufrze jest szesnaście łańcuchów rajcowskich „ze srebrnych ogniw, wyczelowanych na podkładkach z drewna, posiadały ornamentację przeplataną różnymi emblematami cechowo-rzemieślniczymi, orłami piastowskimi itp.” – będzie wspominał inżynier Kuligowski. W pozostałych skrzyniach jest kilkadziesiąt sztuk kryształowych kieliszków, pucharów i dzbanów z wygrawerowanym monogramem cesarza Fryderyka Wilhelma.

Drobner powołuje komisję, która ma się zaopiekować skarbem. Skrzynie trafiają do budynku zarządu miejskiego. W 1948 roku ulotnią się bez śladu. Poszukiwania przez milicję i UB (będą wypytywać o nie także doktora) nie przyniosą rezultatów.

Jeśli chodzi o flagi ze swastykami, prezydent ma już pomysł, jak je wykorzystać.

Bolesław Drobner marzy jeszcze o wielkiej defiladzie polskich żołnierzy. Wprawdzie Breslau został zdobyty przez samych Rosjan, to jednak w początkowych walkach o festung udział brały również jednostki II Armii Wojska Polskiego, wycofane później i skierowane do walk za linią Odry i Nysy. Wprawdzie 10 maja Rosjanie odbyli tu już defiladę zwycięstwa, ale maszerowali i salutowali głównie do siebie i poukrywanych w piwnicach przerażonych Niemców.

Kiedy więc 22 maja 1945 roku prezydent miasta dostaje wiadomość, że jedna z dywizji II Armii chce przybyć do Wrocławia, ogłasza rozpoczęcie przygotowań do wielkiej manifestacji. Na ulicach pojawiają się obwieszczenia: „Polacy! Spełnijcie swój obowiązek narodowy, stawiając się tłumnie na miejscu uroczystości, ażeby złożyć hołd armii wracającej ze zwycięskimi sztandarami spod Berlina, Drezna i innych miast niemieckich. Prezydent Miasta Dr Bolesław Drobner”.

Dwa dni później trybuna pod pałacem Hohenzollernów jest już gotowa. Zebrał się spory tłum. Przemawia prezydent Drobner: „Przecieram oczy i nie wierzę, że na dawnym Schlossplatzu może stać Wojsko Polskie, że możemy śpiewać »Jeszcze Polska nie zginęła«”.

Oddziały defilują przez wrocławskie śródmieście, już

prawie docierają na plac Wolności. Teraz czas na niespodziankę. Drobner będzie wspominał: „I w tej chwili, przed pojawieniem się naszych ułanów wyskoczyło kilku naszych »chłopców malowanych« na gościniec i rzuciło pod kopyta polskich koni czterdzieści flag ze swastykami. I oto po swastykach przejechały nasze konie i potratowały je. Demonstracja ta zrobiła ogromne wrażenie”.

9 czerwca 1945 roku

Fotografia pożegnalna. Bolesław Drobner wraca dziś do Krakowa. Prezydentem Wrocławia był 36 dni. Wcale nie chce wyjeżdżać. Drzwi samochodu czekają już otwarte, Maria Jeleniowa, wyższa od niego o głowę pracownica zarządu miasta, trzyma w ręku bukiet róż, gotowa rzucić go w ślad za wsiadającym doktorem. A on jeszcze przystaje do zdjęcia.

Nie czuje się wcale zmęczony, ma mnóstwo pomysłów.

To dlaczego podał się do dymisji? Zmuszono go? Premier Osóbka-Morawski zorientował się, że temu upartemu socjaliście wiecie się za dobrze we Wrocławiu? Na pewno nie ma już między nimi takiej zażyłości jak w Moskwie. Więcej, muszą się bardzo nie lubić, skoro doktor w gronie znajomych nazywa Osóbkę cymbałem.

Czy chodzi o to, że Drobner nie pozwala ludziom z PPR wpływać na swoje decyzje? Już tylko w zarządzie miasta przeważają socjaliści. Pozostałe struktury w mieście opanowali członkowie PPR. Doktor wciąż stoi na stanowisku odrębności PPS i PPR. Wprawdzie oficjalnie opowiada się za współpracą z komunistami, ale domaga się traktowania socjalistów jak równych sobie. PPS nie może być spychane do roli młodszego brata! Czy to dlatego bezpieka zakłada Drobnerowi teczkę (kryptonim „Chwiejny”) i bada, czy nie jest faszystą i zdrajcą Polski?

Może idzie o urażoną dumę prezydenta? Jak długo można godzić się na bycie ignorowanym? W dodatku Ochab obiecywał mu, że będzie rządził Wrocławiem na równi z wojewodą. A tu pod koniec maja doszły wieści o nowym podziale administracyjnym Dolnego Śląska, z którego wynika, że Wrocław nie otrzyma statusu miasta wydzielonego.

Konkretna przyczyna odejścia Bolesława Drobnera nie jest znana.

Fotograf naciska spust migawki. Najbliżsi współpracownicy, którzy przyszli pożegnać swojego prezydenta, rozchodzą się. Doktor wsiada do auta, trzaska drzwiami i z bukietem róż na kolanach odjeżdża do Krakowa. W bagażniku wiezie prezenty od swoich pionierów: 5 litrów wódki, 10 kilogramów białego sera, 30 puszek konserw, dwa dywany i kilka przedmiotów sprzętu domowego.

Na dziesiątą rocznicę obchodów wyzwolenia Wrocławia, w 1955 roku, nie zostanie zaproszony.



Pożegnanie Bolesława Drobniera przed budynkiem Zarządu Miejskiego we Wrocławiu, 9 czerwca 1945 roku

Sierpień 1945

—
Obraz wartości Rubensa tanio sprzedam. Żurawia 2.
Rulski.

—
Bolesław Hozakowski urodzony 21 III 1925 r.
w Toruniu wzięty w łapance w Warszawie 17 stycznia
1943 r., był na Pawiaku wywołany imiennie z celi wraz
z kilkoma innymi, odtąd wszelki ślad po nim zaginął.
Poszukuję kogokolwiek kto siedział z nim na Pawiaku
i był świadkiem tego wywołania lub wie cokolwiek
o jego losie. Bronisław Hozakowski, Toruń, Mostowa 8.

—
Maria Iwanicka zam. w Warszawie ul. Szustra 18 m. 1
poszukuje p. Antoninę Gogolewską z domu Denklewicz,
która zaopiekowała się na terenie Niemiec córeczką
mojej siostry Irenką „Lalką” „Mey”, 5 1/2 (brunetka,
kędziorki). Za wszelkie informacje o zgubionym
dziecku jak również o miejscu obecnego pobytu p.
Gogolewskiej będę gorąco wdzięczna. Januszek jest
z matką.

—
Ktokolwiek by wiedział o losach 6-letniego
Włodzimierza Zymermana z Bonifraterskiej 6 proszony

jest o podanie wiadomości W-wa Grochów Kwatery Główniej 6.

Poszukuję Ireny Gryl lat 4, którą 1 września 1944 oddano rodzinie zastępczej w Płudach. Wiadomość: Zakład Wychowawczy Płudy.

„*Życie Warszawy*”, 1.08.1945

Wysoką nagrodę otrzyma, kto zwróci lub poda wiadomość o piesku rasy fox ostrowłosy, czarna plama na grzbiecie. We wrześniu w obozie pruszkowskim przez Niemca odebrany kobiecie. Michalski, Mokotowska 51.

„*Życie Warszawy*”, 2.08.1945

Obelgę, rzuconą na obywatela Musiała, członka PPS cofam. Regina Centlewska.

„*Dziennik Bałtycki*”, 3.08.1945

Sierotkę (lat 1-4) z dobrej katolickiej rodziny przyjmie bezdzietne małżeństwo za własne.

„*Dziennik Bałtycki*”, 4.08.1945

—
Poszukuję syna mego Stanisława Druszcza, lat 14, zbiegłego z domu rodzicielskiego w Łodzi, oraz towarzysza wędrówki Stanisława Jedyńskiego, lat 17. Osoby mające jakiegokolwiek wiadomości upraszam o podanie takowych do Domu Harcerza w Sopocie. ul. Kościuszki 1.

„*Dziennik Bałtycki*”, 8.08.1945

—
Świnki morskie sprzedaż nieograniczona.
Kazimierzowska 49.

—
Bas i baryton potrzebni do przedwojennego chóru revellersów. Czerniaków Śniegockiej Cecylii 10.

—
Przyjmę dziewczynkę trzechletnią na wychowanie, najchętniej sierotę. Piotrowska. Śniadeckich 19.

—
Akuszerka Dąbrowska przyjmuje. Paniom niezamożnym ustępstwo. Wileńska 21.

„*Życie Warszawy*”, 10.08.1945

—
Stefan Jaracz, Artysta dramatyczny, Dyrektor teatru Ateneum, więzień Oświęcimia, po długich i ciężkich

cierpieniach zmarł w Otwocku dnia 11 sierpnia 1945 r. przeżywszy lat 61. Nabożeństwo za spokój jego duszy odbędzie się w Kościele Matki Boskiej Zwycięskiej na Kamionku dnia 14 sierpnia r.b. tj. we wtorek o godz. 9.30 poczym nastąpi eksportacja zwłok na cmentarz Powązkowski. O czym zawiadamiają ojciec, żona, córka i rodzina.

„Życie Warszawy”, 13.08.1945

—

Szelązek Janina szuka męża E.W. Szelązka, właściciela księgarni w Warszawie, ostatnio był w Oranienburgu i córki Marii Krystyny Szelązek, lat 18, ostatnio w Ravensbrueck. Wiadomość proszę kierować: Kraków, Żuławskiego 9, Dom dziecka.

„Dziennik Bałtycki”, 15.08.1945

—

Pięcioletni Wojtuś Malarski z Warszawy poszukuje rodziców. Od powstania przebywa Babice Stare u Dobrzyńskiego Stefana.

„Życie Warszawy”, 16.08.1945

—

W drodze z Gorzelic do Katowic samochodem 3 nieznajomych panów z Radomia zaopiekowało się 2 workami odzieży, pościeli i obuwia, które były

własnością p. Wojtowicza Tadeusza, chorego, powracającego z obozu w Lipsku, obecnie Skarżysko, Doliska 11. Właściciel prosi o zwrot worków z rzeczami pod adresem: Skarżysko Kamienna, ul. Doliska 11 dla Wojtowicza Tadeusza. Świadkowie: Kurba Michał z Kielc, Nowat Teodozja z Kielc.

„*Dziennik Powszechny*”, Radom – Kielce, 18.08.1945

—

Nauczycielka stara za ką, utrzymanie przygotowuje dzieci do szkół, poprawia stopnie, francuski. Dynasy 10.

—

Pan Miodek wł. sklepu elektrotechnicznego, Solec 46, jeśli nie zgłosi się do 1 września, lokalem zadysponuje administracja.

„*Życie Warszawy*”, 20.08.1945

—

Wobec rozsiewania różnych fałszywych wiadomości, krzywdzących mnie w opinii publicznej, zaznaczam, że nie mam nic wspólnego z imiennikiem: Czesławem Krause z Pucka, wydalonym swego czasu z granic Rzplitej Polskiej, względnie osobnikami tego samego nazwiska, szkodnikami społeczeństwa polskiego. Z wymienionym Czesławem Krause nie łączą mnie żadne węzły pokrewieństwa ani powinowactwa. Augustyn Krause, były burmistrz m. Gdyni.

„Dziennik Bałtycki”, 21.08.1945

—

Jakubowska Chiromantka – Grafolog – Fizjognomistka. Światowej sławy. Znana w Poznaniu, Warszawie, w całej Polsce i zagranicą. Zdumiewająco przepowiada, trafnie stawia horoskopy. Napływają serdeczne podziękowania. Przyjmuje codziennie, Gdańsk-Wrzeszcz, ul. Grażyny 17.

„Dziennik Bałtycki”, 22.08.1945

—

Fabryka octu, musztardy i konserw – Gablenz i Syn, Kraków ul. Królowej Jadwigi 33 – przestrzega, że na rynku pojawił się fałszowany ocet, etykietowany naszymi etykietkami. W związku z tym zawiadamiamy, że od dnia 1.VIII.1945 lakujemy nasze flaszki i tylko lakowane i pieczętowane firmowo są autentyczne.

„Dziennik Polski”, Kraków, 22.08.1945

—

Klasztor Sacre Coeur otworzył znowu internat dla dzieci w wieku gimnazjalnym i szkoły powszechnej. Zdrowotne położenie, las, jezioro. Dobre wyżywienie. Troskliwe, indywidualne wychowanie. Języki, sport. Zgłoszenia kierować: Przełożona zakładu „Polska Wieś” stacja i poczta Pobiedziska, pow. Poznań.

„*Życie Warszawy*”, 22.08.1945

—

Leopold Tyrmand znajduje się w Warszawie. Adres – Koszykowa 14 u prof. Wasiutyńskiego.

—

Oddam dziecko na własność w dobre ręce. Dziewczynka wiek 4 miesiące. Nieochrzczona. Zrozpaczona matka, Mokotów, Lewicka 14.

„*Życie Warszawy*”, 24.08.1945

—

Zanim pójdziesz na film „*Tęcza*” W. Wasilewskiej przeczytaj przedtem jej książkę pod tymże tytułem! Cena książki zł 16. Do nabycia w księgarni Spółdz. Wydawniczej „*Czytelnik*”. Gdynia ul. Mściwoja 9.

„*Dziennik Bałtycki*”, 25.08.1945

—

Kiper z wieloletnią praktyką do prowadzenia fabryki win owocowych natychmiast poszukiwany. Oferty pod „*Wino*” składać, *Czytelnik*.

„*Życie Warszawy*”, 28.08.1945

—

Przyjmę chłopca lub dziewczynkę do paszenia krowy.

Gdynia Peowiaków 21.

„*Dziennik Bałtycki*”, 25.08.1945

Breslau/Wrocław

Edith

Sowieci nas powiesili, mówi chłopiec. Mamę, siostry i mnie.

Edith idzie na strych zobaczyć, jak wiszą sąsiedzi. Widzi ich w rzędzie, pod powałą.

A ty? Odwraca się do chłopca. Przecież żyjesz.

Wsunąłem dłoń pod pętlę, jak poszli. Jakoś mi się udało, odpowiada.

Pogrzeb powieszonych jest krótki. Mama Edith nie wie, gdzie tu jest cmentarz, prosi więc mężczyzn, żeby zakopali ciała w ogrodzie, przy domu ze strychem.

Rzecz dzieje się w styczniu 1945 roku w miasteczku Oels, blisko Breslau.

Polacy, którzy się kiedyś wprowadzą do Oleśnicy, blisko Wrocławia, i wezmą ogród w posiadanie, nigdy nie odkryją zakopanej pod grządkami niemieckiej rodziny.



Edith Schmidt ma jedenaście lat, dwóch młodszych braci

i mamę Agnes. Jej tata Franz od kilku lat jest na wojnie z wrogiem. Tak mówią starsi nad głowami dzieci, bo mama nie rozmawia z Edith o wojnie. Uważa, że jej córka jest na to zbyt wrażliwa.

Do tej pory Edith nie potrafiła wyobrazić sobie wroga.

Ale teraz już wie, że wygląda jak żołnierz radziecki.

Mama chroni Edith przed wrogiem. Pierwszego dnia, gdy Sowieci weszli do Oels, schowała ją z braćmi na dnie wielkiego kotła do gotowania bielizny. Na wierzch narzuciła szmaty.

Teraz każdego ranka mama kołtuni włosy Edith, smaruje jej twarz popiołem, ubiera w szmaty i każe się garbić. Wyglądasz jak babunia, uśmiecha się mama. Edith nie rozumie, dlaczego mama tak robi.

Agnes wyjęła też z uszu córki złote kolczyki, prezent od ojca chrzestnego, jubilera z Breslau. Kobiety w Oels mówią, że Rosjanie wrywają złoto razem z uszami.

Z domu Edith zabrała lalkę Andzię z porcelanową twarzyczką. Dostała ją na urodziny kilka lat temu. Lalka ma kilka sukienek, płaszcz, buciki i wózek, w którym przyjechała.

Wieczorami, żeby Andzia nie zapomniała, Edith

przypomina jej szeptem, jak wygląda ich życie w Breslau.

Więc tata jest cieślą. Ludzie mówią, że to dobry fachowiec. Pracował przy budowie największego w Breslau domu towarowego Wertheim (Renoma). Mama zajmuje się trzyletnim braciszkiem. Edith i drugi z jej młodszych braci chodzą do szkoły. Mieszkają w centrum, przy Brunnerstrasse, która biegnie w stronę dworca głównego. Dzieci mają pokój pełen zabawek, rodzice mieszkają w swoim. Jest też kuchnia i wielka szafa z ubraniami.

W niedziele całą rodziną spacerują po parku albo jadą do dzielnicy Hundsfeld (Psie Pole), gdzie ciocia z wujkiem mają kamienicę, a przy niej ogród, po którym można biegać cały dzień.



Czy Andzia pamięta, jak się znaleźli w Oels? Najpierw z Breslau wyjechała Edith. Chorowała od siedzenia w piwnicy szkolnej, dokąd z powodu bombardowań przeniesiono lekcje. Więc jesienią 1944 roku urząd, do którego mama się zgłosiła, pomógł umieścić jej córkę u miłej bezdzietnej rodziny w Ludwigsdorf pod Oels. Brat Edith, który też wyjechał z miasta, trafił gorzej. Gospodyni, u której zamieszkał, kazała mu spać w stodole.

Gdy mama się o tym dowiedziała, wystarała się

w urzędzie o przydział na nieumeblowane poddasze w Oels. Kazała zapakować na wóz łóżka i komody z mieszkania przy Brunnerstrasse, związała sznurkiem garnki, zwinęła pościel w toboł, zamknęła drzwi na klucz i przeniosła się do Oels z najmłodszym dzieckiem, zabierając do siebie dwoje starszych. Szafę zostawiła w Breslau. Poddasze w Oels jest za niskie na tak wysoki mebel.

Jeszcze zanim weszli Rosjanie, znajomy gospodarz uciekał z Oels na zachód ze swoją rodziną. Zabiorę was na mój wóz, powiedział Agnes, ale gdy konie się zmęczą, będziecie musieli zejść. Nawet w polu, w śniegu i mrozie?, zapytała mama. Nawet, powiedział gospodarz. W takim razie zostaniemy, zdecydowała.

Więc kiedy przyszli Rosjanie, Agnes Schmidt przeprowadziła się do dużego gospodarstwa w pobliżu, gdzie schroniło się już kilkanaście niemieckich rodzin. Uważała, że razem będzie bezpieczniej.

Sowieci kazali pracować kobietom w gospodarstwie. Mama Edith codziennie doi szesnaście krów.

Nocami ludzie w Oels obserwują łunę nad płonącym festung Breslau.

Agnes Schmidt martwi się, czy będą mieli do czego wrócić.

Władysława

Nie może już wytrzymać tego siedzenia w Rzecznowie. Kiedy tylko Rosjanie w styczniu 1945 roku wyzwalają wieś, jedzie do rodzinnego Radomia, zobaczyć, co słyhać. A potem rusza do Warszawy, bo lubi, jak się coś dzieje.

Ma 24 lata, mówi o sobie, że jest z „młodzieży coś robiącej”.

Cechuje ją łagodny charakter i drobna figura.

Nazywa się Władysława Okrutna.

W Warszawie widzi plakaty „Młodzież odbudowuje piastowski Śląsk”. Czyta na nich, że w stolicy i w Kielcach będzie organizowany kurs przygotowujący do pracy urzędniczej na Ziemiach Odzyskanych.

Zgłasza się więc do Kielc, bo stamtąd ma bliżej do rodziców. Na pierwszym wykładzie, w kwietniu 1945 roku, spotyka setkę takich jak ona. Uczą się historii, administracji, księgowości i organizacji kadr.

Kurs ma potrwać do sierpnia.

Ojciec Władzi jest felczerem wojskowym. Zmobilizowany przez carską armię w 1905 roku, wyruszył na wschód, zostawiając w Radomiu żonę

z synem. Kilka lat później pojechała wagonem wojskowym do Niżnego Nowogrodu, żeby dołączyć do męża.

Okrutni wrócili do Radomia w 1920 roku z czwórką dzieci, dwoma kuframi książek drukowanych cyrylicą i snami ojca wykrzykiwanymi co noc po rosyjsku.

Władzia urodziła się już w Polsce.

Uważa, że naturę obieżyświata odziedziczyła po rodzicach.



Autobus jest zdezelowany. Można w nim się przespać, a jak chce się siku, to na postoju panie na prawo, a panowie na lewo. Przy okazji zrywa się śliwki w opuszczonych ogrodach, bo jest sierpień 1945 roku. Ekipa przyszłych urzędników jedzie na Ziemie Odzyskane. Na czele Stanisław Piaskowski, były wojewoda kielecki, obecnie pełnomocnik rządu na okręg Dolnego Śląska, przyszły wojewoda wrocławski.



Zrujnowany Wrocław po wyzwoleniu, maj 1945 roku

Przez zrujnowany Wrocław przejeżdżają bez zatrzymywania, bo siedzibą województwa ma być Lignica (przyszła Legnica), która ocalała od zniszczeń.

Przez pierwsze trzy dni mieszkają po prawej stronie rzeki Kaczawy.

Jeden z kolegów chyba chce przestraszyć Władzię. Patrz, rzeką płyną trzy trupy, mówi, stojąc przy oknie. Ona wzrusza ramionami. W czasie wojny ukończyła kurs pierwszej pomocy. Pamięta, jak rannemu koledze, przed jego pogrzebem, wciskała do brzucha długie metry szarych jelit.

Po trzech dniach Rosjanie przenoszą ich na drugą stronę rzeki.

Wyjeżdżamy jednak do Wrocławia, tydzień później oświadcza pełnomocnik grupy.

Edith

Mama idzie do Breslau, żeby sprawdzić, czy w mieszkaniu przy Brunnerstrasse wszystko jest w porządku. Zabiera z sobą znajomą, razem raźniej. Obiecują sobie, że nie będą głośno rozmawiały po niemiecku, na widok wojskowych aut schowają się w rowie i za żadne skarby świata nie dadzą się podwieźć. Przed nimi 30 kilometrów drogi.

Nie będzie mnie dwa dni i jedną noc, Agnes mówi dzieciom. One płaczą.

Jest lipiec 1945 roku.

W nocy, kiedy mama Edith jest w drodze do Breslau, do gospodarstwa przychodzą młodzi radzieccy żołnierze. Gwałcą wszystkie kobiety.

Edith omijają. Czy dlatego, że jest brudna i skołtuniona?

Agnes wraca z Breslau. Płacze. Dom spłonął. Z mieszkania zostały tylko szerniałe framugi okien, w głębi widać niedopaloną szafę, opowiada dzieciom.

Tego dnia w gospodarstwie rolnym w Oels płaczą wszystkie kobiety.

Trzy dni później mama Edith postanawia wyjechać do Niemiec. Pakuje trzy plecaki, jeden dla siebie, dwa dla starszych dzieci. Na drewniany wózek z dyszlem ładuje pakunki z ubraniami, kołdrę, jeden garnek i sadza najmłodszego syna. Jedzenie umieszcza w wózku lalki Andzi, który ma pchać Edith.

Pójdą do Breslau. Agnes uważa, że stamtąd łatwiej się będzie można dostać na Zachód. W drodze zatrzymają

się u krewnych w dzielnicy Hundsfeld, żeby odpocząć.

Władysława

Willa jest duża i zadbana. Stoi w Zalesiu (Leerbeutel), dzielnicy Wrocławia. Na parterze mieszka właścicielka domu, obrażona i wystraszona Niemka. Władzia i jej trzy koleżanki będą mieszkać na piętrze. Tylko przez kilka dni, powiedział im wysoki, rudy kapitan w punkcie rozdzielania mieszkań grupie urzędniczej. Potem znajdziemy wam coś na Sępolnie (Zimpel).

Dziewczęta wprowadzają się na piętro. Głaszczą fornir mebli, kładą z westchnieniem w czystej pościeli, stroją miny do kryształowego lustra. Każda weźmie sobie stąd pamiątkę, postanawiają. Władzi podoba się pudełko pełne małych szufladek, a w każdej nici, igły i guziki. I mandolina! Też ją wezmę, decyduje.

W nocy budzą je hałasy z dołu. Ktoś puka do drzwi, przez szparę w zasłonie widzą czterech mężczyzn, mówią po niemiecku, gospodyni szybko ich wpuszcza do środka. Rano na górę wchodzi Niemka, przeprosza, że przeszkadza, ale chciałaby tylko wziąć coś z szafy w przedpokoju. Władzia widzi, że gospodyni zabiera cztery pary męskich butów.

Przyszłe wrocławskie urzędniczki nie chcą już tu mieszkać. Boją się.

Wysoki rudy kapitan przychodzi po nie cztery dni

później. W ręku ma klucze, wypisany po rosyjsku przydział na mieszkania i opieczętowane kartki: „Tu mieszka Polak”, które należy nakleić na drzwi.

Edith

Edith ma tyfus.

Polski lekarz, którego mama sprowadza do niej, mówi, żeby dziecku zapalić gromnicę, bo długo już nie pożyje.

Rosyjski każe podać dwa litry mleka, podnosi dziewczynce głowę i wlewa cały płyn do ust. Będzie żyła, uśmiecha się i wychodzi.

Edith długo jeszcze choruje, ale rację miał Rosjanin.



Do Hundsfeld, teraz już oficjalnie Psiego Pola, Agnes Schmidt z dziećmi dotarła zmęczona. Wujka ucieszył ich widok. Ciocia i jej dwie córki chorowały na tyfus. Wszyscy byli głodni, bo Niemcom bez pracy nie wydawano jedzenia.

Zostańcie z nami, błagali Agnes. Zamieszkajcie w naszej kamienicy. Tu jest Breslau, tu Franz będzie was szukał.

Mama Edith rozpakowała wózek lalki Andzi. Nakarmiła krewnych, przyznała im rację i postanowiła zostać w mieście. Poza tym chora ciocia była matką

chrzestną Edith. Agnes, katoliczka, nie mogła zostawić potrzebujących.

Zaraz potem jej córka zaraziła się tyfusem.

Kamienica wprawdzie wciąż należy do krewnych, ale mieszkaniem zarządza miasto. Agnes i jej dzieci dostają pokój z kuchnią na pierwszym piętrze. Nie podoba im się tutaj. Jest ciasno.

Każdego wieczoru mama Edith klęczy z dziećmi na podłodze. Modlą się o powrót taty. Dzieci codziennie piszą do niego list. Nigdy żadnego nie dostanie. Ale żyje i wróci za dwa lata.

Potem, przed zaśnięciem, blokują grubą deskę między drzwiami a szafą. Zdarza się, że nocą ktoś puka do nich, słysząc rozmowy po rosyjsku. Udają wtedy, że ich nie ma.

Władysława

Szyb nie ma w oknach, bo wypadły, gdy pocisk wybuchł w ogródku podczas wojny.

Wannę pokrywa warstwa żelazistej rdzy.

Nie ma wody.

Prąd włączają raz na jakiś czas. I to na chwilę.

Drzwi do jednego pokoju są zamknięte na zamek.

Nie ma pościeli, garnków ani kuchenki.

Jest kilka mebli, w tym jedna szafa wypchana po brzegi luksusową bielizną.

Parter niskiego budynku w szeregu innych domów, Kreuzschnabelweg.

Władzia ma swoje pierwsze, własne, prawdziwe mieszkanie.

Gdyby umiała fruwać, mogłaby unieść się nad dzielnicą i zobaczyć, że osiedle z góry przypomina gigantycznego orła. Ona mieszka w jego podbrzuszu.



Ledwie Władzia się wprowadziła, już ktoś puka do drzwi. Otwiera. W drzwiach stoi młoda kobieta z dzieckiem. *Ich wohne hier*, mówi i uśmiecha się nieśmiało. Jest wystraszona.

Władzia otwiera drzwi szerzej, proszę wejść, ja też tu od teraz mieszkam.

Wcześniej mieszkałam na Mathiasstrasse i miałam tam sklep z bielizną, tłumaczy Niemka. Mąż poszedł na front, nasz dom zbombardowali, a mnie urząd skierował tutaj. Czy ja mogę zabrać swoje rzeczy z szafy?

Oczywiście.

Niemka przychodzi trzy razy. Za każdym razem pakuje do torby rzeczy z szafy. Koronkowe majteczki, jedwabne koszulki, halki. Ostatniego dnia przynosi Władzi bukiet chryzantem i dwie pary skórzanych

rękawiczek - zimowe na futerku i cienkie, jesienne. Dokłada do tego dwie koszulki i dwie pary majtek.

Dziękuję, mówi, tak się bałam, bo ludzie powiadają, że Polacy nie pozwalają nic zabrać z mieszkań.

Druga Niemka jest sąsiadką z pierwszego piętra. Mówi, że nazywa się frau Erna Breuer i mieszka z córką Kristiną. Czy pani czegoś nie potrzebuje, pyta.

Cieszę się, że będziemy sąsiadkami, mówi Władzia. Gdzie tu można dostać wodę?

Frau Breuer biegnie z wiaderkiem po wodę do studni artezyjskiej. Przynosi zupeę. Dostarcza naczynia. Chętnie u pani posprzątam, deklaruje.

Nazywam się Władysława Okrutna, mówi Władzia. Frau von Okrutna, powtarza Niemka. Nie, bez von, poprawia ją Polka, samo Władysława wystarczy. Nein, Władysława za trudne. Frau Okrutna.

Zaprzyjaźniają się. Frau Breuer załatwia frau Okrutnej szklarza, który wstawia we framugi witraże z ocalałych resztek kolorowych szyb. Nieproszona zdziera rdzę z wanny, prasuje ubrania, bo akurat przez chwilę był prąd. Jest krawcową, szyje więc ubrania dla Władzi i jej koleżanek z urzędu. Przedstawia jej Czecha Havranka, żołnierza, łagodnego człowieka, który mieszka w piwnicy ich domu i nie daje się przekonać, że wojna się już skończyła. Pomaga znaleźć ludzi,

którzy wyciągają pianino wypatrzone przez Władzię w gruzach po drugiej stronie ulicy.

Frau Okrutna dzieli się z Erną 10-kilogramowymi paczkami z UNRRA, znajduje pracę Kristinie, córce frau Breuer, i załatwia dokumenty, które zwalniają Niemców od przymusowego wyjazdu z Wrocławia.

Przyjaźnią się.

Kristinie to się nie podoba. Ma 16 lat. Jeszcze wam Hitler pokaże, gdzie wasze miejsce, krzyczy do Władzi. Zrozumiecie w końcu, czym jest naród niemiecki!

—

Wysoki, zwalisty, stary i wściekły Niemiec przychodzi któregoś popołudnia. Wrzeszczy od progu, że on w zamkniętym pokoju ma swoje rzeczy i rower. To proszę sobie je zabrać, Władzia mówi łagodnie, choć się go boi.

Niemiec zamyka się w środku. Znów krzyczy. Wybiega. Gdzie są moje zęby? Nie mogę znaleźć! Proszę poszukać dokładniej, ja mam swoje, bardzo dobre, odpowiada mu Władzia. Mężczyzna wraca więc do pokoju, żeby wybiec za kwadrans. *Frau, frau*, podsuwa dziewczynie pod nos małe pudełeczko, *meine Zähne*.

Zabiera rower, zęby i jakieś pakunki. Więcej nie przychodzi.

Stanisław Piaskowski jesienią 1945 roku proponuje, żeby Niemcy nosili białe opaski na rękawach. Ale prezydent Wrocławia, Aleksander Wachniewski następca Bolesława Drobnera, protestuje: „Jestem przeciwny wprowadzeniu [...] obowiązku noszenia opasek przez Niemców, ponieważ ich liczba jest 4 do 5 razy większa od liczby Polaków. W następstwie tego, na pierwszy rzut oka widać by było tę przygniatającą przewagę Niemców i nadawałoby niemiecki charakter miastu”.

W tym czasie we Wrocławiu mieszka niemal 200 tysięcy Niemców i niecałe 20 tysięcy Polaków.

Edith

Żółta kałuża sików co rano wpływa pod drzwiami do mieszkania Agnes Schmidt. Jeśli nie wytrze się jej odpowiednio szybko, przez cały dzień w mieszkaniu utrzymuje się zapach uryny.

We wrześniu 1945 roku do kamienicy wujostwa w Hundsfeld wprowadzają się rodziny przesiedleńców ze Lwowa. Mieszkanie na wprost drzwi Edith zajmuje rodzina z dwojgiem synów. Parter matka z dwójką dzieci.

Do mieszkania nad Schmidami też wprowadzają się lwowiacy. Wyrzucają z kuchni stalową emaliowaną kuchenkę, zwaną „angielką”, w której pali się węglem, i stawiają ogromny kafłowy piec. „A gdzie będę spać?”, pyta gospodyni, gdy napotyka zdziwiony wzrok Edith.

Dziewczynka nie bawi się na podwórku z małymi Polakami. Wyzywają ją od hitlerówek.

Agnes słyszała, że niektórzy Niemcy mają dobrych polskich sąsiadów.

Szkoda, że tacy nie trafili do tego domu, wzdycha, gdy codziennie rano wyciera spod drzwi plamę, którą wysikały dzieci lwowiaków.



Niemców z miasta trzeba się pozbyć. Ale na razie są niezbędni. Odgruzowują miasto, pracują przy wyburzeniach, obsługują maszyny w fabrykach, dostarczają pocztę, są konduktorami w tramwajach, śmiejąc Polaków zabawną wymową: „Phroszę na bilety, phroszę na bilety”.

Polaków jest wciąż za mało, żeby mogli Niemców zastąpić. A ci, którzy już są, mają niskie kwalifikacje. Polscy listonosze nie znają miasta i gubią się wśród gruzów, polscy robotnicy nie mają odpowiedniego wykształcenia, motorniczowie dopiero przejdą szkolenia.

Niemcy muszą opuszczać mieszkania, do których

wprowadzają się Polacy (żeby tego uniknąć, czasem wieszają w oknach czarne flagi na znak, że panuje u nich tyfus), ale zdarza się, że mieszkają z nimi razem, do czasu wyjazdu na Zachód. Często Niemcy i Polacy zostają sąsiadami. We Wrocławiu mówi się, że każdy Polak ma swojego Niemca.

Władysława

Władzia pracuje w Wydziale Oświaty, Kultury i Sztuki, który mieści się nad Odrą, w gigantycznym gmachu NSDAP. Budowano go dziesięć lat, ostatnie prace trwały podczas oblężenia festung Breslau. Ucierpiał podczas walk, ale wciąż nadaje się do użytku.

Za pierwszym razem Władzia gubi drogę z pracy do domu. Błądzi po identycznych uliczkach dzielnicy w kształcie orła. Sępolno nie zostało mocno zniszczone. Dziewczyna mijają dwa kościoły, cmentarz, szkołę, sklepy. Gdzieś tu musi być jej ulica. Na drugi dzień frau Erna daje jej kawałek kredy. Ma sobie zaznaczać drogę białymi krzyżykami. Sposób jest dobry, Władzia więc jej nie błądzi.



Ulica we Wrocławiu, 1945 rok

Siedem osób z jej kursu mieszka na Sępolnie. Umawiają się, że punkt zbiorczy będzie w piekarni pewnego Niemca, który częstuje ich zawsze darmowymi bułkami. Nigdy nie idą do pracy pojedynczo, to zbyt niebezpieczne. Już dwukrotnie przy placu Grunwaldzkim Władzia z koleżanką musiały się chować w gruzach przed strzelaniną między Sowietami a Polakami. Kiedy wyszły z ukrycia, znalazły na drodze ранnego żołnierza radzieckiego. Opatrzyły go, poczekały na pomoc. Za zakrętem leżał nieprzytomny polski milicjant, udzieliły mu pierwszej pomocy.

W dzielnicy Sępolno, choć oddalona od centrum, też nie jest bezpiecznie. Co jakiś czas Władzia słyszy z otwartych okien kobiece wołanie: *Hilfe!* Biegnie tam, próbuje się dowiedzieć, czy nie trzeba pomóc. Ale ludzie wzruszają ramionami. Znow ktoś napadł samotną Niemkę.

Większość niemieckich mieszkańców Sępolna to kobiety w starszym wieku. Ich mężowie już nie żyją. Ich córki i wnuki ewakuowano z Breslau w styczniu 1945 roku.



Pistolet leży w trawie. Władzia pochyla się odruchowo, wkłada kawałek żelaza do torebki i dogania koleżankę w drodze do pracy. Nikomu nie mówi o znalezisku, wie,

że za nielegalne posiadanie broni można mieć kłopoty.

Wreszcie dopuszcza do tajemnicy Antka, partyzanta z Kieleckiego. Sprzedaj mi go, mówi Antek. Dobrze, za 500 złotych, odpowiada po namyśle dziewczyna.

Za pieniądze z pistoletu kupuje sobie buty u szewca z ulicy Kołłątaja. Mają najnowszy fason, drewnianą podeszwę i wierzch bordowo-popielaty. Kosztują 180 złotych. Koleżanki umierają z zazdrości.

Bo pieniądze wrocławscy urzędnicy na początku nie dostają. Pierwsza wypłata przychodzi w październiku 1945 roku. A i tak niewiele można za nie kupić.

Ale pracownicy zarządu mają swoje przywileje. Nie muszą płacić za tramwaje, jedzą za darmo w miejskich stołówkach i raz na kwartał dostają bon na ubranie.

Władzia wchodzi z bonem do magazynu przy zarządzie miasta. Półki, wieszaki, kartony, kosze i skrzynie wypełniają amerykańskie ubrania wojskowe i cywilne, nowe i używane, przysłane do Polski przez UNRRA. Ona potrzebuje butów zimowych, ale Amerykanki mają widocznie stopy dłuższe i węższe niż Polki, bo żadne buty na nią nie pasują. Ze stosu ubrań wybiera sobie cienką skórzaną kurtkę, granatowy battle-dress i kilka swetrów. Będą musiały wystarczyć, kiedy nadejdzie zima.

Edith

Mama Edith pracuje w kuchni u Sowietów, którzy stacjonują w Hundsfeld. Znalazła dziurę w płocie i codziennie przekrada się przez nią z kubkiem zupy dla dzieci, choć wie, że wynoszenie jedzenia z kuchni jest surowo zabronione i grozi śmiercią.

Potem znajduje pracę w ogrodnictwie, skąd może zabierać do domu trochę warzyw i owoców.

Edith pracuje u Polaków z Łodzi, którzy przyjechali i zajęli sklep mięsny. Opiekuje się dwuipółletnim Leszkiem. Chorowite, tęgie dziecko wymaga ciągłego noszenia na rękach. Chuda, wyniszczona tyfusem Edith z trudem daje radę. Nie zna polskiego, nie rozumie swojej pani i jej starszych dzieci. Biją ją, popychają i przez cały dzień pracy nie karmią. Zamiast pieniędzy na koniec tygodnia pani daje Niemce skrawki kielbas.

W piątki u Schmidtów odbywa się uczta.



Dobrzy Polacy, jedyni, jakich Edith zna, są ze Stanisławowa. Przyjechali wozem z końmi i krowami, zajęli poniemieckie gospodarstwo. Są sympatyczni. Agnes kupuje od nich mleko do dnia, gdy odkrywa, że Polka chrzci je wodą.



Edith płacze ze zmęczenia po powrocie z pracy. Bola ją ręce i plecy. Tuli do siebie lalkę Andzię. Ona jest taka

lekka, chlipie Edith, a Leszek taki ciężki.

Mama sprzedaje z domu, co tylko może.

Najpierw znika wózek Andzi. Za parę złotych kupuje go jakiś Polak dla swojej córki.

W końcu mama mówi do córki: ubierz ładnie Andzię, ją też sprzedamy. Jesteś już duża. Edith przebiera lalkę w jej najładniejszą sukienkę. Żegna ją na zawsze.

Władysława

Pierwsza Wigilia Władzi we Wrocławiu ma siedem odśłon. Każdy z jej przyjaciół urządza święta u siebie. Wędrują więc całą grupą od jednego domu do drugiego. U Janusza zjawiają się o piątej rano.



Władysława Okrutna zostanie we Wrocławiu już na zawsze. Wyjdzie za mąż, będzie miała wnuczkę poetkę.

Po latach odwiedzi ją Erna Breuer, która w 1946 roku musiała wyjechać do Niemiec.

Władzia wciąż żyje w mieszkaniu, które 70 lat temu przydzielił jej wysoki rudy kapitan.

Edith

Ojciec Edith był na froncie wschodnim, pod koniec wojny trafił do Niemiec. Jako jeden z ostatnich zdążył przedostać się z radzieckiej do amerykańskiej strefy okupacyjnej. Znalazł pracę cieśli w Hanowerze. W 1947 roku odnalazł rodzinę w Breslau. Wrócił we wrześniu i od razu dostał pracę przy odbudowie Renomy (Wertheim), największego domu towarowego we Wrocławiu. W listopadzie spadł z rusztowania. Śledztwo wykazało, że drabina, na której stał, miała podpiłowaną nogę. Winnego nigdy nie znaleziono. Franz poszedł na rentę.

Młodszy brat Edith zginął w wypadku, gdy służył w polskim wojsku, starszy wyjechał do NRD.

Schmidowie nigdy nie opuścili rodzinnego miasta. Rodzice Edith dożyli dziewięćdziesiątki.

Ona do dziś mieszka w kamienicy, która kiedyś należała do jej wujostwa w Hundsfeld.



W 1945 roku z Wrocławia wysiedlonych zostanie zaledwie 30 tysięcy Niemców, rok później 140 tysięcy, a pod koniec 1947 roku we Wrocławiu zostanie już tylko 2416 Niemców.

Do roku 1949 w stolicy Dolnego Śląska osiedli się 250 tysięcy Polaków.

Nazwisko Edith Schmidt w rzeczywistości brzmi inaczej.

Wrzesień 1945

—

Uwaga! Kto chce spróbować słodkich rzeczy, niech do Gdańska zaraz leci, ładne zwierzę Żubr ma wszystkiego w bród, cukierki, herbatniki, pierniki, budynie, pieprz, imbir itp. Przetwory spożywcze „Żubr”
„Dziennik Bałtycki”, 3.09.1945

—

Świadców zgonu Józefa Żabczyńskiego na Żoliborzu serdecznie proszą o szczegóły rodzice. Grochów, Igańska 24.

—

Kto wie z zatrudnionych w Warszawie po powstaniu i może wskazać miejsce, gdzie pogrzebano zmarłych znajdujących się na posesji przy Wiktorskiej 24, Mokotów, proszony jest o podanie wiadomości za wynagrodzeniem. Mokotów, Maryjna.

„Życie Warszawy”, 4.09.1945

—

Fabryka czekolady i cukrów Józef Domański i S-ka ulica Cicha 6 (przy Tamce) w Warszawie, zawiadamia że rozpoczęła produkcję karmelków znanych ze swej

dobroci i poleca się Sz. Klientom.

„Życie Warszawy”, 6.09.1945

—

Poszukuję w ważnej rodzinnej sprawie żonę wojskowego kapelana ks. Szymona Fedoronko, Wierę Fedoronko. Proszę bratową albo kogoś kto wie o niej pisać pod adres Rey Joseph Fedoronko POBox 763, Terryville, Conn. USA

„Życie Warszawy”, 7.09.1945

—

Pluskwy! 1000 zł płacę za znalezienie żywej pluskwy po przeprowadzonej przezemnie dezynsekcji oraz dezynfekcji po chorobach, gazami nie niszczącymi żadnych tkanin ani przedmiotów. Koncesjonowany zakład dezynfekcyjny Marcinkowski Antoni, Warszawa, Leszno 13.

„Życie Warszawy”, 8.09.1945

—

Uwaga bezdomni! Organizujemy udziałowców w celu zmobilizowania kapitału na kupno i wyremontowanie lokali pięknego domu w centrum za 15% wartości przedwojennej. Pacek.

—

Obrazy znanych malarzy po wyjątkowo niskich cenach
odsprzedam. Wilcza 8.

„*Życie Warszawy*”, 9.09.1945

—

Prawa autorskie sensacyjnych powieści, nowel
sprzedam. Poznańska 24.

„*Życie Warszawy*”, 10.09.1945

—

Dr Jepifanow Leon ginekolog. Wszystkie zabiegi,
porady eugeniczne, seksualne, małżeńskie, przedślubne.
Gdynia Starowiejska 17.

„*Dziennik Bałtycki*”, 16.09.1945

—

Śpiewacy uliczni i podwórzowi, którzy w czasie
okupacji śpiewali lub grali na ulicach, podwórzach,
tramwajach, kolejach itd. ZABRONIONE PIOSENKI
proszeni są o zgłoszenie się do Wytwórni Filmowej
Oddział w Warszawie, ul. Belgijska nr 5 tel. 736 ,
w poniedziałek dnia 17 i we wtorek dnia 18, godz. 15-18.

—

Lód naturalny kupię na tony. Wiadomość Żelazna 29.
Sklep spożywczy.

—

Państwowy Urząd Samochodowy, plac Narutowicza 5, zaangażuje pewną ilość b. oficerów i b. podoficerów z wykształceniem samochodowym lub warsztatowym do oddziałów samochodowych na prowincję, zwłaszcza na Śląsk Górny, Śląsk Dolny, Pomorze Zachodnie, Prusy Wschodnie. Do warsztatów pożądana: majstrowie, mechanicy, monterzy, elektro-monterzy, tokarze, ślusarze i szlifierzy.

„*Życie Warszawy*”, 16.09.1945

—

Zabronione piosenki wykonywane podczas okupacji (na ulicach, podwórzach, w tramwajach itd.) oraz o charakterze poważniejszym najchętniej w zbiorze zakupi Wytwórnia Filmowa Łódź ul. Narutowicza 68, lub Oddział w Warszawie ul. Belgijska 5, tel. 756.

„*Życie Warszawy*”, 18.09.1945

—

Słynny wizjoner. Los oddalonych. Horoskopy. Porady. Sopot, Wielkiego Kacku 12.

„*Dziennik Bałtycki*”, 19.09.1945

—

Gmina letnisko Falenica przyjmie trzech poborców podatkowych. Zabezpieczenie kaucyjne wymagane. Bliższa wiadomość na miejscu.

„*Życie Warszawy*”, 22.09.1945

—

PP Lekarze i chirurdzy. Szpital Jana Bożego, 12-15 sierpień 1944 r. Ostatnie chwile Andrzeja Sobolewskiego. Błagam o każdą wiadomość. Szustra 10.

„*Życie Warszawy*”, 26.09.1945

—

Fachowe siły do zawijania cukierków potrzebne. Tamka 36.

—

Parasolowcy! Błagam o wiadomość o Zofii Świeszcz sanit. „Zojda”, po kapitulacji obóz niemiecki. Podać: Grochów przy Tarnowieckiej, ul. Mniszewska 36, Świeszczowa.

—

Efemerydy oraz inne poważne książki astrologiczne kupię. Nowogrodzka 7.

„*Życie Warszawy*”, 28.09.1945

—

Kupimy większą ilość polskich czcionek do maszyn biurowych. Przedstw. Block Brun, Gdynia 10 Lutego 37.

—

Traktorzyści, Kierowcy, Mechanicy. Zgłaszajcie się

do pracy na traktorach amerykańskich. Tysiące traktorów otrzymanych z UNRRA, czeka na was Ziemia odzyskana na Zachodzie. Musi być całkowicie zaorana i zasiana. Społeczeństwo polskie wyniszczone i źle odżywione podczas okupacji nie może odczuć głodu. Każdy z was otrzyma całodzienne wyżywienie, mieszkanie i zapłatę oraz premię za dobrą pracę. Zgłaszajcie się pod adresem: Państwowe Przedsiębiorstwo Traktorów i Maszyn Rolniczych w Łodzi, Al. Kościuszki 46.

„Dziennik Bałtycki”, 29.09.1945

—

Dom przy Marszałkowskiej sprzedam za bezcen, byle zaraz. Pełnomocnik Pawlikowski. Marszałkowska 85.

—

1000 zł. dziennie i więcej zarobisz w każdej miejscowości sprzedając pokupnych, wysokowartościowych towarów. Prospekty wysyła „Florina” Kraków, Chocimska 19.

„Życie Warszawy”, 29.09.1945

—

Belgijczycy! Wracajcie do ojczyzny! Informacji udziela: Mission Belge de Repatriement Warszawa Al. Przyjaciół i Polski Czerwony Krzyż, Gdynia ul. Świętojańska.

„Dziennik Bałtycki”, 30.09.1945

—
Pawłowski Władysław powrócił z rodziną z Rumunii i poszukuje krewnych i znajomych. Noakowskiego 16.

—
Pana bez ręki, który na jesieni 1944 r. we wsi Kady pod Grodziskiem mówił, że widział Henryka Maciejewskiego, kierownika szkoły z Warszawy, proszą o informację żona, córka, Warszawa Bema 76.

—
Siwe włosy farbuję po domach czwartki, piątki, soboty. Wilcza 16.

—
Nowości Czytelnika, wrzesień 1945:

Henryk Sienkiewicz, „Krzyżacy” – zł 160.

Zofia Drożdż i Wł. Milczarek, „Zakochani w Pomorzu” – zł 26.

J. Zawicki i D. Walawski, „Zbiór przepisów specjalnych przeciw zbrodniarzom hitlerowskim i zdrajcom narodu” – zł. 45.

„Życie Warszawy”, 30.09.1945

Nie jesteśmy przecież Niemcami

1945

„Życie Warszawy”, 10 sierpnia: „Co robić z pozostałymi jeszcze w Polsce Niemcami? Jedno jest tylko radykalne rozwiązanie. Wszyscy zdolni do pracy Niemcy – mężczyźni i kobiety – muszą być zmobilizowani. Należy utworzyć obozy i bataliony pracy. Dostaną za to chleb i zakupkę, po skończonej pracy będą wypoczywać w wygodnych i higienicznych barakach. Nie będziemy się nad nimi znęcać, ani palić ich w piecach – nie jesteśmy przecież Niemcami”.

Lato 1945

Ostatni dzień sierpnia. Jak w każdy piątkowy poranek Klara Maxara piecze chleb na cały tydzień. Pięć bochnów. Potem spogląda przez kuchenne okno. Erika! Patrz, co się dzieje? Jacyś żołnierze! – woła do najstarszej córki. Dziwna to formacja, łachmaniarska, mundury różnych armii przewiązali w pasie sznurkami, jeden uzbrojony w pistolet, drugi

w karabin, inny znów celuje w jej stronę z myśliwskiej strzelby. Rozbiegli się po wsi, dwóch wchodzi do kuchni Klary: Szykować się. Za godzinę macie stać na szosie. Jedźcie do Berlina, do waszego Hitlera.

Stoją więc za godzinę przy szosie, czekają. Klara i jej czworo dzieci: dziesięcioletnia Erika, średni Oswald, młodsza Ursula i pięcioletnia Monika oraz bochny chleba, jak pięcioraczki, w wózku dziecięcym pod kocem. Tylko męża Klary Konrada nie ma z nimi, poszedł na wojnę i jeszcze nie wrócił.

Klara liczy sąsiadów ze wsi, przyszli wszyscy, rozpoznaje znajomych, widzi ludzi, których spotyka co niedzielę w kościele. Kilkaset wystraszonych osób. Uzbrojeni mężczyźni przeszukują ich bagaże, biją opornych, zdzierają kobietom obrączki z palców, wrywają kolczyki z uszu.

Nie zna tylko ludzi, którzy przypatrują im się w milczeniu po drugiej stronie drogi. Siedzą na wozach wśród skrzyń, piernatów, worków z ziarnem. Ich dzieci są rozczochrane, kobiety noszą na głowach chustki, mężczyźni cmokają na konie. Podjeżdża pięć ciężarówek. Klara z dziećmi wsiada do auta, wraz z nią inne kobiety. Mężczyźni ruszają pieszo. Kto się ociąga, kto stary i niedołężny, ten obrywa kolbą karabinu od obdartych mundurowych.

Klara jeszcze nie wie, że uzbrojeni ludzie to polscy milicjanci. I nie wie też, że do domu jej i sąsiadów wprowadzają się właśnie milczący ludzie z wozów.

Wchodzą do jej kuchni, dotykają ciepłego jeszcze pieca, kładą się na jej haftowane poduszki i strącają ze ściany jej zdjęcie w tradycyjnym stroju śląskim.

Nie ma pojęcia, że od kilkunastu tygodni koczowali na błoniach pod Opolem. Mokli na deszczu, usychali w słońcu, chorowali, głodowali, umierali. I były ich tysiące. Oni też zostali wyrzuceni z domów. Bo w ich rodzinnych wsiach, które do tej pory były Polską, teraz jest Związek Radziecki. A rodzinna wieś Klary, która dotąd nazywała się Ellguth-Hammer i była niedaleko Oppeln w Niemczech, teraz będzie się nazywać Kuźnica Ligocka i będzie w Polsce, niecałe 50 kilometrów od piastowskiego Opoła.

Jadą, ale nie wiadomo dokąd. Słyszą płacz dzieci, ktoś intonuje polską pieśń „Pod Twą obronę, Ojczyzna na niebie”, jakieś kobiety odmawiają głośno po polsku różaniec.

Podróż szybko dobiega końca. Są we wsi, która jeszcze kilka miesięcy temu nazywała się Lamsdorf. Klara widzi kilka baraków ogrodzonych płotem z kolczastego drutu i bramę, nad którą wisi polski napis „Obóz Pracy w Łambinowicach”. Jacyś mężczyźni w cywilu siedzą przy stolikach i zapisują dane wchodzących na teren obozu. Odbierają im wszystkie bagaże. Któryś wyrywa Klarze wózek z chlebem. Popycha do wejścia.

Erika Maxara zobaczy później, jak strażnicy obozowi będą kopali między sobą chleby matki, jakby grali

w piłkę.

2014

Gęborski spisał swoje życie na 500 stronach maszynopisu. Ponumerowane kartki włożył do dwóch granatowych teczek i przekazał je mecenasowi Zbigniewowi Konowalczukowi. Niestety, nie mogę do nich zajrzeć. Ostatni adwokat Gęborskiego mówi, że ich czas jeszcze nie nadszedł.

Sięgam więc po życiorysy Czesława Gęborskiego spisywane przez niego dla pracodawcy, protokoły jego przesłuchań, oświadczenia dowódców, tajne notatki przełożonych. Ścinki życia krojone na miarę epoki, w której były tworzone.

Gęborski przez całe życie kluczył, zmieniał fakty, wypierał się tego, co mówił wcześniej. Jego przełożeni już w 1947 roku zauważyli: „Jest odważnym i uczciwym, lecz nie zawsze prawdomównym”.

Był przystojnym, choć niewysokim mężczyzną. Z gęstą, falującą czupryną zaczesaną do góry, o prostym nosie, kształtnych brwiach, z wąsem. Po wojnie, w Łambinowicach, zapuścił baczki (po niemiecku *die Koteletten*). Osadzeni przezywali go „Kotleten Fryc”. A pod koniec lat pięćdziesiątych, w areszcie, zapuścił brodę (lekarz mu zalecił, bo podrażniał sobie skórę przy goleniu).

Lubił pozowanie do fotografii: a to w mundurze niemieckiego szeregowca (raz tłumaczył, że mundur przymierzył dla żartu, kiedy indziej, że na potrzeby wojennej konspiracji), a to w uniformie funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa (w którym wyglądał jak Stanisław Mikulski) lub w wojskowej futrzanej czapie i kożuchu (jak Daniel Olbrychski).

Pedant, miłośnik ładnych przedmiotów. Córka odziedziczyła po nim kolekcję zapalniczek, obrazków i dwóch tysięcy zegarków. Większość wyrzuciła jako bezwartościowe, kilkanaście sztuk rozdała znajomym, 26 zegarków zostawiła sobie. Dziennikarze ją pytali, czy w zbiorach ojca nie znalazła zegarków jego ofiar.

1924 lub 1925

Przychodzi na świat 5 czerwca w Dąbrowie Górniczej. Ale już jego rok urodzenia jest niepewny. Raz będzie podawał, że 1925, kiedy indziej, że 1924.

Jest synem cieśli Aleksandra Gęborskiego i gospodyni domowej Wiktorii. „Bezpartyjni” – napisze o rodzicach w ankiecie z 1946 roku. „Należeli do Komunistycznej Partii Polski” – poda informację 13 lat później. Ma starszego brata Eugeniusza, zegarmistrza (w 2001 roku powie sądowni, że braci było dwóch).

Kończy szkołę powszechną i zaczyna naukę w szkole górniczej. Gdy wybucha wojna, ma 14 lub 15 lat. Ale

w podaniu o pracę w Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w lutym 1946 roku napisze: „We wrześniu zaciągnęłam się [wszędzie zachowujemy pisownię oryginalną] w szeregi armii Polskiej. W tym samym miesiącu ranny w prawą nogę wraz z innymi dostałem się do niewoli. Z niewoli przesłano mnie do szpitala św. Anny w Miechowie. Po wykurowaniu zwolniono mnie do domu. W 1940 roku napoczołem pracować w warsztacie mego brata w charakterze zegarmistrza”. W kolejnym życiorysie napisze, że od wybuchu wojny do 1941 roku pracował w hucie szkła i mieszkał z rodzicami.

Wieziony na roboty do Niemiec ucieka z transportu i ukrywa się do czerwca 1941 roku. Złapany przez Gestapo, trafia do więzień w Sosnowcu, w Katowicach, wreszcie w Gliwicach. Bity, kopany, torturowany, „z odbitymi bokami, z zaropiałym lewym płucem i strasznym bułem [sic!] głowy” zostaje zwolniony do domu, bo „byłem chodzący trup”. Po siedmiu miesiącach kuracji trafia do obozu pracy w Kochłowicach. Tam poznaje Jana Sulczyńskiego, pseudonim „Wańka”, z Gwardii Ludowej. Sulczyński ma w obozie radio i planuje ucieczkę. Wciąga Gęborskiego do konspiracji. W kwietniu 1943 roku pomagają w ucieczce 16 jeńcom radzieckim i sami zbiegają do lasu w okolicy Olkusza. Sulczyński, jego dowódca, będzie wspominał trzy lata później: „Przez cały czas brania udziału w walkach z niemieckim najeźdźcą był

Czesław Gęborski

Zima i wiosna 1945

Tak naprawdę to Czesław Gęborski chciałby wstąpić do wojska. Złożył nawet odpowiednie podanie, ale dostaje skierowanie do milicji. Pod koniec stycznia 1945 roku rozpoczyna służbę. „Przesłano mnie do Świętochłowic II gdzie pełniłem funkcję komendanta posterunku do pierwszych dni kwietnia. Po wyaresztowaniu największych zbrodniarzy niemieckich, ochotniczo meldowałem się w pluton operacyjny za Odrę, do oczyszczenia terenu z pozostałych niedobitków wojsk niemieckich” – napisze rok później.

Nazistów, volksdeutsche, wrogów komunizmu, osoby niepewne zamyka się w świętochłowickim obozie Zgoda podlegającym Urzędowi Bezpieczeństwa Publicznego. Powstał pod koniec lutego 1945 roku na terenie niedawnego podoboju KL Auschwitz. Dowodzi nim naczelnik Salomon Morel, który lubi znęcać się nad więźniami. Osadzeni umierają w Zgodzie z głodu, epidemii, z powodu tortur. Nie wiadomo, czy Czesław Gęborski zna osobiście Morela. Można jednak przypuszczać, że bywa na terenie obozu podczas transportu „zbrodniarzy niemieckich”.

Pod koniec kwietnia 1945 roku Gęborski awansuje

i po przeszkoleniu w Katowicach melduje się w Strzelcach Opolskich u podporucznika Bugalskiego (tam, pierwszy raz po wojnie, spotyka Jana Sulczyńskiego). Razem wyjeżdżają do wyzwolonego miasteczka wcześniej Niemodlina. Bugalski zostaje komendantem powiatowym MO, Sulczyński jego zastępcą.

Rok później Bugalski napisze o Gęborskim: „W czasie swej służby wykazał dużo energii i poświęcenia, był karnym i zdyscyplinowanym milicjantem. Zorganizował jeden z pierwszych na ziemiach odzyskanych Posterunek MO w mieście Niemodlin wykazując tutaj swe zdolności i poświęcenie”.

Czy Bugalski pisał prawdę, nie wiadomo. Gęborski będzie w przyszłości utrzymywał, że w Niemodlinie był nawet komendantem miasta, ale świadkowie na jego procesie w 1957 roku stwierdzą, że pełnił jedynie funkcję dowódcy plutonu operacyjno-wartowniczego.

Późną wiosną 1945 roku Gęborski dostaje od swoich przełożonych nowe zadanie – ma wybudować w Niemodlinie obóz pracy dla Niemców przy powiatowej komendzie MO. „Zabrał się do pracy przewożąc z innej miejscowości baraki i zorganizował sam jeden obóz kierując pracą Niemców. Obóz mógł pomieścić 500 ludzi” – informuje Bugalski.

1945

Do milicji wstępuje się, bo można dostać mundur. Jak człowiek nie ma nic do ubrania, to uniform, choćby innej armii, jest cenniejszy niż złoto.

Do milicji wstępuje się też, bo dają jeść. Wypłat milicjanci nie będą dostawać jeszcze długo. Zresztą za pieniądze nic nie da się kupić. Rządzi handel wymienny.

Do milicji wstępuje się, bo można dostać oficjalną zgodę na noszenie broni. Wprawdzie o karabiny, pistolety i amunicję człowiek wciąż się potyka, ale uzbrojony cywil nie jest dobrze widziany.

Do milicji wstępuje się, żeby uciec przed przeszłością. W Wyszku na przykład na czele komendy MO stoi były więzień skazany za zabójstwo kobiety, która broniła się przed gwałtem. Wśród milicjantów są ludzie, którzy wojnę spędzili w lesie i mają na koncie bandyckie napady, morderstwa ukrywających się Żydów.

Do milicji idzie się z podziemia, żeby nie zostać złapanym. Żołnierze AK zasilają szeregi MO w całym kraju.

Do milicji wstępuje się, bo co robić innego po sześciu latach, kiedy nie umie się nic, nawet pisać. Wśród milicjantów bywają analfabeci, inni sadzą niemiłosierne błędy ortograficzne.

Do milicji wstępuje się, bo daje władzę. I nadużywa

się jej. W lutym 1946 roku członkowie komisji delegowanej przez KC PPR w tajnym raporcie opisują stosunki w Niemodlinie jako zachwaszczone: „W całym powiecie panuje straszne bezprawie, ludzie stracili już poczucie krzywdy i sprawiedliwości. Żadna zbrodnia nie jest w stanie wywołać zdziwienia. Milicja, a częściowo i Bezpieczeństwo, gwałcą i grabią ludność. Dochodzi do tego, że ludzie uciekają w popłochu widząc milicjanta. Zwłaszcza kobiety uciekają na widok milicjanta. W powiecie tym było popełnionych niezwykle dużo nadużyć i gwałtów, jednak dowody jest trudno zebrać, gdyż ludzie boją się mówić, zaś przedstawiciele władz kryją jeden drugiego”.

Z milicji często dezertuje się z bronią w ręku. Bo przydziałowe jedzenie jest nędzne, brakuje mundurów, butów i ciepłej bielizny. Bo lepiej można zarobić szabrując, niż zwalczając szabrownictwo.

Na tym tle milicjant Czesław Gęborski swoim przełożonym musi wydawać się skarbem.



Klara i Konrad Maxarowie, rodzice Eriki

Wiosna 1945

Klara Maxara jeszcze nie urodziła Moniki. Na razie jest marzec i brzuch Klary zaczyna się dopiero zarysowywać pod fartuchem. Martwi się.

Czuje, że wojna się kończy. Zimą do wsi przyszli uzbrojeni Polacy. Mówili, że idą na zachód, żeby być w Berlinie przed Sowietami, którzy pewnie niedługo dotrą do Ellguth Hammer. Zabrali świnie z chlewów, pełne słoiki ze spiżarni, kazali zaprząć konie, wsiedli do sań i pojechali dalej. Klara czeka więc teraz na Rosjan.

Pierwszy radziecki czołg wjeżdża do wsi 19 marca. Miażdży mostek nad rzeką Steinau i rozbijając bramę, pojawia się na podwórzu rodziny Thomallów (ich syn Robert w przyszłości ożeni się z Eriką Maxarą, córką Klary). Spod pancerza wyskakuje kilku żołnierzy, wbiegają do domu Thomallów i zaraz stamtąd wychodzą z naręczami pierzyn. Upychają je przez włącz i ruszają dalej.

Ludzie z Ellguth Hammer zapamiętają te dni jak najgorzej. A szczególnie kobiety. *Frau komm* – niesie się po wsi. Kobiety smarują twarze sadzą, garbią się, ubierają się w łachmany. Rodziny zamykają je w komórkach i drzwi zastawiają szafami. Chowają w stodołach w sianie. Wszystko na nic. Oko sowieckiego żołnierza umie wypatrzeć młodą dziewczynę w brudnej staruszce. Doświadczenie każe mu odsuwać meble. Anę gwałci dziesięciu. Inna kobieta, której mąż jest na wojnie, zachodzi w ciążę. Urodzi chłopca. Dziecko umrze po trzech latach.

Córki Klary są za małe, ona w ciąży, gwałt je omija. Żołnierze zabierają jedynie złote kolczyki z uszu Eriki

i kradną z kufra białe pantofelki, w których miała iść w maju do komunii.

Zaraz potem, zimnego, wiosennego dnia, wysiedlają całą wieś do sąsiednich miejscowości, bo przez Ellguth Hammer ma iść front. Wracają po dwóch tygodniach. Frontu tutaj jednak nie będzie.

Erika idzie do komunii pod koniec maja, w białej sukience uszytej przez wujka, krawca z Berlina. Na głowie ma wianek. Jej stopy są bose.

Lato 1945

Ktoś powiadamia milicję w Niemodlinie, że po Łambinowicach biega szaleniec. Czesław Gęborski jedzie z oddziałem na miejsce. Jest tu pierwszy raz. Idzie w milczeniu między rzędami baraków jednego z największych obozów jenieckich III Rzeszy. (Historycy policzą, że przez Lamsdorf przeszło 300 tysięcy jeńców. Około 40 tysięcy jeńców, głównie obywatele ZSRR, zmarło w Lamsdorf z głodu, chorób i wyniszczającej pracy).

Jego ludzie słyszą głos, zaglądną do baraku. Gęborski będzie wspominał: „Znaleźliśmy potwornie zarośniętą, brudną kobietę, która straciła zmysły. Zawinęliśmy ją w koc, poczym wsadziliśmy do gazika i przywieźliśmy do Niemodlina. Niestety, nie umieliśmy się z nią obchodzić. Po prostu wykopaliśmy ją, ostrzygli,

położyli na łóżku i po prostu za dwa dni zmarła. Po wydawanych okrzykach można się było zorientować, że kobieta jest Polką z powstania warszawskiego”.

Po raz drugi do byłego obozu jenieckiego w Łambinowicach Gęborski przyjeżdża w połowie lipca. Ma zorganizować tu obóz dla Niemców przeznaczonych do wysiedlenia.

Postanowienie o tworzeniu miejsc odosobnienia dla Niemców w województwie śląsko-dąbrowskim podjął w czerwcu wojewoda, generał dywizji Aleksander Zawadzki. Jego słowa w czyn nakazuje przekuć starosta powiatu niemodlińskiego Władysław Wędzicha. Na stanowisko komendanta proponuje zasłużonego i doświadczonego w tej dziedzinie milicjanta Czesława Gęborskiego. Na uruchomienie obozu daje mu dwa tygodnie.

Lipiec 1945

Gęborski wybiera teren oddalony o kilka kilometrów od kompleksu obozów jenieckich. Nieduży plac (300 metrów długości i 150 metrów szerokości), gdzie dawniej mieścił się budynek koszar, zabudowania gospodarcze i kasyno oficerskie Wehrmachtu. Stąd jest najbliżej do wsi, więc łatwiej dowozić wodę, której na terenie obozu nie ma. Bliskość zabudowań daje też poczucie bezpieczeństwa. „Obóz nie posiada żadnej

łączności ze światem, nie ma ani światła, ani telefonu sam położony wśród setki wymarłych baraków, otoczony prócz tego olbrzymiami lasami, najbliższy posterunek milicji 8 km w Fyrlandzie” – Mieczysław Paciorek z Wojewódzkiego Urzędu Informacji i Propagandy, dobry znajomy Gęborskiego, napisze raport pokontrolny z Łambinowic.

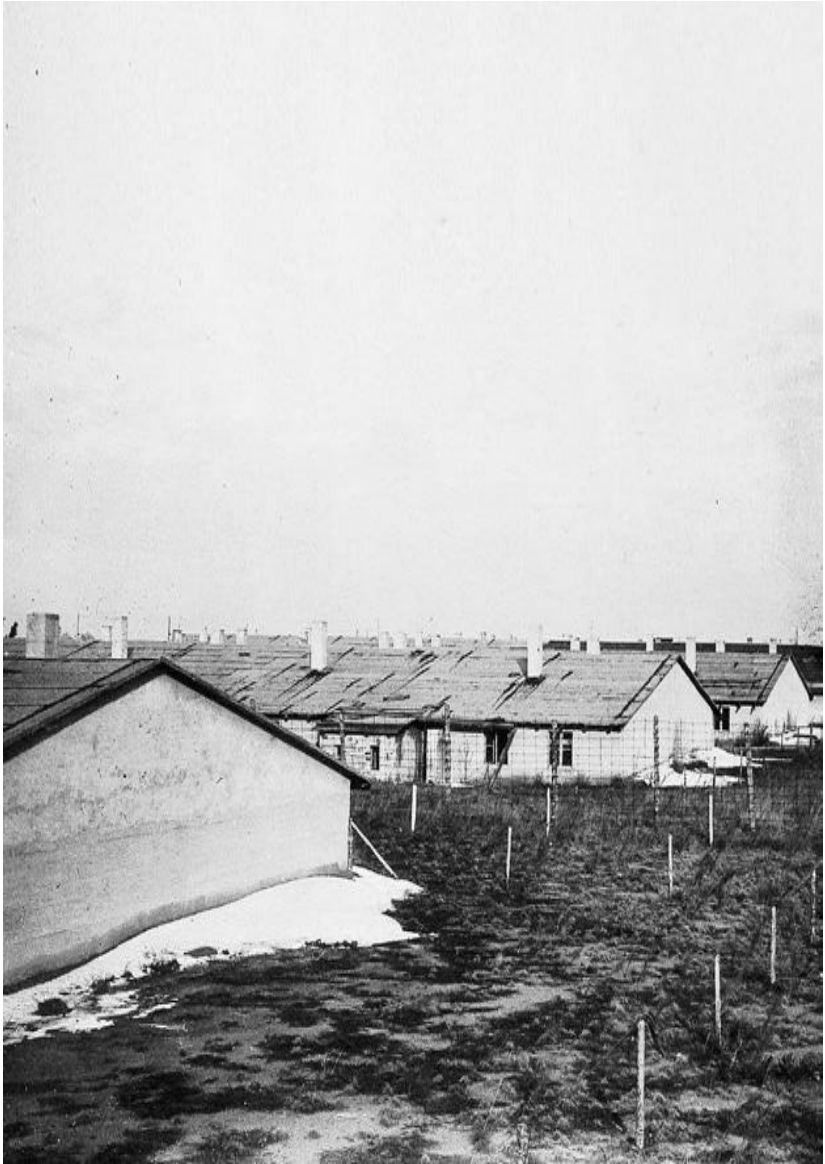
Jest jeszcze jedno – obóz jeniecki Lamsdorf, ciągnący się kilometrami, chyba napawa Gęborskiego zgrozą. W części obozu przeznaczonej dla jeńców radzieckich na pryzkach leżą trupy w mundurach. Znajomy lekarz wyjaśni, że ich ciała nie rozłożyły się, tylko uległy mumifikacji, wskutek braku tłuszczu w tkance. Jeńcy poumierali z głodu. Jest tu też barak – warsztat szewski, pełen butów, zelówek, tysięcy podkówek i gwoździ. W innym znajduje się biuro obozu z setkami legitymacji i fotografii więźniów. Stosy książek, składy amunicji, skrzynie z pociskami. Nad wszystkim unosi się trupi odór. Kiedy obóz zacznie już działać, Gęborski nakaże wykryć źródło fetoru. „Zleciłem wziąć kilku Niemców i sprzęt, to jest łopaty, rydło i dwóch wartowników, żeby zakopali te padłe konie lub krowy, które wytwarzają ten odór. Po jakimś czasie przybył jeden z wartowników i powiedział, że jest tam olbrzymie cmentarzysko pomordowanych ludzi”.

Nowy komendant pracuje szybko i wydajnie. Obóz Pracy w Łambinowicach powstaje w kilkanaście dni. Wybrane baraki każe otoczyć drutem kolczastym,

w kilku z nich planuje uruchomić warsztaty i garaże. Sienniki i koce znajduje na miejscu. Resztę potrzebnych rzeczy nakazuje przynieść z dawnej części obozu przeznaczanej dla jeńców brytyjskich, bo tamte baraki są w najlepszym stanie i nie ma tam zwłok na pryzkach, więc nie istnieje zagrożenie epidemią.

Przy organizacji obozu pracują wyznaczeni przez milicję strażnicy (kilkunastu) i około 40 mężczyzn, z różnych powodów osadzonych w areszcie niemodlińskiego urzędu bezpieczeństwa.

Gęborski chce, żeby jego strażnicy (docelowo będzie ich około 80) wyglądali porządnie. „W południowej części obozu był stos mundurów angielskich, oczywiście podniszczonych, kilka zakrwawionych. Kazałem te mundury pruć, szyć i poszyłem mundury dla całej załogi” – zezna po latach.



Stalag 318 VIII F Lamsdorf (zdjęcie obozu jenieckiego z czasów wojny)

Strażników dobiera przypadkowo. Proponuje pracę nieznanym na ulicach Niemodlina, szuka ich w komisariatach milicji, gdy załatwiają swoje sprawy, prosi, żeby zawiadamiali krewnych, że na Ziemiach Odzyskanych czeka posada, zawiadamia znajomych z okolic Dąbrowy Górniczej. Żaden ze strażników nie ma średniego wykształcenia, prawie każdy w czasie wojny stracił kogoś bliskiego, był więźniem obozów koncentracyjnych, został wywieziony na roboty i czuje się pokrzywdzony przez Niemców. Są przeważnie młodzi, niektórzy nie skończyli jeszcze 18 lat.

Sam komendant ma 20 lat (lub 21). Na swojego adiutanta wybiera 18-letniego Ignacego „Ignaca” Szypułę, który mówi dobrze po niemiecku. Gęborski nie zna tego języka.

Regulamin obozu Gęborski pisze z głowy. Przełożeni radzą mu jedynie: „Znasz obozy niemieckie, przebywałeś w nich, więc wiesz”.

Pod koniec lipca do Łambinowic jako pierwsi trafiają mieszkańcy wysiedlonej w całości wsi Bielice. W lutym 1946 roku, jako jedna z ostatnich, zostanie wysiedlona wieś Łambinowice. W sumie przez obóz przejdą ludzie z około 150 miejscowości, liczba osadzonych jednorazowo będzie się wahała od 600 do 1200 osób.

Oprócz nich osadzonymi będą osoby podejrzane o przynależność do organizacji nazistowskich, żołnierze armii niemieckiej wracający z niewoli (w większości Ślązacy), strażnicy obozu jenieckiego Lamsdorf i ludzie

podejrzani o dokonanie zbrodni na ludności polskiej. Obóz w założeniu przesiedleńczy będzie miał charakter represyjny.

Ostatniego dnia sierpnia 1945 roku z Ellguth Hammer do obozu trafia Klara Maxara z czwórką dzieci, sąsiadami, znajomymi i ludźmi, których spotyka co niedzielę w kościele.

Sierpień 1945

Obozy dla Niemców powstają w całym kraju. Jest ich na pewno kilkaset, niektórzy historycy będą w przyszłości podawać liczbę nawet 1300. Podlegają różnym instytucjom: NKWD, wojskowym władzom radzieckim, Głównemu Zarządowi Informacji Wojska Polskiego, Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego, władzom wojewódzkim, powiatowym czasem miejskim. Mieszczą się w dawnych hitlerowskich obozach koncentracyjnych (na przykład w części obozu Auschwitz), w dawnych obozach jenieckich, na terenie warszawskiego getta lub tworzone są od nowa. Najbardziej znane są obozy w Świątchłowicach, Toszku, Łambinowicach, Jaworznie i Potulicach.

Dziennikarze „Życia Warszawy” w czerwcu 1945 roku odwiedzają Centralny Obóz Pracy w Warszawie, stworzony na terenie niedawnego Konzentrationslager Warschau, który mieścił się w getcie (dziś w tym

miejscu stoi Muzeum Historii Żydów Polskich). Są zachwyceni. Niemcy mają tu lepsze warunki niż ktokolwiek w zrujnowanej Warszawie w tym czasie. Dostali do dyspozycji ogródek „pełen zieleni, krzewów i drzew”. W miejscu olbrzymiego dołu, gdzie podczas wojny miano chować ciała pomordowanych Polaków, władze obozu urządziły klomb z godłem państwowym. Tam, skąd ekshumowano ciała 24 osób, jest teraz ogródek warzywny. Niemki mieszkają w czystych, pobielonych budynkach. W jednej z sypialni reporterzy zauważają na stole wazon z kwiatami. „Zapytujemy obecną na sali więźniarkę o wyżywienie i inne szczegóły z życia obozowego. Jest zadowolona. Oczywiście – w domu najlepiej. Ale ona rozumie, że za błąd swój musi odcierpieć”. W podobnych warunkach żyją mężczyźni. Obłożnie chorzy trafiają do szpitala, potem mogą nabierać sił w obozowym parku. „Bić więźniów nie wolno. Za to grożą surowe kary. Również nie wolno lżyć zatrzymanych lub im uwłaczać”.

Czy dziennikarze ulegli propagandzie władz obozu, które pokazały im to, co chciały, czy napisali artykuł z własnej woli, wymyślając to, czego nie widzieli? Nie wiadomo.

Wiadomo tylko, że w czerwcu na terenie tego obozu zakopano 400 zmarłych więźniów niemieckich.

Bardziej realne jest wrześnie sprawozdanie dziennikarza „Życia Warszawy” z wrocławskiego

obozu: „Na wschodnim przedmieściu Wrocławia długie czarne baraki. Za ogrodzeniem z kolczastego drutu – tysiące wynędzniałych postaci. To ci, którzy chcieli całą ludzkość skrępować takim właśnie drutem. Przedstawiciele niezwykniętej armii oczekują tu rozstrzygnięcia swego zasłużonego losu”.

1959 i 2000

Wszystkiemu, co byli więźniowie obozu pracy w Łambinowicach mówią w opolskiej prokuraturze i przed sądem w Opolu, Czesław Gęborski zaprzecza. To reakcjonistyczne brednie i pomówienia!

Jesień 1945

O szóstej rano wrzask strażników. Klara Maxara otwiera oczy. Śpi na dole piętrowego łóżka. Nad nią jej dzieci: Erika, Ursula i Oswald. Najmłodsza Monika sypiała z nią. Ale już jej nie ma. „W połowie września zmarła moja 5-tygodniowa córka. Przyczyną śmierci był głód” – Klara później zezna.

To zwykła rzecz w baraku, w którym mieszka kilkaset matek z dziećmi. Ostatnio jednej kobiecie z tego samego powodu zmarło troje dzieci. Niemowlętom i małym dzieciom nie przydziela się osobnych porcji. Więzień

Jan Wancke: „Żona moja zmarła w tym obozie z głodu i wycieńczenia, ponieważ mając przy sobie dzieci chciała je wyżywić, a mając na uwadze to, że wyżywienie było złe i mało, więc po prostu sama musiała sobie odmawiać jedzenia”.

Do picia zdarzała się herbata z trawy rosnącej na terenie obozu, ale jest koniec września i dawno już najdrobniejsze rośliny zostały wyskubane do gołej ziemi, więc zostaje sam wrzątek. Krewna Klary z innej wsi, która nie trafiła do obozu, przynosi im żur w blaszanej bańce. Zdarza się, że zupa trafia z rąk wartownika w ręce Klary. Przeważnie jednak zjadają ją strażnicy. Tak jak jedzenie z paczek przynoszone dla innych więźniów.

Klara sprawdza, czy zardzewiała puszka po konserwie, która służy za miskę, leży schowana pod siennikiem. Pierwszego dnia w obozie zabrano im wszystkie osobiste rzeczy, także sztucce. (Mówiono potem o jednym człowieku, że schował w kieszeni łyżkę i widelec. Zastrzelono go na miejscu). Dzieci Klary, wzorem innych, wygrzebały skądś tę puszkę, została pewnie po jeńcach obozu Lamsdorf. To skarb rodziny Maxarów.

Wrzask się powtarza. Klara podnosi się z pryczy, patrzy na dzieci. Chodzą po nich wszy, z rozdrapanych ran sączy się ropa, rozgniecione przez sen pluskwy zostawiły po nocy krwawe plamki na twarzach. „Erika – matka potrząsa ramieniem najstarszej córki. – Chodź

ze mną do ubikacji”. Lepiej iść we dwie. Strażnicy czasem dla zabawy strzelają do kobiet, które biegną do ubikacji. (Mówiono potem, że jedna ciężarna, siedząc na desce latryny, zwierzyła się nieznajomej obok, że chyba wkrótce będzie rodzić, bo wyraźnie czuje ruchy dziecka. Zginęła od strzału na miejscu, z zadartą spódnicą i opuszczonymi majtkami, w połowie zdania). Klara ma nadzieję, że nad matką z dzieckiem idącymi do toalety strażnicy się zlitują.

W nocy sika się do wiadra, bo obowiązuje zakaz wychodzenia z baraków. Regulamin pozwala na strzelanie do każdego, kto znajdzie się na placu. Słychać wtedy w ciemnościach pojedyncze strzały. Bywa, że pijani strażnicy celują w cienkie ściany baraków, kule przeszywają deski. Można umrzeć we śnie.

Klara Maxara stara się wychodzić z baraku jak najrzadziej. Ale czasem jest poranny apel i wyjść musi. „Śpiewać, hitlerówy!” – wrzeszczą strażnicy. *Ich hatte einen Kameraden* – dzieci i ich matki śpiewają pieśń pogrzebową niemieckich sił zbrojnych (Klara Maxara potem się dowie, że tę samą pieśń w tym samym czasie śpiewali mężczyźni z baraków męskich i młode dziewczyny z baraków kobiecych). „Maszerować, szwabyl!” – nogi w marszu wyciąga Klara, jej córki i syn, jej sąsiadki i nieznajome. „W górę sukienki!” – strażnicy mają czasem ochotę na żarty. Więc spódnice i suknie idą w górę. Koniec apelu.

Potem najlepiej sięść na pryczy. I tak przeczekać do wieczora. Bywa, że strażnicy zapędzają kobiety z baraku rodzinnego do sprzątanania obozu. Potem się wraca i przez brudne okienko obserwuje życie na zewnątrz.

Nikt tu się nie myje, bo woda jest tylko do picia. Nikt nie pierze, bo jedyne ubrania wciąż nosi się na sobie. Wietrzenie rzeczy nie jest możliwe, bo brakuje sznurków do wieszania. Wykorzystywanie drutów kolczastych z ogrodzenia do tego celu jest surowo zakazane i grozi śmiercią. Wszyscy wiedzą, jaki los spotkał na początku września Martę Preussner z Ellguth Hammer, krewną Maxarów.

Gertruda Kuboń zezna: „Marta wyszła z baraku na podwórze. Po pewnym czasie powróciła, zatrzymując się w progu. Zauważyłam wówczas, że jest postrzelona i z piersi płynie jej krew. Powiedziała do swojej córki: – Anna, Ignac mnie przestrzelił i on mnie chce całkiem zabić za to, że powiesiłam szmaty na drucie”. Anna Wieczorek, córka Marty, doda: „W tym momencie usłyszałam: – Cholero, chodź z powrotem! Matka moja na to wezwanie odwróciła się i poszła, ja wróciłam na salę. Usłyszałam strzał. Po upływie dziesięciu minut do baraku przyszedł Ignac i powiedział: – Czy są tu krewni tej zastrzelonej? Niech idą się pomodlić. Na to wezwanie poszłam z dwiema ciotkami na plac. Tam zostaliśmy dotkliwie pobite przez Ignaca, Antka i innych strażników. Później się dowiedziałam, że matkę

moją drugi raz postrzelono w głowę”.

1945

Wszystkiego przez okno z baraku Klara Maxara jednak nie może zobaczyć.

Być może nie wie, że woda jest przywożona ze wsi beczką po gnojówce. Że po chleb i ziemniaki dla obozu jeździ wóz zaprzężony w ludzi (konie są tylko do dyspozycji komendanta). Że pole wokół Łambinowic uprawiają więźniowie, którzy poganiają swoich sąsiadów uwiązanych do pługów i bron, tak jak dawniej poganiali bydło. Że jedni więźniowie pracują przy naprawie butów, inni są krawcami albo naprawiają zepsute traktory i auta, które potem wymienia się na jedzenie.

Że przez obóz przechodzi codziennie kolumna pogrzebowa. „Nie zawsze, ale często widzieliśmy ośmiu do dwunastu grabarzy, wieźli codziennie dwukołowymi wózkami zamordowanych, zagłodzonych i zmarłych na choroby do zbiorowych mogił na cmentarz obozowy” – będzie wspominał po latach Lothar Goerlich, jeden z osadzonych.



Łambinowice, 1945 rok. Więźniowie pracują przy ekshumacji zwłok jeńców radzieckich

Pewnie nie przychodzi jej do głowy, że na teren odkrytych w lipcu masowych grobów jeńców obozu Lamsdorf „Kotleten Fryc” wysłał kilkadziesiąt podległych mu Niemek. Kobiety gołymi rękoma, bez choćby chustek na ustach, zmuszone były do ekshumowania zwłok. Ciała mężczyzn, ułożone w kilku warstwach, były w stanie rozkładu. Więźniarki nurzały ręce w mazi, zapadały się w niej po kolana. Podczas pracy obserwowali je zaproszeni dziennikarze.

Tygodnik „Przekrój” w sierpniu 1945 roku zamieścił fotografie Niemek przy ekshumacji. „Cyniczne uśmiechy niedowierzania zastygły na ustach ludności niemieckiej, kiedy zaczęto odkopywać groby. Każda łopata wbita w ziemię natrafia na ciała i szkielety jeńców, zagłodzonych przez niemieckich zbrodniarzy” – reporterzy podpisali zdjęcia. Ekshumacje powtórzą się jesienią i pod okiem komisji radzieckiej będą trwały do zimy. Tym razem do prac zapędzeni zostaną osadzeni. Czesław Gęborski przyzna: „Zdarzało się, że więzień przypadkowo wpadł do takiego grobu i z uwagi na to, że zwłoki były już rozłożone – stanowiły taką potworną maź – tonął w tym”.

Klara nie widzi też ze swojego okna, jak Ignac, prawa ręka komendanta, gna przez plac dwóch staruszków z sąsiedniej wsi. „Przez całą drogę bił ich łańcuchami po karkach. Łańcuch miał owinięty dookoła prawej ręki. W pewien czas później obaj zmarli” – powie osadzona Anna Mike. Choć Ignac tak naprawdę najbardziej lubi bić bykowcem znalezionym na terenie obozu jenieckiego.

Klara nie wie o piwnicy pod kuchnią, gdzie odbywają się codziennie, bez sądu, egzekucje mężczyzn podejrzanych o przynależność do SS lub NSDAP. Że po ucieczce jednego więźnia ginie dziesięciu wybranych losowo. Że po wieczornym apelu mężczyzn kilku z nich nie wraca już do baraków. Ostatni schodzący z placu są zabijani za opieszałość.

Klara nie będzie chciała uwierzyć w historię człowieka, któremu komendant i jego adiutant odcięli na żywca nogę piłą do drewna. Ani w to, że strażnicy przychodzili nocami do baraków młodych, bezdzietnych kobiet.

Dopiero potem się dowie, że Ignac kazał położyć się na drodze któremuś z więźniów i przejechał po nim bryczką zaprzęzoną w siwego konia. Że ktoś widział, jak kilku mężczyzn zagnano na drzewo, a innym kazano je ściąć. Że za zabicie królika zastępcy komendanta odpowiedział mały chłopiec. „Ignac zapytał, kto zabił królika, to niech się przyzna, bo jeżeli nie, to wszystkie zebrane kobiety rozstrzela. Rzeczywiście, przed nami, w odległości około sześciu metrów, stał na ziemi karabin maszynowy odwrócony lufą do szeregu stojących kobiet. Podbiegł do niego chłopak, gdzieś w wieku około 9 lat, i powiedział, że on wie, kto zabił tego królika. Wówczas Ignac kazał wszystkim kobietom rozejść się do baraków, ale jednocześnie stojący obok strażnik, którego nie znałam, chwycił tego chłopaka za szyję i spodenki i bił nim o ziemię” – zapamięta więźniarka Paulina Wancke.

1945

Komendant się zakochuje. Narzeczona Jadwiga Gęborys ma miłą aparycję, nieco pulchną buzię i figlarne loczki.

Jest córką przedwojennego robotnika, obecnie niemodlińskiego restauratora. Młodsza od Czesława o dwa lata (lub rok), pochodzi z Warszawy. Skończyła szkołę powszechną, w wieku 16 lat wyszła za mąż, w powstaniu udziału nie brała. Po wojnie wyjechała z rodzicami na Ziemię Odzyskane.

Gęborski dzieli życie między miłość a obowiązki. W dzień zarządza obozem, bierze udział w wysiedleniach, zdobywa jedzenie dla więźniów, organizuje ich transport do Niemiec. Wieczory poświęca Jadwidze. Nigdy nie nocuje w obozie. Ignacy Szypuła odwozi go po pracy bryczką do Niemodlina i rano zabiera do Łambinowic. W obawie przed napadem ze strony niedobitków niemieckiej armii wybierają różne drogi dojazdu.

Czy Czesław opowiada Jadwidze o życiu w obozie? Żeby rozbawić dziewczynę mówi o więźniarkach, które stoją na placu apelowym z zadartymi spódnicami? O nakładaniu niemieckim wieśniakom żołnierskich hełmów na głowę i waleniu ich kijami tak długo, aż pocieknie krew po twarzach? O synach zmuszanych do śpiewania i deptania po swoim ojcu, aż ten umrze? O tym, że kopanie więźnia butami w ostrogach jest tak męczące, aż trzeba go na końcu zastrzelić?

A może chroni ją i nic nie mówi. Może nie chce, żeby usłyszała, co pijani strażnicy podczas przepustki w restauracji jej ojca opowiadają, czym naprawdę zajmuje się Gęborski? Czy dlatego właśnie wyszła

Jadwigę do Dąbrowy Górniczej? Narzeczona wprowadza się do rodziców Czesława i czeka na niego, załatwiając jednocześnie rozwód z pierwszym mężem (Jadwiga wyjdzie za Czesława dopiero 22 lipca 1954 roku).

Nie będą mieć swoich dzieci. Ale w przyszłości adoptują dziewczynkę z niemieckiego sierocińca (czasem Gęborski będzie podawał, że to córka żony).

Dziwne, bo Czesława Gęborskiego przepęlnia czysta, czarna nienawiść do Niemców. Ale nie jest w tym odosobniony. To czas, gdy słowo Niemcy oficjalnie jest pisane z małej litery. Polscy urzędnicy, kolejarze, dziennikarze, nauczyciele, dzieci, staruszki i strażnicy Obozu Pracy w Łambinowicach nienawidzą wszystkiego, co germańskie.

Mieczysław Paciorek z Wojewódzkiego Urzędu Informacji i Propagandy już po aresztowaniu komendanta, w listopadzie 1945 roku, napisze: „Niniejszym stwierdzam, że obywatel sierż. Gęborski jako Polak i patriota jest godzien szacunku. Byłem świadkiem przybycia ojca Gęborskiego, już starca, z rękami i nogami połamanymi przez Niemców. Kto na swej własnej skórze i na swej rodzinie nie doznał skutków cywilizacji niemieckiej, może źle się odnosić do zbyt srogiemu traktowania sierż. Gęborskiego Niemców. Ja pierwszy przeklinam ich, bo szwagra mojego w Warszawie rozstrzelali, siostrę z córką wywieźli do obozu w Hamburgu, brata młodszego

rozstrzelali, a drugiego brata z żoną i dziećmi wywieźli w nieznane. A takich rodzin jest w Polsce miliony”.

Kilka lat później Czesław Gęborski będzie tłumaczył: „Miałem tylko jeden cel, a mianowicie zemstę na Niemcach, bowiem już w 16 roku życia zapoznałem się z niemieckim więzieniem. Dochodzą do tego jeszcze niemieckie zbrodnie dokonane na ludności cywilnej i żołnierzach wziętych do niewoli. Po wyzwoleniu skrycie kontynuowałem swą działalność z okresu okupacji, mając na celu tylko zemstę na Niemcach”.

Zachęca podwładnych do bicia więźniów. Jeden z nich dostaje od osadzonych przydomek „Morderling”, ale najbardziej się boją Ignacego Szypuły, Antka i Jana Furmana. „Za najlepszych Gęborski uważał tych strażników, którzy znęcali się nad ludźmi i mordowali ich” – zezna były strażnik z Łambinowic Roman Rydzyński.

Ignacy Szypuła powie: „Przyznaję się do tego, że nieraz biłem więźniów i kopałem ich butami. Robiłem to tylko w stosunku do mężczyzn. W ten sposób mściłem się za Oświęcim. Któryś z przedstawicieli starostwa nazywając mnie orłem, powiedział bym dobrze dawał w skórę Niemcom znajdującym się w obozie, za to że w czasie okupacji gnębili Polaków. Natomiast Paciorek obiecał mi awans na plutonowego, jeśli będę się dobrze sprawował, co zrozumiałem, że mam bić osadzonych w obozie. Z tych przyczyn, aby zasłużyć na awans, rzeczywiście

biłem ludzi biczem, ręką lub kolbą automatu”. W 1958 roku Szypuła nadal będzie uważał, że jego czyny usprawiedliwiała epoka. Napisze: „Sprawa jest przedawniona, z okresu powojennego i w fazie nienawiści do faszyzmu”.

Czesław Gęborski zaprasza na teren obozu Wilhelma Nowaka i pozwala mu znęcać się nad więźniami. Nowak jest niemodlińskim fryzjerem, służy też w Ochotniczej Straży Pożarnej w tym mieście.

Nie wszyscy strażnicy znęcają się nad więźniami. Kilku z nich osadzeni w Obozie Pracy w Łambinowicach będą wspominać dobrze.

1959 i 2000

Prokuratorzy nie mają wątpliwości. W wyniku pożaru zginęło co najmniej 48 więźniów.

4 października 1945

Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Katowicach. Wydział dla spraw funkcjonariuszy: „W dniu 4.10.1945 r., między godziną 14 a 15 tą w Obozie Pracy w Łambinowicach został podpalony przez Niemców barak, który w tym czasie był niezamieszkały. Do obozu przybył strażak Nowak

Wilhelm w celu zabrania pompy wodnej motorowej. W chwili, kiedy miał zamiar odjeżdżać został zaalarmowany przez Straż Obozową o wybuchu pożaru. Niezwłocznie zajął się akcją gaszenia pożaru. Komendant obozu Czesław Gęborski zarządził, by wszyscy więźniowie pomagali przy gaszeniu pożaru. Straży więziennej wydał polecenie otoczenia obozu i ustawienia karabinów maszynowych w miejscu, gdzie zostały uprzednio poprzecinane druty przez więźniów (Niemców). Usiłował nagonić więźniów do gaszenia pożaru, ale część z nich zbuntowała się jego zarządzeniu. Gęborski chcąc uśmierzyć bunt nakazał dać salwę z karabinów maszynowych do góry. Niemcy jednak rzucili się do ucieczki w stronę poprzecinanych drutów. Straż Obozowa była zmuszona oddać salwę z karabinów maszynowych w stronę uciekających Niemców, na wskutek czego zostało zabitych 48 Niemców”.

Władysław Szlabski, strażnik: „Drzemalski, zastępca komendanta, powiedział mi, że Gęborski, Ignac, Antek i strażak nieznanego mi nazwiska z Niemodlina, wspólnie zmówili się, że umyślnie spowodują pożar na terenie obozu, aby przy tej okazji pomścić się na ludności, która w tym obozie przebywała”.

Czesław Gęborski: „Przypominam sobie dokładnie, że w dniu, kiedy wybuchł pożar nie byłem w obozie. Przebywałem wraz ze starostą Wędzichem w Niemodlinie”.

Jan Furman, strażnik: „Do obozu wtargnęli dwaj mężczyźni. Jeden z nich był w mundurze straży pożarnej. Kogo napotkali po drodze, tego bili. Obaj byli pijani”.

Józef Malorny, więzień: „W dniu pożaru Nowak, fryzjer z Niemodlina, na godzinę przed pożarem bił więźniów”.

Wilhelm Nowak, strażak, fryzjer: „Jako oficer gospodarczy Ochotniczej Straży Pożarnej w Niemodlinie zwróciłem się do miejscowego Urzędu Bezpieczeństwa o pomoc w uzyskaniu umundurowania dla straży pożarnej. Skierowano mnie wtedy do obozu w Łambinowicach gdzie magazynowane były mundury po byłych jeńcach wojennych. W tym też celu pojechałem do obozu. Po załadowaniu otrzymanych mundurów na wóz, w momencie gdy wyjeżdżaliśmy z obozu, wybuchł pożar. Palił się jeden barak. Zaraz też, z własnej inicjatywy, udałem się na miejsce pożaru i kierowałem częściowo akcją gaszenia”.

Ignacy Szypuła, strażnik: „W momencie wybuchu pożaru znajdowałem się w baraku administracji obozowej”.

Jan Furman, strażnik: „Słyszałem od kobiet, że widziały Ignaca w momencie gdy bezpośrednio przed wybuchem pożaru wychodził z baraku, który następnie zapalił się”.

Józef Malorny: „Strażnicy kazali nam przy pomocy wody i piasku gasić ten barak. Wziąłem wówczas

wiadro z piaskiem i poszedłem. Na polecenie strażników wszedłem do wnętrza baraku a gdy po opróżnieniu wiadra chciałem wyjść z płonącego baraku, postrzelony zostałem w rękę. Na skutek tego nie mogłem już brać bezpośredniego udziału w gaszeniu pożaru. Aby ukryć fakt zranienia, gdyż rannych zabijano, ukryłem się do dołu, skąd brano piasek do gaszenia pożaru. Widziałem wtedy Gęborskiego, który stał w odległości około 10 metrów. Miał on przewieszony przez ramię pistolet maszynowy, a w prawej ręce trzymał pistolet z którego oddał kilka strzałów w kierunku ludzi zajętych gaszeniem pożaru. Wszyscy strażnicy strzelali i wokoło padały trupy”.

Franciszek Smółka, więzień: „Opowiadano mi, że jeden ze strażników kazał mojej żonie, aby tańczyła przy ogniu. Gdy moja żona nie chciała tego uczynić, powalił ją na ziemię uderzeniem kolby, a następnie strzelił w tył głowy zabijając na miejscu”.

Anna Mike, więźniarka: „Wyglądając przez okno nie mogłam wszystkiego dokładnie widzieć, gdyż wokół płonącego baraku był dym. Widziałam jednak ludzi gaszących ogień, a wśród nich mego teścia Pawła Mike. W pewnym momencie strażnicy zaczęli strzelać do ludzi zajętych gaszeniem ognia i od tego czasu nie widziałam już teścia. Dopiero po ugaszeniu pożaru dowiedziałam się, że został zabity. Moja teściowa, Maria Mike, w czasie pożaru przebywała w pobliżu płonącego baraku, gdzie w pewnym momencie zatrzymana została

przez jednego ze strażników, który powalił ją na ziemię uderzeniem karabinu, a następnie strzelił w tył głowy zabijając na miejscu”.

Hildegarda Łukaszek, więźniarka: „Brałam udział w gaszeniu jednego z baraków. Widziałam wtedy osobiście, jak jeden ze strażników wepchnął do płonącego baraku Franciszka Walczyka i Pawła Hoffmana, którzy zginęli w ogniu”.

Ewa Żyła, więźniarka: „Najwięcej wtedy ludzi zabił Ignac, w każdej ręce miał pistolet. Widziałam również jak do ognia wpychano żywych ludzi. W pewnym momencie strażnik Edek wepchnął mnie do ognia. Wyciągnęła mnie jakaś kobieta. Miałam poparzone ręce i palił się na mnie sweter”.

Klara Szlechter: „Opowiadała mi córka Anny Tyrke, że widziała jak strażnicy wtrącali jej matkę do ognia, a ta chciała się wydostać i krzyczała, że chce wrócić do swoich dzieci. A miała, jak mi wiadomo, pięcioro dzieci, które były również w tym obozie. Jakiś strażnik wtrącał ją trzy razy do ognia, aż wreszcie wystrzałem z karabinu zabił ją i została leżeć w ogniu”.

Jan Furman, strażnik: „Ludzie nie próbowali wcale uciekać i w ogóle żadnego buntu ze strony więźniów nie było. Nie wiem nic o tym, by w ogrodzeniu z drutu kolczastego powycinane były otwory, którymi rzekomo więźniowie zamierzali uciekać”.

Emanuel Schmolke, więzień: „Widziałem podczas pożaru komendanta Gęborskiego, który strzelał

z karabinu w kierunku ludzi zajętych gaszeniem pożaru. Po ugaszeniu pożaru osobiście zakopywałem trupy. W dniu pożaru żadnego buntu nie było i nie widziałem, żeby ludzie osadzeni w obozie próbowali ucieczki”.

Władysław Szlabski, strażnik: „Widziałem osobiście jak Ignac Szypuła zastrzelił z automatu kilka nieznanymi mi osób. W tym też czasie widziałem jak Gęborski Czesław wystrzałem z pistoletu zabił nieznanego mi mężczyznę”.

Ignacy Szypuła: „Do gaszenia pożaru spędzono Niemców. Kto nie chciał brać udziału w akcji ratowniczej, do tego strzelano. Gęborski przyszedł na teren obozu wraz ze starostą już po strzelaninie. W czasie pożaru strzelano ze wszystkich możliwych rodzajów broni znajdujących się w obozie. Strzelanina ta mogła trwać do 15 minut. Strzelano tylko do tych, którzy uciekali i nie chcieli brać udziału w akcji gaszenia pożaru. Gaszono ogień piaskiem i ziemią. Każdy ze strażników strzelał na własną rękę. Ja strzelałem w kierunku uciekających w stronę ogrodzenia. Nie widziałem upadających po strzałach”.

Czesław Gęborski: „Po przyjeździe do obozu zameldowano mi o wybuchu pożaru i ucieczce Niemców. W uśmierzaniu ucieczki więźniów nie brałem udziału. Gdy przybyłem na teren obozu rozkaz użycia broni był już wydany. Podczas mojej obecności broni już nie używano.

Po przyjeździe oglądałem przecięte druty w miejscu

gdzie uciekło kilku Niemców.

Jest rzeczą niemożliwą, by strzelano w kierunku płonącego baraku. W takim wypadku strażnicy raziliby się wzajemnie ogniem. To ja dałem rozkaz użycia broni w celu opanowania sytuacji. Mój rozkaz użycia broni wydany został zgodnie z regulaminem. Regulamin ja osobiście opracowałem. Przyznaję, że regulamin ten był bardzo ostry i w zasadzie przekraczał moje kompetencje”.

Władysław Szlabski: „Nadmienił mi również Drzemalski, że on osobiście po ugaszonym pożarze chodził i dobijał ludzi wystrzałem z karabinu, ponieważ wielu z nich jeszcze żyło. Nadmieniał na marginesie, że przy oddawaniu strzałów w głowę był opryskiwany mózgiem po twarzy. Później między strażnikami mówiło się jawnie o spowodowaniu umyślnego podpalenia baraku”.

Józef Malorny: „W grudniu 1945 roku zranioną rękę amputował mi lekarz ze szpitala w Korfantowie”.

Ponad pół wieku po pożarze Czesław Gęborski powie: „Uważam, że w obozie był albo szaleniec, albo grupa spiskowa. Osadzeni w obozie Niemcy pewnego dnia wymordowali wszystkie króliki, które hodował mój zastępca Drzemalski i wrzucili do dołu kloaczego. Kury lub kaczki obroniłyby się swoim wrzaskiem, dlatego osadzeni świadomie wybrali nieme króliki, które nie mogły krzykiem obronić się przed ręką mordercy. Uważam, że te dwie sprawy to jest

zamordowanie królików i pożar baraku są ze sobą związane. Jestem przekonany, że ta sama zbrodnicza ręka, która wymordowała bezbronne króliki, podpaliła niezamieszkały barak. Pamiętam, że w wyniku ostrzału zginęło maksimum czterech z ludności osadzonej w obozie”.

Listopad 1945

Konrad Maxara, żołnierz, Niemiec, mąż Klary, ojciec Eriki, Oswalda i Ursuli, wraca z niewoli pod koniec października 1945 roku. Odkrywa, że jego rodzinna wieś nazywa się teraz Kuźnica Ligocka, jego dom jest pusty i rozgrabiony, a rodzina siedzi w obozie. Dowiaduje się, że jeśli podpisze deklarację wierności wobec narodu i państwa polskiego, jego najbliżsi będą wolni. Na początku listopada stawia się więc w administracji Obozu Pracy w Łambinowicach z dokumentami, z których wynika, że uwięziono tu przypadkiem Polaków o nazwisku Maksara. Za wypisanie zaświadczeń zapłacił w urzędzie po 25 złotych od osoby.

W podobny sposób wydostaje się z obozu rodzina Thomallów (od tej pory Tomalów).

Ślązacy i Niemcy, którzy nie chcą być Polakami, są wysiedlani za Odrę.

Komisja weryfikacyjna, która zjawia się w obozie pod

koniec roku, odkrywa, że wśród osadzonych są ludzie, którzy od początku przyznawali się do polskości. Zostają zwolnieni do domów.

Obóz Pracy w Łambinowicach przestanie działać jesienią 1946 roku.

Październik 1945

W czechosłowackiej gazecie ukazuje się artykuł pod tytułem „Obóz łambinowicki dymi śmiercią”. Wojewoda generał Zawadzki wysyła do Łambinowic adiutanta majora Leona Foicika z rozkazem aresztowania Czesława Gęborskiego.

Dawny komendant trafia do aresztu w niemodlińskim UB. Nie przebywa jednak w celi, tylko w pokoju między biurami.

Jego sprawę przejmuje Wydział IX Wojewódzkiego UB w Katowicach (dla spraw funkcjonariuszy). W połowie miesiąca zostaje zwolniony z pracy w milicji. Mimo to nie traci kontaktu ze swoim wojennym dowódcą i przyjacielem podporucznikiem Janem Sulczyńskim, zastępcą komendanta MO w Niemodlinie.

Listopad 1945

„Do odnośnych władz. Obywatel Gęborski Czesław ówczesny komendant obozu był nadzwyczaj łagodny i dobrze ustosunkowany do więźniów. Cieszył się ich dobrem i wyglądem i zdrowiem. Znając postępowanie Niemców z Polakami, byłem bardzo zdziwiony dobrem ustosunkowaniem się do dozorców obozu, tłumaczyłem to sobie dobrem charakterem naszych polskich serc, które urazy szybko zapominają. Byłem z tego wewnętrznie dumny, że my Polacy nie zapominamy być ludźmi. Powiatowy Komendant Straży Pożarnych w Niemodlinie. [Podpis nieczytelny]”.

„Niniejszym stwierdzam, że obywat. sierż. Gęborski jako Polak i patriota jest godzien szacunku. Więc żal i boleść chwyta za serce, że jeden z wielu przez Niemców prześladowany, z ich przyczyny jest areztowany. Ale mam nadzieję, że sierż. Gęborski jako niewinny i prawdziwy Polak, zostanie społeczeństwu polskiemu zwrócony. Powiatowy Oddział Informacji i Propagandy w Niemodlinie. Paciorek”.

Listopad 1945

Do Łambinowic przyjeżdża Polsko-Radziecka Komisja do Badań Niemieckich Zbrodni Wojennych. Na jej czele stoi doktor Dymitr Kudriawcew, który badał już między innymi sprawę obozu w Auschwitz i na którego wnioski oczekują w Norymberdze. Nikt tak dobrze jak Czesław

Gęborski nie zna kompleksu obozów jenieckich Lamsdorf. Na polecenie Kudriawcewa zostaje zwolniony z aresztu i zostaje stałym przewodnikiem komisji po obozie.

Podobno przesłuchuje także więźniów osadzonych przez UB w Obozie Pracy w Łambinowicach.



Obelisk upamiętniający śmierć Niemców i Polaków w obozie w Łambinowicach w latach 1945–46

Grudzień 1945

Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego denerwuje się. Pyta Wojewódzki UBP w Katowicach: – Dlaczego śledztwo w sprawie Gęborskiego tak się ślimaczy?! Prosimy o przyspieszenie. W razie gdyby Gęborski okazał się niewinny, zwolnić z aresztu! Na wszelki wypadek podsyłamy wypełniony wzór wniosku o umorzenie. Wystarczy podpisać.

Styczeń 1946

„Zaświadczenie. Zaświadcza się, że tow. Gęborski Czesław, pracując na terenie naszego powiatu był czynnym i aktywnym członkiem PPR, zorganizował komórkę na terenie swojej pracy, jest szczerym Polakiem i demokratą. Powiatowy Komitet PPR. [Podpis nieczytelny]”.

„Wyżej wymieniony jako Komendant Obozu okazał się jako stuprocentowy demokrat, obowiązki swoje wykonywał sumiennie i bez zarzutu. Zaświadczenie wydaje się celem przedłożenia władzom. Kierownik Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Niemodlinie. [Podpis nieczytelny]”.

W styczniu 1946 roku Gęborski wychodzi na wolność i wyjeżdża do Katowic na polecenie generała Zawadzkiego.

Ostatecznie sprawa przeciwko Gęborskiemu zostanie umorzona przez Wojskową Prokuraturę Rejonową w Katowicach za dwa lata. „Działał w myśl istniejących przepisów a więc nie jest winien zabójstwa 48 Niemców, którzy usiłowali zbiec. Prokurator wojskowy Szauber Marek”.

Luty 1946

„Do Kierownika Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Zwracam się z prośbą o przyjęcie mnie w poczet funkcjonariuszy WUBP w Katowicach. Proszę o przychylne załatwienie mej prośby. Sierżant Czesław Gęborski”.

1959 i 1976

Czesław Gęborski, major UB, magister ekonomii, wielbiciel książek o tematyce religijnej, agent rozpracowujący środowisko Stronnictwa Narodowego, wykładowca w operacyjnej szkole BP w Katowicach, dwukrotnie stanie przed sądem. Będzie winiony za brutalne traktowanie osadzonych w łambinowickim obozie, za pobicia, torturowanie, zabójstwa i współudział w wywołaniu pożaru, w wyniku czego zginęło co najmniej 48 osób.

Wraz z nim przed sądem w latach 1958–1959 stanie Ignacy Szypuła.

Gęborski i Szypuła nigdy nie przyznają się do winy. Za pierwszym razem zostaną uniewinnieni.

W 1976 roku Ignacy Szypuła podczas ataku kaszlu (ma zaawansowaną gruźlicę) wypadnie przez balkon. Zginie na miejscu.

Czesław Gęborski umrze w czerwcu 2006 roku, przed zakończeniem drugiego procesu.

2006

Czesław Gęborski umiera w czerwcu 2006 roku, przed zakończeniem drugiego procesu. Tuż przed śmiercią prosi lekarzy o eutanazję. Odchodzącym należy się miłosierdzie.

2014

Wiosną goszczę w Kuźnicy Ligockiej, w domu Eriki i Roberta Thomallów (wrócili do niemieckiego brzmienia nazwiska).

Klara Maxara, matka Eriki, żyła jeszcze wiele lat po wojnie. Zmarła na alzheimera.

W pokoju na ścianie wisi jej portret w stroju śląskim, który kiedyś zrzuciono na ziemię.

Październik 1945

—
Wypycham ptaki i zwierzęta. Zoologia, Kraków, Starowiślna 31.

„*Dziennik Polski*”, Kraków, 1.10.1945

—
Kossoy Stelli, Anny-Ruth i Aliny zamieszkałych do 1942 r. w Warszawie, Leszno 15, poszukują Edward i Bertha Kossoy, 13 Hayarden st. Tel Aviv (Palestine).

„*Życie Warszawy*”, 1.10.1945

—
Zarząd Miejski w Gdańsku podaje do wiadomości, że listy osób, które podpisały deklarację wierności Narodowi i Państwu Polskiemu, zostały wywieszane przy gmachu Zarządu Miejskiego ul. 3 Maja [...] Kto wie o tym, że osoba wymieniona w wykazie została z własnej woli wpisana do 3-ej lub 4-ej grupy niemieckiej listy narodowej lub też zachowanie się tej osoby w okresie okupacji nie dało się pogodzić z polską odrębnością narodową, powinien powiadomić o tym władze.

„*Dziennik Bałtycki*”, 2.10.1945

—
Angielskie mundury, buty, pasy kupi lub wynajmie Teatr
Kameralny TUR, Kraków św. Jana 6

—
Kurowska Emilia z Kołomyi odbierze list od męża.
Margel, Kraków Miedziana 70.

„*Dziennik Polski*”, Kraków, 3.10.1945

—
Panią, na której rękach rzekomo mój syn życie
zakończył, Zbyszek Dzierzgowski, na ul. Długiej
w sierpniu 1944 r., bardzo proszę o skomunikowanie się
ze mną. Irena Dzierzgowska, W-wa Kamionkowska 25.

—
Anna z Grabowskich Michalewska, więz. Oświęcimia
żyje i jest w Szwecji. Wiadomość: inż. Anraszkievicz,
„Lot”, Nowogrodzka 48.

„*Życie Warszawy*”, 5.10.1945

—
Ktokolwiek wiedziałby coś o mnie niżej podpisanym,
że ja nie postępowałem zgodnie z literą prawa, tak
w służbie jak też i poza służbą, przez co naraziłem
kogoś na szkodę, proszę natychmiast zawiadomić o tym
Wydział Bezpieczeństwa Publicznego. Ludwik Zięba

poborca podatkowy.

„Dziennik Rzeszowski”, 7.10.1945

—

Przed wyjazdem na Zachód wstąpi do Wytwórni Cukierków „Grylaż” w Krakowie-Podgórzu, ul. Węgierska 7, celem kupna niedrogich a doskonałych cukierków itp., które się nie zlepia, choćbyś jechał miesiąc.

„Dziennik Polski”, Kraków, 10.10.1945

—

Wezmę za swoją dziewczynkę inteligentnych, zdrowych rodziców, od lat 2-5, chętnie nieochrzczonej. Wiadomość proszę kierować: „Dziennik Polski”.

—

Nauczyciel, były więzień Oranienburga, prosi o pożyczanie lub ofiarowanie mu koca. Nauczyciel, Kraków, Lubicz 3, Schronisko.

„Dziennik Polski”, Kraków, 10.10.1945

—

Mam realność i prowadzę nieduże przedsiębiorstwo. Jestem samotny i poszukuję współpracownicy samotnej. „Włochy”, Bema 11.

„Życie Warszawy”, 11.10.1945

—

W związku z bezprawnym używaniem godła państwowego umieszczanego na karoseriach pojazdów mechanicznych nakazuję usunięcie ich do dnia 1.11. br. [...] Komendant Milicji Obywatelskiej, Konwizor mjr.

„*Dziennik Bałtycki*”, 12.10.1945

—

Pod Warszawą do gospodarstwa i dojenia jednej krowy poszukuję. Wiejska 17.

—

Ekshumacje i przewozy zwłok już załatwia Zakład Pogrzebowy Eug. Majewski. Warszawa ul. Krak. Przedmieście 16.

—

Proszę o oddanie dziecka dwuletniego, porwanego we wtorek 9 października, Stefana Rajcha z podwórka, ul. Nowogrodzka 75. Uprzedzam, że kroki zostały poczynione. Górczewska 50, Maria Rajch.

„*Życie Warszawy*”, 11.10.1945

—

Uwaga! Filateliści! Poszukuję wszystkie pocztówki i koperty na ziemiach Polski, od czasu wybuchu wojny, aż do wydań obiegowych. Kupię za gotówkę, albo

wymienię na znaczki amerykańskie. Proszę wysłać na adres: Klemens Pulaski, 320 S. Hickory St., Mt. Carmel, Penn. U.S.A.

Ewa Szyfer 74 lata i Stefan Oldak 10 lat, mają się zwrócić natychmiast do Ambasady Francuskiej w Warszawie, gdzie są złożone dla nich wizy francuskie i gdzie znajdą niezbędną dla wyjazdu do Francji pomoc.

Rozwodowy – małżeńskie sprawy przyjmuje obecnie: Mokotowska 5-1 Obrońca Konsystorski Paweł Denysenko.

„Życie Warszawy”, 15.10.1945

20 październik – uroczyste otwarcie kabaretu artystyczno literackiego „U Fogga” Marszałkowska 119. H. Brzezińska, M. Fogg, F. Szczepański. Humor! Sentyment! Piosenki!

„Życie Warszawy”, 19.10.1945

Feluchno! Wracaj, błagam Cię. Jestem zrozpaczony – Jan Filipak.

Oddam noworodka chłopca w dobre ręce za swoje.

Kraków, Bosacka 7.

„*Dziennik Polski*”, Kraków, 21.10.1945

—

Do ludzi dobrej woli! Na ulicy Leszno 117 w Warszawie znaleziono 2 trupy. Jeden leżał na klatce schodowej na I piętrze a drugi w mieszkaniu II piętra. Znaleziono zapiski, że ukrywali się od sierpnia 1944 r. do grudnia 1944 r. w tym domu. O jakąkolwiek wiadomość błaga zrozpaczona rodzina zabitych. Może ktoś z nimi rozmawiał, może ma od nich jakąkolwiek drobnostkę, notatki, fotografie, dowody – proszony bardzo za wszelkimi wynagrodzeniami dać znać: Gibalskiego 2a. Maria Twardowska.

„*Życie Warszawy*”, 21.10.1945

—

Obsiana ziemia to chleb na jutro!

„*Dziennik Bałtycki*”, 24.10.1945

—

Wezmę za swoją dziewczynkę, sierotę 15-letnią, Brwinów, Lewicka 10.

—

Uwaga mieszkańcy Moniuszki 12. W sprawie zbiorowej ekshumacji, zgłaszać się Nowogrodzka 42, oficyna

I piętro, dr Słubicka.

„Życie Warszawy”, 25.10.1945

—

Straż Bezpieczeństwa „Obchód” przyjmuje uczciwych ludzi, wiek 25-45, do służby wartowniczej nocnej. Przyjęcia codziennie od 9 do 14, Kraków, Dunajewskiego 6.

„Dziennik Polski”, Kraków, 28.10.1945

—

Obywatele m. Radomia, kto z was ofiaruje biednej kalece pewną kwotę pieniężną na kupno kul wzgl. protezy. Łaskawe ofiary proszę składać: Radom, Wałowa 45, Janina Krzemińska.

„Dziennik Powszechny”, Radom – Kielce, 28.10.1945

—

Wodzireja do prowadzenia tańców salonowych poszukuję.

—

Maszyny do pisania z niemieckich na polskie przerabiamy nowymi czcionkami. Warsztat Maszyn Biurowych J. Bartoszek. S. Latek, al. Jerozolimskie 26.

„Życie Warszawy”, 28.10.1945

—
Oddam 7-miesięczną dziewczynkę na własność.
Wiadomość: Solna 16.

—
Który z Buchenwaldczyków ewakuowany w kwietniu 1945 r. do Neigamen brał udział w ucieczce z pociągu w odległości 40 km od Magdeburga, wrócił do kraju i mógłby poinformować o losie Witolda Modzelewskiego Nr. 10772 proszony jest o podanie wiadomości pod adres: Ząbkowska 6. Modzelewscy.

„Życie Warszawy”, 29.10.1945

Sanok

Szczęście '45

Przyszli do Sanoka z dziećmi i pierzynami. Kto miał konia, przyszedł z koniem. Komu została krowa, przyciągnął ją na powrozie. Czy mieli z sobą coś do jedzenia? Chleb upieczony po raz ostatni, zanim piec spłonął z domem? Może biały ser zawinięty w czystą szmatkę? Raczej nie. Kiedy płonie dom, najpierw sprawdzasz, gdzie są dzieci, potem lecisz odwiązać krowę z obórki, wygonić konia z podwórka i biegiem w ogień po pierzyny. Dlaczego akurat po nie? Może dają poczucie bezpieczeństwa większe niż uratowane z pożaru korale przywiezione z jarmarku w Sanoku? Nie wiem. Ale we wspomnieniach pogorzalców matki zawsze biegną w ostatniej chwili ratować piernaty.

A potem ruszali do miasta. Po schronienie i ratunek. Szli Polacy ze wsi spalonych przez Ukraińców. Ukraińcy ze wsi spalonych przez Polaków zostawali na pogorzeliiskach.

Policzono, że ci, co przyszli do Sanoka, mieli z sobą tysiąc sztuk bydła. Zajęli puste domy przy ulicy

Cerkiewnej, Jagiellońskiej, Zamkowej (niektóre z nich przed wojną należały do sanockich Żydów). Zwierzęta zabrali z sobą do mieszkań.

Bolesław Gorączko, wiceburmistrz Sanoka, pisał: „umieścili swe bydło w lokalach mieszkalnych, w suterynach, w piwnicach, a nawet na pięttrze. Ubikacje mieszkalne wskutek tego niszczeją – bydło zaś leży na gołej ziemi czy posadzce bez żadnej podściółki, a gnojówka ścieka po ścianach, które gniją, rozlewa się po podwórzach i zanieczyszcza całe obejście”.

Jarosław Cholewka

Przed wojną przychodził do wsi fotograf. Rozwieszał płachtę i kto chciał, mógł się fotografować. A jeden od nas ze wsi kupił rower i na drodze robił sobie z nim zdjęcie. Droga biegła przy naszym domu, więc i dom na fotografię się załapał. Tak i mam po nim pamiątkę. Kazałem go malarzowi przenieść na obraz. Pani popatrzy: tu, gdzie okna, był pokoik, zaraz kuchnia i też okienka, potem komora, dalej sień i boisko, co się młóciło zboże, osobno szopa na narzędzia rolnicze.

Dom został spalony przez Polaków na wiosnę 1946 roku.



Andrzej Polański na rowerze w Uluczu, w tle chata rodzinna
Jarosława Cholewki



Obraz przedstawiający chatę Jarosława Cholewki

Nazywam się Jarosław Cholewka. Po ukraińsku moje nazwisko brzmi Choljałka, ale zostało po wojnie spolszczone. Jestem z 1930 roku. Urodziłem się w Uluczu, 30 kilometrów od Sanoka. Nasza wioska była duża, około 500 numerów, dwie cerkwie, kościół i bożnica. Polaków było 10 procent, Żydów tyle samo, reszta to Ukraińcy. Polacy mówili, że my jesteśmy Rusini, ale to tylko takie gadanie.

Moja matka, Katarzyna, urodziła pięcioro dzieci, czterech chłopców i dziewczynkę. Ojciec mój, Michał, miał 6 morgów pola. Był tkaczem, robił płótno, trochę

szewcował. Był starszym bratem od tej cerkwi, co na górze za naszym domem stała. Miał do niej klucze. Tam się odprawiało wszystkie ważne święta.

Przed wojną chodziłem dwa lata do powszechnej szkoły polsko-ukraińskiej. Pisało się rysikiem na tabliczce i miało się szmatkę do ścierania. Uczyła mnie Polka, ale dyrektorem był Ukrainiec Doda.

A potem wybuchła wojna. Było już po żniwach, pamiętam, śliczna pogoda, jak przyjechali Niemcy. Za trzy tygodnie zniknęli, a od strony Przemyśla przyszli Ruscy. Długie karabiny, szynel, Uzbeki jakieś, nie szło się z nimi dogadać. Ogłosili, że na Sanie będzie granica z Niemcami. Wy będziecie wolni, powiedzieli nam, nie będą was polskie pany więcej gnębić, ziemia będzie wasza, wszystko będzie wasze. I kazali zapisywać się do kołchozu. Okna nakazali zaciemnić, psy trzymać na uwięzi, zabronili hodować gołębie, żeby nie przносиły wiadomości na drugą stronę rzeki.

W Uluczu na początku mówili, że Ruski to nasze ludzie, z naszą mową i religią, ale to była nieprawda. Oni Ukraińców mieli w pogardzie.

I tak było do 22 czerwca 1941 roku. Była akurat niedziela, gdy ogłoszono, że Niemcy wydali wojnę Rosji. Niemcy wkrótce wrócili do Ulucza i wprowadzili swoje porządki, bydło zakolczykowali i kazali oddać żarna. Ludzi zaczęli wywozić na roboty. Żydów nie. Ich pewnego razu zabrali wszystkich naraz. Żydzi jechali smutni i na pożegnanie nam mówili: my idziemy

na rozczyn, was wezmą na zamis. Pani nie rozumie? Jak się chleb robi, to najpierw jest rzadki rozczyn, a potem dodaje się więcej mąki i miesi ciasto. To jest zamis wtedy.

W 1944 roku przechodził front. A potem zaczął się prawdziwy strach. I ten pani rok 1945 to się u nas ciągnął do 1947. Aż nas wszystkich w akcji „Wisła” wywieźli.



Lata czterdzieste, rejon kosowski, Karpaty Wschodnie.
Żołnierze Ukraińskiej Powstańczej Armii na szczycie góry. Stoją
od lewej: Nazarij Daniluk „Pierebijnis”, Wasyl Kuziw „Baz”

(członek osobistej ochrony Petra Melnika), Petro Melnik „Chmara” (dowódca TW-21 „Huculszczyzna”), sotnik Iwan Kulik „Siryj” (z lornetką). W obiektyw patrzy sotnik Dmitro Bilinczuk

Mówią, że UPA miała bazę w Uluczu. Ale to nieprawda. Banderowcy przychodzili do nas rzadko. Ale jak kto przyszedł głodny, to trzeba było dać jeść. Jak można było człowieka nie nakarmić? Pani by nie dała? Jedli i mówili, że czekają na III wojnę światową, która zaraz nastąpi. Że będzie wolna Ukraina. Że nas obronią. A my słuchali, nic nie mówili, w politykę się nie miesza.

Akowcy do Ulucza nie przychodzili, tylko kilka razy przeszli przez wieś. Partyzanci UPA nas przed nimi chronili.

Część chłopaków poszła z nimi do lasu na ochotnika. Woleli to, niż iść na wojnę w niemieckim czy sowieckim mundurze. A potem, jak UPA walczyła z Wojskiem Polskim i miała straty, to dobierali wśród ludzi we wsi, zabierali jak do wojska i nie było nic do gadania. Nie można więc powiedzieć, że wszyscy w UPA to byli ochotnicy.

Polakom z Ulucza, którzy żyli w mieszanych rodzinach – z osiem takich zostało – kazali przenieść się na drugą stronę Sanu, tam gdzie były polskie wsie. My wam nic nie zrobimy, powiedzieli, ale nie będziemy za was odpowiadać. Przyjdą inni i was zabiją. Więc polscy mężczyźni poszli z Ulucza. Jacy to z nich byli

Polacy tak naprawdę? Po polsku nawet dobrze rozmawiać nie umieli. Polaków w Uluczu można było poznać po tym, że tacy bardziej zadziorni byli. A nasi spokojniejsi. Ale poszli.

W 1945 jak to było? Za banderowcami do lasu przyszło polskie wojsko. Jedni przyszli i nic nie mówili. Drudzy za byle co zabierali z chałupy, że syn niby w UPA służy. Raz dawali konie ludziom orać, bo we wsi koni już nie było, a potem znów kradli.

Za wojskiem szli Polacy z sąsiednich wiosek. Na rabunek. U nas w domu też byli. Ale ciocia, siostra taty – ona poszła za męża na polską wioskę – wpadła za nimi. Patrzy, a tu mama płacze, bo jakiś polski gówniarz nam krowę odwiązuje. Znała go i pogoniła. On do dziś mieszka w Sanoku, jego nazwisko podaję w mojej książce, którą napisałem po ukraińsku. Kury, kaczki brali. Co było. Wszystkim we wsi krowy wtedy ukradli, tylko nam zostawili.

Myśmy nie rabowali polskich wiosek. UPA nie kradła. Mówi pani, że UPA ma opinię, że była jeszcze gorsza? A proszę pani, czy Polak napisze na siebie złą historię?

Prawda jest taka, że myśmy się bali obu stron. Za dnia Wojska Polskiego, po zmierzchu banderowców. Mielśmy po wojnie polskiego sołtysa. UPA go zabiła, że niby doniósł coś na Ukraińców do NKWD. Zaraz

potem wybrano ukraińskiego sołtysa. Też go zastrzelili. Ale nie wiem za co. To więcej już sołtysa we wsi nie było. Raz kuzynce banderowscy żandarmi włosy obcięli, takie miała piękne, a jej koleżance 25 batów dali za rozmowy z polskimi żołnierzami. Jedna z domu obok doniosła, że widziała. A co one miały zrobić? Wojsko szło przez wieś, o coś zapytało, trzeba było odpowiedzieć.

Nasz dom spłonął na wiosnę 1946 roku. Najpierw do wsi wjechał polski porucznik na koniu. W ręku trzymał worek, za nim szli żołnierze, strzelali do kur i wsadzali do tego worka. A w tym czasie w pobliżu kwaterowała się sotnia banderowska z Przemyśla. Okrążyli wioskę, porucznika zabrali do lasu, a dwóch ludzi zabili. Wojsko Polskie przyszło z odwetem. I jak zaczęli się ganiać po wsi, strzelać kulami zapalającymi... Wiele domów poszło z dymem, w tym nasz. Zamieszkaliśmy w piwnicy, a na zimę poszliśmy do innej wsi, z której wywieziono wcześniej, pod przymusem, Ukraińców do Związku Radzieckiego.

A pani pyta, czy jakieś szczęście mnie w 1945 roku spotkało. Więc odpowiadam: szczęściem było, że nikt z mojej rodziny w tamten rok nie umarł.

Zofia Cholewka

Kto miał takie szczęście, to miał. Ja żadnego w 1945

roku nie zaznałam. Ojca, Wasyla, Ruscy zabrali na wojnę w 1941 roku. Nie wrócił. Została mama i ja ze starszym bratem.

Druga tragedia to głód. Jedliśmy lebiędę.

A później Polacy spalili nam dom.

Nazywam się Zofia Cholewka, rocznik 1935, z Ulucza, jestem żoną Jarosława. Pamiętam, jak staliśmy z bratem na podwórku, miałam dziesięć lat. Była późna jesień czy nawet początek zimy 1945 roku. Mama przyszła, a za nią dwóch wojskowych w mundurach. Mam w głowie tamtą chwilę, jak na zdjęciu: jeden żołnierz wykonuje ręką przeciągły gest, jakby pocierał zapałkę, i rzuca ją na dach ze słomy. Mama tylko poszła i pierzynę uratowała. Chatę ciotki też spalili.

Potem naszą wieś podpalali jeszcze dwa razy, w 1946 roku. Najgorzej się mścili ci Polacy, co z Wołynia byli. Znali naszą mowę i religię, kazali się przeżegnać i od razu wiedzieli, czy ty z cerkwi, czy z kościoła.

Nie był to koniec naszego nieszczęścia. Mama zaraz zachorowała na tyfus i zmarła. W każdym domu ktoś wtedy w Uluczu umierał. Po kilka osób.

A na wiosnę 1947 roku dali nam wszystkim dwie godziny na opuszczenie wsi. I wywieźli do Prus. Wróciliśmy z mężem w latach sześćdziesiątych. Ale naszego Ulucza już nie ma. Została cerkiew, najstarsza w Polsce, ta, co była na górcie za domem męża. My mieszkamy w pobliżu Sanoka.

Meldunki z posterunków

Kwiecień

Nieznani sprawcy ostrzeliwali gromadę Ratnawicę przez pół godziny. Ofiar nie było. „Tego nie dokonali banderowcy, bo Ratnawica jest wsią ruską”.

Maj

Banderowcy powiesili gajowego Józefa Nisiewicza i jego żonę. Zastrzelili Katarzynę Demkowicz, Mariana Popiela, Zygmunta Progorowicza i Karczyńskich.

Dwóch nieznanych osobników napadło na Michała Ciepłego, kierownika mleczarni z Jaćmierza. Jechał furmanką z masłem i serem do Sanoka. Ukradli mu 42 kilogramy masła. Byli w ubraniach cywilnych. Rozmawiali po polsku.

Na podstawie wyroku Ukraińskiej Narodowej Samoobrony został powieszony Wasyl Homyk, narodowości ukraińskiej. Przedstawiciele UNS przed wykonaniem wyroku na Homyku pobili dotkliwie żelazną laską sołtysa Teodora Dziabę, Jana Swytycza, Fenę Milana i Andryja Łakomego z Polan koło

Rymanowa. Powiedzieli im, „że są bici za to, że donoszą o wszystkim NKWD oraz Milicji Polskiej”.

Miasto

Sanok, do którego Armia Czerwona wkroczyła już w sierpniu 1944 roku, był w trudnej sytuacji. Uchodzący Niemcy wysadzili w powietrze fabrykę akumulatorów, trzysta budynków spalono albo zniszczono pociskami, w oknach brakowało szyb, elektrownia miejska nie pracowała. Powiat sanocki w 1945 roku był jednym z najbardziej zniszczonych w województwie rzeszowskim.

Sowieci traktowali miasto jak swoją własność. Decydowali o obsadzie stanowisk w administracji i sprawowali całkowitą kontrolę nad Powiatowym Urzędem Bezpieczeństwa. Rozpoczęli akcję przesiedleńczą Ukraińców do Związku Radzieckiego, zgodnie z umową zawartą we wrześniu 1944 roku między PKWN a Republiką Białoruską, Litewską i Ukraińską. Dobrowolne w teorii przesiedlenia wyglądały często jak łapanki, w których schwytaną we wsiach ludność, która nie zdążyła ukryć się w lesie, odstawiano pod broń na dworzec, skąd po wielu dniach wyjeżdżali do Związku Radzieckiego. Ich domy zajmowali polscy repatrianci ze wschodu, ale przeważnie na krótko – UPA paliła często wsie

zajmowane przez Polaków z przesiedleń.

Rosjanie do tego strasznie brudzili. W lutym 1945 roku lekarz powiatowy Kazimierz Niedzielski, obawiając się epidemii, alarmował, że wokół budynków, w których stacjonują żołnierze, panuje bałagan. Przy domu nr 5 w Rynku „podwórze zarzucone jest odpadkami, bandażami, kośćmi zwierzęcymi i pomyjami tak, że te są wyrzucane na ulicę Łazienną”. Podwórko przy bursie szkolnej zawałono odchodami ludzkimi i zgniłymi kartoflami, na plac przy koszarach nieczystości lecą wprost z okien, podobnie jest w szpitalu mieszczącym się w gmachu sądu okręgowego, jak i w kwaterach przy Jagiellońskiej 120. Sprzątanie po czerwonarmistach nie daje efektu, bo po kilku dniach wszystko wygląda jak przedtem.

Alicja Wolwowicz

Koniec wojny to było szczęście. Chyba dla każdego. Że już nikt nie będzie narażony, do nikogo nie będą strzelali. Jak się zaczynaliśmy orientować, jak będzie, to przestawaliśmy się cieszyć. Ale na początku to było prawdziwe szczęście.

Nazywam się Alicja Wolwowicz, urodziłam się w Sanoku w 1928 roku. Miałam dwóch starszych braci. Mój ojciec, Wiktor, pracował w przemyśle naftowym, moja mama, Tekla, w szkole. Mieszkaliśmy

w Borysławiu, bo tam był ośrodek wydobycia ropy. Ale jak weszli Rosjanie i chcieli wysłać tatę do Baku, bo tam potrzebowali fachowców, tata z pomocą przyjaciół przeniósł się w Gorgany. My z nim. Miał tam pod sobą dwa szyby naftowe, pięć kilometrów od najbliższej wsi, do której docierała tylko kolejka wąskotorowa. Jak się zaczęły zamachy Ukraińców na Polaków – dwaj asystenci taty zginęli, jednemu poderżnęli gardło, drugiego zastrzelili – tata w lutym 1944 roku przywiózł nas do Sanoka. Sam wrócił, bo niemiecka już wówczas dyrekcja mu kazała. Ukraińcy napadli też wkrótce na tatę, ale nic mu nie zrobili, tylko dali trzy dni na wyjazd. Po tym terminie mieli wrócić i go zabić. Swoją łaskę tłumaczyli tym, że ojciec był dobry dla ukraińskich pracowników. Udało mu się przyjechać do nas w maju 1944 roku.



9 maja 1945 roku, wiec mieszkańców Sanoka zorganizowany z okazji zakończenia II wojny światowej. Na mównicy burmistrz Stanisław Lisowski z Polskiej Partii Robotniczej lub dr Jan Świerzowicz (obydwaj przemawiali tego dnia), w tle północno-zachodnia pierzeja rynku

Pamiętam, że z końcem wojny Sanok był przeludniony. W mieście schronili się Polacy z Poznańskiego i Łódzkiego, warszawiacy po powstaniu, zaczęli się zjeżdżać ludzie z Kresów, szli pogorzelcy z okolicznych wsi. Gimnazjum i liceum otwarto już w październiku 1944 roku, w klasie była młodzież w różnym wieku. Była duża rotacja. Ludzie

wracali do siebie, jak tylko Niemcy opuszczali ich tereny.

Gdy powstał hufiec ZHP w Sanoku, zostałam harcerką. Organizowałyśmy pomoc dla repatriantów, którzy jechali pociągami ze wschodu. Pomagałyśmy w kuchni klasztornej, gdzie była gotowana zupa, i nosiłyśmy ją potem w baniakach na stację. Miałyśmy kilka chochli i rozdzielałyśmy zupę wśród ludzi. Czasem trzeba było opatrzeć komuś jakąś ranę, wytłumaczyć, jak dojść do miasta.

Jako harcerka urządziłam wycieczki za miasto, niedalekie. Którejś niedzieli razem ze swoją drużyną poszłam na Białą Górę, po drugiej stronie Sanu. Pod lasem urządziłyśmy biwak. Zastęp kuchenny przyrządzał obiad na kuchni polowej, my ćwiczyłyśmy, były jakieś podchody. W pewnym momencie z lasu wyszedł człowiek. Miał wysokie buty i wojskowe spodnie, ubrany był w cywilną marynarkę, wojskową czapkę, na ramieniu miał karabin. W pierwszej chwili nie wiedziałam – Ukrainiec czy Polak. Ale z bliska zobaczyłam, że ma orzełka na czapce. Byłam najbliżej, zapytał mnie: a z kim wy tu jesteście? Jak to z kim, spytałam. No kto tu jest najważniejszy, chciał wiedzieć. Akuratnie ja, odparłam. Bo byłam drużynową. To proszę zbierać wszystko i iść stąd, rozkazał. Proszę pana, my do lasu nie idziemy, próbowałam go przekonywać. Jednak radzę stąd odejść, powiedział. Poszłyśmy, nie było rady. Rozbiłyśmy biwak nad

Sanem. Czy to mógł być ktoś od Żubryda? Nie wiem. Mam wrażenie, że wtedy było więcej grup partyzanckich.

Pewnego dnia wśród uczniów naszej szkoły gruchnęła wiadomość, że w piwnicach banku – dziś PKO z żubrem – siedzą Polacy. NKWD ich trzymała. Mówiło się, że są tam torturowani. Okienka piwniczne nie miały wtedy szyb, odgradzały je od ulicy tylko trzy pręty. Idąc chodnikiem, można było coś tam nieznacznie wrzucić. Staraliśmy się z koleżankami polecieć tam na dużej przerwie i podrzucić kanapki. Takie zwykłe, jak do szkoły, tylko robiłyśmy ich więcej. Działyśmy parami, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Pewnego dnia z okienka wyleciała kulka papieru. Rozłożyłyśmy ją, a tam list po ukraińsku!

Doszły do nas wieści, co Ukraińcy robili na Wołyniu, wiedzieliśmy, że w Bieszczadach palą polskie wsie. Pamiętam, że z harcerkami urządziłyśmy festyn dla dzieci, a dochód z niego przeznaczyłyśmy dla pogorzalców właśnie. Ukraińców w mieście było sporo. Mam wrażenie, że byli to przedwojenni mieszkańcy Sanoka. Byli wśród nich lekarze, adwokaci. Posyłali dzieci do polskich szkół, bo innych przecież nie było. Nie mogli udawać, że nie są Ukraińcami, bo wszyscy ich znali. Ale siedzieli cichutko jak myszki. Nie odzywali się na ulicach, nie brali udziału w życiu miasta.

Czy nie lubiło się Ukraińców? No oczywiście, że nie. Wyrzuciłyśmy tę kulkę do śmietnika i tak nasza pomoc

się skończyła.

Meldunki z posterunków

Maj

„Wobec ciągłych napadów i mordów dokonywanych przez Ukraińców na ludności polskiej, Polacy z wypalanej Borownicy, Kuźminy, Tyrawy Wołoskiej i okolicznych wsi przesiedlili się do Mrzygłodu w skutek czego gromada ta zawałona jest napływowymi ludźmi i inwentarzem żywym co spowodowało brak żywności i paszy”.

Czerwiec

Trzydziestu uzbrojonych mężczyzn spaliło dom Ukraińca Jana Dzusły, zabrali mu krowę i dwie owce. Onufremu Chomukowi skradli jednego konia, jałówkę i cztery owce. Odchodząc, wybili mu w oknach wszystkie szyby i ukradli ubrania. Odeszli w kierunku Lubatowej.

„Dnia 23.06.1945 r. o godz. 9.30 Michał Płatek, lat 30, z Beska, rzucił się pod pociąg towarowy jadący w kierunku Sanoka. Powodem samobójstwa była miłość. Płatek Michał był narodowości ukraińskiej a zakochany

w Polce, zamieszkałej w Besku”.

Władysław Szul

Hroszówka. Tak się nazywała wieś, w której się urodziłem w 1928 roku. Jestem dzieckiem panieńskim. Moja mamusia umarła, jak miałem osiem miesięcy, wychowała mnie babcia i ciotki. W domu mówiliśmy tylko po ukraińsku. Ale język polski też znałem od dziecka. Nasza wieś była tak blisko Ulucza, że niemal się z nim łączyła. Ale Hroszówki już nie ma. Spłonęła. W naszego sylwestra, 13 stycznia 1946 roku, przyszło polskie wojsko i ją spaliło. Był ranek, zaszli od lasu, ludzie nie mieli gdzie uciekać, żołnierze zabrali wszystkie konie i podłożyli ogień.

Tak się Polacy i Ukraińcy palili w odwecie. Polacy Hroszówkę i Ulucz, Ukraińcy Tremeszów i Witryłów. Jedno to, drudzy zaraz tamto. Z tym że UPA nigdy nie zaczynała, nie mordowała tak o. Tylko w odwecie. Mówili, że banderowcy zabijają. A to nieprawda. U nas, po wojnie, najstraszniejszy okrzyk, jaki można było usłyszeć, to: „Polacy idą!”.



6 stycznia 1946 roku, spalone przez UPA zabudowania
w miejscowości Bircza w Bieszczadach



6 stycznia 1946 roku, Bircza w Bieszczadach. Jednostka 9.
Dywizji Piechoty w spalonej przez UPA wsi

Po Hroszówce została tylko kapliczka świętego Jana, postawiona w 1848 roku na pamiątkę zniesienia pańszczyzny. Dbamy o nią. Proszę spojrzeć, kazałem ją namalować na obrazie. Piękna, prawda?

Nazywam się Władysław Szul. Moja żona ma na imię Katarzyna, rocznik 1936, i pochodzi z Werchratej, powiat Lubaczów. Szesnaście gospodarstw, była tam tylko jedna Polka, żona Ukraińca. Katarzyna pamięta, jak AK napadło na ich wieś. Kradli wszystko, co im wpadło w ręce. Mama zawięła więc sztućce w ściereczkę i obwiązała nimi Kasię, żeby chociaż te kilka widelców i łyżek uratować. O ostatni garnek jej

tatuś bił się z partyzantem. Złapali każdy po uchu i ciągnęli do siebie. Nie dam, wołał ojciec żony, bo w czym ja dzieciom obiad zgotuję?! A bo cię zabiję, jak nie dasz, krzyczał akowiec. A zabij, wszystko mi jedno, raz zabijesz i żyć nie będę, a póki co dzieciom zgotować muszę!

W 1945 roku nie chodziłem do Sanoka. Za Niemca parę razy tam byłem, pieszo. Ale za Polski to już nie. Bałem się. Jak chciało się kupić naftę, zapałki i sól, to trzeba było dotrzeć do Przemyśla. Że to 70 kilometrów, pani mówi? Ale szło się przez ukraińskie wsie. Do Sanoka nikt z nas nie chodził, bo po drodze były przeważnie polskie wioski. Niebezpiecznie. Polacy do nas też nie szli. Trzymali się tamtej strony Sanu. A znaliśmy się przecież wcześniej. I nagle przestaliśmy sobie ufać.

Ja pani powiem: szczęście w 1945 miał ten, kto przeżył tamten rok.

Meldunki z posterunków

Lipiec

„Dnia 18.07.1945 r. zgłosił się na posterunek MO w Dynowie Budzik Michał, plut. WP, Kabierski Michał i Kabierski Marian, wszyscy zamieszkali w Żohatynie, i zeznali, że Ukraińcy sąsiednich wsi, upomnieli ich, aby wszyscy usunęli się ze wsi, bo w przeciwnym razie

wszyscy będą wyróżnieni tak jak w Borownicy. [...] Ludność polska ucieka w popłochu”.

Październik

Na pniu kasztanowca w Bukowsku, przy kościele, ktoś wywiesił ręcznie spisane obwieszczenie: „Polska Partyzantka A.K. Obwieszczenie. Porucznik A.K. »Rogacz«. Zawiadamiam wszystkich mieszkańców Bukowska ażeby nie dali ani kilograma kontyngentu zbożowego. [...] A więc Wójcie przyłóż swoich starań dla Bukowska, bo jeśli nie to znajdziesz się tam gdzie i Wójt »Mazur«. BACZNOŚĆ. Policja, przestańcie chodzić za kontyngentem, bo zostanieie wszyscy rozstrzelani z komendantem i Wójtem. Precz z partją P.P.R.”.

Jan Kobiela

A w 1945 roku to już cyrk był! Wcześniej, latem 1944 roku, Ruskie najechali furmankami do nas. Konie puścili luzem, po ścierniskach, najadły się zwierzęta kłosek i od tego potem zdychały. Sołdat wpadł do wsi, z kulą w szczęce, tu mu weszła, a stąd wystawała. Chłop wyciągał obcęgi. *Niczewo*, wołał żołnierz, grunt, że papiery sztabowe w porządku! Robili te Ruski, co chcieli. Ile razy ja od nich po gębie dostał, tak za nic. Idę drogą, pijany Rusek z naprzeciwka i *wot ty sobaka*,

szast-prast mnie po gębie. Powiedziałem bratu, poszedł do chałupy, gdzie Rusek wszedł, i też go sprął.





Bieszczady, 1946 rok. Schwytni przez Wojsko Polskie partyzanci z UPA

Nazywam się Jan Kobiela, rocznik 1929, wieś Płowce, pod samym Sanokiem. Mieszkam tam całe życie.

Przed wojną to żyliśmy dobrze z Ukraińcami. Tylko byli Ukraińcy i Starorusiny. Te drugie były lepsze, żyło się z nimi super. A potem się wszystko między nami zepsuło. To była Ruskich robota. Napuścili nas na siebie.

W roku 1945 i 1946 noc w noc wszystko się wokół Sanoka paliło. Ryk krów, rzenie koni, strzelaniny. Patrzyłem: płoną Nowosielce, stacja kolejowa, Nowotaniec, Bukowsko. Niech to licho weźmie. Takie codziennie masakry.

U nas, w Płowcach, Ukraińcy nic nie spalili. Przyszło

do nas raz ostrzeżenie z innej wsi: uważajcie, bo banderowcy przyjdą i was spalą. Ale cały las wokół roił się od akowców, ochronili nas. Mówi pani, że nie tylko akowcy w lasach byli? Inni Polacy też? Wiem przecież. Partyzanci, oddziały zbrojne, oddział Antka Żubryda. Jego to znałem jeszcze z wojny. Mały, zwinny, miałem 16 lat i byłem wyższy od niego. Przyszedł do Płowiec na Boże Narodzenie 1943 roku, potańcówki urządzał, ja grałem na harmonii, samogonu nie brakowało.

Tylko raz upowcy przyszli do naszej chałupy. Na samym początku 1946 roku. Noc, schodzę z warty i słyszę, że mój pies szczeka. A co on tak szczeka, myślę.

Pani pyta, z jakiej warty? Wstąpiłem do ORMÓ. Chodziłem na akcje. Meldunek raz przyszedł, że w sąsiedniej wsi UPA, to poszliśmy. Ale uciekli nam na Baligród. Mam legitymację kombatanczką, a tam napisane, że za utrwalanie władzy ludowej. Jakiej ludowej? Człowiek walczył o swoje życie! Co, miałem pójść dać się zabić banderowcom? Jak mnie zabiją, to ja wcześniej dziesięciu rąbnę, myślałem, za darmo skóry nie dam.

No więc słyszę, że mój pies szczeka. Wchodzę do domu, jeszcze czapki z głowy nie zdjął, a tu wałą w okna, wpuszczać, Wojsko Polskie, uwiązać psa! Otworzyliśmy, mróz powiał straszny, patrzę, a to Ukraińcy, banderowcy, tryzuby na czapach, sukinsyny

jedne. Włazą i rabują. Brat z Bolonii, gdzie doszedł z polską armią, przysłał nam trzewiki wojskowe, mundury, swetry, a ci rabują, co się da. Na to odzywa się żona brata, z pochodzenia Ukrainka: baćko – znaczy mój ojciec – pomógł wyciągnąć z więzienia znajomego Ukraińca. Nic nam nie zrobili, tylko obrabowali i poszli. A mogli zabić.

Życie wtedy nic warte nie było. Strzelali wszyscy do siebie jak do zajądów.

Nasi nas nie okradali. Tylko raz, jeszcze w 1945 roku, przyszedł Stanisław Kossakowski, co przez chwilę działał z Żubrydem, do domu ciotki. Wujka nie było, aresztowany w obozie w Jaworznie siedział za działalność w AK. A ten świnię ciotce bierze! Brat przychodzi i mówi: Kossakowski, zostaw to! Od akowca bierzesz?! Kossakowski na to: a co ja będę jadł? Brat mu: co mnie to obchodzi, Ukraińcom idź zabierz. Ale nie posłuchał i zabrał.

To ja jeszcze pani o moim szczęściu powiem. Pierwszych Ukraińców wysiedlać zaczęli do Związku Radzieckiego już w 1945 roku. Żal było sąsiadów z wiosek wokół. Kolegowało się od małego. Adamowi i Józkowi pomogłem zawieźć ich dobytek na stację, pojechałem jeszcze się pożegnać. Ale potem, jak już Ukraińcy opuścili Stróże, wieś zaraz za Płowcami, to chodziłem po ich domach i broń wyciągałem. Karabiny spod strzech, granaty ze schowków. Pocisk na plecach, taki wysoki, przeniosłem do domu. Katusza to była.

Brat za mną taczkę granatów wiózł. Ojciec zawołał:
na co wam tyle broni?! Na zajęce, tato, śmialiśmy się.

I to, proszę pani, było prawdziwe szczęście.

Listopad 1945

Witamina. Hurtowa sprzedaż kapusty kiszonej.
Wiadomość Wilcza 16.

„*Życie Warszawy*”, 1.11.1945

Dziś i codziennie o godzinie 10 (w niedzielę o 16.30 i 19) w sali Wedla, Zamoyskiego 26, występuje gościnnie Łódzki Teatr „Syrena”. Pod kier art.-lit. Jerzego Jurandota. Udział biorą: Maria Bielicka, Jadwiga Gosławska, Stefcia Górską, Stefania Grodzieńska, Edward Dziewoński, Romulad Gierasieński, Wieńczysław Gliński, Waław Jankowski, Eugeniusz Koszutki, Waław Kucharski, Duet Sutt.

Skradziono bloczek na podatek od spożycia Nr. 196301.
Sawicka, Kawęczyńska 31, owocarnia.

„*Życie Warszawy*”, 4.11.1945

Podziękowanie za solidne leczenie nerwów p. dr. Hauserowi i P. Żabiance składa Sewerniak Helena.

Chłopczyka 6-miesięcznego, zdrowego, ładnego oddam za swego. Zgł: „Dziennik Polski”.

„Dziennik Polski”, Kraków, 7.11.1945

—

Państwo, którzy zabrali ZWŁOKI z ulicy róg Oboźnej i Tamki w pierwszych dniach kwietnia proszeni są o podanie swego adresu. Sprawa bardzo ważna. Łódź Aleja 1 Maja 1. Zuchowicz.

„Życie Warszawy”, 7.11.1945

—

Powróciłam z Niemiec, poszukuję dzieci: syna Władysława i córki Jadwigi Wiśniewskich z Gerszewskich. Dobrowoja 7.

—

Pan Nowakowski Feliks z Żoliborza, proszę przyjść po list z Ameryki. Noakowskiego 10.

„Życie Warszawy”, 8.11.1945

—

Pani Julia Brodowska-Hickman, która w lipcu 1945 roku poszukiwała męża swego, lotnika angielskiego nazwiskiem Goeffrey Patrick Hickman proszona jest o natychmiastowe zgłoszenie się do Ambasady Brytyjskiej Hotel Polonia, pokój 415, biuro Attache

Lotniczego.

„Życie Warszawy”, 9.11.1945

—

Zgubiono odcisk palca na nazwisko Deresiewicz Sylwester wyd. w Poznaniu. Proszę zwrócić: Gdynia, Bandurskiego 39.

„Dziennik Bałtycki”, 10.11.1945

—

Madera Jan poszukiwany przez żonę z dzieckiem. Jestem bez pracy, w ostatniej nędzy. Wiadomość: Kazimiera Madera, PCK.

—

Fortepian „Bechsteina” wynajmę solidnym, Kraków Starowiślna 75.

—

Jesteśmy w nędzy, damy za swego 10-tygodniowego chłopczyka. Zgłoszenia: „Dziennik Polski”.

„Dziennik Polski”, Kraków, 11.11.1945

—

Feniks z popiołów, Kamea ze zgliszcz, odradza się w postaci wyrobów kosmetycznych przedwojennej jakości. Adamczewski, Praga, Grodzieńska 11.

—

Do sumienia. Dnia 6 listopada zostałem okradziony w mieszkaniu Rakowiecka 5. Proszę o zwrot listów i fotografii jako najcenniejsze za nagrodą. Proszę naznaczyć miejsce.

Felietonista-literat poszukuje pracy redakcyjnej. Oferty: Warszawa 1, skrytka 12.

„Życie Warszawy”, 11.11.1945

Jan Kielman. Egz. od 1883 r. Obuwie. Obecnie Chmielna 6.

Kafli majolikowych berlińskich jasnych do normalnego pieca sprzedam kilkanaście kompletów. Lublin, skrytka pocztowa 22.

„Życie Warszawy”, 12.11.1945

Ostrzegam, ażeby nikt nie nabywał od Warlikowskich budki mieszczącej się na Okęciu przy Alei Krakowskiej 38. Warlikowski jako niemiecki policjant ówczesny ową budkę otrzymał od niemieckiego biura kwaterunkowego. Prawowity właściciel był ścigany przez Niemców. Obecnie budka jest w sprawie.

„Życie Warszawy”, 13.11.1945

—
Obraz Matki Boskiej, znajdujący się w skradzionej 6.X.
z samochodu walizie, zwrócić: kościół Pallotynów,
Skaryszewska.

—
Obywatelu Złodzieju Kieszonkowy z tramwaju Nr. 9 dn.
9.XI br oddaj dokumenty – resztę opijemy! Major
Dobrowolski, Litewska 10.

—
Znaleziono kożę. Właściciel po udowodnieniu
własności zgłosi się po odbiór ul. Ludna 3.

„*Życie Warszawy*”, 14.11.1945

—
Dr. Grodzki zniekształcenia, operacje kosmetyczne.
Łódź, Przejazd 40.

„*Życie Warszawy*”, 15.11.1945

—
Rutynowana perkusistka (jazzb.) wstąpi do zespołu.
Orłowo ul. Inżynierska 15.

„*Dziennik Bałtycki*”, 19.11.1945

—
Szanowny P. Złodzieju! Bardzo proszę o zwrot

dokumentów i wszystkich fotografii, które są jedyną pamiątką dla dziecka po ojcu zamordowanym w Oświęcimiu. Al. Jerozolimskie 75. Adela Antoszewicz.

Pijawki tegoroczne, świeże na cele lecznicze. Bielska, Dmochowskiego 6.

„Życie Warszawy”, 19.11.1945

Starsza repatriantka, uczciwa, zdrowa, energiczna, dobrze gotuje, przyjmie miejsce gospodyni do dwójga osób, jako dochodząca, bez noszenia węgla. Zgłoszenia osobiste: Kraków, Wróblewskiego 3.

Barańskiego Eustachego, lat 38, który przebywał od 1940 w Rosji, poszukują: matka, żona, brat. Wiadomość: Barańska, Kraków, Mazowiecka 4.

„Dziennik Polski”, Kraków, 22.11.1945

Przepowiadam przyszłość, mówię o ukochanych nieobecnych osobach, pracy, stratach, egzaminach, wyjazdach, pożyciu małżeńskim. Jasnowidz z Warszawy, Radom, al. Starokrakowska 12. Otrzymuję dużo podziękowań.

—

Zaświadczenie nr. 1408 ujawnienia przynależności do organizacji AK wydane przez Urząd Bezpieczeństwa w Kielcach oraz metryka urodzenia na nazwisko Karasiński Stanisław, zam. Radom 1-go Maja 21 zaginęło. Ostrzega się przed nadużyciem.

„Dziennik Powszechny”, Radom – Kielce, 27.11.1945

—

Podaję do wiadomości lokatorom sprzed powstania ul. Rakowiecka 45 w Warszawie, którzy jeszcze nie odebrali rzeczy z piwnic, żeby się do dnia 1.12 po nie zgłosili. A. Palacz, Warszawa, Rakowiecka 45.

„Życie Warszawy”, 28.11.1945

Czerwone znamię

Około godziny dziesiątej wieczorem 30 stycznia 1945 roku Lucie Rybandt z synem spadła z okrętu „Wilhelm Gustloff” do Bałtyku.

Dziesięć minut wcześniej tłum wypchnął ją na pokład. Lucie rozgląda się wokół. Lampy awaryjne rozświetlają noc. Na prawo kłębi się czarna masa ludzi. W ciepłych paltach, futrach, z walizkami i kołdrami zawiniętymi w toboły, z biżuterią zaszytą w podszewki, próbują włądować się do łodzi ratunkowych. Kobiety krzyczą i tratują się wzajemnie, zagubione dzieci płaczą, mężczyźni depczą po przewróconych. Miażdżą palce, zgniatają obcasami nosy, odrywają dłonie innych od burt. Marynarze rąbią toporkami przymarzniałe liny przytrzymujące łodzie.

W powietrzu jest minus osiemnaście. Lucie zapomniała zabrać z kajuty czapkę, ale nie czuje zimna. Sprawdza, czy Hans Jürgen jest dobrze do niej przywiązany trzema szalami. Spokojny, nie płacze. Lucie nie chce pchać się do łodzi. Rusza po oblodzonym pokładzie. Mija skaczących do wody i modlących się głośno. Spotyka swoją sąsiadkę z Gdyni. Nie poznaje

Lucie. Stoi nieruchomo, wpatrzona w morze. Przytula do siebie młodszego syna. Starszego, dziewięcioletniego, który krąży wokół niej z płaczem, bezwiednie odpycha.

Lucie czuje, że statek coraz bardziej się przechyla. Decyduje się na skok do wody. Ale jest już zbyt stromo, żeby dotrzeć do relingu. Prosi o pomoc przebiegających marynarzy. Podpychają pod burłę kobietę z przywiązaniem do piersi synkiem. Staje na krawędzi i patrzy w dół. Kilkadziesiąt metrów niżej w czarnym morzu kłębią się już tysiące ludzi. Nie umie skoczyć. Ktoś ją spycha.

Łucja. Uprzejmie zapytujemy

Listonosz wkłada rano list do trochę pogiętej, odrapanej, pomalowanej brzydką żółcią skrzynki. Koperta zwykła, biała, z czerwonym krzyżem PCK. Jest 18 sierpnia 1998 roku. Łucja Bagińska ma 75 lat. Koło południa wraca od lekarza. Na parterze wyjmuje kopertę ze skrzynki. Przez cztery piętra zastanawia się, co może być w środku. Sądzi, że oferta pomocy od Polskiego Czerwonego Krzyża. Już kiedyś pytali, czy nie potrzebuje pielęgniarki. W mieszkaniu odkłada klucze na półeczkę nad kaloryferem, wkłada kapcie i siada w niebieskiej kuchni przy stole. Zniecierpliwiona otwiera kopertę. Szuka okularów do czytania. List jest

napisany na maszynie. Pod podpisem kierownika Biura Informacji i Poszukiwań przyklejone dwa znaczki – jeden za 45 groszy z modrzewiem europejskim, drugi, za dwa złote, ze znakiem zodiaku – Strzelcem. Łucja Bagińska czyta list. Jedenaście linijek, cztery długie zdania, sto dziesięć słów.

Skrót listu: „Do naszego biura zwrócił się Hans Jürgen Rybandt z prośbą o poszukiwanie matki – Lucie Rybandt. Według informacji matka jego miała przebywać z 30 na 31.01.1945 r. na okręcie »Wilhelm Gustloff«, który został zatopiony. W związku z tym uprzejmie zapytujemy, czy powyższe poszukiwanie dotyczy Pani”.



Pasażerowie wchodzą na pokład statku „Wilhelm Gustloff”
w porcie w Hamburgu, 1938 rok

Lusia. 36 marek

Łucja Raczkowska urodziła się 22 lutego 1923 roku w Grudziądzu. Ma ośmioro rodzeństwa i dziesięć lat, gdy umiera mama. Najmłodszą czwórką i ojcem obiecuje zając się jedna ze starszych sióstr. Wyjeżdża do Gdyni szukać pracy. Na Oksywiu, niedaleko portu wojennego, zakłada pralnię bielizny dla statków obcych bander. Ściąga rodzinę do siebie. Lusia (tak rodzina nazywa Łucję) kończy w Gdyni szkołę podstawową i zaczyna chodzić do handlowej. Chce być sprzedawczynią. Ma 16 lat, gdy wybucha wojna. We wrześniu 1939 roku Niemcy wywożą ją na roboty. Ma dwie sukienki w tekturowej walizce – wełnianą na chłodniejsze dni i jedwabną na ciepłe. Zapewniają, że jedzie tylko na trzy dni. W Darłowie, na targu najemników, za 36 marek Łucję kupuje córka niemieckiego gospodarza. Od tej pory do jej obowiązków należy karmienie świń, koni, dojenie krów, sprzątanie w gospodarstwie. Bambrzy są dla niej dobrzy. Traktują jak córkę, mówią: *Lucie, du bist unsere* (Lucie, ty jesteś nasza). Pod choinkę kładą dla niej aparat fotograficzny i fartuszek z kompletem nici do wyszywania. Łucja mówi coraz lepiej po niemiecku.

Języka uczy się ze skrawków gazet wieszanych w sławojce zamiast papieru toaletowego.

Wiosną Łucja wraca do Gdyni. Niemcy zmuszają rodzinę Raczkowskich do podpisania listy reichsdeutschów. Dogrzebali się w papierach, że ojciec Łucji mieszkał w Rzeszy przed pierwszą wojną światową, ożenił i tam urodziło się kilkoro z jej rodzeństwa. Podpisanie listy zwalnia z niewolniczej pracy dla Niemców.

Lusia znajduje pracę w sklepie galanteryjnym z sukienkami, guzikami, ozdobami choinkowymi i gumą do majtek. Zarabia 60 marek miesięcznie. Guma jest na kartki i *nur für Deutsche*. Lusia sprzedaje ją jednak spod lady wszystkim potrzebującym.

Lucie. Obowiązują długie suknie

Mieszkanie rodziny Raczkowskich mieści się w bloku naprzeciwko koszar. W jednym z okien często opala się Łucja, ładna dziewiętnastolatka. Gęste ciemne włosy spina w modny bubikop (włosy podpięte grzebieniami do góry, nad czołem lok). Odkryte ramiona wystawia do słońca. Żołnierze nudzący się w koszarach lusterkami puszczają do dziewczyny zajączki. Ona udaje obojętność, ale zakłada kapelusz i spod ronda przygląda się chłopcom.

Kilka miesięcy później, na Wielkanoc 1942 roku,

Lusia zaręcza się z jednym z nich – Niemcem Georgiem Rybandtem z Pucka. Piszą do siebie listy. Rok później biorą ślub. Pan młody, lat 21, dostaje na tę okazję przepustkę, występuje na ślubie w mundurze. Panna młoda, lat 20, szyje suknię z koronki i białego materiału, który wymieniła za talony na papierosy. Sama nie pali. Jedzenie i obrączki na ślub dostarczają dawni pracodawcy Lucie spod Darłowa. Ślub odbywa się w kościele w Gdyni, wesele w mieszkaniu gospodyni, która młodym wynajęła pokój. Rodzina Łucji nie przychodzi. Matka pana młodego oświadczyła siostrom Raczkowskim, że wesele jej syna jest eleganckie i mimo wojny obowiązują długie suknie. Siostry Lusi długich sukien nie mają.

Po ślubie pan młody wyjeżdża do Jugosławii walczyć z partyzantami, panna młoda zostaje sama w wynajętym 32-metrowym pokoju. Żeby nie czuć się samotnie, prosi teściową, by zamieszkała z nią. Lucie jest w ciąży. 26 września 1943 roku rodzi syna Hansa Jürgena Rybandta. Mówi do niego po niemiecku. Za rozmowy po polsku można trafić na gestapo.

Łucja. Auf Wiederhören, Mutti

– To może zadzwonimy do niego, mamó – najmłodsza córka pyta Łucję Bagińską.

Kobieta kręci głową. Nie dziś. Jest 18 sierpnia 1998

roku. Kręci jej się w głowie, mocniej bije serce, łzy lecą z oczu, choć tego nie chce. Hans Jürgen przeżył. Nie może w to uwierzyć. Nie będzie umiała z nim dziś rozmawiać. Siedzą przy niej dwie córki, wnuki i mąż. Każdy już czytał list z PCK. W niemieckiej książce telefonicznej znaleźli numer telefonu Hansa Jürgena.

– Dzwonię – decyduje najmłodsza córka. Wykręca numer, oddaje słuchawkę matce.

– Czy ty jesteś naprawdę moim synem? – Łucja Bagińska pyta mężczyznę po drugiej stronie.

Tak. Uratował go z wody jeden marynarz i oddał do domu dziecka w Niemczech. Po kilku latach odnaleźli go tam babcia i ojciec. Zabrali do domu w NRD.

– Kiedy się zobaczymy? – pyta matka.

Po co. On nie chce kontaktu. Prosi tylko o urzędowy dokument, że Łucja Bagińska to Lucie Rybandt, jego matka, z którą był jako 1,4-letni chłopiec na pokładzie. Stara się o odszkodowanie dla ofiar „Gustloff”. Zaświadczenie jest mu potrzebne, żeby dostać pieniądze. *Auf Wiederhören, Mutti* (Do usłyszenia, mamusiu).

Lucie. Wiesz, co Rosjanie robią z takimi

Synowa i teściowa nie lubią się. Lucie skarży się mężowi na matkę. Nie podoba jej się, że przyprowadza do wspólnego pokoju żonatego mężczyznę. Syn strofuje

matkę w liście.

Kiedy Hans Jürgen kończy osiem miesięcy, Lucie jedzie do męża na widzenie w Jugosławii. W Wiedniu samoloty bombardują dworzec. Ona nie ucieka jak wszyscy z pociągu, tylko chowa się pod ławką. Ci, co uciekli, zginęli, Lucie jest jedynie obsypana gruzem. W Jugosławii widzi Georga ostatni raz w życiu. On nigdy nie widział syna. Po wyjeździe żony wyruszy na front wschodni. Listy od niego przestaną przychodzić.

W styczniu 1945 roku wszyscy już wiedzą, że Niemcy przegrają wojnę. Rozpoczyna się ewakuacja z Prus Wschodnich. Do ucieczki przygotowują się Niemcy z Gdańska, Sopotu i Gdyni. Gospodyni Lucie, która wynajmuje jej pokój, dostaje od swojego męża policjanta bilet na okręt „Wilhelm Gustloff”. Ma do dyspozycji pięcioosobową kajutę. Chce uciekać ze swoimi dwoma synami. Są jeszcze dwa wolne miejsca.

Namawia Lucie: – Jesteś żoną Niemca. A wiesz, co Rosjanie robią z takimi kobietami. Gwałcą i mordują. Płyn ze mną. Przeczekamy koniec wojny u znajomych na wsi pod Hanowerem. Potem tu wrócimy.

Lucie Rybandt wolałaby wyjechać do rodziny męża do Pucka. Ale chce się oderwać od teściowej. Decyduje się płynąć.



Basen na statku „Wilhelm Gustloff”

„Gustloff”. Dziewczęta śpią w basenie

Okręt „Wilhelm Gustloff” był dumą nazistowskiej organizacji związkowej Kraft durch Freude (Siła przez Radość), która organizowała między innymi rejsy wycieczkowe dla przodowników pracy. Przez całą wojnę stał nieprzydatny. Pod koniec września 1939 roku przyплыł z macierzystego portu w Hamburgu najpierw do Gdańska, a potem utknął na prawie całą wojnę

w Gdyni. Rejsy wycieczkowe miał wznowić dopiero po zwycięstwie III Rzeszy.

Najpierw przerobiono go na portowy szpital, potem na koszary.

Na pokład przyjęto kilka kompanii chłopców, którzy po krótkich kursach zasilali załogi nowych U-Bootów. Później dokwaterowano do nich kilkaset dziewcząt ze służby pomocniczej marynarki. Mimo to wiele kabin, które przed wojną mieściły 1463 wczasowiczów i 417 członków załogi, stało pustych. Wolne kajuty zaczęli zapełniać uciekinierzy dopiero w styczniu 1945 roku.

Do 28 stycznia, kiedy jeszcze w miarę sprawnie działała okrętowa kancelaria, na „Gustloffie” zarejestrowano 6 tysięcy osób: 1000 niedoszłych marynarzy U-Bootów, 370 dziewcząt ze służby pomocniczej marynarki, kilkudziesięciu chorwackich ochotników wojennych, którzy uzupełnili braki w załodze statku. Cywilnych uciekinierów było trzy razy więcej. Luksusowe kabiny dla Hitlera i Roberta Leya, szefa nazistowskiego związku zawodowego, zajęli z rodzinami dygnitarze hitlerowscy z Prus Wschodnich. Pozostałe wolne pomieszczenia zapełnili uchodźcy z Elbląga, Olsztyna, Malborka czy Kwidzyna i setki gdańszczan. Przy nabrzeżu w Oksywiu, mimo dwudziestostopniowego mrozu, wciąż gromadził się tłum ludzi.

Nowi przybysze, ze specjalnymi przepustkami, wciąż wchodzili na szykujący się do odejścia statek. Nie

sposób ich było policzyć. Okrętowa drukarnia wydała im około 3 tys. kart na posiłki. Do środka dostawali się także nielegalni pasażerowie wpuszczani za łapówki i przemyceni przez tych, którzy byli już w środku. Uchodźcy zajęli każdy kąt na dziewięciu pokładach statku. Ostatnia zaokrętowana legalnie grupa dziewcząt ze służby pomocniczej marynarki i ranni żołnierze musieli rozlokować się na dnie osuszonego basenu na pokładzie E.

W sumie na okręcie było 8 lub 9 tysięcy ludzi, z czego prawie połowa to dzieci.

Lucie. Czwarty pokład, licząc od góry

Lucie postanawia z sąsiadką, że wejdą na statek rano 29 stycznia. W nocy nie śpi. Szyje dla synka płaszcz z kapturem z grubego wełnianego koca. Pakuje jego zabawki, śpiochy. Przed wyjściem z domu zakłada na siebie kalessony męża i jego spodnie od garnituru. Do kieszeni chowa portfel z kartką z modlitwą po niemiecku, która ma ratować przed nieszczęściami wojny. Do portfela wkłada też nowennę do świętego Antoniego i swoje zdjęcie. Na górę wkłada wełnianą sukienkę, którą wpuszcza w spodnie. Na wierzch sweter i marynarkę od garnituru. Do torby pakuje trzy ciepłe szale.

Ulica Świętojańska, przy której mieszka, główna

w mieście, jest zasypana śniegiem, który sięga już okien na pierwszym piętrze. Ludzie chodzą wąskimi tunelami. Lucie z synem na rękach i sąsiadka z dwoma synami brną w stronę portu, kilkaset metrów od ich domu. Do nabrzeża w Oksywiu, gdzie „Wilhelm Gustloff” jest przycumowany, płyną holownikiem. Morze w porcie zamarza. Holownik kręci się między krami. Lucie, sąsiadka i dzieci wchodzą na pokład bez problemu. Mają bilety i wyznaczoną kajutę na czwartym pokładzie, licząc od góry. Bulaje się na poziomie morza.

Statek jest tak przeciążony, że 29 stycznia nie daje rady odbić od nabrzeża. Manewr powtórzono następnego dnia w południe z udziałem silniejszych holowników.

„Gustloff”. Hitler przemawia do wszystkich

30 stycznia, wtorek. Temperatura: minus 18 stopni Celsjusza, śnieg od rana sypie grubymi płatami. Wiatr: 6 stopni w skali Beauforta. Sztorm. „Gustloff” wychodzi w morze w towarzystwie statku pasażerskiego „Hanza”, załadowanego ponad miarę uciekinierami, i pod eskortą dwóch okrętów wojennych. Zaraz za portem „Hanza” ma awarię i zostaje z jednym z okrętów Kriegsmarine. Jej pasażerowie płaczą i lamentują. Zazdroszczą tym z „Gustloffa” (dwa dni później „Hanza” ruszy dalej i bezpiecznie dopłynie do Kilonii).

Na wysokości Helu okręt spotyka przybrzeżny parowiec „Reval”, który wiezie uchodźców z Pilawy. Sytuacja na „Revalu” jest dramatyczna. Nie wszyscy pasażerowie zmieścili się w ogrzewanym wnętrzu. Ci z górnego pokładu zamarzają na śmierć, zalewani lodowatymi falami. „Gustloff” zatrzymuje się, żeby przejąć pasażerów. Zajmują miejsca na ciepłych schodach i w zatłoczonych korytarzach. Wieczorem wszyscy słuchają płynącego z megafonów przemówienia Hitlera z okazji 12. rocznicy dojścia do władzy.

Lucie. Co będzie, jak zrobimy hops?

Na kolację jest kasza manna gotowana na mleku z puszki. Lucie Rybandt jest głodna (na obiad był tylko suchy prowiant). Zjada swoją porcję i próbuje nakarmić synka. Nie chce jeść, więc podaje mu trochę pokarmu z ust do ust. Sąsiadka Lucie też nic nie je. Jest zdenerwowana. Wciąż boi się, że statek wpłynie na minę. W kajucie, dokąd wracają po kolacji, pyta Lucie: „Co będzie, jak zrobimy hops?”. Lucie wzrusza ramionami. Nie boi się żadnej katastrofy. Przecież płynie obok nich drugi statek. W razie kłopotów przejmie pasażerów. Układa Hansa Jürgena do snu. Dziecko grzecznie zasypia. Sąsiadki rozmawiają, Lucie ściąga z nóg długie, zimowe buty. Przed godziną

dziewiątą do kajuty zagląda marynarz. Sprawdza, czy pasażerowie mają dobrze założone kapoki. Lucie zawiązała swój w pasie. Marynarz żartuje, że w razie skoku do wody wprawdzie by nie poszła na dno, ale pływałaby nogami do góry i głową w dół. Pomaga założyć jej prawidłowo kapok i na koniec zaleca nałożenie pasa ratunkowego śpiącemu dziecku. Lucie nie stosuje się do zalecenia. Pas jest za duży na Hansa, nie mógłby w nim zasnąć. Poza tym ona, sama ubrana w kapok, nie byłaby w stanie wziąć go na ręce.



Kapitan Aleksander Marinesko, dowódca radzieckiej łodzi podwodnej S-13, która zatopiła niemiecki statek „Wilhelm Gustloff”, zdjęcie z września 1944 roku

„Gustloff”. Marinesko płynie w stronę Helu

Dowódca radzieckiej łodzi podwodnej S-13 Aleksander Marinesko miał nóż na gardle. Od kilku tygodni czatował na niemieckie okręty u wrót obleganej Kłajpedy, ale na morskim horyzoncie nie pojawił się żaden cel dla jego torped. A Marinesko nie mógł wracać do bazy bez sukcesu. Tam czekało na niego NKWD. Już przed miesiącem cudem przeżył koszmar pierwszych przesłuchań.

Pod koniec grudnia przez kilka dni szukała go cała bezpieka z okupowanego portu fińskiego Turku, podczas gdy on dzień w dzień upijał się u swojej fińskiej kochanki. Śmierć bez sądu groziła mu już za same kontakty z podbitymi Finami. Za opuszczenie na kilka dni powierzonej jednostki kara była pewna.

Obronił go przełożony, szef zespołu okrętów podwodnych, kapitan pierwszej rangi Oriel. Brakowało mu doświadczonych dowódców. Machał więc przed nosem komendantowi NKWD rozkazem Stalina o rozpoczęciu ofensywy wszystkimi siłami i próbował wyciągnąć Marineskę z aresztu. Rzecz niebywała w sowieckiej armii, ale za swoim dowódcą wstawiła się też cała 47-osobowa załoga łodzi. Enkawudzista zwolnił

warunkowo Marineskę z aresztu na ten jeden rejs. Po powrocie śledztwo miało ruszyć na nowo.

Marinesko, czatując pod Kłajpedą, marzył więc o spektakularnym sukcesie, którym chciał zmyć swoje winy. Rankiem 30 stycznia przez radio dowiedział się o kapitulacji miasta, ale nie zamierzał z czystym kontem wracać do bazy. Nie meldując nikomu, kazał zwrócić łódź S-13 w stronę Helu.

„Gustloff”. Cztery torpedy

8, a może nawet 9 tysięcy ludzi stłoczonych na „Wilhelmie Gustloffie” liczy godziny pozostałe do Kilonii. Motory pracują równo, ale statek płynie wolno. Kapitan Friedrich Petersen, doświadczony oficer żeglugi handlowej, wyznaczył prędkość 12 węzłów, mimo że „Gustloff” może przyśpieszyć. Kapitan nie chce ryzykować awarii nieużywanych od lat silników. Lekceważy zagrożenie. Płynie z zapalonymi lampami burtowymi. Odrzuca także propozycję zastępcy, by płynąć płytkim przybrzeżnym szlakiem, na który nie zapuściłaby się żadna łódź podwodna. Nie zgadza się nawet, żeby poruszać się zygakiem.

Wszystkie błędy w nawigacji ze zdziwieniem obserwuje przez peryskop Marinesko, który od wieczora 30 stycznia jest już na wysokości Helu. Płynie za oświetlonym „Gustloffem” i towarzyszącym

mu torpedowcem „Löwe”. Przez dwie godziny szuka dogodnej pozycji do ataku. Skryty za zasłoną nocy i śnieżycy, wynurza się, przechodzi za rufami okrętów, wychodzi na lewą burtę wycieczkowca od strony brzegu.

Kapitan Marinesko dla „Gustloff’a” przeznaczył cztery torpedy, na których marynarze, nudząc się w porcie, wypisali: „Za Ojczyznę”, „Za Stalina”, „Za naród sowiecki” i „Za Leningrad”. O godzinie 23.16 czasu moskiewskiego, czyli dla Niemców o dwie godziny wcześniej, wydaje rozkaz: „Pal!”. Trzy torpedy wyskakują w stronę statku. Czwarta, „Za Stalina”, utknęła w wyrzutni i śmiertelnie zagraża radzieckiej załodze. Na szczęście udaje się ją rozbroić.

Pierwsza torpeda godzi w dziób „Gustloff’a” głęboko pod linią wody, tam, gdzie znajdują się pomieszczenia załogi. Tu giną wszyscy. Druga eksploduje pod basenem pływackim na pokładzie E. Roztrzaskane kafelki ze ścian pływalni zabijają śpiące dziewczęta służby pomocniczej i rannych żołnierzy. Stąd nie ocaleje prawie nikt. Trzecia torpeda wybucha w maszynowni. Stają silniki. Nie działa nawet radiotelegraf. Meldunek: „Gustloff” tonie trafiony trzema torpedami – może wysłać tylko torpedowiec „Löwe”.

Lucie. Wysiadamy!

Po uderzeniu pierwszej torpedy sąsiadka Lucie wybiega

z dziećmi z kajuty. Silny wstrząs budzi Hansa Jürgena. Jest tak przestraszony, że nie płacze. Wciąż świeci światło. Lucie wciąga długie buty, z torby wypakuje szale i przywiązuje nimi dziecko do siebie. Słyszy na korytarzu okrzyki: „Wysiadamy!”. Drugie uderzenie, światła gasną. Lucie nadal się nie boi. Myśli, że statek wpadł na minę. Wie, że musi dotrzeć na górny pokład, gdzie są łodzie ratunkowe. Po trzecim wybuchu wychodzi na korytarz. Marynarze świecą latarkami. W kajucie obok słychać strzały. Żona hitlerowskiego dygnitarza strzela do dzieci i siebie. Ludzie z walizkami i tobołami pchają się przed siebie, uderzają się wzajemnie po głowach. Krzyk i lament. Lucie z dzieckiem, niesiona przez innych, powoli dociera do schodów na górę. Pokryte są trupami dzieci i starszych ludzi, zdeptanych przez ciągnących wyżej. Osłabieni ranni żołnierze czołgają się do wyjścia po podłodze. Lucie Rybandt dociera na górę w ciągu kilkunastu minut. Tłum wypycha ją na pokład.

Lucie. Nie wolno pani zasnąć

Statek utrzymuje się na wodzie przez 62 minuty. Mechanizmy spuszczone łodzie ratunkowe nie chcą działać – bloczki i tryby są oblodzone. Brakuje dużych szalup, które w trakcie postoju w Gdyni oddelegowano do stawiania zasłon dymnych w czasie nalotów.

Dostępne szalupy z najwyższym trudem spuszczone są na wodę. Są rozhuśtane, ludzie z nich wypadają. Ci, którzy wpadli do lodowatej wody, mogą w niej przeżyć najwyżej dwie minuty.

Lucie Rybandt po skoku do morza szybko się wynurza. Syna przy niej już nie ma. Musiał wypłatać się z szali, gdy spadała albo była pod wodą. Wokół pływają tysiące ludzi. Tonący chwytają kobietę za nogi, ściągają jej długie buty, łapią za stopy. Obok niej przepływa sześćoosobowy ponton z 16 rozbitkami na pokładzie. Lucie chwyta jego brzeg. Ciągnie ich w dół. Zdesperowani ludzie próbują odgiąć jej zeszywniałe palce. Kiedy się to nie udaje, pomagają jej dostać się na ponton.

Dryfują pięć i pół godziny. Po kolei zasypiają. Lucie leży obok jakiegoś mężczyzny.

– Proszę cały czas do mnie mówić – prosi ją. – Nie wolno pani zasnąć.

Marynarze trałowca TS 2, wezwanego na pomoc, około wpół do trzeciej nad ranem wracają już do portu z ocalałymi z katastrofy. Przypadkiem zauważają ponton. Ktoś schodzi sprawdzić, czy tam jeszcze ktoś żyje.

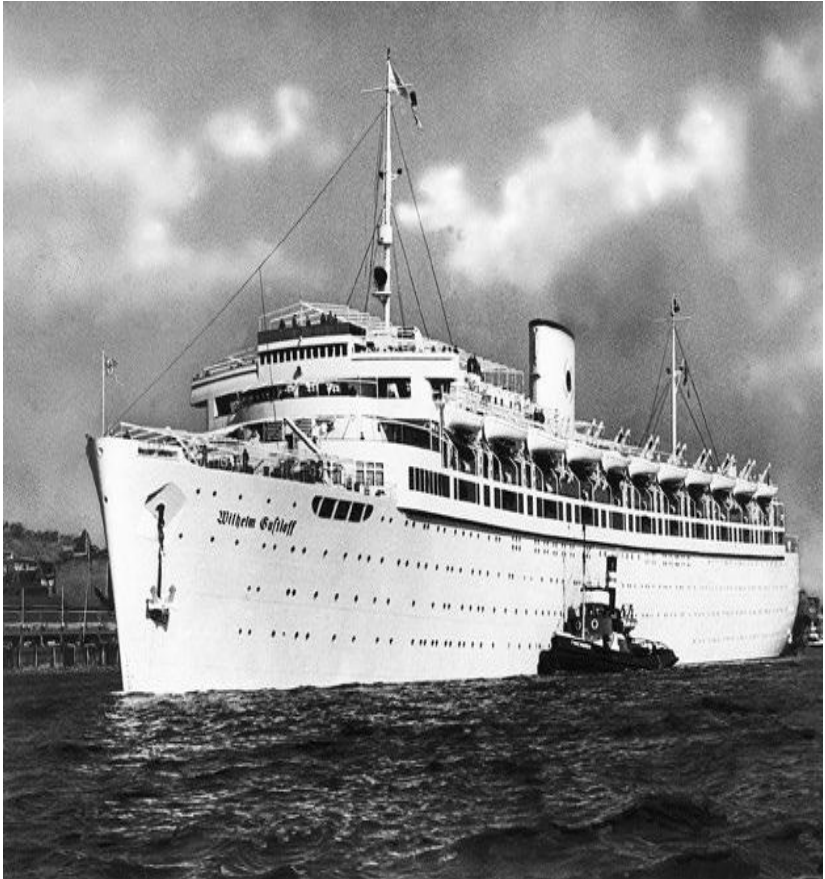
– Jest dwoje żywych! – krzyczy. – Kobieta i mężczyzna. Reszta zamarzła.

Lucie Rybandt trafia do maszynowni TS 2.

W sumie z katastrofy „Wilhelma Gustloffa” ocalało około 1200 pasażerów.

Nie wiadomo dokładnie, ilu zginęło. Szacunki wahają się między 6,6 a 9,6 tysiąca (na „Titanicu” zginęły 1523 osoby). Kapitan Petersen i najważniejsi oficerowie przeżyli.

Kapitan Marinesko dzięki „torpedowemu atakowi stulecia” uniknął aresztowania przez NKWD. Nie został jednak bohaterem. Po wojnie zwolniono go z marynarki wojennej, stracił uprawnienia kapitana żeglugi handlowej. Za drobne oszustwa trafił na Syberię, dowodził tam holownikiem spławiającym drewno.



Flagowy statek wycieczkowy nazistowskiej organizacji Kraft durch Freude (KdF) „Wilhelm Gustloff”, w czasie wojny włączony do floty wojskowej Niemiec. Zdjęcie z 1938 roku

Łucja. Grupa krwi

Łucja Bagińska nie śpi od kilku miesięcy. Co noc rozważa, czy mężczyzna, który podaje się za Hansa Jürgena Rybandta, jest naprawdę jej synem. Każdego

wieczora zadaje mu w myślach te same pytania: do jakiego domu dziecka trafił, w jakim był ubraniu, jak to możliwe, żeby bez kapoka, w ciężkim, szybko nasiąkającym wodą płaszczu mógł się uratować. Skąd wiedział, jak się nazywa, po czym poznała go babka i ojciec, dlaczego tyle lat milczał, dlaczego nie chce jej widzieć. Dlaczego szukał jej, odnalazł i teraz odrzucił. Może jest zwykłym oszustem. Zasypia nad ranem.

Czyta książkę Heinza Schöna „Die Gustloff Katastrophe”. Dowiaduje się z niej, że z katastrofy uratował się tylko jeden tak mały chłopczyk jak jej syn. Ale trafił wprost z pokładu do łodzi ratunkowej. Cały czas był zawinięty w kołdrę. Przypatruje się fotografii dziecka. Nie przypomina w niczym Hansa Jürgena. Zresztą losy tamtego są opisane. Został adoptowany przez rodzinę z Niemiec Zachodnich.

Bada sobie grupę krwi, żeby sprawdzić, czy ma taką samą jak tamten człowiek. Dowiaduje się, że teraz ważne są badania DNA. Postanawia, że jak się spotkają, namówi go na to. Na razie wysyła mu życzenia świąteczne. U dołu kartki dopisuje „Kiedy się zobaczymy?”. On dzwoni dwa razy. Pyta, czy Mutti wysłała już dokumenty potwierdzające, że jest jej synem. Nie chce się spotykać.

Lucie, Lusia, Łucja. Fotografia

Rok 1945. Lucie Rybandt wychodzi ze szpitala, gdzie leżała po katastrofie. Trafia do wsi pod Hanowerem, dokąd miała jechać z sąsiadką z Gdyni. Po wyzwoleniu może wracać do Gdyni drogą morską lub zabrać się z powracającą Armią Radziecką. Wybiera to drugie. Zostaje skoszarowana jako służba pomocnicza. Uda jej się uciec dopiero z Ukrainy.

Rok 1946. Łucja Rybandt staje w drzwiach mieszkania siostry w Gdyni. W jadalni wisi jej zdjęcie w czarnej krepie. Rodzina była pewna, że Lusia nie żyje. Odwiedza w Pucku rodzinę męża. Nikt nie wie, co się z nim stało. Zostaje urzędowo uznana za wdowę.

Rok 1950. Łucja Rybandt wychodzi za tydzień za mąż za Waclawa Bagińskiego, który jest marynarzem. Dostaje informacje, że Georg Rybandt, jej mąż, żyje. Z frontu wschodniego trafił do łagru na Syberii. Teraz mieszka w NRD z matką, teściową Lucie. Georg przez ciotkę przysyła jej papiery rozwodowe. Nie chce widzieć żony, nie zostawia żadnego adresu.

Rok 1951. Była teściowa Łucji Rybandt, obecnie Bagińskiej, przez wspólną znajomą z Sopotu przysyła list. W środku jest fotografia małego chłopca. Teściowa informuje, że w jednym z enerdowskich domów dziecka odnalazła Hansa Jürgena. Zdjęcie jest wielkości pocztówki. Chłopiec na nim ma mniej więcej tyle lat, ile Hans, w czasie gdy zaginął. Ma blond włosy jak jej syn. Ale za duże oczy, a Hans miał oczy jak szparki. Inny kształt czaszki. Przecież poznałaby własne dziecko. Jest

pewna, że to nie Hans Jürgen. Mimo to chciałaby się z nim spotkać. Przekonać. Ale teściowa nie zostawiła nikomu adresu. Fotografia gdzieś się zawierusza.

Rok 1955. Łucję Bagińską odwiedza w Gdyni jej była teściowa. Staje na środku kuchni i pyta po polsku: „Jesteś szczęśliwa?”. Łucja odpowiada: „Tak”. Teściowa odwraca się i wychodzi. Nigdy więcej się nie zobaczą.

Rok 1998. Rano do skrzynki listonosz wrzuca list w zwykłej kopercie z czerwonym krzyżem PCK.

Rok 2002. Günter Grass pisze książkę „Idąc rakiem”. Opisuje w niej wymyśloną historię rodziny, która przeżyła katastrofę „Gustloff”. Bardzo podobną do przeżyć Łucji Bagińskiej. Ona nie wie o istnieniu książki.

Hans Jürgen. Jutro rano

Jadę na spotkanie z Hansem Jürgenem Rybandtem do miasteczka Lüdenscheid w Nadrenii Północnej-Westfalii. Mam tylko jego adres. Nie dzwoniłam wcześniej, żeby się umówić. Bałam się, że odmówi spotkania. Nie wiem, kim jest, jak wygląda, co robi, czy go zastanę w domu.

We wtorek 3 czerwca 2003 roku, o godzinie 9 rano, naciskam dzwonek domofonu przy nazwisku Rybandt. Dom, w którym mieszka, jest czterorodzinny. Stoi przy czystej, cichej uliczce. Nikt nie otwiera. Pytam więc

sąsiadkę, gdzie znajdę pana Rybandta. Mówi, że pracuje w hipermarkecie budowlanym, w dziale elektrycznym. Jadę tam. Hans Jürgen Rybandt pochyla się właśnie nad wiertarkami. Starszy mężczyzna z przerzedzonymi włosami, źle ogolony, lekko zgarbiony, o okrągłej twarzy, na palcu ma obrączkę ślubną, mówi bardzo niewyraźnie, właściwie mamrocze pod nosem. Jest zaskoczony moją wizytą, ale zgadza się na spotkanie. Jutro rano, o dziewiątej.

Hans Jürgen. Nie

Środa 4 czerwca. Jestem dziesięć minut przed czasem. Znów nikt nie otwiera, ale po chwili z domu wychodzi Hans Jürgen Rybandt. Z płócienną torbą w rękę. Dziwi się, że mnie widzi. Domyślam się, że zamierzał uciec, ale go zaskoczyłam. Macha zirytowany ręką. Nie chce już rozmawiać o „Gustloffie”. Dyskutował o tym w nocy z żoną i ona też sobie tego nie życzy. Zachodzę mu drogę. Krzyczę: – Dlaczego nie chce się pan spotkać z matką?! Może pan nie jest Hansem Jürgenem Rybandtem, tylko oszustem?

Odwraca się gwałtownie. Teraz on krzyczy na mnie. Z krótkich, urywanych, niewyraźnych zdań układa się historia nieszczęśliwego dziecka.

Uratował go z morza marynarz. Nikt nie wiedział, kim jest, więc trafił do domu dziecka w NRD. Kiedy

miął niecałe dziesięć lat, w gazetach pokazywano jego zdjęcie w ramach poszukiwania rodzin po wojnie. Babcia, która mieszkała z ojcem, rozpoznała go na fotografii. Przyjechała do niego, sprawdziła, czy ma czerwone znamię na plecach, jak jej zaginiony wnuczek. Miał. A więc był Hansem Jürgenem. Przez kilka lat babcia i ojciec mówili mu, że mama nie żyje. Potem przypadkiem się dowiedział, że to nieprawda. Powiedzieli mu wtedy, że matka go nigdy nie kochała i specjalnie zrzuciła ze statku, żeby się utopił. Więc po co miał szukać z nią kontaktu? Ale całe życie myślał o niej. Dziesięć lat temu wyjechał z Niemiec Wschodnich do Lüdenscheid. Babcia i ojciec już nie żyją. Gdy nadarzyła się okazja otrzymania renty dla ofiar „Gustloff’a”, odszukał matkę. Bo on nie ma żadnych papierów potwierdzających, że był wtedy na statku.

Miętosi szmacianą torbę w rękach, na czole ma grube krople potu. Nie chce więcej rozmawiać. Nie chce spotkania z matką, nie chce żadnych testów DNA. On jest Hans Jürgen Rybandt i koniec. Na moją prośbę staje na chwilę nieruchomo. Robię mu fotografię dla matki. Odchodzi lekko przygarbiony.

Po powrocie dzwonię do Łucji Bagińskiej.

– Czy pani syn miał czerwone znamię na plecach?

– Nie.

Współautor Bogusław Kunach

Grudzień 1945

—

Joseph Gruss New York, Broadway poszukuje swojej córki Joanny, lat 8 oraz matki Żelaznikowej, które do maja 1944 r. były w Belsen i prosi o wiadomość o ich losie.

—

Łaźnia Centralna, Krakowskie Przedmieście 16/18 (obok Kopernika). Łaźnia i wanny czynne.

„Życie Warszawy”, 2.12.1945

—

Komisariat do Walki z Epidemiami w Krakowie przyjmie natychmiast 6-ciu kwalifikowanych dezynfektorów. Zgłoszenia osobiste przyjmuje Komisariat w Krakowie przy ul. Straszewskiego 20.

—

Złoto stare oraz zęby złote kupię, dobrze zapłacę. Kraków, Stradom 23. Zegarmistrz.

„Dziennik Polski”, Kraków, 4.12.1945

—

Ob. Frydrychowiczowi, właścicielowi piekarni – za jego obywatelskie stanowisko i wydatną pomoc w węglu,

mące i chlebie, okazywaną dla chorych starców i sierot naszego Zakładu przez cały okres okupacji niemieckiej i w czasie powstania – niniejszym serdecznie Bóg zapłać. Składa Zakład S.S. Albertynek, Kawęczyńska 42.

„*Życie Warszawy*”, 5.12.1945

—

Pranie ułatwi ci KOŁŁONTAY’a pomocniczy proszek do prania bielizny białej i kolorowej – wolny od żrących składników. Zarząd państwowy. Fabryka: Dębniki, Wygrana 2.

—

Śniegowce, kapce, generałki, pantofle poleca firma Szczepko-Tońko. Kraków, Hala Targowa nr 22.

„*Dziennik Polski*”, Kraków, 7.12.1945

—

Kto pobiera energię elektryczną poza licznikiem jest złodziejem.

„*Życie Warszawy*”, 7.12.1945

—

Portrety olejne wykonuję bez obowiązku kupna.

„*Dziennik Polski*”, Kraków, 7.12.1945

—

W oparciu o sojusz wszechsłowiański – tworzymy potężną demokratyczną Polskę!

„*Dziennik Rzeszowski*”, 8.12.1945

—

Uświadomiony obywatel nie myśli tylko o sobie! Rezygnując z grzejnika wieczorem – umożliwia światło innemu.

„*Życie Warszawy*”, 9.12.1945

—

Zabawki na gwiazdkę, duży wybór, tanio poleca Bazar Amerykański, Poznańska 21.

„*Życie Warszawy*”, 10.12.1945

—

Potrzebna panienka do podnoszenia oczek z własną igłą. Stalowa 31, pralnia.

„*Życie Warszawy*”, 12.12.1945

—

Była właścicielka sklepu ze Wschodu, z 20-letnią praktyką, poszukuje posady kierowniczkii do sklepu towarów mieszanych. Zna system kartkowy, może być też wędliniarnia i wyrąb mięsa.

—

Kto zauważył niosącego nogi do maszyny, skradzione 8/12 wieczorem, między godz. 19-21, proszę o wiadomość za wysokim wynagrodzeniem: Kraków, św. Jana 3.

„Dziennik Polski”, Kraków, 14.12.1945

—

Amerykańskie Biuro Informacji, Warszawa, Zielna róg Próżnej – zawiadamia, że załatwia otrzymywanie paczek do 30 kg wagi, zawierających nową i używaną odzież, obuwie, żywność, leki i inne przedmioty codziennego użytku przesyłane od krewnych i znajomych z Ameryki. Poza tym załatwiamy nawiązanie stosunków pomiędzy firmami amerykańskimi i krajowymi.

—

Obywatelu Poruczniku! Trzeciego pożyczyciście pióro na pocztę Nowogrodzka. Romantyczna pamiątka repatriantki – łązy. Mamy obaj honor. Naprawimy. Zwrot „Czytelnik” pl. Inwalidów 10.

„Życie Warszawy”, 14.12.1945

—

Choinka dostępna dla wszystkich!!! Nadszedł duży transport ozdób choinkowych. Kulki szklane kolorowe dekor. po 2 zł 50 gr za sztukę. Dom Galanterii M. Mertens, Marszałkowska 99. Ceny ściśle fabryczne.

—

Dentysta kawaler, lat 31, kulturalny, przystojny, posiadający dobrą praktykę, poszukuje lek. dentystki celem współpracy. Listy pod „Przyszłość” kierować proszę Świdnica – Dolny Śląsk, skr. poczt. 18.

„*Życie Warszawy*”, 16.12.1945

—

Najmilszy prezent na święta, to nowa książka Wiecha „Wiadomo – Stolica”.

„*Życie Warszawy*”, 18.12.1945

—

Za długi mojej żony, Janiny z Chomów Ormanowej nie odpowiadam. Inż. Marian Orman, Kraków, Smolki 12.

—

Osoba, która zabrała z torebki 3000 zł – 10 września br. – proszona jest po raz ostatni o zwrot do dnia 5 (pretensje uzasadnione). W przeciwnym razie oddam sprawę na Milicję Ob. N. Majcher. Tarnów.

„*Dziennik Polski*”, Kraków, 19.12.1945

—

Przyjmę uczciwą panienkę lub chłopca do sklepu cukierniczego, z utrzymaniem, pierwszeństwo mają sieroty. Oferty: „*Dziennik Polski*”.

—

Z niedźwiedzia tłuszczu kto dostarczy?

„*Dziennik Polski*”, Kraków, 21.12.1945

—

Długoletni kupiec inteligentny, zniszczony przez Niemców, solidny, pracowity, energiczny poszukuje pracy.

„*Życie Warszawy*”, 23.12.1945

—

Nogi i ręce sztuczne, rupturowe i brzuszne pasy, wkładki przy bólach nóg. Aparaty i gorsety ortopedyczne. Alfred Koziczyński, Radom, Żeromskiego 62.

„*Dziennik Powszechny*”, Radom – Kielce, 24.12.1945

—

Opowieść o gigantycznej maszynie śmierci, Seweryna Szmaglewska „*Dymy nad Birkenau*”, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik. Cena egz. zł 140.

—

Pielęgniarka z egzaminem państwowym lwowskim 12 lat poważnej praktyki, po Ravensbrücku, szuka pracy na Wybrzeżu. Łaskawe warunki: Kołodziejczykówna, Końskie, woj. Łódź, Warszawska 15.

„*Dziennik Bałtycki*”, 27.12.1945

—

Zakopane Bystre. Pensjonat „Janka” zawiadamia gości o otwarciu pensjonatu. Właścicielka Płazowa.

—

Tancerki, girlsy, statystki potrzebne do teatru. Zgłoszenia: sobota, dnia 29 grudnia 1945 roku o godzinie 10-ej. Kraków, Kino „Scala”.

„Dziennik Polski”, Kraków, 28.12.1945

—

Sylwester w Gospodzie pod Wierzynkiem i salonach na 1 piętrze. Zamówienia na stoliki przyjmuje Kazimierz Książek, Rynek Gł. 16. Szefem kuchni M. Kałuża.

—

Wszyscy nowożeńcy chcący mieć artystyczne fotografie z firmy „Foto-Jama”, Kraków ul. św. Jana 1 proszeni są o wcześniejsze (tydzień) zapisanie się.

„Dziennik Polski”, Kraków, 31.12.1945

—

Ukazał się 1-szy numer czasopisma dla kobiet „Moda i życie praktyczne”. Przegląd ostatnich nowości paryskich w dziedzinie sukien, płaszców, kostiumów, kapeluszy, fryzur itd. oraz najnowsze prądy mody samoistnie kształtującej się u nas. Cena numeru 20 zł.

„Życie Warszawy”, 31.12.1945

Podziękowania

Za wsparcie i pomoc przy powstawaniu książki dziękuję (w porządku alfabetycznym): Karolinie Babicz, Robertowi Bańkoszowi, Barbarze Bednarczyk, Mariuszowi Burchartowi, Barbarze Engelking-Boni, Pawłowi Goźlińskiemu, Marcinowi Hamkało, Ryszardowi Hermanowi, Iwonie Kuźmie-Ebel, Dagmarze Jałukowicz, Renacie Kobylarz-Bule, Ewie Kosior-Szwan, Hannie Krall, Katarzynie Kubickiej, Danielowi Lisowi, Mirosławowi Maciorowskiemu, Jerzemu S. Majewskiemu, Cezaremu Obracht-Prondzyńskiemu, Eugeniuszowi Pryczkowskiemu, Ewie Prussak, Andrzejowi Romaniakowi, Danucie Sabale, Małgorzacie Skowrońskiej, Elżbiecie Skowrońskiej-Herman, Filipowi Springerowi, Rafałowi Szczepankowskiemu, Małgorzacie Szejnert, Jaromirowi Szroederowi, Tomaszowi Szwanowi, Agnieszce Wolny-Hamkało, Renate Zajączkowskiej, Mirze i Jackowi Zarembom. I jak zwykle – Robertowi i Tosi. Bez Was wszystkich nic by się nie udało.

Przykro mi, że nie każdą historię z 1945 roku, którą usłyszałam, mogłam wykorzystać. Dziękuję tym, którzy

podzielili się ze mną przeżyciami swoimi i swoich najbliższych, przede wszystkim: Hildegard Bober, Czesławowi Morawskiemu, Iścisławowi Karabonowi, Agnieszce Urbańskiej-Ciszek i jej wspaniałej rodzinie.

Kalendarium

Grudzień 1944 – styczeń 1945

21 grudnia 1944

Prezydent RP Władysław Raczkiewicz formalnie nominuje gen. Leopolda Okulickiego na komendanta głównego Armii Krajowej. Faktycznie Okulicki kierował AK od początku października 1944 r. Wcześniej pełnił obowiązki szefa sztabu Komendy Głównej AK i był komendantem organizacji „NIE”.

28 grudnia 1944

Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN) – tymczasowy organ władzy pełniący funkcję rządu na wyzwolonych spod okupacji niemieckiej ziemiach polskich, powołany 20 lipca 1944 r. w Moskwie – wprowadza cenzurę korespondencji, paczek, telegramów i rozmów telefonicznych.

31 grudnia 1944

PKWN zmienia nazwę na Rząd Tymczasowy Rzeczypospolitej Polskiej, z premierem Edwardem

Osóbką-Morawskim i wicepremierem Władysławem Gomułką na czele. Powstał w celu przeciwstawienia się legalnemu rządowi Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie.

1 stycznia 1945

„Naród polski nie uzna nigdy żadnej narzuconej mu władzy, żadnej formy totalitaryzmu na swojej ziemi, i walczyć będzie do końca o rzeczywistą niepodległość swej Ojczyzny” – pisze w proteście przeciwko powstaniu Rządu Tymczasowego Tomasz Arciszewski, premier rządu RP w Londynie.

Nocą oddziały Ukraińskiej Armii Powstańczej (UPA) i Samoobronni Kuszczowi Widdiły (SKW) mordują około 150 Polaków we wsi Uhryńkowce położonej w dawnym powiecie zaleszczyckim województwa tarnopolskiego, na terenach zajętych przez Armię Czerwoną.

Na bazie funkcjonującego od połowy 1944 roku Resortu Bezpieczeństwa Publicznego przy Polskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego powstaje Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. W terenie ministerstwo reprezentowały podległe mu Urzędy Bezpieczeństwa Publicznego (UB).

3–8 stycznia

Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych (NKWD), centralny organ władz bezpieczeństwa w sowieckiej Rosji, dokonuje masowych aresztowań Polaków we Lwowie. Zatrzymuje około 17 tys. osób, m.in. pracowników Uniwersytetu i Politechniki Lwowskiej, lekarzy, inżynierów, artystów, członków AK oraz cywilnych współpracowników rządu w Londynie. NKWD uznaje, że podlegają rygorom tzw. *gosudarstwiennoj pieriewierki*, czyli przeglądowi stosunku do okupanta. Po fikcyjnych procesach wydawano wyroki skazujące na 5, 10 lub 15 lat więzienia. Niewielka część aresztowanych zostaje zwolniona, większość deportowano do łagru Krasnodon w głąb Związku Radzieckiego i skierowano do pracy przy wyrębie lasów lub w kopalniach antracytu w Zagłębiu Donieckim. Usuwanie Polaków ze Lwowa ma na celu zmianę stosunków narodowościowych w mieście – chodzi o wytrącenie stronie polskiej argumentów w toczącej się wówczas walce dyplomatycznej o zachowanie miasta w granicach Polski.

3 stycznia

Na sesji Krajowej Rady Narodowej zapada decyzja o odbudowie Warszawy po wojnie i ustanowieniu jej stolicą niepodległej Polski. Nie podjęto jej

jednomyślnie, bo miasto zostało zniszczone w 85 proc. i wiele osób uważało, że ruiny stolicy powinny zostać pomnikiem upamiętniającym tragedię narodu polskiego. Podnoszono też głosy, że kraju nie stać na tak kosztowną odbudowę, dlatego powinno się zburzyć ruiny i w nowym miejscu wznieść nowe miasto. Ostatecznie Bolesław Bierut uznał, iż odbudowa stolicy jest koniecznością.

Gen. Douglas MacArthur obejmuje dowodzenie wszystkimi alianckimi siłami lądowymi, a admirał Chester Nimitz wszystkimi siłami morskimi na Pacyfiku. Reorganizacja sił głównego dowództwa ma na celu przygotowanie inwazji na Iwō Jimę, Okinawę i zajęcie Japonii.

4 stycznia

Rząd Tymczasowy zostaje oficjalnie uznany przez Związek Sowiecki, później przez rządy Czechosłowacji i Jugosławii, mimo sprzeciwu Wielkiej Brytanii i USA. Churchill następnego dnia pisze list do Stalina, ale nie podejmuje innych działań w tej sprawie. Oficjalny komunikat ogłoszony przez Agencję Reutera podkreśla: „Ogłoszenie uznania przez Sowietów Komitetu Lubelskiego jako Tymczasowego Rządu polskiego w żadnej mierze nie wpływa na politykę rządu brytyjskiego, który nadal uznaje polski rząd

w Londynie”.

6 stycznia

Rząd Tymczasowy zarządza wymianę pieniędzy okupacyjnych na złote polskie. Jedna osoba może mieć jedynie 500 zł.

9 stycznia

Rozpoczyna się bitwa między Japonią i wojskami amerykańskimi o Luzon, największą wyspę Filipin.

11 stycznia

NKWD wydaje rozkaz „O przedsięwzięciach mających na celu wyczyszczenie tyłów frontów Armii Czerwonej z wrogich elementów”. Rozpoczyna się walka z oddziałami Polskiego Państwa Podziemnego, która ma na celu przejęcie władzy na wyzwolanych terenach.

14 stycznia

Wojska 1. Frontu Białoruskiego rozpoczynają operację warszawską, stanowiącą część operacji wiślańsko-odrzańskiej.

W Lublinie zaczyna działać Uniwersytet im. Marii Curie-Skłodowskiej.

15–27 stycznia

Wojska sowieckie przekraczają Wisłę, zajmując m.in. Kielce, Warszawę, Kraków, Łódź, Olsztyn, Bydgoszcz, Katowic i Opole. Do końca lutego odzyskują z rąk niemieckich cały przedwojenny obszar Polski.

15 stycznia

Przedwojenny Bank Polski SA zostaje zlikwidowany, a złoto znajdujące się w jego dyspozycji przechodzi na rzecz skarbu państwa. W jego miejsce powstaje Narodowy Bank Polski z siedzibą w Warszawie.

16 stycznia

Niemcy likwidują obóz koncentracyjny w Płaszowie niedaleko Krakowa. Znajdujący się tam więźniowie zostają przepędzeni pieszo do Auschwitz.

We Francji słynne zakłady Renault, produkujące samochody osobowe, ciężarowe i maszyny rolnicze, zostają znacjonalizowane.

17 stycznia

Wieczorem Warszawę wyzwalały oddziały 1. Frontu Białoruskiego (w tym 1. Armię WP). Polskimi oddziałami dowodzi radziecki dowódca gen. Stanisław Popławski. W Warszawie w tym czasie żyje około 160 tys. ludzi (głównie po prawej stronie Wisły). Defiladę wojskową przyjmują Bierut, Osóbka-Morawski i gen.

Rola-Żymierski.

Hans Frank prowadzi ostatnie posiedzenie rządu Generalnego Gubernatorstwa na Wawelu. Następnie opuszcza Kraków i jedzie w kierunku Śląska, potem do Bawarii. Z Krakowa zabiera ze sobą zrabowane w Polsce dzieła sztuki, między innymi dzieła Rembrandta, Rafaela oraz Leonarda da Vinci.

Załoga policyjnego więzienia hitlerowskiego na Radogoszczu w Łodzi rozpoczyna masakrę więźniów.

Szwedzki dyplomata Raoul Wallenberg zostaje aresztowany przez NKWD w Budapeszcie pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Stanów Zjednoczonych i potajemnie wywieziony do Moskwy. Był bohaterem, który organizował pomoc humanitarną dla Żydów. Ocalił wiele tysięcy osób od obozów śmierci. Zginie w niewyjaśnionych okolicznościach, prawdopodobnie na Syberii.

18 stycznia

Niemcy ewakuują obóz koncentracyjny Auschwitz. Podczas rozpoczętego wówczas tzw. marszu śmierci giną tysiące więźniów. Mieli do przejścia trasę 63

kilometrów do Wodzisławia Śląskiego. Następnie ładowano ich do otwartych wagonów węglowych i kierowano w głąb Rzeszy w kierunku Moraw i Austrii do znajdujących się tam obozów koncentracyjnych, m.in. Mauthausen-Gusen. W wyniku zimna, egzekucji i brutalności hitlerowców w czasie tej drogi zginęło około 15 tys. więźniów.

Przewodniczący Szarych Szeregów Tadeusz Kupczyński rozwiązuje organizację.

19 stycznia

Na dworcu kolejowym w Częstochowie, chcąc pozbawić NKWD pretekstu do represji i na mocy instrukcji rządu z 16 listopada 1944 roku, gen. Okulicki wydaje rozkaz o rozwiązaniu AK i zwolnieniu żołnierzy z przysięgi, sugerując im pozostanie w konspiracji. Okulicki rozsyła równocześnie tajne rozkazy w celu utrzymania sieci sztabów i struktur, magazynowania broni i zachowania łączności radiowej, co miało stanowić punkt wyjścia do dalszych działań organizacji „NIE” oraz WiN (Wolność i Niezawisłość), które miały kontynuować walkę o niepodległość Polski po zajęciu terytorium kraju przez Armię Czerwoną i przejściu władzy przez komunistów.

1. Front Ukraiński pod dowództwem marszałka Iwana

Koniewa wyzwala Kraków bez zniszczeń dzięki manewrowi oskrzydłającemu.

20 stycznia

Oddział AK likwiduje w Zakopanem przewodniczącego Goralenvolku Wacława Krzeptowskiego. Goralenvolk to ruch separatystyczny wśród górali na Podhalu współpracujący z Niemcami. Krzeptowski został powieszony za zdradę.

24 stycznia

Niemieccy saperzy wysadzają w powietrze obiekty w Wilczym Szańcu – kwaterze Adolfa Hitlera.

25–27 stycznia

Żołnierze Armii Czerwonej dokonują masakry na 380 niemieckich cywilach w Miechowicach (dzisiaj dzielnica Bytomia).

27 stycznia

1. Front Ukraiński Armii Czerwonej wyzwala niemiecki obóz koncentracyjny Auschwitz. Żołnierze zastali tam około 7,5 tys. więźniów, w tym kilkaset dzieci.

W Milanówku odbywa się tajne spotkanie przedstawicieli Stronnictwa Pracy, Stronnictwa

Demokratycznego i Stronnictwa Narodowego.
Postanawiają kontynuować działalność konspiracyjną.

Żołnierze Armii Czerwonej mordują 69 mieszkańców miejscowości Przyszowice, także dzieci i obywateli Włoch i Węgier – więźniów KL Auschwitz, którzy uciekli z marszu śmierci. Ponadto czerwonarmiści dopuszczają się gwałtów na mieszkankach i palą wiele domów. Później będą się tłumaczyć, iż myśleli, że znaleźli się na terytorium niemieckim.

Zostaje odblokowana tzw. Droga Birmańska łącząca pozycje zajmowane przez wojska alianckie i chińskie. Została zbudowana w latach 1937–1938, podczas drugiej wojny chińsko-japońskiej. W czasie wojny kontrolowali ją Japończycy, często zamykając przejazd i uniemożliwiając bezpośrednią komunikację między bazami alianckimi w Indiach a rejonem Czungkingu, ówczesnej stolicy Chin.

29 stycznia

Początek walk o przełamanie Wału Pomorskiego.

Krakowska Rozgłośnia Polskiego Radia wznowia nadawanie programu.

30 stycznia

Na wysokości Łeby zostaje zatopiony niemiecki statek pasażerski „Wilhelm Gustloff” z ponad 10 tys. ewakuowanych (głównie ludność cywilna) z Gdyni. Ataku dokonuje radziecki okręt podwodny S-13 dowodzony przez komandora podporucznika Aleksandra Marineskę.

Luty 1945

1 lutego

Zgodnie z sugestią Józefa Stalina Rząd Tymczasowy przenosi się z Lublina do zniszczonej Warszawy.

Na terenie kraju powstaje sześć dowództw okręgów wojskowych, w których tworzą się specjalne ośrodki dla wycofywanych z frontu jednostek bojowych.

3 lutego

Podczas nalotu lotnictwa amerykańskiego na Berlin ginie ok. 22 tys. osób.

4–11 lutego

Wielka Trójka, czyli Józef Stalin, Winston Churchill i Franklin Delano Roosevelt, spotyka się na konferencji w Jałcie na Krymie. Omawiają kolejne etapy wspólnej walki przeciwko Niemcom i przystąpienie ZSRR

do wojny z Japonią, wstępnie decydują także o powojennym układzie sił w Europie (sprawa granic, reparacji, demilitaryzacji, demokratyzacji i podziału pokonanych Niemiec), czyli ustanawiają nieformalny podział stref wpływów między ZSRR a USA i Wielką Brytanią. Ustalają także, że wschodnia granica Polski ma przebiegać wzdłuż tzw. linii Curzona (co oznacza utratę prawie połowy przedwojennego terytorium państwa), a granice Polski powinny być przesunięte na północ i zachód.

5 lutego

Będący w niewoli niemieckiej naczelny wódz gen. Tadeusz Komorowski „Bór” zostaje przewieziony do Oflagu IV C Colditz. W tym niemieckim zamku niedaleko Drezna przetrzymywano także płk. Antoniego Chruściela „Montera” – dowódcę powstania warszawskiego.

6–7 lutego

Plenum KC PPR debatuje o wiodącej roli PPR w nowym systemie władzy w Polsce.

9 lutego

W Elblągu NKWD aresztuje Aleksandra Sołżenicyna, kapitana artylerii Armii Czerwonej. Powodem był przechwycony list do przyjaciela, w którym Sołżenicyn

krytykuje metody prowadzenia wojny przez ZSRR i działalność Józefa Stalina.

10 lutego

Jednostki 1. Armii Wojska Polskiego uczestniczą w przełamaniu kluczowej pozycji Wału Pomorskiego.

Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego Rządu Tymczasowego wydaje instrukcję dla urzędów wojewódzkich, w której nazywa Armię Krajową ruchem antydemokratycznym i nakazuje walkę z jej oddziałami. Na ulicach miast pojawiają się plakaty z napisem „AK – zapluty karzeł reakcji” projektu Włodzimierza Zakrzewskiego. Trwają masowe aresztowania akowców i ich wywózki do obozów NKWD, m.in. w Rembertowie, Skrobowie czy Krześlinie, i obozów pracy w ZSRR.

Niemiecki transportowiec MS „Steuben”, ewakuujący niemiecką ludność cywilną i rannych żołnierzy do Świnoujścia, zostaje zatopiony na Morzu Bałtyckim przez radziecki okręt podwodny. Ginie 3600 osób.

13 lutego

Na specjalnym posiedzeniu rząd Tomasza Arciszewskiego razem z prezydentem RP na uchodźstwie Władysławem Raczkiewiczem wydają oświadczenie, w którym decyzje jałtańskie nazywają

bezprawnymi, podjętymi bez zgody Polski, z naruszeniem zasad zawartych w Karcie atlantyckiej. Podkreślają, że doszło do nowego rozbioru Polski dokonanego przez jej sojuszników. Pod oświadczeniem rządu podpisują się wszystkie ugrupowania polityczne i organizacje polonijne na świecie.

13–14 lutego

Londyński rząd Tomasza Arciszewskiego wyraża oficjalny protest przeciwko postanowieniom w Jałcie.

Armia Czerwona zajmuje Budapeszt.

Armia Czerwona wyzwala obóz koncentracyjny w Gross-Rosen. Przeszło przez niego 125 tys. więźniów, zginęło ok. 40 tys.

14 lutego

Powstaje Biuro Odbudowy Stolicy, które ma oszacować straty Warszawy w czasie wojny i opracować plan podniesienia jej z gruzów.

17 lutego

Polska Akademia Umiejętności wznawia działalność w Krakowie. Jej prezesem zostaje historyk Stanisław Marian Kutrzeba.

19 lutego

Pierwsze po wojnie przedstawienie wystawia Teatr im. Słowackiego w Krakowie. Dyrektorem placówki zostaje jej przedwojenny kierownik, wybitny scenograf Karol Frycz.

Amerykanie lądują na Iwō Jimie. Bitwa o wyspę trwa do 26 marca. Zdjęcie Joe Rosenthala, przedstawiające zatknięcie amerykańskiego sztandaru na szczycie Suribachi przez grupę US Marines, staje się symbolem walk na Pacyfiku.

W Londynie powstaje Polski Ruch Wolnościowy „Niepodległość i Demokracja” – ruch emigracyjny, którego pierwszym przewodniczącym zostaje Rowmund Piłsudski, daleki krewny Józefa Piłsudskiego. W grupie założycieli ugrupowania znajduje się Jan Nowak-Jeziorański.

20 lutego

Działalność wznawia Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie.

21 lutego

Rada Jedności Narodowej razem z Delegatem Rządu RP na Kraj Janem Stanisławem Jankowskim podejmuje

uchwałę, w której potępia decyzje jałtańskie dotyczące granic Polski podjęte bez udziału strony polskiej i równocześnie uznaje nowe granice, „widząc w nich szansę uniknięcia dalszego wyniszczenia polskiego narodu oraz szansę stworzenia podstawy do organizacji własnych sił”.

23 lutego

Armia Czerwona po prawie miesiącu walk zajmuje Poznań zamieniony w niemiecką twierdzę bronią przez 30 tys. żołnierzy.

Turcja, która dotąd zachowuje neutralność, wypowiada wojnę Niemcom i Japonii.

26 lutego

Prezydent Władysław Raczkiewicz powierza gen. Władysławowi Andersowi funkcję p.o. naczelnego wodza. Dotychczasowy naczelny wódz gen. Tadeusz Komorowski „Bór” wciąż znajduje się w niewoli niemieckiej.

28 lutego

Egipt wypowiada wojnę Niemcom i Japonii.

Marzec 1945

3 marca

Finlandia wypowiedzi wojnę III Rzeszy.

6 marca

Na Węgrzech rozpoczyna się ostatnia niemiecka ofensywa w II wojnie światowej – Operacja „Frühlingserwachen” – którą Armia Czerwona przełamie w połowie marca.

7 marca

W podwarszawskim Milanówku NKWD aresztuje gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila”. Jest jedną z najważniejszych postaci Armii Krajowej i bojowników o wolność Polski: w latach 1940–1942 był inspektorem Komendy Głównej ZWZ, 1942–1944 komendantem Kedywu KG AK, w 1944 r. członkiem Kierownictwa Walki Podziemnej i komendantem organizacji „NIE”, 1944–1945 zastępcą dowódcy AK, a w 1945 r. zastępcą komendanta „NIE”. Sowieci nie rozpoznają w nim ważnej postaci podziemia niepodległościowego (generał ukrywał się pod fałszywym nazwiskiem) i wysyłają do obozu pracy na Uralu. Fieldorf wraca do Polski w 1947 r., dwa lata później zostaje aresztowany i w 1952 r. skazany na karę śmierci wyrokiem nielegalnego sądu (tzw. sekcji tajnej).

8 marca

W Milanówku i Brwinowie NKWD aresztuje przywódców podziemnych stronnictw politycznych, m.in. przewodniczącego Stronnictwa Narodowego Aleksandra Zwierzyńskiego i wiceprzewodniczącego Stronnictwa Pracy Jana Hoppego.

Adolf Hitler grozi żołnierzom niemieckim poważnymi konsekwencjami, jeśli dostaną się do niewoli, nie odniósłszy ran.

9 marca

Gen. Leopold Okulicki, Komendant Sił Zbrojnych w Kraju, pisze w depeszy do gen. Władysława Andersa: „Represje i aresztowania żołnierzy AK trwają bez przerwy. Konieczna jest interwencja Anglosasów. Do tego czasu aresztowano ponad 40 tysięcy. Los aresztowanych niewiadomy. Armia Czerwona i władze sowieckie grabią, co się da. Zachowują się jak w zdobyczym wrogiem kraju”.

Partyzanckie oddziały podziemia uwalniają aresztowanych w więzieniu w Białej Podlaskiej.

Lotnictwo amerykańskie przez dwa dni bombarduje Tokio. W czasie nalotu dywanowego ginie ponad 80 tys. ludzi, ponad 40 tys. zostaje rannych, a milion osób traci

dach nad głową.

11 marca

Atak powietrzny aliantów na zakłady Kruppa w Essen. Koncern stalowy korzysta z pracy jeńców wojennych i robotników przymusowych przywożonych z okupowanych krajów. Po wojnie w czasie procesów norymberskich członkowie zarządu Krupp AG zostaną skazani na kary więzienia za zbrodnie przeciwko ludzkości.

12 marca

Rząd RP w Londynie wydaje notę do rządów Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Chin, w której protestuje przeciwko niezaprośzeniu swoich delegatów na konferencję Narodów Zjednoczonych w San Francisco.

15 marca – 10 listopada

Trwa akcja rozminowywania kraju – w tym czasie saperzy przeszukują ok. 250 tys. km kw., usuwając ponad 9 mln min.

16 marca

Rząd Francji oficjalnie uznaje Rząd Tymczasowy RP.

17 marca

Delegat Rządu RP na Kraj Jan Stanisław Jankowski spotyka się w Pruszkowie z sowieckim pułkownikiem Pimienowem, z którym omawia szczegóły planowanego spotkania członków Polskiego Państwa Podziemnego z gen. Iwanem Sierowem. Pimienow oświadcza, że władze sowieckie, widząc brak wsparcia Rządu Tymczasowego przez społeczeństwo, pragną porozumienia z różnymi partiami.

Amerykanie zrzucają bomby na Kobe. Ginie ok. 8 tys. ludzi.

18 marca

Polskie wojska zdobywają Kołobrzeg zamieniony w twierdzę niemiecką, który w wyniku walk zostaje zniszczony w 90 proc. Kapral Franciszek Niewidziajło przeprowadza symboliczne zaślubiny Polski z morzem.

Rosjanie i Polacy wyzwalają obóz w Łambinowicach w województwie opolskim. W 1944 r. Niemcy zwieźli tu żołnierzy z powstań warszawskiego i słowackiego, a także jeńców radzieckich. Wyjątkowo trudne warunki i ciężka praca powodowały masową śmiertelność. W obozie i jego filiach ginie 57 tys. osób.

19 marca

Uniwersytet Jagielloński rozpoczyna pierwszy rok

akademicki po wojnie.

Adolf Hitler wydaje tzw. rozkaz Nerona, w którym nakazuje niszczenie w Niemczech wszystkiego, co wrogowie mogliby wykorzystać do dalszych działań przeciwko Rzeszy.

22 marca

W Kairze zostaje podpisany Pakt Ligi Państw Arabskich, które łączy wspólnota języka, historii, kultury i religii. Powstanie Ligi zostało poprzedzone podpisaniem przez siedem krajów założycielskich protokołu aleksandryjskiego na konferencji w Aleksandrii w 1944 r., której przewodniczył premier Egiptu.

23 marca

Powstaje Korpus Bezpieczeństwa Publicznego, przemianowany wkrótce na Korpus Bezpieczeństwa, który zajmuje się ochroną urzędników państwowych i bezwzględnym zwalczaniem podziemia niepodległościowego.

24 marca

W Krakowie ukazuje się pierwszy numer „Tygodnika Powszechnego”. Redaktorem naczelnym pisma katolickiego o tematyce społeczno-kulturalnej, założonego przez kardynała Adama Stefana Sapiełę,

zostaje ks. Jan Piwowarczyk.

27–28 marca

Szesnastu przywódców Polski podziemnej przybywa do Warszawy na rozmowy ze stroną sowiecką i zostaje podstępnie aresztowanych przez gen. Iwana Sierowa, jednego z szefów NKWD. Zostają przewiezieni do Moskwy i poddani śledztwu. Wśród aresztowanych są m.in.: Kazimierz Pużak (przewodniczący Rady Jedności Narodowej), Jan Stanisław Jankowski (Delegat Rządu RP na Kraj), gen. Leopold Okulicki (dowódca AK).

30 marca

Armia Czerwona wyzwala Gdańsk. W czasie walk o miasto ginie ponad 39 tys. żołnierzy niemieckich.

Kwiecień 1945

1 kwietnia

Polskie Linie Lotnicze LOT wznowiają loty na kursach krajowych.

Uniwersytet Poznański wznowia działalność po wojnie.

Amerykanie lądują na wyspie Okinawa (główna operacja desantowa L-Day). Walka trwa do 22 czerwca

i kończy się zwycięstwem Amerykanów. Część japońskich żołnierzy, w tym przysły gubernator prefektury Okinawa Masahide Ota, walczy jeszcze przez kilka tygodni. Dowodzący wojskami japońskimi gen. Mitsuru Ushijima i gen. Isamu Chō popełniają rytualne seppuku w swojej kwaterze głównej.

4–5 kwietnia

W Koszycach, w których stacjonuje Armia Czerwona, powstaje rząd Frontu Narodowego Czechów i Słowaków, który ogłasza powstanie państwa związanego ścisłym sojuszem z ZSRR.

Armia Czerwona zdobywa Bratysławę.

5 kwietnia

ZSRR wypowiada układ o neutralności podpisany 13 kwietnia 1941 r. z Japonią. 8 sierpnia wypowie Japonii wojnę i zacznie walki w Mandżurii.

6 kwietnia

Rozpoczyna się japońska operacja Ten-gō przeciwko flocie amerykańskiej. Z bazy Tokuyama na wyspie Honsiu wypływają okręty japońskie pod dowództwem wiceadmirala Sei'ichi Itō w celu odciążenia Okinawy. Japończycy tracą większość swoich jednostek i przegrywają batalię.

9 kwietnia

Wojskowy Sąd Okręgowy w Lublinie skazuje dwóch cichociemnych – kpt. Mieczysława Szczepańskiego „Dębinę” i ppor. Czesława Rossińskiego „Jemiołę” – na karę śmierci pod zarzutem przygotowywania zamachu na Bolesława Bieruta i Edwarda Osóbkę-Morawskiego. Wyrok zostanie wykonany 12 kwietnia. Razem z nimi zginie też szef Kedywu lubelskiego AK mjr Jan Kazimierz Nawrat.

Były szef Abwehry admirał Wilhelm Canaris, skazany dzień wcześniej przez sąd niemiecki na karę śmierci za zdradę, zostaje uduszony struną fortepianową przez strażników w obozie koncentracyjnym Flossenbürg w Bawarii. Razem z nim sądzono i powieszono innych przeciwników Hitlera: gen. Hansa Oстера, pastora Dietricha Bonhoeffera, prawnika Karla Sacka, Theodora Strüncka i Ludwiga Gehrego.

Armia amerykańska dowodzona przez gen. Marka Clarka rozpoczyna ofensywę w dolinie Padu we Włoszech.

10 kwietnia

Po aresztowaniu przywódców Polski podziemnej nowym Delegatem Rządu RP na Kraj zostaje Stefan

Korboński.

11 kwietnia

Amerykanie oswobadzają obóz koncentracyjny w Buchenwaldzie. Więźniów zmuszano w nim do pracy m.in. w przemyśle zbrojeniowym i kamieniołomach. Przetrzymano tam ok. 238 tys. osób różnej narodowości, w tym wielu Polaków, ok. 56 tys. zginęło. Po wyzwoleniu Amerykanie zmusili mieszkańców pobliskiego Weimaru do przejścia przez teren obozu, a żołnierzy niemieckich do grzebania zmarłych.

12 kwietnia

Prezydent Stanów Zjednoczonych Franklin Delano Roosevelt umiera w Warm Springs (stan Georgia). Jego następcą zostanie Harry Truman.

—

1. Dywizja Pancerna dowodzona przez gen. Stanisława Maczka wyzwala obóz jeniecki Oberlangen, gdzie przetrzymywane są m.in. uczestniczki powstania warszawskiego.

13 kwietnia

Niemcy mordują więźniów ewakuowanych z obozu koncentracyjnego Dora-Mittelbau. Ginie wtedy ponad tysiąc Polaków. W sumie przez obóz przeszło 60 tys. więźniów różnej narodowości (najwięcej Polaków),

zginęło 13 tys.

Armia Czerwona zajmuje Wiedeń.

15 kwietnia

Ukazuje się pierwszy numer krakowskiego tygodnika „Przekrój”. Jego założycielem i pierwszym redaktorem naczelnym jest satyryk Marian Eile.

16 kwietnia

Armia Czerwona zaczyna ofensywę na Berlin.

17 kwietnia

Józef Kuraś „Ogień” uwalnia 15 osadzonych w więzieniu UB w Limanowej, następnego dnia 30 więźniów w Nowym Targu. Jego oddział walczy z władzą komunistyczną na Podhalu do lutego 1947 r. Wtedy osaczony podczas obławy przez KBW Kuraś popełnia samobójstwo.

19 kwietnia

Naczelnny wódz gen. Władysław Anders rozwiązuje organizację „NIE” i powołuje Delegaturę Sił Zbrojnych na Kraj. Jej dowódcą zostaje płk Jan Rzepecki. Ta formacja zbrojna polskiego podziemia antykomunistycznego powstała, by prowadzić walkę

z okupantem sowieckim.

20 kwietnia

Płk Przemysław Nakoniecznikoff-Klukowski, komendant Okręgu AK Kraków, zostaje aresztowany przez NKWD i wywieziony do ZSRR.

W Berlinie ściśle kierownictwo III Rzeszy spotyka się z okazji 56. urodzin Adolfa Hitlera. Przychodzą Himmler, Goebbels, Ribbentrop, Bormann i Göring.

21 kwietnia

Edward Osóbka-Morawski, przedstawiciel Rządu Tymczasowego, podpisuje z Józefem Stalinem polsko-radziecki układ o przyjaźni, pomocy wzajemnej i współpracy powojennej. Ma trwać 20 lat i być automatycznie przedłużany.

2. Korpus Polski pod dowództwem gen. Zygmunta Bohusza-Szyszki wkracza do Bolonii.

22 kwietnia

Rząd RP w Londynie wysłał memorandum do uczestników międzynarodowej konferencji w San Francisco przeciwko zaborowi ziem polskich przez ZSRR.

25 kwietnia

Wojska sowieckie i amerykańskie spotykają się nad Łabą w okolicy Torgau.

W konferencji założycielskiej ONZ bierze udział 50 państw. Nie ma wśród nich przedstawiciela Polski.

28 kwietnia

Władze polskie zajmują wyzwolony przez Sowietów Szczecin.

W północnych Włoszech wybucha powstanie antyniemieckie. Dyktator Benito Mussolini próbuje uciec przed aliantami do Szwajcarii, ale zostaje schwytany przez włoskich partyzantów i rozstrzelany w Giulino di Mezzegra (prowincja Como). 29 kwietnia ciała Mussoliniego i jego wieloletniej kochanki Clary Petacci zostają przewiezione do Mediolanu, tam zbezczeszczone przez tłum i powieszono głowami w dół na stacji benzynowej.

29 kwietnia

Amerykanie wyzwalają obóz dla jeńców wojennych w Murnau i obóz koncentracyjny w Dachau.

30 kwietnia

Adolf Hitler wraz z poślubioną dzień wcześniej Evą Braun popełnia samobójstwo w swoim podziemnym bunkrze dowodzenia w Berlinie. Powszechnie przyjmuje się, że uczynił to, strzelając sobie z pistoletu w skroń i jednocześnie rozgryzając fiolkę z cyjankiem (niektórzy, głównie sowieccy, historycy utrzymują, iż w rzeczywistości został zastrzelony przez swoich adiutantów lub straż przyboczną).

Admirał Karl Dönitz zostaje wyznaczony przez Hitlera na jego następcę jako prezydent III Rzeszy i najwyższy dowódca Wehrmachtu.

Armia Czerwona wyzwala obóz koncentracyjny dla kobiet Ravensbrück. Przez obóz przeszło ok. 132 tys. kobiet, w tym ok. 30 tys. Polek; w egzekucjach, komorach gazowych i wskutek niewolniczej pracy zginęło ok. 92 tys. więźniarek.

Wojska amerykańskie zajmują Monachium.

Maj 1945

1 maja

W całej Polsce odbywają się pierwsze oficjalne obchody państwowego Święta Pracy.

Podporucznik Marian Bernaciak „Orlik” ze swoim oddziałem zajmuje Kock, rozpędza pochód pierwszomajowy i organizuje wiec antykomunistyczny. W czasie odwrotu z Kocka pod Annówką rozbija grupę UB.

Magda Goebbels podaje truciznę sześciorgu swoich dzieci, a następnie razem z mężem Josephem Goebbelsem popełniają samobójstwo w ogrodach kancelarii Rzeszy.

2 maja

Niemcy kapitulują we Włoszech.

Wojska sowieckie i polskie zdobywają Berlin. Polska flaga powiewa obok sowieckiej na Bramie Brandenburskiej oraz na pruskiej Kolumnie Zwycięstwa w wojnie francusko-pruskiej 1870 r.

Ostatnie ciężkie naloty tej wojny – na port w Kolonii w Niemczech i fabrykę Škody w czeskim Pilźnie.

3 maja

Marszałkiem Polski zostaje Michał Żymierski, minister obrony narodowej i wieloletni agent NKWD. Sprzeciwia

się tej nominacji Delegatura Sił Zbrojnych na Kraj, która nazywa Żymierskiego sowieckim zdrajcą i zarzuca mu brak umiejętności dowódczych.

4 maja

Alianci aresztują Hansa Franka w Neuhaus am Schliersee (obecnie dzielnica miejscowości Schliersee), gdzie urządził filię Generalnego Gubernatorstwa w Polsce. Ma przy sobie dziennik, który posłuży potem jako dowód jego zbrodni w Generalnym Gubernatorstwie podczas procesu norymberskiego.

5 maja

Więźniowie opanowują obóz koncentracyjny w Mauthausen, do którego następnie wkraczają Amerykanie. To miejsce zagłady chorych i inwalidów, także zbrodniczych eksperymentów medycznych, w którym zginęło ok. 123 tys. ludzi.

Czeska Praga zostaje wyzwolona podczas powstania antyniemieckiego przy udziale podległych Wehrmachtowi oddziałów gen. Andrieja Własowa.

Kapitulacja wojsk niemieckich w Norwegii.

6 maja

Kapitulację Wrocławia podpisuje gen. Hermann Niehoff. Po wojnie wraz z Hansem von Ahlfenem pisze „So kämpfte Breslau” (polski tytuł „Festung Breslau w ogniu”) – historię walk o Wrocław z perspektywy dowódców twierdzy.

1. Dywizja Pancerna gen. Maczka zajmuje bazę marynarki wojennej Niemiec w Wilhelmshaven i przyjmuje kapitulację garnizonu.

7 maja

Oddziały NZW Okręgu Rzeszowskiego pod dowództwem porucznika Franciszka Przysięźniaka wygrywają bitwę z oddziałami Armii Czerwonej w Kuryłówce na Lubelszczyźnie. W odwecie UB zabija strzałem w głowę 23-letnią żonę Przysięźniaka, Janinę, będącą w siódmym miesiącu ciąży.

W Reims przed dowództwem wojsk sprzymierzonych (gen. Dwight D. Eisenhower) Niemcy podpisują akt bezwarunkowej kapitulacji Wehrmachtu i przerwania działań wojennych 8 maja. Na żądanie strony sowieckiej akt kapitulacji zostanie powtórzony 9 maja w Berlinie przed marszałkiem Georgijem Żukowem. Akt kapitulacji Niemiec podpisuje gen. Alfred Jodl, skazany później na śmierć przez Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze.

8 maja

Nocą oddziały AK uderzają na Grajewo, rozbijają garnizon i uwalniają 214 więźniów podziemia niepodległościowego.

O godzinie 23.01 czasu środkowoeuropejskiego zostają przerwane działania wojenne.

9 maja

Oddział AK uwalnia 102 więźniów aresztu w Białymstoku.

Armia Czerwona wyzwala obóz koncentracyjny Stutthof. Przez obóz przeszło ok. 110 tys. więźniów, zginęło ok. 65 tys.

Feldmarszałek Wilhelm Keitel podpisuje w Berlinie akt bezwarunkowej kapitulacji III Rzeszy w obecności marszałka Gieorgija Żukowa i reprezentantów wojsk alianckich. Keitel za zbrodnie wojenne został skazany na karę śmierci przez Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze i stracony.

20 maja

W Rembertowie pod Warszawą Oddział AK por. Edwarda Wasilewskiego „Wichury” rozbija obóz

NKWD i uwalnia więźniów.

20–21, 26 maja

Plenum KC PPR omawia działanie aparatu represji. Władysław Gomułka wygłasza przemówienie, którego treść była konsultowana ze Stalinem – porusza temat brutalnego zachowania Armii Czerwonej i służb bezpieczeństwa, chcąc w ten sposób poprawić wizerunek partii w oczach Polaków.

23 maja

Amerykanie przeprowadzają ciężkie bombardowania Tokio.

Heinrich Himmler, jeden z głównych przywódców Niemiec hitlerowskich, po ujęciu przez Brytyjczyków zażywa truciznę i umiera w Lüneburgu.

24 maja

Rada Ministrów wydaje uchwałę o powołaniu Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Liczy 30 tys. żołnierzy dowodzonych przez radzieckiego generała Bolesława Kieniewicza. Jego zadanie polega na walce z oddziałami podziemia niepodległościowego.

Oddział podporucznika Mariana Bernaciaka „Orlika”

razem z oddziałem dywersji terenowej ppor. Czesława Szlendaka „Maksa” toczy zwycięską bitwę w Lesie Stockim z siłami KBW, UB i NKWD.

27 maja

Płk Jan Rzepecki i Stefan Korboński wydają odezwę do oddziałów partyzanckich, w której wzywają do ujawnienia się, wyjścia z podziemia i podjęcia wysiłku odbudowy zrujnowanego kraju.

28 maja

Gen. Tadeusz Komorowski „Bór” po wyjściu z niewoli niemieckiej ponownie obejmuje funkcję naczelnego wodza.

Czerwiec 1945

1 czerwca

Ukazuje się pierwszy numer pisma „Kuźnica” pod redakcją Stefana Żółkiewskiego. Był to tygodnik lewicowej inteligencji propagujący myśl marksistowską.

5 czerwca

Niemcy zostają podzielone na strefy okupacyjne: amerykańską, francuską, brytyjską i sowiecką. Berlin zostaje przekazany pod bezpośrednie zwierzchnictwo

zwycięskich mocarstw. Sprawy sporne rozwiązuje Sojusznicza Rada Kontroli. Dokument podpisują marszałek Gieorgij Żukow, gen. Dwight Eisenhower, marszałek Bernard Law Montgomery i gen. Jean-Marie De Lattre de Tassigny.

9 czerwca

Gen. Żymierski wydaje rozkaz rozpoczęcia wysiedlania Niemców z Polski.

10–15 czerwca

Konflikt o Zaolzie i Kotlinę Kłodzką z Czechami przybiera na sile. Na ziemię kłodzką wkraczają oddziały czeskie, do Cieszyna – polskie. Ostatecznie Józef Stalin polecił Polakom zwrócić Zaolzie, a Czechosłowacji zrezygnować z obszarów Śląska Opolskiego.

17 czerwca

W Moskwie rozpoczynają się rozmowy na temat utworzenia polskiego rządu. Biorą w nich udział m.in. Bolesław Bierut, Edward Osóbka-Morawski, Władysław Gomułka, Stanisław Mikołajczyk, Jan Stańczyk. W Moskwie pojawiają się także przedstawiciele rządów Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii.

21 czerwca

Sąd moskiewski wydaje wyrok w procesie szesnastu.

Gen. Okulicki dostaje dziesięć lat więzienia, Jan Stanisław Jankowski – osiem, Adam Bień, Stanisław Jasiukowicz, Antoni Pajdak – pięć. Okulicki, Jankowski i Jasiukowicz już nie wyszli na wolność.

22 czerwca

W defiladzie zwycięstwa w Moskwie biorą udział Bolesław Bierut i marszałek Michał Żymierski.

24 czerwca

Bombowce brytyjskie niszczą most na rzece Kwai.

26 czerwca

Przedstawiciele 50 państw koalicji antyhitlerowskiej podpisują w San Francisco Kartę Narodów Zjednoczonych, która stanowi podstawę działania Organizacji Narodów Zjednoczonych. Polska podpisze ją dopiero 16 października. Na tej samej konferencji powstaje Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości.

28 czerwca

Edward Osóbka-Morawski staje na czele utworzonego Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Jego zastępcami są Władysław Gomułka i Stanisław Mikołajczyk – którego po przyjeździe do Polski powitały tłumy rodaków. Większość państw uznaje TRJN, m.in. USA i Wielka Brytania, choć przeciwko

jego powołaniu protestuje prezydent i rząd RP na uchodźstwie.

Prezydent RP na uchodźstwie wydaje zarządzenie o częściowej demobilizacji żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

29 czerwca – 1 lipca

Podczas XXXVI Kongresu PPS pada deklaracja sojuszu z ZSRR i utrzymania ścisłej współpracy z PPR. Do władz partii wchodzi Stanisław Szwalbe (przewodniczący Rady Naczelnej), Edward Osóbka-Morawski (przewodniczący CKW) i Józef Cyrankiewicz (sekretarz generalny).

29 czerwca

Czechosłowacja podpisuje traktat, w którym przekazuje ZSRR Ruś Zakarpacką.

Lipiec 1945

1 lipca

W Krakowie Rada Jedności Narodowej wydaje „Odezwę do Narodu Polskiego i Narodów Zjednoczonych” oraz „Testament Polski Walczącej”. Tym samym rozwiązaniu ulegają Rada Jedności Narodowej i Delegatura Rządu

na Kraj.

5 lipca

Rządy Wielkiej Brytanii i USA cofają uznanie rządu polskiego na uchodźstwie.

6 lipca

W Moskwie zostaje podpisana umowa o repatriacji ludności polskiej i żydowskiej ze Związku Radzieckiego do Polski oraz ludności rosyjskiej, białoruskiej, ukraińskiej i litewskiej z Polski do ZSRR.

10–25 lipca

Regularne oddziały Armii Czerwonej należące do 3. Frontu Białoruskiego i jednostki 62. Dywizji Wojsk Wewnętrznych NKWD prowadzą obławę augustowską – szeroko zakrojoną akcję pacyfikacyjną obejmującą tereny Puszczy Augustowskiej i jej okolic (m.in. Giby). W jej wyniku zaginie bez wieści ok. 1,6 tys. Polaków.

Oddział Mariana Bernaciaka „Orlika” uwalnia z transportu pod Bąkowcem ok. 120 więźniów, w tym wielu żołnierzy podziemia niepodległościowego.

12 lipca

W Łodzi ukazuje się pierwszy po wojnie numer

„Przeglądu Sportowego”.

17 lipca – 2 sierpnia

Na konferencji w Poczdamie niedaleko Berlina prezydent USA Harry Truman, premier ZSRR Józef Stalin i premierzy Wielkiej Brytanii Winston Churchill (do 25 lipca) oraz Clement Attlee (od 28 lipca) budują powojenny układ sił w Europie. Ustalili północną i zachodnią granicę Polski na Odrze, Nysie Łużyckiej i Morzu Bałtyckim, przyznali ZSRR okręg Królewca oraz postanowili przesiedlić Niemców z Polski, Czechosłowacji i Węgier; zdecydowali również o odszkodowaniach wojennych z Niemiec.

22 lipca

Krajowa Rada Narodowa wydaje dekret, w którym ustanawia dzień 22 lipca narodowym Świętem Odrodzenia Polski.

27 lipca

Do Polski wraca prymas August Hlond. W lutym 1944 r. został aresztowany przez Gestapo i internowany w Paryżu, a potem kolejno w klasztorach w Bar-le-Duc i Wiedenbrück.

Sierpień 1945

1 sierpnia

W Warszawie UB aresztuje Delegata Sił Zbrojnych na Obszar Centralny płk. Jana Mazurkiewicza „Radosława”.

2 sierpnia

Władze ogłaszają amnestię dla członków podziemia pozostających dotąd w konspiracji (wchodzi w życie 21 sierpnia). Ujawnia się około 30 tys. ludzi. Wkrótce władza rozpoczyna wobec nich represje.

5 sierpnia

Po aresztowaniu wyższych oficerów Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj dowództwo DSZ postanawia zakończyć działalność, o czym następnego dnia płk Jan Rzepecki informuje w specjalnym rozkazie.

Oddział AK pod dowództwem kpt. Antoniego Hedy „Szarego” zdobywa więzienie UB w centrum Kielc i uwalnia ponad 300 więźniów.

6 sierpnia

Amerykańskie lotnictwo zrzuca bombę atomową o mocy 20 000 t TNT na japońskie miasto Hiroszima. Ginie 78 100 ludzi, 37 424 jest rannych i 13 983 zaginionych. Wiele tysięcy ludzi umiera w wyniku

choroby popromiennej.

9 sierpnia

Druga amerykańska bomba atomowa spada na japońskie Nagasaki. Prawie połowa miasta zniknęła z powierzchni ziemi, ginie (wg różnych źródeł) 25-75 tys. ludzi.

Związek Radziecki wypowiada wojnę Japonii i kilka dni później zajmuje Sachalin.

11 sierpnia

W Chinach rozpoczyna się ofensywa komunistycznej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej przeciw okupacyjnemu wojskom japońskim.

12 sierpnia

Rosjanie lądują na wschodnim wybrzeżu Korei, a sześć dni później pojawiają się na Wyspach Kurylskich.

14 sierpnia

Sąd wojskowy skazuje we Francji Philippe'a Pétaina, szefa proniemieckiego rządu Vichy, za kolaborację z hitlerowskimi Niemcami na karę śmierci, zamienioną na dożywotnie więzienie.

16 sierpnia

Podpisanie polsko-sowieckiego układu granicznego, w którym zaakceptowano ustalenia z 27 lipca 1944 r. Nowym elementem jest wytyczenie linii granicznej z ZSRR w byłych Prusach Wschodnich równoleżnikowo od Gołdapi po Mierzęję Wiślaną. Poza Polską zostaje m.in. Wileńszczyzna, Polesie, Wołyń i Podole oraz dwa ważne miasta – Wilno i Lwów.

Za uzyskanie 15 proc. reparacji z radzieckiej strefy okupacyjnej Polacy mają dostarczać do ZSRR węgiel po sztywnych cenach – 1 dolar za tonę, co stanowi ok. 1/10 jego wartości na światowym rynku. Dostawy trwały do 1953 r., na czym Polska straci co najmniej 500 mln dol.

22 sierpnia

Powstaje PSL ze Stanisławem Mikołajczykiem na czele.

23 sierpnia

UB aresztuje ostatnich akowców obsługujących radiostację, nadających ze wsi Jodłownik i Szczyrzyc w powiecie limanowskim.

24 sierpnia

Powstaje Uniwersytet Wrocławski i Politechnika Wrocławska.

30 sierpnia

Powstaje Sojusznicza Rada Kontroli Niemiec – organ prawodawczy i administracyjny z siedzibą w Berlinie, sprawujący władzę zwierzchnią na terytorium okupowanych Niemiec w imieniu rządów czterech mocarstw koalicji antyhitlerowskiej – Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji i Związku Radzieckiego.

Wrzesień 1945

2 września

W Warszawie powstaje zrzeszenie Wolność i Niezawisłość (WiN), na czele którego staje płk Jan Rzepecki. Przejmuje większość kadr i struktur organizacyjnych Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj i podejmuje próbę przekształcenia konspiracji wojskowej w cywilny ruch społeczno-polityczny, mający na celu obronę podstawowych praw obywateli, wolności oraz niezawisłości państwa polskiego.

—

Japonia bezwarunkowo kapituluje, kończąc tym samym II wojnę światową. Akt podpisują na pokładzie zakotwiczonego w Zatoce Tokijskiej pancernika USS „Missouri” gen. Douglas MacArthur i admirał Chester Nimitz jako przedstawiciel sił alianckich i minister

spraw zagranicznych Japonii Mamoru Shigemitsu wraz z generałem Yoshijirō Umezu. Po kapitulacji Japonia do 28 kwietnia 1952 r. znajduje się pod okupacją amerykańską.

Polityk komunistyczny Ho Chi Minh ogłasza utworzenie Demokratycznej Republiki Wietnamu. Powstaje koalicyjny rząd tymczasowy z Ho Chi Minhem na czele.

3 września

Wojska brytyjskie wkraczą do Singapuru, kolonii utraconej na rzecz Japonii.

8 września

Por. Stefan Bembiński „Harnaś” atakuje więzienie UB w Radomiu i uwalnia przetrzymywanych tam żołnierzy AK.

W Berlinie odbywa się defilada wojsk alianckich z okazji zakończenia II wojny światowej.

Amerykanie wkraczą do Korei Południowej.

Powstaje Polski Korpus Przystosowania i Rozmieszczenia dla żołnierzy PSZ na Zachodzie, którzy nie chcą wracać do Polski. Ma ich przygotować

do życia cywilnego na terytorium Wielkiej Brytanii lub poza jego granicami. Działa do 1949 r.

10 września

Były premier Norwegii i szef faszystowskiej partii Nasjonal Samling Vidkun Quisling zostaje skazany na śmierć za kolaborację z hitlerowcami i terror. Zwłoki wystawiono na widok publiczny, by Norwegowie mogli je bezcześcić.

12 września

Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej wypowiada konkordat z 1925 r. Niecałe dwa tygodnie później wprowadza cywilne śluby i rozwody.

—

Wojska francuskie wkraczają do Indochin, utraconych na rzecz Japonii.

14 września

Delegacja UNRRA (United Nations Relief and Rehabilitation Administration) podpisuje z Polską umowę o pomocy. W ramach umowy organizacja powołana do niesienia pomocy krajom dotkniętym wojną dostarczyła do 1947 r. 2 mln ton różnych towarów, m.in. ciągniki, maszyny budowlane i rolnicze, parowozy, wagony kolejowe, samochody ciężarowe, warsztaty naprawcze i montownie, odzież, tekstylia,

sprzęt medyczny, leki, materiały płynne, zboże, zwierzęta, artykuły spożywcze.

15 września

W Warszawie, trzy tygodnie przed terminem, rusza pierwsza linia tramwajowa łącząca ulicę Opaczewską z Okęciem.

16 września

USA prezentują prototyp pierwszej elektronicznej maszyny do liczenia ENIAC (od ang. Electronic Numerical Integrator And Computer).

25 września

Na Jawie Ahmed Sukarno zaczyna powstanie przeciwko holenderskim władzom kolonialnym.

Październik 1945

9 października

Sojusznicza Rada Kontroli rozwiązuje w Niemczech wszystkie organizacje nazistowskie.

15 października

Szef kolaboracyjnego francuskiego rządu Vichy Pierre Laval zostaje skazany przez władze na karę śmierci

i rozstrzelany we Fresnes.

16 października

Minister spraw zagranicznych Wincenty Rzymowski podpisuje Kartę Organizacji Narodów Zjednoczonych.

W Québecu 44 państwa podpisują umowę założycielską Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw Wyżywienia i Rolnictwa (FAO), utworzonej z inicjatywy krajów koalicji antyhitlerowskiej uczestniczących w konferencji poświęconej problemom rolnictwa i wyżywienia w maju 1943 r. w Hot Springs.

18 października

Powstaje Polska Agencja Prasowa.

25 października

Wojska japońskie na Tajwanie poddają się oddziałom chińskiego generalissimusa Czang Kaj-szeka.

26 października

Do kraju wracają internowane w czasie wojny w Szwecji okręty podwodne ORP „Ryś”, ORP „Sęp” i ORP „Żbik”.

27 października

Prezydent Harry S. Truman ogłasza w Kongresie tzw. 12

punktów dotyczących zasad pokojowego współistnienia w stosunkach międzynarodowych.

29 października

W czasie bezkrwawego zamachu stanu w Brazylii obalony zostaje prezydent Dornelles Vargas. Po odejściu z urzędu staje na czele założonej przez siebie Brazylijskiej Partii Pracy.

30 października

Umiera Wincenty Witos, jeden z najważniejszych polskich działaczy ruchu ludowego. W jego pogrzebie 6 listopada w Wierzchosławicach niedaleko Tarnowa bierze udział 100 tys. osób.

Listopad 1945

3 listopada

Zwiedzający pierwszy raz po wojnie mogą obejrzeć Ermitaż, największe muzeum w Rosji.

4 listopada

Ukazuje się pierwszy numer „Gazety Ludowej”, oficjalnego organu PSL.

5 listopada

UB aresztuje prezesa WiN Jana Rzepeckiego. Dwa lata później zostanie skazany na osiem lat więzienia.

6 listopada

Francuzi proklamują IV Republikę z gen. Charles'em de Gaulle'em na czele nowego rządu.

10 listopada

Powstaje Centralny Urząd Planowania przy Komitecie Ekonomicznym Rady Ministrów prowadzony przez Czesława Bobrowskiego. Zajmuje się przygotowaniem odbudowy kraju ze zniszczeń wojennych i tworzeniem planu rozwoju gospodarczego.

13 listopada

Powstaje państwowy Film Polski – przedsiębiorstwo, w którego władzach znaleźli się m.in. Aleksander Ford i Jerzy Toeplitz.

Rząd wydaje dekret „O przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa”, dzięki któremu sądy mogły wydawać surowe wyroki nawet jedynie w przypadku podejrzenia o działalność antypaństwową.

15 listopada

Podczas spotkania szefów rządów USA, Kanady i Wielkiej Brytanii powstaje tzw. Deklaracja waszyngtońska mówiąca o pokojowym wykorzystaniu energii jądrowej.

16 listopada

Sądy doraźne w składzie sędziego i dwóch ławników zyskują możliwość wymierzania kary śmierci bez możliwości zaskarżenia wyroku.

Na mocy nowego dekretu „O utworzeniu i zakresie działania Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym” służby państwowe tworzą obozy pracy przymusowej, do których wysyłają w trybie administracyjnym na dwa lata każdego, kto godzi w „interes społeczny”. Ponadto na mocy dekretu zostają wymierzone kary przymusowego przesiedlenia i zajęcia mienia oraz wysokie grzywny.

W Londynie powstaje UNESCO – Organizacja Narodów Zjednoczonych do spraw Oświaty, Nauki i Kultury.

17 listopada

W Lüneburgu kończy się pierwszy na Zachodzie proces zbrodniarzy hitlerowskich. Brytyjski trybunał wojenny skazuje na śmierć 11 esesmanów z obozu koncentracyjnego w Bergen-Belsen.

18–21 listopada

Odbywa się I Kongres Związków Zawodowych pod wpływem socjalistów i komunistów. Na czele Komisji Centralnej Związków Zawodowych staje Kazimierz Witaszewski.

20 listopada

W Norymberdze rozpoczyna działalność Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości. Jego zadaniem jest osądzenie zbrodniarzy III Rzeszy, oskarżonych o popełnienie czterech rodzajów zbrodni: uczestnictwa w spisku w celu popełnienia zbrodni międzynarodowych, zbrodni przeciw pokojowi, wojennych i przeciwko ludzkości. Akt oskarżenia obejmuje 24 osoby oraz 8 organizacji i grup, m.in. kierownictwo NSDAP, SS, gestapo czy Sztab Generalny i Naczelne Dowództwo Wehrmachtu.

22 listopada

Gen. Charles de Gaulle tworzy rząd koalicyjny we Francji. Sam staje na czele Ministerstwa Spraw Wojskowych.

25 listopada

Ukazuje się pierwszy numer pisma „Dziś i Jutro” kierowanego przez Bolesława Piaseckiego.

Uroczystości otwarcia cmentarza Powstańców Warszawy, największego w Europie cmentarza wojennego.

27 listopada

Podczas operacji „Deadlight” u wybrzeży brytyjskich zatopiono 115 przejętych po wojnie niemieckich U-Bootów.

29 listopada

Oddziały Ukraińskiej Armii Powstańczej atakują miasteczko Bircza.

Josip Broz Tito staje na czele rządu Ludowego Federacyjnej Republiki Jugosławii. W Belgradzie jugosłowiański parlament znosi monarchię.

Grudzień 1945

4 grudnia

Polityk chadecki Alcide De Gasperi tworzy włoski rząd koalicyjny. Będzie premierem do 1953 r., stając się jednym z ojców założycieli zjednoczonej Europy.

6 grudnia

W czasie I zjazdu PPR wybrane zostają władze partii.

Funkcję sekretarza generalnego otrzymuje Władysław Gomułka.

11 grudnia

Pogrzeb sekretarza naczelnego Komitetu Wykonawczego PSL Bolesława Ścibiorka, zamordowanego przez UB w Łodzi 5 grudnia, zmienia się w manifestację antysowiecką, w której bierze udział ponad 25 tys. ludzi.

16 grudnia

Podczas konferencji moskiewskiej ministrowie spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, USA i ZSRR debatuje nad powojennym kształtem Dalekiego Wschodu.

17 grudnia

Krajowa Rada Narodowa znosi stan wojenny wprowadzony 1 września 1939 r. przez prezydenta Ignacego Mościckiego.

19 grudnia

Pogrzeb studentki Uniwersytetu Łódzkiego Marii Tyrankiewicz zmienia się w manifestację antysowiecką, w której bierze udział około 6 tys. ludzi. Powszechnie sądzono, że zamordowali ją sowieccy żołnierze.

20 grudnia

Pierwszym prezydentem Austrii po wojnie zostaje były kanclerz tego kraju Karl Renner.

21 grudnia

W Paryżu kończy się Konferencja Reparacyjna. Powstaje Międzynarodowa Agencja do spraw Reparacji (IARA).

W wyniku ran odniesionych w wypadku samochodowym umiera gen. George S. Patton, gubernator Bawarii, jeden z najwybitniejszych dowódców USA.

27 grudnia

Polska przystępuje do Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Międzynarodowego Banku Odbudowy i Rozwoju.

Powstają Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Światowy.

29 grudnia

Siergiej Krugłow zastępuje Ławrientija Berię na stanowisku szefa NKWD. Beria nadzorował działalność organów bezpieczeństwa, wywiadu, kontrwywiadu i milicji ZSRR, był odpowiedzialny

za masowe represje i zbrodnie.

Amerykańskie władze wojskowe w Niemczech publikują testament polityczny Adolfa Hitlera odnaleziony w Tegernsee w Bawarii.

Bibliografia

Źródła

Z książką Marcina Zaremby „Wielka trwoga. Polska 1944-1947. Ludowa reakcja na kryzys” (Kraków 2012) niemal nie rozstawałam się w czasie pracy nad „1945”. Pomogła mi zrozumieć, że nie możemy przykładać żadnych norm i kalk z naszej epoki do tamtej chwili. I że tak naprawdę nigdy nie będziemy w stanie zrozumieć naszych rodziców i dziadków, którym przyszło żyć w 1945 roku.

Bardzo ważne były też książki: „Dziki kontynent. Europa po II wojnie światowej” Keitha Lowe (Poznań 2013) oraz „Year Zero. A History of 1945” (New York 2013) Iana Burumy. W szybkim tempie dzięki tym lekturom pozbyłam się naiwnego stereotypu, który nieświadomiony tkwił we mnie głęboko, że rok 1945 był czasem szczęśliwości.

Ale najważniejsze w pracy nad tą książką były rozmowy z ludźmi. Uzupełniałam je lekturą. Podaję najważniejsze pozycje.

Barachło

Michał Cichy, „1945. Koniec i początek”. „Magazyn Gazety Wyborczej” nr 21, dodatek do „Gazety Wyborczej” nr 121, 26.05.1995.

Joanna Konopińska, „Tamten wrocławski rok 1945-1946. Dziennik”, Wrocław 1987.

Beata Maciejewska, „Szaber Ziem Odzyskanych”, „Ale Historia” nr 228, 30.09.2013; „Szaber w majestacie prawa”, „Ale Historia” nr 234, 7.10.2013.

Gregor Thun, „Obce miasto. Wrocław 1945 i potem”, Wrocław 2007.

„Życie Warszawy” (rocznik 1945).

Lód

Egbert Kieser, „Zatoka Gdańska 1945. Dokumentacja dramatu”, Gdańsk 2014.

Po coście tu przyjechali?

„Drugie pokolenie. Wspomnienia mieszkańców zachodnich i północnych ziem Polski”, Poznań 1978.

Włodzimierz Kalicki, „Ostatni jeniec wielkiej wojny. Polacy i Niemcy po 1945 roku”, Warszawa 2002.

Mirosław Maciorowski, „Sami swoi i obcy. Z kresów na kresy”, Warszawa 2011.

Wanda Melcer, „Wyprawa na Ziemie

Odzyskane”, Warszawa 1945.

„Mój dom nad Odrą. Pamiętniki i wspomnienia mieszkańców ziemi lubuskiej”, Zielona Góra 1971.

Edmund Osmańczyk, „Był rok 1945”, Warszawa 1945.

„Pamiętniki osadników Ziemi Odzyskanych”, oprac. Zygmunt Dulczewski i Andrzej Kwilecki, Poznań 1970

Mirosław Maciorowski, „Szli na zachód osadnicy”, „Gazeta Wyborcza”, 20.12.2013 r.

„Przekrój”, rocznik 1945.

„Życie Warszawy”, rocznik 1945.

Dezerter

Roland Borchers, Katarzyna Madoń-Mitzner, „Wojna na Kaszubach. Pamięć polskich i niemieckich świadków”, Gdańsk 2014.

Sylwia Bykowska, „Rehabilitacja i weryfikacja narodowościowa ludności polskiej”, Gdańsk 2011.

„Opowieść o rodzie. Szrederowie”, oprac. Jerzy Dąbrowa-Januszewski, Słupsk 2006.

Barbara Szczepuła, „Dziadek w Wehrmachcie”, Gdańsk 2007.

Warszawa. Rzeczy pierwsze.

Eugeniusz Ajewski, „Na moim podwórku. Pamiętnik z lat 1939-1947”, Warszawa 1995.

„Archiwum Biura Odbudowy Stolicy”, Warszawa 2011.

Ludomira Bellert, „Warszawa 1945”, w archiwum autorki.

„Exodus Warszawy. Ludzie i miasto po Powstaniu 1944”, t. 1, 2, 3, 4, Warszawa 1992.

Robert Maciej, Jerzy Majewski, Grzegorz Sołtysiak, „Warszawa. Ballada o okaleczonym mieście”, Warszawa 2006.

„Pamięć warszawskiej odbudowy 1945-1949. Antologia”, Warszawa 1972.

Jan B. Tereszczenko „Wspomnienia warszawiaka egocentrysty: »Ja«”, Warszawa 2012.

Józef Sigalin, „Nad Wisłą wstaje warszawski dzień (szkice)”, Warszawa 1963.

Józef Sigalin, „Warszawa 1944-1980. Z archiwum architekta”, Warszawa 1986.

Kordian Tarasiewicz, „Cały wiek w Warszawie”, Warszawa 2005.

Monika Żeromska, „Wspomnień ciąg dalszy”, Warszawa 1994.

„Życie Warszawy”, rocznik 1945.

Andrzej Fedorowicz, „Jak warszawianki chowały powstańców”, „Polityka”, 28.10.2013,

<http://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/historia/warszawianki-chowaly-powstancow.read> –
dostęp 12.03.2015

Ja nie sziksa, ja Żydówka

Wspomnienia Franciszki Oliwy i część informacji o życiu w otwockim Domu Dziecka zaczerpnęłam z archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego.

Thomas Buergenthal, „Dziecko szczęścia”, Warszawa 2008.

Władysław Kornblum, „Ostatnia latorośl. Wspomnienia małego chłopca z getta warszawskiego”, Warszawa 2002.

Hanna Krall, „Sublokatorka”, Kraków 1985.

„Sublokatorka po latach. Z Hanną Krall rozmawiają Elżbieta Janicka i Joanna Tokarska-Bakir”,

<https://ispan.waw.pl/journals/index.php/slh/artic>
– dostęp 12.03.2015.

Andrzej Leder, „Prześniona rewolucja. Ćwiczenia z logiki historycznej”, Warszawa 2013.

Zofia Nałkowska, „Dzienniki”, oprac., wstęp i komentarz Hanna Kirchner, Warszawa 2000, t. 6.

Bartosz Zawada, „Żydowski Dom Dziecka

w Otwocku 1945-1948”, „Kwartalnik Historii Żydów”, marzec 2005, nr 1 (213).

Hanna Zielińska, „Bo tam jednak było życie. Powojenny żydowski Dom Dziecka w Otwocku. Próba monografii”, praca magisterska na kierunku kulturoznawstwo – wiedza o kulturze, pod kierunkiem dr hab. Barbary Engelking-Boni, Instytut Filozofii i Socjologii PAN, w archiwum autorki.

Trzydzieści sześć dni Bolesława Pierwszego

Norman Davies, Roger Moorhouse, „Mikrokosmos. Portret miasta środkowoeuropejskiego, Vratislavia, Breslau, Wrocław”, Kraków 2002.

Bolesław Drobner, „Wspominki...”, Kraków 1965; „Bezustanna walka”, Warszawa 1965, „Moje cztery procesy”, Warszawa 1962.

Joanna Konopińska, „Tamten wrocławski rok 1945-1946. Dziennik”, Wrocław 1987.

Henryk Grynberg, „Memorbuch”, Warszawa 2000.

Michał Śliwa, „Bolesław Drobner. Szkic o działalności politycznej”, Kraków 1984.

Gregor Thun, „Obce miasto. Wrocław 1945 i potem”, Wrocław 2007.

„Trudne dni. Wrocław 1945 r.

we wspomnieniach pionierów”, t. I, Wrocław 1960.

Breslau/Wrocław

Norman Davies, Roger Moorhouse, „Mikrokosmos. Portret miasta środkowoeuropejskiego, Vratislavia, Breslau, Wrocław”, Kraków 2002.

Ewa Maria Jakubek, „Marzenia spełniają się inaczej. Retrospekcje Ślązaczki”, Wrocław 2010.

Gregor Thun, „Obce miasto. Wrocław 1945 i potem”, Wrocław 2007.

Stefania Wróbel, „Jestem Niemką w Polsce. Fragment mojego życia”, Wrocław 2013.

Nie jesteśmy przecież Niemcami

Wiele informacji o życiu Czesława Gęborskiego znalazłam w aktach jego spraw, które są przechowywane w archiwum Sądu Okręgowego w Opolu.

Edmund Nowak, „Cień Łambinowic”, Opole 1991.

„Obozy w Lamsdorf/Łambinowicach (1870-1946)”, Opole 2006.

Szczyście '45

Grzegorz Motyka, „Od rzezi wołyńskiej do akcji »Wisła«. Konflikt polsko-ukraiński 1943-1947”, Kraków 2012.

„Powiat sanocki w latach 1944-1956” pod redakcją Krzysztofa Kaczmarek i Andrzeja Romaniaka, Rzeszów – Sanok 2007.

Czerwone zamię

Günter Grass, „Idąc rakiem”, Gdańsk 2002.

Kalendarium

Brzoza Czesław, Sowa Andrzej L., „Wielka historia Polski”, t. 5, Fogra Oficyna Wydawnicza, Bertelsmann Media, Warszawa 2003.

„Dzieje Polski. Kalendarium”, red. Andrzej Chwalba, Wydawnictwo Literackie 2000.

„Kronika Polski”, Reader’s Digest Przegląd, Warszawa 2000.

Smagacz Krzysztof, „Kalendarium 1945-2007: daty z najnowszej historii powszechnej”, Wydawnictwo Kram, Warszawa 2008.

Smagacz Krzysztof, „Kalendarium 1944-2007: daty z najnowszej historii Polski”, Wydawnictwo Kram, Warszawa 2008.

Wilmański Jerzy, „Kalendarium dziejów Polski od 1919 r. do 1990 r.”, Grudziądz 2003.

Deszczyński M., Kupiecki R., Moszczyński T.,
„Historia polityczna świata. Kalendarium
wydarzeń 1945-1995”, Morex, Warszawa 1995.
Arnold S., Kurkiewicz W., Tatomir A.,
Żurawski W., „Dzieje świata. Chronologiczny
przegląd ważniejszych wydarzeń”, Kudowa
Spółdzielnia Wydawnicza, Wydawnictwo
Bellona, Warszawa 1996.

Indeks

Odwołania do numerów stron dotyczą wydania papierowego książki (ISBN 978-83-268-2215-5).

Adler Debora 202

Ajewski Eugeniusz 141, 144-146, 148, 150, 152, 158, 161, 165

Anczyc Władysław Ludwik 230

Anders Władysław 236

Awol Olek 187, 189-190

Bach-Zelewski Erich von dem 152

Bagińska Łucja (z domu Raczkowska, zob. Lucie Rybandt) 354, 357-358, 368-369, 371

Bagiński Wacław 369

Bal Karol 199

Balińska Maria 116-118

Bania Stanisław 70, 97, 99

Berling Zygmunt 236

Bernhautowa Alfreda 210, 219

Biegański Piotr 168

Bielicka-Blum Luba 186, 197, 200-204, 211, 213, 216,

218

Bierut Bolesław 32, 107, 225, 238

Blum Abrasza 200-201

Blum Aleksander 221

Blum Wiesia 200, 203, 211-213, 218, 221

Błaszczyk Henryk 214

Borcuch Halina 70, 96, 98-99

Brandys Kazimierz 29, 150

Braun Ewa 59

Breuer Erna 280, 286

Breuer Kristina 280

Broniewska Janina 139, 150

Buchman Tamara 208, 216

Buergenthal Tomek 204, 209-210, 216-217

Burzyński Roman 164

Cholewka Jarosław 330, 335

Cholewka Katarzyna 330

Cholewka Michał 330

Cholewka Zofia 335

Churchill Winston 109, 119

Cieply Michał 336

Curzon George Nathaniel 109

Czarnecki Mieczysław 249

Czarnobroda Czesława 211

Czarzyński Leon 163

Czerny Władysław 165

Daszyński Ignacy 232
Dawid, cadyk z Lelowa 193
Dąbrowska Maria 147, 149, 160-161, 165, 167
Demkowicz Katarzyna 336
Długosz Ewa 173
Dönitz Karl 48
Drobner Abraham Roman 228
Drobner Bolesław 227, 228-238, 240-243, 246-265, 281
Drobner Irena 228-230
Drobner Luba Tauba (z domu Hirszowicz) 228-230, 233
Drobner Mieczysław 230
Dybowska Helena 213
Dziaba Teodor 337
Dzusła Jan 341
Dżugaszwili Jakow 109

Edelman Marek 197, 203
Ehrlich Henryk 203
Eisenbach Ludwik 207-208, 219
Erenburg Ilja Grigorjewicz 45

Fiederkiewicz Alfred 241
Filipczakowa Józefa 249
Finkiel Judyta 192, 207
Flunt-Zylberbaumowa Rywka 186
Frindt Lilka 141
Fogg Mieczysław 163
Foicik Leon 319

Fryderyk Wilhelm III 243, 263
Furman Jan 314, 316-317
Fuswerk K. 196

Gajewski Jan 163
Gęborska Wiktoria 297
Gęborski Aleksander 297-298, 314
Gęborski Czesław 295-299, 303, 305-306, 308, 312-319,
321-323
Gęborski Eugeniusz 297
Gęborys Jadwiga 313
Gimpel Elisabeth 105
Gimpel Heinrich 105
Glass Jurek 204
Goebbels Joseph 45, 51
Goerlich Lothar 311
Gojawiczyńska Pola 156
Goldminc Zula 197
Gorączko Bolesław 330
Gorczyńska Jadwiga 172
Gorczyński Tadeusz 172
Gostomska Zofia 249, 260
Górecka Berta 203, 206
Grass Günter 369
Grdeń Izabela 111-112, 114
Gruszka Samuel 208
Grzybkowski Faustyn 28
Guzik Dawid 202

Gwiazda Mendel 208, 210

Hanke Karl 245-246

Hartmann Hermann 255

Henseleit Elisa Helena (z domu Schumann) 40-41, 43, 46, 49, 54-55

Henseleit Gerd 43

Henseleit Gisele 43

Henseleit Heinrich Adolf 40, 43, 46, 48, 49, 53, 54-55, 57, 63

Henseleit Inge 42

Henseleit Karlheinz 41-43

Henseleit Otto 41

Henseleit Ursula 42

Henseleit Werner 40-43, 49, 54, 58-59, 62-63

Hindenburg Paul von Benckendorff, von 41

Hirsch Lejb 228

Hirszowicz Bolesław 228

Hirszowicz Ida 229-230

Hirszowicz Józef 228

Hirszowicz Luba (zob. Drobner Luba Tauba)

Hitler Adolf 40-43, 45-46, 48, 55, 59, 90, 118, 126, 145, 152, 243, 246, 255, 280, 294, 360, 361-362

Hoffman Paweł 317

Holzer, frau 49, 53-55

Holzer Hanz 49

Holzer Kurt 49, 57-58, 60-61

Hoppe Wanda 172

Hryniewiecki Jerzy 142

Homyk Wasyl 337

Jałukowicz Teresa 94-95

Jeleniowa Maria 256, 264

Jerrig Friedrich 254

Kabaj Adam 249, 257

Kabierski Marian 344

Kabierski Michał 344

Karcz Janusz 207, 212-214, 219

Kartoszkin Niko 240

Kaźmierowicz Wiktor 25

Kieser Egbert 54

Knot Antoni 250

Kobiela Jan 344, 346

Koch Erich 46, 48

Kokoszko Michał 186, 195-196

Koniew Iwan 245

Konopczyński Adam 249

Konopińska Joanna 28-30

Konowalczuk Zbigniew 295

Kornblum Władysław 192, 217

Kornijczuk Ołeksandr 236

Kosowski Michał (zob. Kokoszko Michał)

Kossakowski Stanisław 247

Krall Hanna 202, 205

Krause Johannes 245

Krause Robert 54
Kubic Stanisław 90-91
Kuboń Gertruda 309
Kudriawcew Dymitr 321
Kulczyński Stanisław 249, 257, 259
Kuligowski Kazimierz 249, 251, 253, 262
Kuna Henryk 191
Kuszner Bronisława (zob. Marzyńska Bronisława)

Lagosz Kazimierz 249, 257, 259
Lattre De Tassigny Jean Marie Gabriel de 8

Łach Maciej 248-249
Łakomyj Andryj 337
Łukaszek Hildegarda 317

Maciejak Zbigniew 75
Majunke Paul 240
Malorny Józef 316, 318
Margolis-Edelman Alina 203
Marinesko Aleksander 362-365, 368
Marzoll Paul 255
Marzyńska Bronisława 169-170
Marzyński Daniel 169
Marzyński Marian 167, 169, 172-175
Maxara Erika 295, 302, 308, 319, 323
Maxara Klara 293, 295, 300-301, 306, 308, 309, 311,
319, 323

Maxara Konrad 300, 319
Maxara Monika 301, 308
Maxara Oswald 308, 319
Maxara Ursula 308, 319
Meczulat Gerda 45
Melcer Wanda 71, 74-75, 77-79, 85, 101-102, 115
Mike Anna 312, 316
Mike Maria 317
Mike Paweł 317
Miklaszewski Gwidon 32
Mikulski Stanisław 297
Milan Fena 337
Minc Hilary 319, 236
Młotek Danek 189-190
Młotek Irka 187, 189-190, 203, 207, 209-211, 217-218
Młotek Janek 189-190
Młotek Lea 187
Młotek Szulim 187
Modzelewski Zygmunt 236
Morel Salomon 298-299

Nałkowska Zofia 161, 204
Niedworok Augustyna 117-119
Niehoff Hermann 246
Nisiewicz Józef 336
Nogat Józefa 81-82, 84
Nojmark Bronka 190
Nojmark Israel 190, 198, 218

Nowak Joanna 186
Nowak Rudolf 186
Nowak Wilhelm 314-316
Nowicki Jan 76

Ochab Edward 85, 227, 236, 240, 242, 264
Odessowa Katarzyna (zob. Raguzowa Katarzyna)
Okrutna Władysława 274, 280, 286
Olbrychski Daniel 297
Oliwa Franciszka 183-186, 188, 190, 195, 197-199, 208,
210, 213, 216-217, 219, 221
Orszt Janusz 158
Osóbka-Morawski Edward 32, 238, 240, 242, 264

Paciorek Mieczysław 305, 314, 321
Padlewska Nadzieja 156
Padlewski Roman 155-156
Patek Józef 103
Petersen Friedrich 364, 368
Piaskowski Stanisław 274, 281
Piłsudski Józef 232
Pinczower Tereska 209
Piotrowski Roman 168, 172
Plapis Witold 168
Płatek Michał 341
Podgórski Stefan 249
Popiel Marian 336
Pretzel Ignacy 228, 230

Preussner Marta 309
Progorowicz Zygmunt 336
Prusicka Irena 203
Prussak Ewa 25
Pstrokoński Andrzej 144, 149-150, 158, 165, 173-174
Putrament Jerzy 141, 174
Puzerewski Piotr 142

Rabinowicz Ludwik 208, 212
Raguzowa Katarzyna 195
Rakisz Mieczysław 249, 257
Riepin, ppłk 242, 250, 254
Rola-Żymierski Michał 238
Romiszowski Zenon 102
Roosevelt Franklin Delano 109, 119
Rożecka Janina 153, 155
Rutka Józefa (zob. Nogat Józefa)
Rybandt Georg 357, 369
Rybandt Hans Jürgen 354, 357, 368, 370
Rybandt Lucie (zob. także Łucja Bagińska) 353-354, 358, 363, 366, 369
Rydzynski Roman 314

Schmidt Agnes 273, 278, 281
Schmidt Edith 272, 281, 285, 287
Schmidt Franz 281, 285, 287
Schmolke Emanuel 317
Schön Heinz 268

Szroeder Stanisław 125, 127, 131, 133
Schröder Antoni 127, 129, 132-133
Schröder Franciszka 128
Schröder Stanisław (zob. Szroeder Stanisław)
Schröder Zygmunt 128
Seifert Mieczysław 249
Sienkiewicz Henryk 148
Sigalin Józef 139, 156, 168-169
Sikorski Władysław 109
Simchowiczowa M. 196
Skłodowska-Curie Maria 148
Skubliński Alojzy 167
Smołka Franciszek 316
Solski Ludwik 230
Spychalski Marian 168, 172
Srokowski Stanisław 75
Stachurski Władysław 92-93
Stalin Józef 8, 46, 79, 109, 119, 168, 173, 227, 235, 237-238, 364-365
Steinhaus Hugo 29
Stomoniakow Borys 235
Stramer Salomon (Roman Kornecki) 235
Sulczyński Jan 298-299, 319
Swytycz Jan 337
Szatłow Siergiej 172
Szaube Marek 322
Szczerberbińska Barbara 172
Szczerberbiński Stefan 172

Szereszewska Izabella 203
Szkolniak Kazimierz 89, 90
Szlabski Władysław 315, 317-318
Szlechter Klara 317
Szmigiel Eugeniusz 94, 96
Szpalski Karol 32
Szpilman Władysław 85
Sztarkman Andzia 192-193
Sztarkman Linka 193, 207, 216-217
Szternes Eda 192, 215-219
Szul Katarzyna 343
Szul Władysław 343
Sztekker Teodor 71
Szykgold Helena Kazimiera 191-192, 195, 203
Szykgold Wanda 191
Szykgold Włodek 191-192, 204, 207, 212, 219
Szwagierek Jan 82, 84
Szwagierek Krystyna 82
Szwalbe Stanisław 241
Szyndler Ryszard Janusz 86-89
Szypuła Ignacy 313-314, 316-317, 323

Śliwa Michał 258-259, 262

Tereszczenko Jan 150, 159, 161, 165
Thomalla Erika (zob. Erika Maxara)
Thomalla Robert 302, 323
Tołwiński Stanisław 172

Tryłowska Wilhelmina 104-105, 107
Tuwim Julian 204-205, 207
Tworzowska Bronisława 112, 115
Tyrke Anna 317

Vilena Jari 168
Vilena Franz 168
Vogt Michael 45

Wachniewski Aleksander 250, 281
Walczyk Franciszek 317
Waldorff Jerzy 152
Wancke Jan 308
Wancke Paulina 312
Wasilewska Wanda 235-238
Wedel Jan 163
Wędzicha Władysław 303, 315
Wiechecki Stefan („Wiech”) 163, 167
Wieczorek Anna 311
Wilhelm I 262
Winawerowa Felicja 191, 195, 203
Winiarska Janina 104
Winiarski Roman 104-105, 107
Wionczek Mieczysław 85
Wolwowicz Alicja 338
Wolwowicz Tekla 338
Wolwowicz Wiktor 338

Zachwatowicz Jan 168

Zaremba Marcin 18

Zawadzki Aleksander 303, 319, 322

Żak Andrzej 253

Żaruk-Michalski Aleksander 241

Żeromska Monika 142, 144, 147-148, 150, 155-156

Żubryd Antoni 340, 346-347

Żukow Gieorgij 8

Żukrowski Wojciech 85

Żyła Ewa 317

Źródła zdjęć

Okładka: Karol Szczeciński/East News, AKG Images/East News, Laski Diffusion/East News (3), Renata Dąbrowska/Agencja Gazeta

s. 4-5 PAP; s. 6-7 PAP; s. 17 Archiwum; s. 27 Muzeum Miejskie Wrocławia; s. 31 Jerzy Baranowski/PAP; s. 44 AFP/East News; s. 47 (górne) BE&W; s. 47 (dolne) AKG Images/BE&W; s. 50 Ullstein/BE&W; s. 52 Ullstein/BE&W; s. 56 (górne) Süddeutsche Zeitung Photo/Forum; s. 56 (dolne) Albert Otto/Ullstein/BE&W; s. 62 Archiwum Wenera Henseleita (2); s. 73 PAP; s. 80 Jerzy Baranowski/PAP; s. 83 Stanisław Bober/zbiory Ośrodka KARTA (2); s. 100 (górne) PAP; s. 100 (dolne) Stanisław Bober/zbiory Ośrodka KARTA; s. 106 (górne) PAP; s. 106 (dolne) repr. FoKa/Forum; s. 110 repr. FoKa/Forum; s. 113 repr. FoKa/Forum; s. 127 Archiwum Stanisława Szroedera (2); s. 131 Archiwum Stanisława Szroedera (2); s. 140 PAP; s. 143 zbiory Ośrodka KARTA; s. 146 Karol Szczeciński/East News; s. 151 PAP; s. 157 Karol Szczeciński/East News; s. 162 PAP; s. 166 PAP; s. 171 PAP; s. 184 Mark Shreberman/Yad Vashem; s. 188 Yad Vashem; s. 194 (górne) Mark Shreberman/Yad Vashem; s. 194 (dolne) Aviva Blum/Yad Vashem; s. 201 Aviva Blum Wachs/Yad Vashem; s. 206 (górne) Mark

Shreberman/Yad Vashem; s. 206 (dolne) Aviva Blum/Yad Vashem; s. 215 Aviva Blum/Yad Vashem; s. 220 Mark Shreberman/Yad Vashem; s. 229 YIVO Institute for Jewish Research; s. 231 Muzeum Historyczne Miasta Krakowa; s. 234 Muzeum Historyczne Miasta Krakowa; s. 239 repr. za „Trudne dni. Wrocław 1945 r. we wspomnieniach pionierów”, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1960; s. 244 (górne) East News; s. 244 (dolne) Henryk Makarewicz/Muzeum Miejskie Wrocławia; s. 247 repr. za „Dolny Śląsk”, praca zbiorowa pod redakcją Kiriły Sosnowskiego i Mieczysława Suchockiego, t. 1, Instytut Zachodni, Poznań, Wrocław 1948; s. 252 repr. za „Trudne dni. Wrocław 1945 r. we wspomnieniach pionierów”, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1960; s. 256 repr. za „Trudne dni. Wrocław 1945 r. we wspomnieniach pionierów”, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1960; s. 261 (górne) repr. za „Trudne dni. Wrocław 1945 r. we wspomnieniach pionierów”, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1960; s. 261 (dolne) Archiwum, s. 265 Muzeum Miejskie Wrocławia; s. 275 (górne) PAP; s. 275 (dolne) repr. Kamil Kajko/Forum; s. 283 Emmanuil Yevzerikhin/ITAR-TASS/PAP; s. 296 repr. Michał Grocholski/Agencja Gazeta; s. 300 Archiwum Prywatne; s. 304 Archiwum Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu; s. 310 Archiwum Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych

w Łambinowicach-Opolu; s. 320 Rafał Mielnik/Agencja Gazeta; s. 331 www.ulucz.pl, archiwum Jarosława Cholewki (2); s. 332 zbiory Ośrodka KARTA; s. 339 Michał Smulski/Muzeum Historyczne w Sanoku; s. 342 Archiwum Wojskowego Instytutu Historycznego (2); s. 345 PAP (2); s. 355 AKG Images/BE&W; s. 359 AKG Images/BE&W; s. 362 RIA Novosti/AFP/ East News; s. 367 AKG Images/BE&W.

Odwołania do numerów stron dotyczą wydania papierowego książki (ISBN 978-83-268-2215-5).

